

Kobieta bez skazy



GABIELA ZAPOLSKA

Kobieta bez skazy

LIST PIERWSZY

...no! muszę przyznać, że troszkę to nieprzyjemniejsze, niż sądziłam. Wyobraź sobie, idąc tu, zdawało mi się, że jestem heroiną romansu. Niewielkiego. Ot — *une passionette* — z podłożem „rozwodowem”. A tu — mogę powiedzieć — farsa, nawet nie tragifarsa, i nie à la Dulscy. Inny *genre* — zupełnie. Niby jakieś wiwisekcje duchowe i w gruncie rzeczy puszczanie baniek. Tylko bez tęczyowych afer. Ot... na szaro. — Ile pani ma lat? Kręcę się. Coś marmocę. Czy zauważyłaś, Helu, że kobieta zawsze się swoich lat wstydzi. Albo że ma aż tyle, albo że ma dopiero tyle... Zawsze. Dość, że i ja nie mogłam wyksztusić tej mojej trzydziestki. A przecież — właściwie o cóż mi chodziło? — Trzech księży i jeden podksiądz. — No tak, Helo — podksiądz — taki młodziutki, nawet dość naiwny — coś ze studencika. — Pochylony nad masą papierów, pisze i pisze — czasem tylko (ale bardzo rzadko) podnosi na mnie swe szafrowe, trochę smutne oczy. — I szybko, jeśli spotka się z moim wzrokiem (robię to bardzo od niechcenia i zręcznie), przenosi oczy na otwarte szeroko okno, przez które widać śliczny szmat ogrodu, z bajecznymi bukietami akacji. — Niby to śledzi wtedy muchy, tańczące w strudze zachodzącego słońca, ale ja wiem, Helu!... To biedactwo odpoczywa po „głębi moich dwóch niezmiernych stawów”... A jakże.

Ach! Helu!.. Helu!.. Dwa dni trwają już te moje przesłuchiwanie rozwodowe. Jeszcze mam przed sobą drugie dwa. — Codziennie biorę inną suknię i przedstawię sobie, jak dobrze wyznawać tę naszą maksymę. — „*Najuczciwsza kobieta powinna być zawsze pod bronią*”.

To jest... *les dessous irreprochables*... Bo nie wiesz dnia, ani godziny...

Ach! Żart na stronę. Mówi się tu n. p. o tramwaju. — Wsiadasz, tramwaj rusza. Padasz. O koła zaplątuje się suknia. Jesteś wleczona kilkanaście kroków w oczach p. t. publiczności. — Pierwsza myśl — jakie mam *dessous*? Dopiero druga: co mi tam połamię? — Ale ta pierwsza dominanta. — A więc — jeśli koronki, batysty, tafty i t. d. mają nieposzlakowane piękno — możemy oddać się z wdziękiem i beztróską wleczeniu po szynach w oczach rozentuzjzmowanych przechodniów. Lecz jeśli nosimy podwiązki pod kolanami, o Helo!... Co za cios!... Czy taka kobieta może marzyć o wzbudzeniu idealnych uczuć — jeśli jej wielbiciel odkrył u niej podwiązki pod kolanami, lub *dessous*, ozdobione szydełkowym tiulikiem (!). — Powiesz — przypadek! Hm! tak — ale, Helu, my, *kobiety uczciwe*, możemy tylko liczyć na przypadki, pozwalające nam ujawnić, jak w błyskawicy, to, co stanowi nieskazitelność naszych przekonań...

Dziś — bez tramwaju zaszła potrzeba takiego ujawnienia nieskazitelności moich *dessous* i zasad. — Oto — przy przesłuchiwaniu — gdy doszliśmy do punktu owej sławnej sceny (och! znasz ją zanadto dokładnie — bo swego czasu wylewałaś me łzy rzęsiste w tej sprawie na twe łono), do owej *la grande scène*, w czasie której mój mąż (a obecnie pan Bohusz), odpłacając mi za trochę może nieparlamentarne o nim przekonanie — pochwycił nóż do owoców i z czarującą, przyjacielską gracją ugodził mnie nim w lewą łopatkę. Była to drastyczna wymiana nienawiści dwojga płci i coś nieco *ze szkoły zapłaśniczej życia*. Pozostała mi po tej scenie, dowodzącej, jak dalece instytucja małżeńska jest niezbędną w społeczeństwie, głęboka blizna. Ponieważ przesłuchania rozwodowe są jakby poparte metodą pogładową, areopag kapitulny zarządził wizję lokalną. Zawahałam się chwileczkę. Tyle tylko, ile było potrzeba do zamaskowania mej, w tym względzie obowiązkowej, skromności i szybkiego zbadania mych *dessous*. Wreszcie, rzuciwszy okiem w stronę se-

kreterza, który pograżył się cały w stosie papierów, ujawniłam triumfalnie słodki, blady ton liljowych batystów, pianę walansjenek i cud moich ramion, które znasz, a które zaczynają nabierać ślicznej linii, właściwej balzakowskim kobietom. Miałam na tyle dobrego smaku, że nie konstatowałam wrażenia. Zadowoloniłam się tem, że chwila ta była i stała się.

Widzisz więc, że i my, kobiety bez skazy, nie wiemy dnia, ani godziny...

Stąd przyjmij sobie tę zasadę, którą odtrącać się zdawałaś, i przy niej — trwaj!

Tvoja

Rena.

LIST DRUGI

Piszę dziś znów, a to, że przewiduję twoje wymówki. — Piszesz mi — powiesz — bez ładu składu. Obchodzi mnie, *jak się rozwodzisz*, jakim porządkiem, w jakiej formie. A ty swoim zwyczajem przybierasz ton listu Bóg wie kogo i zajmujesz papier i czas tramwajami i lila kolorem twoich batystów. Wiem, wiem — byłaś i jesteś tą wzorową osóbką, która każdą chustkę od nosa z prania przegląda do światła, czy czasem nie pozostała na niej jaka plamka. Ty nigdy nie mogłaś pogodzić się ze mną, że ja miałam trochę rozwichrzone włosy i wzywałaś mnie do szanowania *pozorów*. Moja droga — w rzeczach *zasadniczych* potrafię ja te pozory uszanować. Powiedz mi, czy w ogóle pod względem tak zwanego *prowadzenia się* macie mi co do zarzucenia? Nie! Mogę wyzwać śmiało pod pomnik Mickiewicza (tam bowiem obecnie załatwiają się wszystkie wielkie kwestje) cały świat i żądać, aby mi dowiedziono, czy zbłądziłam (ale to naprawdę), choćby we śnie? To jest i pozostanie właśnie dumą mego życia. Jak gronostaj, tak się przenoszę przez męty i kałuże. Bez plamki — słyszysz!... Bez plamki. I jeżeli mam być szczerą, a przed tobą jestem nią, to przychodzi mi to z łatwością. Jestem bowiem kobietą bez skazy, ale i bez tego, co nazywają... temperamentem. To wszystko, co małżeństwo przedemną odsłoniło — *ça ne me dit rien*. Zrozumiałaś? Ty jesteś dość skryta i na moje w tym względzie pytania odpowiadałaś milczeniem i uśmiechem. Więc właściwie nie wiem, czy mnie rozumiesz, czy i dla ciebie owe chwile problematycznych cudowności są wyczekiwane, czy raczej wymijane konwencjonalną grzecznością. Dość, że ja unikam owej „plamki” wesoło i zupełnie normalnie, zwykle *w ostatniej chwili* przyzywając mą godność nieskalanej kobiety, jak ekran przed zbytnim żarem nadto podsycanego ogniska.

Ach! Bo tu leży to, co mi wyrzucasz często, a wierz mi, że ze zbyt wielką surowością.

Jeżeli nie aprobuję finału i nie chcę brać udziału w misterjach cudownych, o wątpliwej właściwie wartości, nie jest rzeczą konieczną, ażebym wyzbywała się przyjemności wysłuchania uwertury i właściwej treści opery. Tembardziej, że dla mego indywidualizmu te preliminarja właśnie stanowią cały bezsprzeczny urok stosunku mężczyzny z kobietą. Możesz mnie sądzić zdeprawowaną. Hm!... Moja droga — zdeprawowanie jest rzeczą względną. Dla jednych to, co niby stanowi zdrowe i normalne przebiegi miłości, jest jedynie godne miana cnoty, a wszystko inne chrzci się mianem zdeprawowania, dla drugich znowu tamto finałne jest pieśnią zwierzęcia stadnego, obwieszającego swe zdeprawowanie, a nie mogącego już odczuć subtelnych rozkoszy ledwo dostrzegalnych drgnień bardzo uduchowionych połączeń. Ty nazwiesz mój *genre* flirtem, ale na Boga, skończcie już raz używania tego wyrazu, który przeciągnął nawet przez kredens i garderobę, nie licząc salonów i „buduarów” (!) kołtuńskich kokietek. Ja się upajam, a nie flirtuję. Ja biorę z życia to, co właściwie jest dla mnie upojeniem i radością. Przechodząc mimo ogrodnika, kupuję sobie bukiet anemonów, które pociągnęły mnie ku sobie intensywną barwą swych kielichów. Tak samo zbliżającego się ku mnie mężczyznę, który przynosi mi swe samcze poprostu zapędy, ja z całą umiejętnością wpędzam w rozstawione sieci i zaczynam wprowadzać w stan preliminaryj tak pięknych, jak piękną była owa barwa kwiatowych, kupionych przezemnie kielichów. Gdybym mu w jednej chwili zamknęła drogę do *nadziei*, mężczyzna ten cofnąłby się i ja pozostałabym sama i nudząca się. Tak, spodziewając się ciągle, jak indjanin w pióra barwne, tak on zaczyna się stroić, czy to w cudze piękno, czy rzeczywiście z głębi swej duszy wyciągać do lamusa zapchane swe piękno wewnętrzne i uroczystości duchowe.

Często zaśmiewam się w głębi mojego *ja*, patrząc i odczuwając, jak taki pan, zezując w stronę mej ślicznej, różowej sypialni, pochyla się ze mną moralnie nad źródłem idealnym „szczęśliwości miłosnych”. A tymczasem zdaje mi się, że słyszę, jak mówi jego wewnętrzne *ja*.

— Chce ci się chodzić na szrudłach? — Masz, masz, masz — odemszczę ja się za to... odemszczę... „gdy mi padniesz wreszcie w ramiona”... I czeka tej odpowiedniej chwili do zemśczenia się, wysyłając od czasu do czasu jakiejś *awantgardy*, które ja łaskawie przyjmuję, o ile są subtelne i dystygowane. Lecz skoro tylko ten uśmiech ośmnastego wieku chce „schłópieć”, *je tire ma révérançe* i już mnie niema. Jak motyl pozbieram z kwiatu to, co jest słodyczą i wonią, rozmarzę się, upoję, zawibruję wspomnieniem i pozostawiam mój *sujet* z projektem... shańbienia mnie i zemśczenia się za to, że tak ślicznie w noc księżycowe błądziliśmy po ścieżkach, wyspanych brylantowym piaskiem, podczas gdy w oddali, ledwo dostrzegalnie, drgały harfy naszych zmysłów. Bo, moja droga Helu, zechciej być bardziej wyrozumiała, gdyż:

Chacun prend son plaisir où il le trouve.

Twoja

Rena.

LIST TRZECI

A co? Nie mówiłam? Ciche skargi, że i ten drugi list nic nie opisuje. A przecież to takie ważne, ta *forma* rozwodu, to przecież takie ciekawe! Zaraz naładuję ci twój podróźny koszycek najświeższymi wiadomościami, tylko jeszcze chcę ci powiedzieć, że mam wielką dla ciebie wdzięczność za *uznanie*, z jakim moja cnota spotkała się u ciebie. Piszesz: „Wiem, że potrafisz się zatrzymać w sam czas”. — Moja jedyna, ja od pierwszej chwili jestem *zatrzymana* i chodzę na uwięzi, ale tu chodzi o umiejętność zatrzymania mego partnera i tej siły mi wiesz. Bo widzisz, dzieje się czasem tak: Indjanin, ustroiwszy się w pióra, zaczyna znajdować, że mu jest pięknie w tych piórach, forsuje nutę, znajduje jakiś ton mi nieznanym i oto ja zaczynam mieszać się i tracić poczucie prawdy. I wtedy zaczyna się niebezpieczeństwo, a... Cud może rzeczywiście przedstawić jako cud. Wtedy — co będzie ze mną? Co?

I tu podziwiam i wiesz mi tej forsę, tej siły, która nagle pozwala mi stanąć na wyżynie niezdojbytej mej cnoty i nieskazitelnej potęgi. Nie o to chodzi, że ja się zatrzymałam, ale że potrafiłam *zatrzymać* indjanina w jego fascynującym tańcu, w księżycowych blaskach. Jakich używam wtedy broni, to już mniejsza i sekret to mój własny. Zresztą, dla ciebie zbyt cenny. Dość, że bronie te są rozmaite i zastosowane nie tylko do indywidualności partnera, ale nawet do zewnętrznego otoczenia. Inaczej bowiem wycofuje się przed finałem wobec gwiazd Maeterlinckowskich, a inaczej przed uchylonymi drzwiami mej różowej sypialni. Tu pozwól sobie zwrócić uwagę, iż pozostawianie właśnie tych uchylonych drzwi zawsze jest niby dziełem wypadku i nikt z tego powodu nie może na mnie rzucić brzydkiego cienia. Potrafię bowiem przejść z salonu do sypialni pod pretekstem przyniesienia pozostawionej tam książki, i wracając w *roztargnieniu*, potrafię ślicznie drzwi nie zamknąć...

A więc...

Czego chcesz?

Lecz widzę, jak się marszczysz. Znów to samo, znów na prawo i lewo szczebiotanie, im więcej rzeczy ci znanych i wiadomych. No, nie bardzo. O ten rozwód ci chodzi? No, więc dowiesz się, że dziś dzień trzeci i trzecia suknia. Kolor dyskretny, szaro-zielony, płótno pierwszej sorty, spódnica dość krótka, przybrana pałkami, żakiet pół długi, lekko wcięty. Bluza koronkowa, ślicznie ażurowa. Na głowie rodzaj turbana z dwoma ponad uszami pękami lila akacji. Inwencja moja, nadająca mi specjalne *cachet*, trochę wyzywające i ciągnące za mną oczy przechodniów. Co więcej? Buciki ze skóry w tonie sukni, pończochy *idem*. Co najwięcej mi sprawia radości, to rękawiczki, w tym samym tonie, które znalazłam w pewnym sklepie. Całość zwaporyzowana mieszaniną Sweat Pea i Heliotropu. Także moja inwencja. Trujący heliotrop i słodki, idealny groszek... Słowem

to, co ja, w zbliżeniu się... Ten zapach, to jakby delikatny, czarujący pazik, wysłany na zwiady...

Czy to chciałaś wiedzieć? Taki jest dzień trzeci. W dzień pierwszy była suknia z czarnej etaminy i wielki Lamballe z piórami. Pojmujesz, nie mogłam się hazardować, nie znając wcale terenu. Należało więc być *correcte*. I dobrze się stało. Składałam bowiem *przysięgę*. Ale tak uroczyście, nadzwyczajną. Wyobraź sobie, kazano mi ukłęknać, położyć rękę na otwartej księdze i tak przysięgać. Dwie miałam wtedy myśli. Pierwsza rzeczywiście jakiś dreszcz, jakbym stanęła nagle przed czemś wielkim, nieznanym, które mi grozi zwaleniem się na mnie i pograżeniem mnie w przepaść — druga myśl, jak muszę rzeczywiście interesująco wyglądać na tle tych szarych ścian kapitulnej izby, w mej długiej, miękkiej sukni, ze skierowanymi odpowiednio wzruszeniom oczyma. I ta pierwsza myśl naprowadziła we mnie żelazne postanowienie mówienia najczystszej prawdy, a ta druga żal, że nikt nie może ocenić odpowiednio piękności tej całej sytuacji. Poszukałam wzrokiem sekretarza, lecz ten uparcie liczył w tej chwili muchy, wpadające z ogrodu...

No i wreszcie zaczęło się przesłuchanie. Pisałam ci w pierwszym liście, że jest to farsa, i taką wydała mi się od pierwszej chwili. Gdyby choć ta wiwisekcja sprawiała mi pewne niemiłe duchowe łaskotanie, ale i to nie. Ot! Odpowiada się machinalnie i z początku odczuwa się pewne zniecierpliwienie nad niedyskrecją i wywlekaniem przyczyn i skutków. Lecz powoli tępieje się na tej ławeczce, na której się musi siedzieć godzinami całymi. Już przy końcu pierwszego dnia, ponieważ było bardzo gorąco i księża mieli przed sobą dwa syfony wody sodowej, cała moja myśl skoncentrowała się na wyrobieniu w sobie dosyć odwagi, aby wstać i poprosić o szklanekę wody.

Lecz co dziwnego i komicznego zarazem. Nie miałam na tyle odwagi, ja, której tupet jest przecież przysłowiowy w naszym świecie.

Postanowiłam tylko przynieść jutro ze sobą moją saską bombonierkę, pełną pastylek miętowych i demonstracyjnie jeść je na przesłuchaniu. A może zdobędę się na zdumiewający krok i poczęstuję kleryka. Widziałam bowiem i w jego oczach pragnienie wypicia szklanki wody.

Ale i on nie śmiał.

Jutro napiszę ci więcej. Jestem jakaś senna. Zakazałam Kaswinowi i Halskiemu zjawić się w tych dniach u siebie. Rozumiesz, iż tak było przyzwoiciej. Dlatego się nudzę. Doprowadzam do olśniewającej, tycjanowskiej barwy swoje włosy i nudzę się.

A przeto jestem senna!

Twoja

Rena.

LIST CZWARTY

Ej panienko! Panienko! Bo zaczynam podejrywać w tobie rzeczywiście jakąś perwersję. Ależ tak! To naleganie na mnie, a powiedz, o co się pytali? Wygląda mi tak, jak wtedy, gdy na pensji zjawił się list od jakiejś naszej dawnej koleżanki, która za męża poszła. A co? A jak? A gdzie?... I takie miluchne dreszczyki przebiegały nas od gładko wyczesanych główek aż do różowych stopek. Tak samo i ty chcesz wiedzieć, o co mnie pytano. I choć nie określasz dokładnie punktu, o który ci chodzi, to przecież ja wiem, w którym kierunku ciekawość twoja skierowana. Otóż wszystko odbyło się bardzo prosto, mimo że wyczuć było można tę niezwykłość chwili. Ja stałam się nagle sztywną, zimną, obojętną — moi interlokutorowie uderzyli w ton prostoty i niemniejszej obojętności. Rozmawialiśmy o mej nocy poślubnej, jakby o pierwszym zadysponowanym obiedzie, a przecież uczuliśmy wszyscy wielką ulgę, gdy przekroczyliśmy tę ścieżkę. I dopiero, gdy znalazłam się w domu, w ciszy mego sypialnego, samotnego pokoju, ogarnął mnie jakiś bunt i wstyd. Zdawało mi się, że ktoś przemocą wtargnął do grobowca, który sama na złoty klucz zamknęłam. I tu widzisz, Helu, jest szpetota tego, co tylko płaską farsą się zdawało. Jest to gaszenie ostatniego płomyczka, co tlił przed sarkofagiem piękności miłosego Cudu.

Nie — teraz więcej, niż kiedykolwiek czuję, że między mną a tak zwanym zmysłowem życiem skończyło się wszystko. I nawet, jeśli ci to sprawi pewnego rodzaju rozkosz

i uspokojenie, to i te flirty (!) zaczynają mi być jakieś dalekie i mniej ponętne. Tylko, że już wtedy życie stanie się dla mnie — zupełną pustką...

Powiesz: unieważniają ci małżeństwo i możesz iść drugi raz za mąż.

Ha no! Tak. Dla nas, kobiet uczciwych, właściwie jest to jedyny jeszcze punkt wyjścia i postawienia na loterii życiowej. Może być, że taki indjanin nie wyzbędzie się nawet po ślubie choć resztki piór tęczobarwnych...

Może...

Ale to problematyczne.

Stąd jestem w rozterce i dawniej, gdy byłam spętana, czułam się o wiele szczęśliwszą i swobodniejszą, niż teraz... Obecnie, gdy furtka może być otwarta, pęta i kajdany życiowe zaczynają mi ciążyć. Bardzo jasne. Będąc tylko separatką, mogłam bezkarnie być uwielbianą, i jeszcze każdy z widzów tej komedji żałował mnie i podziwiał.

Obecnie wolno mi przyjmować miłosne ofiary tylko *pour le bon motif*. Wszak będę wolna i mogę zostać poślubioną. A wiesz jeszcze, co przeczuwam? Że i adoratorów będzie mniej. Stanę się jakby panną na wydaniu i bez wdzięku tego, co okrasza panny. Zbliżyć się do mnie będzie już jakimś zobowiązaniem. Przeczuwam pustkę, pełną *szacunku*, i jestem przerażoną. Bo rozwódka ma tylko trzy drogi. Albo zasłynąć, jako ktoś łaskawy i przystępny, albo jako kobieta bez skazy, więc nudny nieużytek, albo pretendentka do małżeńskich propozycji.

Z melancholią widzę, iż będę musiała wybrać to trzecie, w połączeniu z tem drugim. Ale, Heł!... co mi to przyniesie?... Co?

Twoja

Rena.

LIST PIĄTY

Dziś jeszcze wezwano mnie na zeznania dodatkowe. Przyznaję się, że byłam zadowolona. W ten czas ogórkowy jest to wspianiała dywersja, musisz sama przyznać. Zresztą już zaczęłam się wkładać w mą rolę i lubiłam siebie, wchodzącą szybko i pewnie po tych schodach, o stopniach wyżłobionych stopami ludzkiemi, o ścianach milczących, połatanych, jak stara izba ubogiego proboszcza. W ogóle, jeśli się chce widzieć takie odwrotne strony medalu, to dobrze jest znaleźć się w tej, co ja, sytuacji. Widzi się wtedy wielkie nicości ogromnych nadwartości i wtedy własny ogródek wydaje się niewymownie wspianiały i bogaty. Ręczę, iż byłoby tak samo i z Watykanem, z którego p. Bohusz wysłał swą skargę rozwodową. Otóż widzisz, moja droga, jest tak. Chodziło o to, aby nasz rozwód nie skompromitował żadnej strony. Tylko pod tym warunkiem zgodziłam się na owo unieważnienie małżeństwa. Ponieważ prawie wszystkie punkta kompromitują albo jedną, albo drugą stronę, gdyż odkrywają i otrąbiają jej wady moralne, albo fizyczne, znaleźliśmy się w ciężkiem położeniu. Na dźwiganie plamy moralnej ja nie chciałam się zgodzić. Łatwo zrozumiałe. *Grand Dieu!* Cóżby się stało z moją gronostajową szatą? Na fizyczny zaś jakiś niedostatek niezwyknięty pan Bohusz przystać znów nie mógł. Po długich pertraktacjach i mozołach wybrano złoty środek, wygrzebano niewielką i w kąt wciśniętą przyczynę.

Oto — przymus moralny.

Wkracza w dziedzinę procesów psychicznych, więc nieuchwytny, a zatem łatwy do dowiedzenia, trudny do zaprzeczenia. Ponieważ pana Bohusza niemożliwe było przymusić w jego czterdziestce, dobrze już określonej, ja stałam się tą ofiarą, zmuszoną do małżeństwa przez srogich opiekunów, jako że rodziców nie miałam. Po wynalezieniu tego powodu odetchnęliśmy wszyscy, wieszając sobie wzajemnie, że tak dystygowanie wydobędziemy się ze śliskiej bądź co bądź awantury. I pan Bohusz udał się do Rzymu, aby tam, „zasiedziawszy” miejsce, wystąpić ze skargą, jako że ja, Terena, jego żona, nie mogłam być dobrą żoną, gdyż...

I tu się zaczął niezrównany pokaz kłamstw i cudownych, mieniących się stu barwami krętałów.

Jako że zmuszono mnie do owego ślubu moralnie, a nawet i fizycznie. Jako że nawet wleczono mnie za włosy do ołtarza, co potwierdził szereg świadków, którzy zaznaczyli się

tem w mej egzystencji, że mnie nie widzieli na oczy. Lecz, moja jedyna, tak już być musi, bo w takie, a nie inne warstewki ułożyło się wszystko to, co o naszym życiu stanowi. Przynajmniej popełniono ten akt lojalny i nie kazano mi zeznawać tej misternie utkanej siateczki. Wszystko już w tej mierze było naprzód przygotowane, a ja tylko położyłam swój podpis. Uczyniłam to jakby z furją, tak, że trochę naddarłam papier. Coś na kształt buntu krzychało we mnie z żalu za czemś, co tłało i gaśnie. Wiesz, że pomimo mych krętaństw i komplikacji w dziedzinie erotycznej, jestem zupełnie prostą naturą w sprawach życiowych. Dlatego i to, co należało w prostą linię mej egzystencji z marmurów i cyprysów, zmassowanych poza halabardami świetnych papuzio gwardzistów watykańskich, szarpnęło mną całą...

I dziś, Helu, jestem zdenerwowaną więcej, niż przypuszczałam. Polubiłam ubóstwo naszej kapituły, w której rozbrzmiewały nad moją, ślicznie uczesaną głową, wyroki purpuratów, z całą perfidją i maestrią redagowane. Były to kontrasty, które mnie zawsze zachwycają. Stąd mój kult dla Odillon Redon'a i jemu podobnych. Może nawet i to szarpanie mnie wewnętrzne, które ujawniło się dopiero w ostatnich chwilach przesłuchania, było podłożem tej jakby rozkoszy, której zaczęłam doznawać. Gdy więc powstałimi wreszcie wszyscy z naszych miejsc, ja skłoniłam się wytwornie, ale z żalem, i raz jeszcze obrzuciłam wchłaniająco okiem tę izbę cichą i pełną jakiejś czarującej woni, właściwej zakrystjom i klasztorным kurytarzom. Cztery czarne sylwetki księży, o gestach rzadkich i widocznie bezwiednie wyszukanych, potem ten wielki Chrystus, rozpięty na krzyżu, do którego bieгло już może niejedno spojrzenie kobiety, tłumiącej w sobie żal za gasnącem światłem...

Ty wiesz, Helu, ty znasz mnie najlepiej, może nawet lepiej, niż ja sama, bo patrzysz na mnie z pewnej perspektywy, że stawałam przed ołtarzem nie jak małpeczki Gyp'a, albo Prevost'a, ani znów jak dziewczęta z pod wiejskich strzech z naszej literatury, przeznaczonej „dla wszystkich”, to jest dla rodzinnych stojów. Było we mnie wszystko w miarę, jak w dobrym puddingu angielskim. I rozrzewnienia, i wiary, i poezji, i ciekawości, i troszkę jakby namiętności. To ładnie owiane bielą welonów i zapachem kwiatów. Obecnie pozostaje mi coraz więcej i fatalniej gasnące wspomnienie, a z tych kwiatów, cudów, bieli i illuzji wewnętrznych nawet piękna mi nie raczą pozostawić. To wszystko przecież, co unieść mogłam, Helu!... I tego mi nie zostawia... i tego...

Twoja

Rena.

LIST SZÓSTY

Gromisz mnie za moje wczorajsze rozrzewnienie? Masz trochę racji. Mazgajstwo nie powinno wchodzić w nasz program życiowy. Skoro zaczynamy się rozrzewniać nad sobą samymi, zasługujemy jedynie na to, aby to rozrzewnienie doprowadzić do punktu jedynie logicznego. Zniszczyć to, co zasługuje na litość. Wszystko bowiem, co skomli, psuje harmonię triumfalnego hymnu życiowego. A człowiek tyle wart, o ile zajmuje w tym chórze mądre i wygodne miejsce. Więc masz rację, droga moja! Powinłam raczej cieszyć się odzyskaną swobodą, ile że będę obecnie miała prawo...

Właściwie — do czego?

Zdaje mi się, że właśnie teraz będę musiała zmieniać nawet taktykę mego upajania się i wyrzec się wielu bardzo ładnych koncesyjek i ustępstw, które do tej chwili umilały mi jako tako życie. Piszesz mi, iż teraz mogę zrobić *dobrą partję*, jeśli umiejętnie wezmę się do dzieła. Zapewne, to nawet jest wskazane dla mnie ze względów finansowych, bo żyję ciągle z kapitału, którego resztkę wspaniałomyślnie wydzielił mi adwokat pana Bohusza. Myśląc o tem wszystkim, trochę wdycham, choć staram się o ile możliwości zawodzić triumfalnie na czele zadowolnionych chórów życiowych. Wczoraj jednak, wracając właśnie z dodatkowych zeznań, spotkałam Sitnickiego — wiesz, opowiadałam ci o nim. Jego zapędy w moją stronę miały nawet pewien wdzięk, bo od czasu do czasu nadawał im pozłotę jakiegoś idealnego rozmarzenia. Przez dwa wieczory czułam, iż byłam dla niego niebezpieczna, bo ową poezję brał na serjo i nawet ja musiałam, choć z żalem, zrezygnować z mego upojenia i (dobra duszka) powrócić nas oboje do równowagi. Uczyniłam to

zapomocą wyprobowanego gestu. Zasłaniam oczy jedną ręką, drugą, trochę drżącą, dając jakieś nieokreślone znaki.

I mówię szeptem:

— Milcz pan! Nie wolno mi tego słuchać!

Zwykle odnosi to wręcz przeciwny skutek. Atak staje się silniejszy i bardziej wzmocniony. Wtedy ja z mej roli walczącej ofiary przechodzę w jawnie stojącą nad samą przepaścią. Zrywam się i wołam urywanym głosem:

— Idź! Idź!...

Rzucam się ku drzwiom sypialni, za którymi niknąc, odwracam się (bardzo ładną linją) i posyłam ręką pocałunek.

— Jest to ostatni — idź!...

I ginę — zamykając drzwi demonstracyjnie na klucz...

Scena taka doskonale robi. Indjanin jest wzburzony i niewymownie rad ze siebie, czując się niebezpiecznym. Ja jestem *seine et sauve* i mam znów pretekst do dalszego ciągnięcia stosunku. Zwykle bowiem witam indjanina, „jak gdyby nic”... i rozmawiam z nim obojętnie, siłąc się jakby na wytworną grzeczność. Tem derutuję go zupełnie i podniecam do ponownej sceny, która nadzwyczaj szybko ma miejsce...

Dopiero w tej chwili opamiętuję się, że odkrywam przed tobą moje tajemnice. Ale trudno. Listu nie będę niszczyć, a potem szło mi o to, aby przedstawić ci mój ubiegły stosunek do Sitnickiego w odpowiednim świetle. — Niestety! Piszę „ubiegły”, bo właściwie będzie to już ubiegła, ucziona rzecz. Czuję to doskonale. To tylko sprawdza, jak bardzo przecucia moje się sprawdzają. Spotykam tedy Sitnickiego. Bardzo się rozzłocił, widząc mnie z daleka. Szybko spojrzalam do szyby wystawowej, czy jestem *en forme*, i wyciągam rękę ruchem miłego kota.

— Zgadnij pan, skąd idę?

Halski powiedziałby beczelnie: „z randki”. Sitnicki jednak przysłania oczy siatką rzes i milczy.

— No... zgadnij pan!

— Nie wiem. Z parku, z kościoła...

(Uważasz, nastrój delikatny).

— Myli się pan, ale w części. Powracam nie z kościoła, ale z kapituły.

— ?...

— Tak. Wydano mi tam wyrok rozwodowy. (Kłamię, ale umyślnie. Chcę bić od razu w największy dzwon).

— ?...

— Nie wierzy pan?

— Proszę pani — wszak rozwodów niema w naszym kościele.

— Ale są unieważnienia małżeństwa. — No, więc unieważniono moje małżeństwo.

— Z panem Bohuszem?

— A z kimże? Więcej mężów nie miałam.

I dodaję z całą perfidją:

— Dotychczas.

I patrzę mu prosto w oczy. Chcę na tej ładnej twarzy, która się tak umie mienić w chwili pożądania, zobaczyć jakąś radość, coś z mogącej się ziszczyć nadziei.

Subtelnie rzeczy biorąc, jakby jakieś rozczarowanie przesuwa się pod skórą.

— A!... A!... Należy zatem powinszować pani!

Przyjmuję to powinszowanie.

I w jednej chwili czujemy oboje, że nie mamy sobie nic do powiedzenia. To powinszowanie zamknęło w sobie wszystko. Ekstazy i konieczne ich wyniki. Wszystko pryskało cichutko. Mimo to wymówiłam prawie machinalnie:

— Będę teraz na wydaniu!...

Śmiałam się trochę złośliwie. Postanowiłam rzucać to zdanie teraz w oczy każdemu z mych partnerów. Wbiłam swój wzrok w jego twarz. Uczułam, że przesunął się po jego ustach jakby wyraz niesmaku. Usiłował jednak stanąć na wysokości sytuacji...

— Będzie pani w trudnej sytuacji...

— ?...

— Tak. Bo panna jest bardziej nieobliczalną, niż mężatka, a mniej znów od mężatki oblicza.

— Czyli że...

Czułam, że nie wie, jak wybrnąć z aforyzmu, który gdzieś wyłowił, a zastosował jedynie dlatego, aby ot coś powiedzieć.

Na szczęście nadjechał automobil, zatrąbił, zaryczał, otulił nas wonią pranych rękawiczek i zdawało się nam przez chwilę, że jesteśmy w Nicei. Pospiesznie zaczęliśmy się żegnać.

— Do widzenia!

— Pani w którą stronę?

— W przeciwną.

— Ja także!

I już nas przed sobą nie było.

Tylko — wiesz — pocałował mnie w rękę. I to pocałował uczciwie, solidnie, jakby jakąś mamusię, albo coś w tym rodzaju. Z przyzwyczajenia odwróciłam dłoń, podsuwając ten płateczek ciała, który tak ładniutko pachnie przy zapięciu rękawiczki. Indjanin złożył pióra, strząsnął je zupełnie. Był dobrym znajomym, niczem więcej.

Nawet nie było i śladu choćby *amitié amoureuse*. Dziękuję! Jeśli tak dalej pójdzie! Wiem — dla pocieszenia powiesz mi, że mam w perspektywie owo zamążpójście z możliwą sytuacją moralną, materialną *et tout le tremblement*.

Ha! No!... Zapewne i to coś znaczy, zwłaszcza, że niema nic innego w możliwości. A więc trzeba płynąć w tym kierunku i przypomnieć sobie sposoby i sposobiki z moich lat panieńskich. Wtedy to na wdzięczne dekolciki i wabne linje spódniczek złowił się pan Bohusz. Wydała mi się ta ręka złotołuską i tylko troszkę mnie to dręczyło, że zdawał się wstępować w owo małżeństwo z pewną niedbałą nonszalancją. Miałam wrażenie, iż mówi sobie na wzór jednej z postaci Plauta: „Nie trzeba wybierać pomiędzy kobietami — wszystkie są nic warte”. I brał mnie jako pierwszą lepszą z brzegu. Może być, iż moje lat ośmnaście i rozkoszny zapach mej młodości grał tu dużą rolę, wspartą dekolcikami i opiętymi sukienkami. Dość, że było coś, czego teraz będzie trudno użyć za przynętę. A może... połączenie heliotropu i *sweet pea* zastąpi! Nie, nie sądzę. Kto wie, może piękny Sitnicki miał rację, mówiąc, że panna jest bardziej nieobliczalną od mężatki, tylko mniej od mężatki oblicza... Tylko żeby obliczać było co!

Tvoja

Rena.

LIST SIÓDMY

Ciągle mnie gromisz za to, że tak *lekko* biorę całą sytuację. Ależ na Boga, czegoż pragniesz, niewiasto cnót pełna? Śmieję się, szydę, ale do ciebie. Nawet przed Kryształowiczem, moim adwokacina, mówię o wizytach moich w kapitule z należnym respektem. Nie mówię nigdy „rozwód”, tylko „unieważnienie małżeństwa”, skoro postanowiono, że to nie obraża przysłowia o nierozwiązalności tego węzła, którego w niebie trudnią się specjalnie zawiązywaniem kunsztownem. Każesz mi cierpliwie czekać na los i zachowywać obecnie *decorum* bardziej, niż kiedykolwiek. Zakazujesz mi przyjmować sam na sam mężczyzn i radzisz wziąć „przyzwoitkę”. Hm! Ciężkie to są warunki i jakże chcesz, ażeby doprowadziła któregoś z tych panów aż do takiego ogłupienia, iż zaofiarowałby mi swą rękę, jeżeli nie będę mogła używać do tego odpowiednich środków. Zapewne mogłabym pogodzić to wszystko, znalazłszy „przyzwoitkę” na tyle *effacée*, że zgodziłaby się zając stale miejsce w odległym pokoju i w razie jakichś nadzwyczajnych objawów wnosić lub unosić swoją obecność do salonu. — Musi być trochę ślepa, trochę głucha — tyle, ile matka kokietującej i walczącej o męża panny na wydaniu. Zarazem winna znaleźć się „w kropce”, gdy tego sytuacja będzie wymagać, umieć się stać klasycznym świadkiem. Należy także, aby sama dużo przeszła i dużo już kochała. Z tego wynika: musi być brzydka jak osiem czy siedem grzechów głównych. Tak — brzydka i to nietylko powinna się dużo kochać, ale powinna być bardzo kochaną. Otwierasz oczy! Brzydka? Właśnie. Miłości najtrwalsze i najgorętsze są te, w których kobieta jest brzydka. Heluś! Pomyśl... wszak jesteś brzydka.

Co innego, że jesteś urocza. Ale jesteś brzydka. Wiesz o tem. A kto jest najwięcej kochany? Kto? Właśnie ty, kocie, troszkę dziobaty i chudziutki! Czy ja z moją twarzyczką kamei i moją wybujałą, wyniosłą postawą choć w setnej części byłam tak kochana przez mego pana Bohusza, jak ty przez twego pełnego gracji i urody męża? Jestem nawet przekonana, że gdybyś popadła w sytuację tej, której „unieważniono” małżeństwo, gdzieś, w kąciku, raz dwa znalazłabyś sobie znów pełnego gracji i szyku męża, który nosiłby cię na rękę i ciągle ci powtarzał, że miłość twoja dla niego jest łaską i dobrodziejstwem. I nie potrzebowałabyś się nawet uciekać do arsenału moich tajemniczych środków, które zaczynam powoli gromadzić dokoła siebie i przygotowywać. Pytasz mnie, co słyhać z Halskim? Ten głównie cię interesuje. Zasłużył nawet u ciebie na miano dobrej partji. Zapewne. Majątek osobisty niezły — no i ta profesura na uniwersytecie trochę splendoru i szyku w sferach tarzających się w kulturze. Ja to sobie mówię także od dni kilku. Przedtem Halski miał u mnie inne *fory*. A więc przedewszystkiem tę bujną męską urodę, która nie zgadza się z usposobieniem mola bibliotecznego, jakim jest podobno. Mówię, podobno, bo Halski cudownie przystosowuje się zawsze do mnie, dobierając z chwilą przestąpienia progu mego salonu ton, w jakim mnie znajduje. Z jego rozmowy poznaję doskonale, że ma przedziwne doświadczenie w postępowaniu z nami, kobietami, ale ma zarazem ten słodki takt, że nigdy o tem nie mówi. Jest w rozmowie przepysznie misterny i subtelny, a czasem znów wybuchu jakąś żywiołową jakby nienawiścią ku nam, kobietom. Gdy mówi, czuję w nim nie opowiadacza, ale... kochanka.

Tak, Helu! Kochanka!... Uspokój się. Kochanka — męża. O czem innem przez umysł nie przesunie mi się nawet nitka pragnień. Zwłaszcza teraz. Klamka zapadła. Zdaje mi się nagle, że ot siedzę w jakimś rozczarowanym zamku, na wyniosłej skale, strzeżona przez cały legion dragonów. Są oni w czarnych szatach ludzi, którzy utworzyli prawa rozmaite, i z tych tablic, na których wypisano, co mi wolno, a czego nie wolno, utworzyli mur, poza który nawet Halski nie byłby w stanie się przedostać.

Chyba — z obrączką na palcu. Lękam się tylko, Heluś, lękam bardzo, czy nie będzie to troszkę trudno. Spróbuję. Znam go cokolwiek. Wiem, że jest próżny. Umiem brać go na to, iż mówię z nim o nim samym. Przytem znam jeszcze jego rozmaite małe słabostki. Nieraz dostrzegłam płomień, wielkiej, prawie zwierzęcej namiętności w jego oczach, gdy roztoczyłam przed nim nagle cały wdzięk mej kobiecości. Więc może tędy będzie droga. Ale nie lękaj się, ażebym, podżegając ogień, sama w nim nie spłonęła. Nachyl no swe uszko. Powiem ci prawdę. Oto Halski wydał mi się w takich chwilach *brzydki*. I tem mnie odstręcza i trzyma na uwieżi. Bo gdyby był tak piękny, jak wtedy, gdy subtelnie, delikatnie zajmuje mnie swą błyszczącą, spokojną rozmową, gdyby i w takiej chwili...

No, Heluś, na gwałt szukałabym „przyzwoitki” i umiałabym ją osadzić nietylko w sąsiednim pokoju, ale nawet w samym salonie.

Szcześnie, że ciemne, fioletowe oczy Halskiego, tak bezdenne, tak czarujące, pełne fluidu, gdy jest spokojny, pokrywają się jakąś szpetną białą mgłą w chwili pożądania. I twarz cała prawie starzeje się, zatracą czar i orok przepastnych Van Dyckowskich twarzy.

Wyobrażam sobie, co musi być w... dalszym ciągu. Nie! Heluś, nie — możesz być o mnie zupełnie spokojna, tak, jak ja o ciebie jestem spokojną. I daj mi swoje dobre, kochane usta.

Tvoja

Rena.

LIST ÓSMY

Żądasz ode mnie rzeczy nadzwyczajnych, Helu. Chcesz, ażebym przerobiła z gruntu mój charakter. Wmawiasz we mnie zasadę słodką i bezpożyteczną: *Siedź w kącie — znajdą cię*. Na razie muszę siedzieć „w kącie”, a to z powodu, iż mój adwokacina każe mi być na każde zawołanie, twierdząc, iż mogą mnie jeszcze zawezwać na jakieś dodatkowe zaprzysiężone kłamstwa. A ponieważ Watykan nie miewa swoich filij ani u wód, ani u żadnych uzdrowisk, więc czekam, siedzę w kącie i piszę do ciebie... A propos — pytasz mnie, dlaczego nazywam mego adwokata adwokacina? Ależ Helu — dlatego, że jest to mężczyzna, *który się nie liczy*. Nie dlatego, że się ożenił z interesu i skutek tego dla salwowania swego do-

stojeństwa manifestuje skandalicznie swą miłość do żony — nie dlatego, że zaprowadził w swej kancelarii telefon „domowy”, który łączy go nierozzerwalnie z sypialnią małżeńską, nie dlatego, że — ach! już nie wiem, jakie tam „nie dlatego” — lecz dlatego, że tak ostentacyjnie i szybko zrezygnował ze swego temperamentu cholerycznego, którym poprzednio podbijał wcale okazałą ilość kobiet. Obecnie mój adwokacina tak z *du jour au lendemain* stał się mężczyzną wesołym, łagodnym, a co najgorsza, Helu! tym, który nie ma przeszłości. Nie przeocz, Helu, mówię przeszłości. Razem z krawatami cokolwiek szykownymi, które lubił dawniej, zawiesił na kołku swą przeszłość. I dziś, wyobraź sobie, my, które potrafiłyśmy podniecić ogniem naszych spojrzeń temperaturę trochę zimnej kancelarii pana mecenasu do temperatury komnat Safony, która rozumiała tylko miłość w połączeniu z szaleństwem namiętności, jesteśmy mu obojętne! Co? Helu? Otwierasz szeroko swoje oczy? — No, tak — możesz być pewna, że doszłam właśnie do perfekcji w wywoływaniu podobnego złudzenia. Mężczyzna, rozmawiający ze mną, jest tak *na odległość* omotany przezemnie powabem namiętnych mych słów, spojrzeń, półśmiechów, nawet umiejętnie zastosowanych poruszeń ciała, milczeń, iż zwolna wytwarza się dokoła nas cudowna atmosfera zmysłowa, tem silniejsza, iż połączona właśnie z niemożliwością choćby śmielszego gestu ręki, choćby zbliżenia się pozornego. Anatomicznie rozbieram wtedy objawy miłości, staram się jakby odkrywać zasady nieznanne — wszystko to niby nagle, niby pod wrażeniem chwili i fluidu, który płynie ku mnie. Gdy czuję, że po tamtej stronie rzeki huragan rozpęta się lada chwila, zawieszam głos, czynię artystyczną pauzę i zaczynam mówić o rzeczy banalnej, płaskiej i pozostawiam mego partnera w niepewności, jaki to rodzaj ognia słodko udrećzał go przed chwilą. Byłaż to wyobraźnia samorzutna, wyobraźnia „Fabia”, pochłaniająca objawy zewnętrzne i wcielająca we własną substancję „na korzyść własnej namiętności” — czy raczej ta, która się żywi „własną passją” i jest poprostu, według Stendhala, smutnym widowiskiem...

W każdym razie — po tamtej stronie brzegu panuje niepokój i wielki brak naturalności, ja zaś zachwycam się swoją własną zimną krwią i dystynkcją, którą przestaję czuć i myśleć, jak rozpassjonowana i na brzegu upadku (!) stojąca kobieta, a jestem jak ta, która nie wie nawet o istnieniu miłości namiętnej i jej czarujących skutkach.

Taki oto był stopień naszego *piękna idealnego* w stosunku moim do mego adwokaciny przed jego ślubem. Lubiałam te konferencje i przedłużałam je. Czy mam być szczerą? Obiecywałam sobie z jego małżeństwa wiele. Daję ci słowo. Sądziłam, że właśnie teraz nadejdzie chwila prawdziwego wzięcia się na smycz, że tak powiem, i wypromieniowywania ku sobie podwójnie wzmożonych chęci, przywoźdżonych niewolą. Tymczasem pan adwokat trzyma się bajecznie. Obstawił biurko fotografiami swej damy i spoziera ku nim, a od czasu do czasu poskakuje do telefonu, przepraszając mnie z godnością. Widzę, iż na jakie dwa, trzy lata należy pogrzebać go na wzór fakira i zasiać na jego grobie grzędę tulipanów. Niech spoczywa. A ja tymczasem, naturalnie zmieniam taktykę i bardzo się zajmuję jego żoną, podróżną posłubną, i to bez cienia jakiegś aluzji... tego... rozumiesz. Szybko zorientowałam się, jak i co. Rozmawiamy na zimno. Komnaty Safony zamknięte na wielkie wrzeczadze.

Tylko mnie to nudzi.

I trochę nim pogardzam.

Bo — niby cóż to jest właściwie, co mam przed sobą?

Adwokacina.

Tak, Helu.

Twoja

Rena.

LIST DZIEWIĄTY

Znów pytasz o Halskiego? Chcesz wiedzieć? Nie widziałam go. Przyczyna? — Oto wyjechał, rozumiesz mnie? Wyjechał do Warszawy. Dowiedziałam się o tem od Maryli, którą spotkałam wczoraj na ulicy. Zatrzymuje mnie i mówi: „Twój Halski wyjechał”. — Zrobiło mi się tego ten — rozumiesz... o! ale bardzo mało. Ale zaraz odpaliłam: „Jakto — mój?” — Robię minę pełną godności. Nie lękaj się. Ja wiem, że należy nawet cień

ze siebie strącać. I patrzę na nią — wiesz — temi moimi niedobremi oczyma, które mi potrafiłam w ostatnich czasach uprzyjemniać panu Bohuszowi obiady rodzinne. Ona zmieszała się trochę.

— No... mówię dlatego, ponieważ wszyscy wiedzą...

— Co?

— *Qu' il te fait la cour.*

(Czy zauważyłaś, że jeśli się chce powiedzieć jakie bezceństwo, albo osłodzić jaką pigułkę, to najczęściej mówi się to po francusku).

— A więc?

— *Qu' il te fait la cour.*

Wstrząsam lekko ramionami. Ona zaraz szybko dodaje:

— Ach!... *pour le bon motif*...

Aluzja do mego rozwodu i możliwości wyjścia za mąż.

Dystyngowanie uśmiecham się słodko-kwaśno.

— Jakże mogłoby być inaczej.

Maryla, która także często otwiera komnaty Safony, a lękam się, czy nie jest na punkcie zgubienia do nich klucza, przeraża się.

— No... ależ tak... tak...

— Więc cóż ten Halski?

— Wyjechał.

— Gdzie?

— *Nach Warschau.*

Widzę, że jej okrągła bródka dygoce. Ma ochotę powiedzieć mi coś przykrego.

A ja mam ochotę to usłyszeć.

— Po co?

— No... z odczytem.

— A!

— Ale i...

— No... no...

Z pruderją usta sznuruje. Wiem, że to będzie coś z szóstego przykazania.

— Bo... Halski ma tam stałą metresę.

— Co?

— No... kogoś... jakąś damę.

Całą siłą woli jestem zimna i nieposzlakowana zacna.

— Moja droga — taka istota przedewszystkiem nie może być damą...

— Przepraszam cię, mówią, że to zupełnie uczciwa osoba...

— Skoro to mówią, to już nie jest uczciwa. O mnie, o tobie tego nie mówią, bo jest to rzecz tak pewna, jak się nie mówi, że o świcie słońce wschodzi. Ta osoba nie zasługuje na to, abyśmy się nią zajmowały.

— Tak, my... ale Halski?

— Ach, moja droga, i on w takim wypadku nie zasługuje na zajmowanie się nim.

I mrużę oczy.

I mówię:

— Niezły twój turban! Gdzie kupiony? Czy sprowadzony?...

Ale ona nie daje za wygraną.

— Bo widzisz — ciągnie już rozzuchwalona — Halski to jest właściwie rozpustnik.

— ?...

— Tak. Wiem, jakie wyznaje zasady.

— Mówi zawsze, że dla niego kobieta zaczyna być kobietą dopiero od tej, która choćby raz upadła.

— Nic podobnego nie słyszałam z ust tego pana.

(Kłamie, bo mówił mi to rzeczywiście niezliczoną ilość razy).

Ale dodaję z uśmiechem:

— Widzisz więc, że jeżeli ta... pani... w Warszawie...

— Ta jego metresa?

Oglądam się dokoła.

— Pst! Nie mów tak głośno takich wyrazów. — Jeżeli więc mówię, ta pani go rzeczywiście pociąga, to w takim razie musi być z nią tak, jak ja przed chwilą mówiłam.

— To jest...

— Nie może być uczciwa. Musiała bowiem (prawie szeptem): — Upać...

— No tak... ale z nim.

— Więc?

— No to...

I Maryla sama nie wie, co powiedzieć.

Nagle dodaje bardzo szybko:

— A kto wie... może pomimo to być bardzo uczciwa.

Tu już — rozumiesz, Helu — naprawdę się oburzyłam. Jak widzisz, mam rację, pisząc, iż Maryla jest na drodze zgubienia klucza do komnat Safony.

— Nie rozumiem cię! — mówię z wyniosłym chłodem, który naprawdę pochodzi z głębi mych niewzruszonych przekonań. — Czy usprawiedliwiłabyś kobietę, mogącą się zapomnieć aż do *tego stopnia*?

Na puciołową twarz Maryli wybiega rumieniec.

— Skoro kocha...

Jest komiczna, bo silnie zapudrowuje swoją dawno przekroczoną trzydziestkę. A wymawia tak nieśmiało, tak jakoś dziwnie to „skoro kocha”...

Mam właściwie ochotę parsknąć śmiechem, ale to jest mgnienie oka. Oburzenie moje wzrasta. I to naprawdę, Helu. Tak we mnie coś drga, coś nerwowo drga. Gdy zaczynam mówić, nie poznaję mego głosu. Brzmi twardo, jakby ktoś siekł kwiaty szpicrutą.

— Nic nie usprawiedliwia kobiety z podobnego kroku. Nic. A miłość tembardziej. Skoro kocha, więc kocha bez skazy. Rozumiesz mnie, Marylo?

I szybko, wyniosłe odchodzę od niej, bo czuję, że nie powiem nic więcej, że coś ze mnie, z mego serca, wypelza i dławi mnie. Nie chcę bowiem dyskutować o formach namiętności w tej właśnie chwili. Czynię to chętnie, ale z mężczyznami i gdy mi to przynosi pewną miłą sensację — tak, bezużytecznie wznieca we mnie to tylko gniew, jakiś bezrozumny prawie...

Lecz — przeciw komu?

Czy przeciw Maryli, czy przeciw tym dwojgu tam w Warszawie? Właściwie nie powinnam nawet myśleć ku nim podążać. To mnie już kala i dręczy. Są to czyste objawy zezwierzęcenia, a tylko obłudnicy wmawiają w otoczenie, iż jest to godzina Cudu i tym podobnymi fioriturami upiększają najszeptniejsze zbrodnie przeciw anielskiej linji naszej, kobiecej Piękności. Pomijam już Dostojność skromności kobiecej, dalej Majestat nieskalanej cnoty, która jedna rzeczywiście musi stanowić istotny czar i urok w miłości. Ci, którzy mówią inaczej, czerpią swe argumenta w samolubnej rozpuście, w niczem więcej...

Tak muszą rezonować w tej chwili Halski i ta jego metresa.

Z jakąś dziką nienawiścią piszę te słowa, Helu...

Ciekawe. Nienawidzę w tej chwili Halskiego. Tembardziej, że muszę go wykreślić już zupełnie z listy możliwych kandydatów do mej ręki...

Cofam się zatem w cień i — czekam.

Fatalne!

Tvoja

Rena

LIST DZIESIĄTY

Co? Każesz mi właśnie walczyć? Mówisz, że tą moją cnotą zwyciężę? Ależ, Helu, na to trzeba kochać, a ja go nie kocham. Nie rozumiem, dlaczego tak koniecznie chcesz mnie wydać za tego mizernego profesorzynę, nie bardzo tak znowu błyszczącego intelektualnie, rozpustnika i o niepewnym charakterze. Przyznam ci się, że nic mnie do niego nie pociąga, a ta jego piękność fizyczna tak z oddalenia wydaje mi się nawet problematyczna. Odkrywam w jego twarzy doprawdy stygmaty tej nieokiełzanej zmysłowości, jakby zastygła pod maską, która musi w danej chwili przekształcić jego śliczne greckie rysy

w szpetotę maszkarona jakiego średniowiecznego tumu. I nie wieszuję tego *objawienia* owej metresie, więzując go już cały tydzień tak silnie, że nawet ani słowem się ku mnie nie zwróci. Najlepiej zatem zrobisz, nie pisząc mi o nim wcale. — Drogi moje i jego rozchodzą się zupełnie. Ja patrzę w słońce i gwiazdy, on czołga się po ziemi...

A więc przestaje istnieć dla mnie.

Wyobraź sobie — Ali Kaswin zasypuje mnie kwiatami i sonetami. Właściwie powinien być z tego więcej niż rada. To jest mój *genre*. Słodki zapach tuberoz, przystrojonych w bladolila papiery, wita mnie co ranka. Często dołączony bywa sonet. W mussetowskim stylu. Chcesz? Ostatni.

Proszę, niech Pani przyjmie jeszcze raz te kwiaty.
Żał mi, żem Panią wierszy mych czytaniem męczył,
I odkąd list od Panim dostał, myśl mnie dręczy,
Że nie prędko Pani salon, cudny, popielaty

Ujrzę utkany jasno w wzorzyste makaty
I ciche sny złociste, by z siatki pajęczej...
Pozwól, niech, gdy tam jutro jak ten pazik z Tęczy
Znów przyjdę Cię przeprosić z racji czasu straty

I żegnać — niechaj zostanie Pani po tej chwili
Pamięć. A gdy odejdę, niech Ci, Pani, w ciszy
Kwiat ten opowie wszystkie mego życia bole...

Może — gdy Pani czasem nad nim się pochyli,
W tym kwiecie Pani cichej skargi ton usłyszysz
.....
Weź Pani go — i postaw u siebie na stole!

Ot — cacko! Jak i ten Ali. Delikatne chłopię o wielkich, szafirowych oczach. Sądziałam, że już takiego coś niema na świecie, zwłaszcza w obecnym społeczeństwie. I patrz — jest. I patrz — przyplątało się to do mnie, smukłe, ciche, bardzo nie kabaretowe, piszące poezje i kochające nie mnie, ale *potrzebę kochania*. Przyglądam się temu ze zdziwieniem i pewnym nabożeństwem. Tak się to rumieni pod moim wzrokiem, choć, daję ci słowo, nawet używam ten wzrok „na codzień”, bez żadnych domieszek. I nigdy przy Alim nie potrączę o oddrzwia komnat Safony. Bo to niepotrzebne. On i tak cały płonie, jak ten stos ofiarny. Gra we mnie często przekorna chęć wydobycia z niego ohydnych jakichś strun, które przecież musi mieć na dnie. Ale siedzi ciągle przedemną w ekstazie, jakby miał jeszcze mundurek studencki, i mówi:

— Pani jedna... pani...
Brakuje więc mandoliny.
Co?

Właściwie czego ja chcę? Taki Kaswin to dla mnie. Taki Halski to dla tamtej, do której pojechał. Każdy ma to, na co zasłużył. Ja hołd delikatnej, nadzwyczajnej jakiejś miłości — ot, trubadura Bertranda d' Alamansa, a tamta zniewagę zwierzęcej, namiętnej obelgi rozpustnika.

Tylko — to pięknie. Tuberozy, sonety i inne odmiany księżycy, ale tu chodzi właściwie o coś konkretnego. O to *małżeństwo*...

I czy wiesz, Helu, Ali wczoraj padł mi do nóg i prosił, ażebym „czekała” — bo on zdobędzie pozycję i wtedy ożeni się ze mną.

Na teraz jest konceptistą w namiestnictwie i z pewnością na te tuberozy czyni srogie wydatki i zadłuża się.

A ja mam czekać!

Aż on będzie mógł uklęknąć u wrót świątyni, w której zamknął swe Bóstwo, treść swego życia, essencję czystej, nieskalanej miłości i wielkodusznej dumy.

Tem wszystkim jestem ja. Uważasz! Romantyzm nie wyginął zupełnie. Widzę, jak błakają się po świecie takie cienie Don Kiszotków i szukają koniecznie pretekstu do łzawej a uśmiechniętej miłości. Tylko szkoda, że to nie idzie w parze już z pewnymi solidnymi latami i z pewną ustaloną pozycją socjalną.

Skoro te dwie doskonałości wkraczają w życie ludzkie, cała reszta, to jest biel, piękno, poezja, tuberozy, sonety i t. d., giną, jak za dotknięciem różdżki czarodziejskiej.

A natomiast...

Och! Natomiast występuje taki Halski i jego namiętność i jego zasady co do wartości kobiety...

— Smutne to, Helu — powiadam ci — więcej, niż smutne.

I dlatego należy mi się obejrzeć już za czemś istotnie podstawowem, czemś, coby mnie doprowadziło do pewnych, solidnych rezultatów.

I nie gniewaj się, że list ten może trochę nie — tego — ale dziś mi tak jakoś dziwnie. Może ten Ali siedział za długo. Mówi tak cicho i tak monotonicznie. A potem jestem rozdrażniona niezrozumiale... Nie wiem, co mi jest. Muszę trochę odświeżyć swój salon. Zacznę bowiem przyjmować więcej osób. — Trzeba, Helu! Trzeba!

Twoja

Rena.

A propos. Napisz mi, gdzie kupowałaś twój bujający fotel? Muszę kupić sobie taki sam i pół tuzina jedwabnych, ażurowych pończoch, takich, jak ma Matowska w *Dziewczynnie z fiołkami*.

LIST JEDYNASTY

Znów mnie karcisz w swym liście. Piszesz, że raczej czekać winnam na owego zbawcę w postaci przyszłego małżonka z rezygnacją cichą i spokojną panienek bezposażnych i mających mało nadziei. Tak — zapewne. Ale *owe* panienki mają więcej odemnie czasu, a przytem może nie przesunęły się nigdy przed ich „jaźnią” pojęcia trochę gorące, wymówione ustami takich Halskich, o namiętym rysunku ust.

Każesz mi, aby i nadal moje sprawy odnosiły się do drobnych jeno afektacyj, jak mawiał miły Kardynał Laute. Widocznie masz przekonanie, że drobne strumyki wytworzą rwący potok. Widzę, jak przerażona podchodzisz z tym listem do światła. Sądysz, że przeczytałeś błędnie jakieś słowa odnoszące się do mnie. Uspokój się, miła, to tylko taki wieczorny uśmiech w stronę rzeczy niedozwolonych, mały, ledwo zaznaczony *Kratzfuss* ku temu, co mnie ani ciągnie, ani porywa — ale może, może *za-cie-ka-wia*.

Voilà tout.

Zresztą winien tej ciekawości Halski. Wszak on kiedyś piał hymny na cześć namiętności, twierdząc, iż ona jedna jest zajmująca, ponieważ w niej są rzeczy nieprzewidziane. Nie myślałam o tem, przeleciało to mimo mnie, jak tysiące jego słów w tym rodzaju, lecz widocznie pozostało w mej podświadomości. Bo nagle dziś dzień cały mam przymusowo w umyśle to słowo zakazane i mnie i tobie.

Namiętność...

Zacznę więc o czem innym.

Dziś dostałam od krawcowej nową bluzę czarną z wielce ciekawą wkładką z cieniuchnego tiulu. Powiadam ci, gors, ręce, ramiona — nagie. Cudowną mamy wreszcie okazję nie chowania światła pod korcem i należy z niej korzystać. Cóż? Kiedy krawcowe mają manje *rozróżniać* — i oto moja podłożyła mi przyzwoitkę z czarnej tafty, bardzo niesympatyczną. Ale od czegoż nożyczki? Szybko puszczono je w ruch i powstała ze mnie bardzo uroczą madame Recamier na czarno, podczas gdy kochanka Chateaubriand’a była na biało. Ona także była *sans reproche*, jak ongi Bayard, tylko na innym terytorjum. A więc jeśli ujawniano tę część wdzięków za czasów Napoleona, dlaczegoż nie można za czasów prezydenta Neumana? Wysłałam tedy na ulicę, niosąc przed sobą z niedbałym wdziękiem to, co Salomon nazywał:

Sarneczki dwie bliźnie.

W liliowym co pasą się lesie...

Akcentowałam jeszcze ich piękność, rzucając oświetlenie purpurowej parasolki, przez którą królewsko przelewało się słońce. Lecz cóż!... Miasto wymarłe, puste, słomianych wdowców garstka po biurach.

Słowem — rozpacz.

Należało jednak komuś zaprezentować pieśń nad pieśniami za tiulową zasłoną i za to chyba mnie ganić nie będziesz. Prawda? To jest pragnienie zupełnie w moim położeniu słuszne. Pomyślałam: zejść do Namiestnictwa, odszukać Alego, udać jakąś ważną sprawę, narobić rumoru między nadętymi, a bardzo szcudłowatymi ekscellencjami, ale dałam spokój. Nienawidzę biurokracji, nawet jako przedmiotu chwilowej rozrywki. Pozostał mi więc adwokacina.

Z szumem (bo ja nie pozbędę się nigdy denerwującego szumu jedwabnych *dessous*), wtargnęłam do kancelarii. Pił właśnie wodę sodową i przykładał sobie do skroni chustkę, zmoczoną w teje wodzie. Na biurku przybyły dwie fotografie żony, jedna szkaradniejsza od drugiej. Szczególna była jedna z niech, profilem ujawniająca nadzwyczajny, kaczy nos tej damy. Natychmiast narzuciłam się na nią z żarłocznością wampira. Zaczęłam podkreślać piękność „drobnego, klasycznego noska”. Czyniłam to z najniewinniejszą miną. On potakiwał, lecz widziałam, że wrzał całą chęcią wydarcia mi nosatej fotografii z ręki. Rzuciłam słowa uwielbienia i jakby żalu z powodu tej wielkiej miłości, jaką widzę w nim dla niej, a w niej prawdopodobnie dla niego. I przytoczyłam z djabelskim uśmiechem (tak na lewo, wiesz) djabelski artykuł z kodeksu miłosnego z XII-go wieku:

„*Małżeństwo nie jest wymówką dostateczną przeciw miłości*”.

Skłonił się w milczeniu i zerknął w stronę domowego telefonu, jakby lękał się, by stamtąd ktoś nie posłyszał tej, napozór niewinnej, ale troszkę podejrzaney rozmowy.

Bo — niezapreczenie — *c'est le ton* i t. d., a właśnie ja usiłowałam zastosować ten ton do... pieśni nad pieśniami, które w gorącu przybierały pod czarnym tiulem śliczną barwę różową, jakby ktoś przed mleczną kulą zaświecił nocną *veilleuse*’ę.

I nagle stała się rzecz niespodziewana.

Oto adwokacina zdobył się na jakiś krok, zbyt szybki, według mnie. Z całą atencją oznajmił mi, iż ma zamiar być u mnie w tych dniach ze „swoją małżonką”...

Schwyciłam sposobność w lot za włosy. Upiekłam przy jednym ogniu dwie kuropatwy. — Pierwsza — to niechęć do nudnej i bezpożytecznej znajomości. Błyskawicą przebiegłam korzyści z zawiązania stosunku z tym domem. Młode małżeństwo nie przyjmuje nikogo z mężczyzn solidnych i wogóle żadnych. Po cóż mi więc tracić czas i nerwy?

Dalej — druga kuropatwa — rzucenie wielkiego niepokoju pod doskonałym pretekstem w serce adwokaciny.

Gdy więc posłyszałam pełen szacunku anons wizyty, drgnęłam cała i przygryzłam usta.

Przez chwilę nic nie odpowiadałam, tylko „wbiłam” po swojemu oczy w syfon z wodą sodową i siedziałam tak, jakby martwa. Wreszcie odpowiedziałam cicho:

— Nie... nie...

Adwokacina zadziwił się tą całą aferą.

— Co — nie?...

— To... co pan mówił przed chwilą.

Lecz on tak „zdębiał”, że już zapomniał.

— Co ja mówiłem?

— Ta... wizyta...

— Nasza?

— Tak.

— Moja i Stasi — to jest... żony.

— Tak — właśnie.

— Dlaczego?

— Bo...

Wzrok jeszcze więcej w syfon wbity.

Ręce kurczowo zaciskają ramiona fotelu.

— Bo... żony pana...

Mówię bezbarwnie, matowo — umyślnie, aby wywoływać zapytania.

— Bo — mej żony? Nie rozumiem!

— A!...

— Więc?

— Pan *dużo* rzeczy nie rozumie i nie rozumiał...

Adwokacina zaczyna rozumieć, choć tępo.

— Na Boga... co pani... co...

Kręci medalion u łańcuszka od zegarka, w którym to medalionie tkwi pewnie trzydziesta pierwsza fotografia „żony”...

— Jaśniej tłumaczyć się nie będę.

— !...

— Nie nalegaj pan...

(Nie nalega wcale. Zapada w jakieś ogłupienie).

— Nie nalegaj pan! Zbyt wiele powiedziałam... Nie powinnam była... Ale czasem są takie chwile, że i duma opuszcza i sił brak...

(Ogłupienie przechodzi we wzruszenie. Widzę to, bo wąsiki migają, a oczka maleją. Ja bawię się cudownie).

Wreszcie „on” hazarduje.

— Błagam panią, niech się pani uspokoi.

(Jestem tak rozbawiona, że zapomniałam zupełnie, że powinnam być wzruszona w wysokim stopniu, biedactwo jednak widzi moje wzburzenie przez falę własnego zaniepokojenia).

Wzruszam się tedy.

— To nic... to nic... to przejdzie. Niech pan nie zważa... Tylko widzi pan — ta myśl, że pan zaraz chce mnie wprowadzić w towarzystwo żony swojej — kobiety, która... bezwiednie... zrobiła mi... tyle złego...

To już cios może zbyt silny — lękam się o to, więc porywam się, chwytam parasolkę, żałuję w myśli, że w pokoju nie mogę puścić na siebie czerwonego oświetlenia, i bez podania ręki kieruję się ku wyjściu.

On drepcze za mną.

— Pani! Pani Reno?... proszę... ja nie wiedziałem.

Namyślałam się, czy nie mam gdzie w zapasie jakiego efektownego słowa na „wyjście”, ale jakoś pusto mi pod czaszką z powodu upału. Więc tylko czynię doskonały gest ręką i nie odwracając się, ginę za drzwiami wyjściowymi, jakby cień!...

A tam w kancelarji, przepojonej zapachem mojej „kombinacji” i mnie samej, przed syfonem wody sodowej siedzi adwokacina zdenerwowany, podrażniony, niepewny, z maluchnym robaczkiem w sercu, który powoli — da Pan Bóg — zamieni się w psychiczną ranę, a ta rozpocznie wysyłać na wszystkie strony swe zatrute promienie...

Bardzo to będzie zabawne.

Ale to dopiero w przyszłości! Tymczasem na dziś, coś fatalnego. Wracając — przyznaję ci się — byłam tak jakoś podniecona sceną u adwokaciny, iż czułam się bardzo *en beauté*. Wsiadłam do tramwaju, bo dorożki nie było w pobliżu. Zrobiłam maluchne wrażenie na jednej Dulskiej, która właśnie zajęta była kopertowaniem okien i wypychaniem do uszów kłębow waty, i na kilku mężczyznach i jednym podrostku. Również i motorowy porozumiewawczo spojrział na konduktora, co mi dało poznać, iż moje arystokratyczne piękno potrafi być ocenione przez wszystkie warstwy społeczeństwa. Ulokowałam się jak najdalej od Dulskiej, a najbliższej przystojnego mężczyzny, w trochę źle wyprasowanym garniturze z surowego jedwabiu. Usiadłszy, naszumiałam się dosyć taftą, nadzwoniłam brelokami, wreszcie zaczęłam *blyszcząć* oczami, co jest moją specjalnością. Natychmiast pan w garniturze z surowego jedwabiu odpowiedział mi równym zablyszczaniem żrenic. Były wielkie, siwe, cudownie oprawne — tak zwane „świńskie”. Nie uciekłam z mojami, przeciwnie, bardzo zachęcająco skrzyżowałam szpady. Zapanowała fluidyczna wymiana i ta zaczynała szybko wzrastać — ze względu na krótkość przestrzeni i czasu...

A teraz zasłoń oczy, o matko dwojga nieletnich dzieci!

Bo jakby torpeda, nogi mej, obutej tak czarująco w śliczny lakierek Louis XV., dotknęła noga, obuta w dość ładny i zgrabny, acz trochę *démodé* but z jasnożółtej skóry.

I dziw...

Jakby nie było ani lakieru, ani skóry — nic, tylko dwie bose stopy, rozpalone i drżące.

Tak, Helu! Tak, nie usunęłam swej nogi. Analizowałam tę sensację, której nie mogłam nigdy przecież odczuć w zwyczajnym trybie mego życia. Znasz moje zasady i wiesz, że

nigdy nie dozwoliłabym na podobne zbliżenie ani Halskiemu, ani Alemu, ani nikomu z tych, którzy mi *ont fait*, albo *font la cour*. Ale tu ten człowiek nieznan, obcy, który nie miał nawet prawa przypuszczać, iż ja czynię to z całą wiedzą i umyślnie...

Zresztą — nie lękaj się. Nasyciwszy się wrażeniem, a czując, że zbliżamy się do stacji, na której muszę wysiąść, usunęłam nagle nogę, jakby budząc się z głębokiego zamyślenia.

I powiedziałam:

— A!... Przepraszam!...

Z tak ślicznym zakłopotaniem, że i on cofnął się i powiedział jak echo:

— A przepraszam!

Potem siedziałam zimna i obojętna, z przygasłymi oczyma, gdyż naprawdę lękałam się, aby nie pomyślał sobie Bóg wie co.

Ale — *la sensation était très agréable*. Będę częściej jeździć tramwajem.

Twoja

Rena

P. S. I wiesz co? Oto przez cały czas owej sensacji myślałam... zgadnij — o... Halskim. No, tak!... Jestem szczerą. O Halskim!

To dziwne.

LIST DWUNASTY

Nie mam jeszcze od ciebie odpowiedzi, ale wiem, że za ten tramwaj dostanę od ciebie wspaniałą burę. Przyjmuję jednak pokornie, tembardziej, że mam ci jeszcze coś do doniesienia w tym guście. Tylko w tym. Nie lękaj się. Jest w tem jednak cień tragedji i to mnie trochę wyprowadzi z szaroty życiowej. Tragedja nie dotyczy mnie, ale Alego... Tak, tęskiego prowansalskiego trubadura, który codziennie przyciska dzwonek elektryczny moich drzwi wejściowych.

Otóż ten dzień wczorajszy śmiało zaliczyć mogę do dni *elektrycznych*. Nie wiem, czy zauważyłaś, że my kobiety mamy dnie tak zwane elektryczne. Jesteśmy wtedy naładowane siłą wzbudzania miłości z taką łatwością, że strach ogarnia. Rozsiewamy wtedy dokoła wrażenia, zdolne obudzić uczucie choćby chwilowe, choćby w guście Anakreona, a więc dla zmysłów, lecz bez jego strony umysłowej. Same także odczuwamy te drżenia i dreszcze, które od nas pochodzą — i tak w podwójnej rozkoszy przepędzamy chwile, które powinnyśmy doprowadzić jedynie do linii, łamiącej się w punkcie możliwego dla nas niebezpieczeństwa. Otóż w takim właśnie dniu, w którym cera naszej twarzy nabiera karnacji kwiatowej, oczy blasku gwiazd, ręce, nogi, paznogie, włosy piękności niezrównanej, ramiona powabu ramion Vittorii Colonna, słowem, wtedy, gdy cała nasza istota dyszy urokiem kobiecości i wydziela ze siebie prądy, zagarniające najbardziej opornych — otóż w takim dniu *ja byłam wczoraj*.

Każda z nas ma dzień taki! I ty, Helu, a ty nie wiesz o nim, bo nikt dokoła ciebie o nim nie wie.

Przeto i ty!

Zapytasz, skąd mi to przyszło?

Halski tak kiedyś mi mówił. Przeczyłam, śmiałam się. Ale dziś, gdy go tu niema, są przecież jego słowa... i... jakby jego mowa dookoła mnie.

Słowem, był to *taki* dzień.

Nad wieczorem miałam zamiar wyjść znów na miasto. Dusiłam się samotna i czując swą piękność, której nikt nie podziwiał. Promienie, wysyłane przezemnie uderzały w próżnię i wracały nie drżące, bez wibracji. Przeto mnie bolały.

I z prawdziwą ulgą powitałam nieśmiały dzwonek Alego.

Szybko wróciłam do sypialni. Narzuciłam na siebie śliczny szlafrok z delikatnej lila gazy, rozszywanej walensjenkami. Otula mnie i obnaża. Nie można być przyzwoiciej bezecną, jak jestem właśnie w tym szlafroku. Krawcowa chciała mi go podszyć, twierdząc, że tak kazała pani dyrektorowa, pani mecenasowa, bo ten fason był trochę za... za...

Ale ja zaprotestowałam i dla uniknięcia pogardy ze strony tych dam i krawcowej, twierdziłam, iż posiadam właśnie gotowe *dessous* z lila tafty.

Lecz dla Alego i w tym dniu nie wzięłam żadnego *dessous*.

Miałam je z różowego atlasu mego ciała, pokreślonego delikatną siecią błękitnych żyłek...

Boże — *dessous* — najpiękniejsze, najbardziej odpowiednie.

Gdy wyszłam z sypialni, niosła mnie ta moja piękność ku krzakowi tuberoz, za którym ukrywała się twarzyczka Alego.

Ach, Helu! Potęp mnie po swojemu, po uczciwemu, jak materiał na matronę, ale wysłuchaj...

Gdyż — jak mówi Mulford — musimy koniecznie przenieść część swych głębi albo w czyjaś bluzkę, albo w czyjaś kamizelkę. To się nazywa wtajemniczenie przyjaznej duszy w nasze tajnie. Podobno bez tego ryzykujemy uduszenie się własną zbrodnią, albo własną cnotą. Nadmiar bowiem jednego i drugiego jest szkodliwy i nie pozwala żyć równo i umiarkowanie.

A więc, Helu, posłuchaj. Dzień ten awanturniczy, dzień ten, w którym doprawdy nie chodziłam po ziemi, ale jakby mnie coś dziwnego unosiło skrzydłami ponad ziemią, zakończył się dla mnie jeszcze burzliwiej i ciekawiej, niż rozpoczął.

Oto ofiarą padł... Ali.

Czy ofiarą, nie wiem. Może ja, może on... To jest pytanie. Tak jestem doprawdy na zimno wzburzona, jak te fale Atlantyku, rozbijające się na skałach Finistere. Zimna, jak lód, a wzburzona, jakby całe piekło w nich szalało. Tak jest dziś ze mną.

Ale jak było...

To główniejsze.

Otóż Ali, tuberozy i nowy sonet. Powiadam ci, czysta biel uczucia, jakby tam o jakie dwa albo trzy domy nie było domów i jakby ludzie mieli wszyscy śnieżne skrzydła, zamiast łopatek.

Tak — Ali.

Ja patrzę na niego, podziwiam jego pepitowy garnitur, pastelowy krawat i niewinny dołek w bródce, przynoszący legendę aniołka, który go tak napiętnował od urodzenia. Siedzę na moim ulubionym fotelu, wybitym Aubuszonem, otulona skrzydłami parawanów szklanych, i udaję rozmarzoną. A w gruncie rzeczy myślę że ta romantyczna lalka z Namiestnictwa, o starannie obutych nóżkach i pachnąca konwają, jest jakąś anomalją w dzisiejszych czasach ze swą „duszą poetyczną”, miłością nadziemską i brakiem wszelakich zapędów w stronę realną tego, co w pierwszej przedmowie Beyle nazywa podobnym do „drogi mlecznej” na niebie, skupiskiem gwiazd mgławicowych i t. d. Patrzę na to młode Zakochanie i nie czuję tej melancholijnej satysfakcji w słuchaniu metafor, które doprawdy ze zdumiewającą swobodą sypią się ze świeżych ustek tego pół dziecka. Szkaradne podrażnienie nie opuszcza mnie. Przeciwnie, wzmaga się. Zapalone lampy, przyćmione abażurami, nadają szablonowy, ale rozkoszny półton dokoła. Przez uchylone okno widać czernią niepewną miasta i słychać jego konające odgłosy. Powoli wzrasta we mnie coś złego, budzi się jakiś demon. Chciałabym porwać to dziecko „z anielskim obliczem”, w ubraniu pepita i rozszarpać na sztuki, tak, jak różę, która mnie zaczyna nudzić swoim zapachem. Gryzę własne wargi do krwi i dziwne... Helu... dziwne... potworne... Oto tam z kąta, gdzie widać ledwo ostre linje palm, ku mnie pełza namiętna twarz i słyszę niski, przyciszony głos, szczydzący z subtelnych w tej chwili wywodów Alego — z powodu, iż rzuciłam mu na żer jego potrzebie metafor zdanie:

— Chcąc nacieszyć się swym sercem i kochać, trzeba być samotnym, lecz trzeba się rozpraszać, chcąc mieć powodzenie...

I głos ten i usta te, pełne, zmysłowe, barwy ciemnej wiśni, szepczą:

— Miłość?... cztery jej, pięć rodzajów! Szaleństwo! Jedna jest tylko pełna, doskonała, w której nie zabraknie ani jednego tonu...

I potem śmiech.

— Miłość Heloizy dla Abelarda.

I vice versa...

Świętej Klary dla Franciszka z Assyżu. Aniołowie klęczący i zapatrzeni w takich dwoje.

A nad nimi deszcz z gwiazd.

Więc czuję jakąś śmieszność, opęłającą mnie, i wołam z głębi duszy:

— Małżeństwo... ślub...

A twarz namiętna stygnie, usta koloru wiśni wydymają się z niesmakiem.

— Nie, urok ginie.

— A tak?

Wyprostowuje się. Ściągając brwi. W gardle czuję dławienie. Duma mnie rozsądza.

Nie wiem, dlaczego powtarzam sobie:

— Bądź piękną, jeżeli możesz, mądrą, jeżeli zdołasz, poważną, bo nią być musisz!...

Taką tarczę ze słów Lisia Visconti czynię sobie i czuję, że twarz moja przybiera wyraz zimnej złości. Może być, iż teraz nie jestem piękną, ale mam wiele znaczenia. Czuję to w głowie Alego, bo zawiesił swą monotonną bajkę, w której ja jestem księżniczką, jadącą przez puszcze w karecie, ciągniętej przez srebrnych dwanaście orłów — i patrzy na mnie ze zdziwieniem. A mnie jakby coś zamierało w sercu, bo oto tam w oddali, w cieniu palm zaginęła twarz szydersko uśmiechnięta i rozplynęły się w niebycie usta namiętne, podobne do koloru wiśni. Wzrok mój pada na trubadura w pepitowym garniturze, — nie wiem — ale Helu, ja czuję w tej chwili brutalny żal, iż on nie ma w ręku gitary, ażebym...

Ażebym...

No — ażebym mogła porwać mu ją z ręki i uderzyć nią po wypomadowanej czaszce.

Nie mogę tego, bo niema gitary.

I że jestem kobietą doskonale wychowaną, a on jest dzieckiem arystokratycznego rodu i koncypieniem, czy czems tam, Namiestnictwa, i ma dwa lata praw i jest tak ślicznie, tak bosko ułożonym, młodym poetą.

Lecz natomiast demon potworny rozszalał się we mnie.

— Skuś go?... — szepce mi do ucha — narzuć się na niego całą forszą, a potem kopnij precz! Precz! Zobaczysz, co zrobi, jak się zachowa!...

I ledwo ten szept przebrzmiał, a już się porywam i wyciągam ręce.

— Och!... Gorąco!...

Szybko uciekam do swego pokoju. Tam, na gwoździu za szafą wisi *robe d'intérieur* — och!... którą mógł chyba d'Annunzio wymyśleć dla jakiej swojej donny z pałacu o smukłych kolumnach. Lecz wymyślił ją tylko jakiś *grand faiseur* paryski, bo wiesz, iż jestem za uboga, ażeby ubierać się w kraju i sprowadzam sobie „stroje” z Paryża. Więc *robe d'intérieur* ta — mgła jedwabnego muszlinu o kolorze ciała zawstydzonej dziewczynki, o walansjenkach, tkanych czółkami prządek prymitywnych. Narzucam ją na siebie, obnażam ręce i myślę, że jest to odzież odpowiednia dla wzbudzenia uwielbienia w istocie, nie poddającej się z prostotą rzeczywistemu działaniu rzeczy.

A więc.

Na tych, którzy wnoszą w uwielbienie albo nadmiar, albo niedostatek wrażliwości.

Zakochane dusze, albo przepalone, „rozmiłowane na kredyt”...

A więc.

Kaswin albo Halski.

Tęgo drugiego niema.

Ali!

Wychodzę z pokoju do salonu.

Pozostawiam drzwi sypialni uchylone. Wychodząc, miałam jeszcze piekielną myśl — świecić nocną różową lampkę i uchylić kołdrę — ot... na noc...

Na długą, rozkoszną noc, Helu!

(Ach, proszę... nie przerażaj się. Czy nie czynisz tego sama — prawda, pobłogosławiona w tym kierunku, ale czynisz!...)

Więc wszystko to dzieje się niby przez zapomnienie.

I nie patrząc na Alego, mówię:

— Ach!... Jak gorąco!...

I zbliżam się do fortepianu.

Czy wiesz? Z doświadczenia wiem, że nic tak zmysłowo do kobiety nie pociąga, jak muzyka. Jest w tem jakby pociągnięcie elektrycznej nici. Coś prosi, coś kusi, coś lka, coś obiecuje...

Tylko trzeba umiejętnie dobrać to, co się gra.

Według mnie, do tego celu nadaje się Szumann.

Tak...

Weź jego *Träumerei*, albo *Warum*.

He... he... żebyś nie wiem jaki marzący sentyment w to kładła, zawsze powróci struna zmysłowego czaru.

He... he...

Spróbuj — mnie w tę stronę skierował Halski. Kiedyś mówi:

— Proszę zagrać.

Czułam, że płonie jak kandelaber siedmioramienny. Ale chcę go spalić.

Więc zaczynam swawolną, szkaradną, bezecną śpiewkę — *Przewodniczkę*.

Ty jej, o święta! nie znasz.

Moja łódka

Jest czyściutka

i t. d.

A on kładzie mi ręce na moich rękach.

— Proszę mi zagrać coś bardziej zmysłowego.

Patrzę mu w oczy.

— Wszak to właśnie dla Pana.

— Myli się pani.

I z półki bierze mi Szumanna.

— To!

— *Träumerei!*

— ?...

— Właśnie.

A potem ironicznie się uśmiecha.

— Jak pani rzeczywiście mało zna to, co pani mieni ludzkim zwierzęciem.

— Szczyć się tem.

— Niema czem. Pruderja jest nudna i kalectwem dla osoby, pruderją dotkniętej.

Grałam *Träumerei*.

I wiesz, co?

Chcąc dowieść, że nie jestem „kaleką”, zaczęłam płonąć *na zimno* w niemożliwy sposób. Chwilami ogarniał mnie wstyd, bo zdawało mi się, że to jakiś krzyk pożądania wyrywa mi się z piersi.

Gdy przestałam grać, Halski odezwał się z cienia:

— Jak na początek... nie źle.

Sądziłam, iż znajdę go nawpół szalonym; pohamowałam swój gniew i odezwałam się obojętnie:

— Gram to pierwszy raz...

— Nie wierzę! — odparł — lecz w to wierzę, że pani gra Szumana *tak* po raz pierwszy.

*

Więc, widzisz, gram znów Szumana.

I to dla Alego.

Ach! Nie aniołów to śpiew!

Drgała tam raczej brzęcząca moneta używania w miłości. Nie interes pieniężny, lecz raczej korzyść zmysłowa.

I tem była silniej podana, że na zimno.

Bo aktor ten wrzuci do łez, który sam nie płacze.

Pamiętaj o tem, Helu, bo i w małżeństwie ta wiadomość przydać Ci się może.

Długą chwilę było cicho. Już lękałam się pomyłki. Czyżby nadwrażliwość dziecięca Alego zawiodła? Sforsowałam nutę. *Träumerei* zawyło, jak to „pienie się u piersi” Przybyszewskiego. I powoli, z kąta wypełzać zaczęła ku mnie przekształcająca romantyczność...

Posłyszałam krótki dech...

Pierwsze wrażenie?

Wstręt.

Przemogłam go. Grałam dalej. Przeięłam się rozkosznie. Z jednego ramienia strząsnęłam koronki. Odkryło się. Czulałam, że ma cudowny ton kości słoniowej, zaróżowionej lekko cieniem abażuru. I wszystko zaczynało przybierać jakąś przesyconą różami barwę... Coś z lubieżności wyrafinowanej XVIII. wieku. Myśl wszakże o tem, że ten „kawaler”, pełzający ku mnie, ma na sobie garnitur pepita, psuła mi złudzenie. Wreszcie był przy mnie, na klęczkach, jak przystało.

Śliczne, małe rączki dziecka dotknęły się brzegu mej sukni.

Wstrzymałam dech, lecz grałam dalej.

Ali się pochylił.

I ucałował... kraj mej szaty.

Ale ja wiedziałam, że przyjdzie to inne i grałam jeszcze chwilę *morendo*, wreszcie Szuman ustąpił miejsca żywej melodji.

Melodji mego ciała!

Ach, Helu!... Czyż opisać ci mogę, jak wężowo wykręciłam się na taburecie, jak przeięłam się plecami na klawiaturę, jak ślicznie jakby portret Reynoldt'a rozkrzyżowałam ręce i podałam naprzód piersi.

Cieniuchna tkanina muszliny ledwo kryła me kształty; skrzyżowałam nogi i siedziałam tak, czując sama wielki czar mej piękności i kobiecego uroku. Twarz moja wszakże była ciągle zimna i tylko oczom starałam się nadać wyraz wyczekującej na kraju lasu sarny. Przysłoniłam je rzęsami i czekałam.

Niedługo.

Ali rozpoczął znów swoją monotonną litanię miłosną, ale głos mu drżał i delikatna cera mieniła się przebiegającymi pod skórą płomieniami. Widziałam to wybornie z pod moich rzęs. Wreszcie umilkł. Przez długą chwilę pozwoliłam grać za mnie milczeniu. Gorący wicher owiewał nas oboje. Wreszcie czulałam, iż coś powiedzieć muszę, bo wzrok Alego, utkwiony bałwochwalczo we mnie, przechodził... w zyz.

Więc nic nie znalazłam odpowiedniejszego, jak:

— Ach! Ali!...

I wyciągnęłam się bardzo grzesznym gestem haremowej odaliski. On zaczynał przypominać sobie, że ma dwadzieścia trzy lat i że miłość składa się jak róża z kilku listków. Bajka, którą mi w tej chwili śpiewał, czysta była krystalicznie i bosko, ale głos, ale ruch rąk, wciąż mających coś do czynienia z walansjenkami mej roby...

I powoli te ręce sentymentalnego pazia, te ręce, Helu, posunęły się od stóp moich do kolan, jakby kwiaty jakieś oplatały mnie słodko i nieśmiało. Zaczęłam wtedy tracić powoli maskę chłodu i w kąciki ust włożyłam troszeczkę uśmiechu, bardzo zachęcającego i wabiącego. Ale zarazem oczy utkwiałam w sufit. Niby w jakiś sen, w jakąś ekstazę, niby, że nie wiem, co się dookoła mnie dzieje.

Bajka o królownie i srebrnych orłach snuła się dalej, ale coraz bardziej cichym i drżącym głosem.

Wreszcie rączki Alego posunęły się ku górze. Objął mnie miłośnie i czulałam, jak drży cały. Padł mi twarzą na kolana i poczułam gorąco jego ust, cisnących się do mnie. Nie było mi to odrażające, ale było mi to obojętne. Błyskawicznie spuściłam oczy i objęłam sytuację.

Wydała mi się śmieszna.

Nic więcej, tylko śmieszna.

I porwał mnie gniew, złość na siebie i na to rozmazane dziecko, cisnące mi się do kolan.

Jednym gestem pchnęłam go od siebie.

— Co to? Co to? — krzyknęłam.

W tem pchnięciu, w tym krzyku była moja, wzbierająca się przez cały dzień, nienawiść i gniew.

— Jak pan śmie?... Jak pan śmie?

Podniósł ku mnie twarzyczkę.

Był szkaradny. Włosy opadły mu na czoło. Nos mu się zaczerwienił, oczy, te oczy truweru, opiewającego róże rozkwitłe na piersiach damy, zaszły jakąś brzydka, białą mgłą...

I miałam do niego straszną urazę nie za to, że mnie pożądał...
Ale za to, że nie umiał być wtedy *pięknym*.
Och! Gdyby pod ręką... gitara...
Więc tylko wołałam zaciekle i jakimś ochryłym głosem:
— Precz! Precz!...
Podniósł się z kłęczek jak pijany.
W tej chwili oprzytomniałam. Pomyślałam, że ta wściekłość jest po prostu *nie moja*.
Że ona jest prawdziwa, nie udana.
Że ja naprawdę nienawidzę w tej chwili objawienia się przedemną tej strony miłości.
I zlekłam się.
Czuję, że tracę wyższość.
Więc schroniłam się ku drzwiom sypialni i stamtąd, upozowawszy się dobrze na tle różowego oświetlenia, rzuciłam już rozwleczonymi miłym głosem:
— Do jutra!...
Ali stał obalwianiały na środku i tępo patrzył na mnie. Zauważyłam, że mu z kącika ust błyszczała ślina.
To dopełniło miary.
Jeszcze słodziej powtórzyłam:
— Do jutra!...
I znikłam, zamykając drzwi od sypialni.
Wszakże — nie na klucz.
Z kim innym zrobiłabym to *coup de maître* — to zgrzytnięcie klucza, tę niby trwogę przed nim, przed sobą.
Ale przed tem obalamuconem tak prędko dzieckiem nie warto!
W kilka minut posłyszałam, jak Ali wychodził. Ja tymczasem badałam *siebie* przed lustrem.
Byłam bardzo *en forme*. Oczy me ślicznie błyszczały, tak, jakby Ali nie odszedł z kwitkiem. To jest, przypuszczam, żeby tak błyszczały... bo właściwie nie wiem, czy... Słowem, byłam zachwycającą.
I czując to, czy zapragnęłam, aby mnie ktoś całował, czy chciałam kogoś całować?...
Nie wiem!...
Nie wiem!...
Podniosłam moje obnażone ramię, z którego spływały fale muślinu i koronek.
I ucałowałam je.
Ja!
Tak.
Ale jak!... Wpiłam swe usta w pachnące ciało. Wgryzłam się w nie do nieprzytomności.
Stuk bramy na dole obudził mnie.
To Ali wychodził.
Czy wiesz, ten hałas przywiódł mnie do równowagi. Jednym susem byłam w salonie u otwartego okna. Wezbrała we mnie wesołość złego stworzenia, które się napiło młodej krwi.
Chciałam jeszcze zobaczyć Alego, jak będzie ogłupiały włókł się pod murami domów.
A może zacznie chodzić pod oknami i smętnie znów spozierać.
Och, gitara!...
Przebiegłam się wpół, półnaga i mimowoli zgorączkowana. Ali stał na trotuarze, jakby się wahał, co począć.
Rozkoszne zadowolenie triumfującej kobiecości przenikało mnie całą.
— Co zrobi? Co zrobi?... Już go ogarnia fala ideałów... Och! Święta Klara, święty Franciszek — aniołowie — cała katarynka...
Czułam moje zęby, białe, błyskające w przestrzeń, ciało przegięte jak pantery, opatrzonej ofiarę...
Dobrze mi było.
Nagle Ali odwrócił się i zaczął szybko iść w stronę przeciwną, jak ta, w której mieszkał. Byliśmy bowiem prawie sąsiadami. Niedaleko na rogu ulicy była stacja dorożek i ta

stanowiła rozpacz mojego życia. Ku niej to pędzi, jakby gnany Ali. Widzę go w tej zgniłej studni ulicznej, bijącej ku mnie zatrutymi letniemi wyziewami. I w migocie latarni zdaje mi się, że na plecy, na ramiona chłopca, wskoczyła jakaś zjawą, chuda, straszna, którą widzę jedynie z tyłu. Coś z tych *Mors Ropsa*, czarne pończochy, spadająca bielizna z wychudłych ramion.

Popędza go, bije piętami, odzianymi w wykrzywione lakierki, w jego piersi.

A on się spieszy... spieszy...

Dopadł do dorożek.

Wskoczył w jedną.

Mignęła mi para siwych koni w ciemności. Ali, stojąc już w dorożce, coś mówił do fiakra, poczem padł na poduszki, woźnica zaciął konie i szalonym pędem ruszył w ciemność...

W ciemność, w zaduch, w piekło rozwartej szeroko paszczy miasta.

Ze stopni dorożki zeskoczyło widmo Ropsa i zwróciło ku mnie swą twarz trupią o wyszczerzonych zębach.

I wybuchnął śmiech...

Ja nie wiem, kto się śmiał, Helu, ja nie wiem, kto...

Ja? Czy ta na dole...

Czy może my obie?

Twoja

Rena

LIST TRZYNASTY

Robisz mi wymówki, Helu, że milczę... Tak. Milczę, ale przysięgam ci, to nie moja wina. Ostatni twój list był mi ciężkim zarzutem. Piszesz, iż nie powinnam tak postępować względem Kaswina i t. d. Ach, moja droga. *Zawsze złudzenia!* Mnie winisz, jakobym kokieterję moja... — *Pardon*. Skoro się dowiesz całej reszty, może się uspokoisz nad losem truвера. Otóż ten pan prosto odemnie popędził — zgadnij, gdzie? — Do wesołych cór Koryntu w Casino de Paris, z którymi bawił się aż do rana. — Skąd wiem? — Ach Boże! — Trochę sprytu... Dorożkarz o parze siwych koni. Odnalazłam go.

Mówię:

— Przyjacielu... mój brat (!) wczoraj jeździł twoją dorożką wieczorem. Zostawił gdzieś laskę. Jest to laska wzięta przez pomyłkę. Przywieźcie mi ją z powrotem. Dostaniecie suty na piwek. A paniczowi nic nie mówcie!...

Banknot dziesięciokoronowy migoce mi w rękach.

Dorożkarz, pijacka wyga, imitacja i karykatura *a weaner-faker*, uśmiecha się obleśnie.

— Kiedy bo...

— Ale oddadzą, oddadzą...

— Że tam trudno...

— Jedźcie tylko.

Czy udał, czy się złapał. Dość, że pojechał.

A za nim w ślad, w ślad...

Kto?

Ja!

— Ach! Co znowu.

Moja Hania, druga wyga, tylko nie zapijaczona — drugą dorożką, w której już na ten cel tkwiła od pół godziny.

Wprawdzie automedon Alego laski nie przywiózł, ale za to Hania wyrecytowała ulicę, dom, numer — wszystko najlepszej sorty i najbezpieczniejszego przeznaczenia.

I co ty na to?

I wiesz, jeśli mam być szczerą, to było mi tak, jakby mnie kto nagle zabloconą ręką w twarz wyciął.

Takie uczucie.

I ciągle je czuję, ciągle.

A teraz twój list na dodatek. Czego chcesz właściwie? Sam Ali mi nic zarzucić nie może, bo przecież byłam najwyraźniej pogrążona w półśnie...

A gdy się zbudziłam, odepchnęłam go przecież od siebie.

Nie lękaj się. Ja to robię doskonale, *arte*. Gdybym nie umiała, nie puszczałabym się na ślizkie i niepewne rzeczy. Nie potrzebujesz mi przypominać, co jestem winna sobie i swojej godności. Ręczę ci, że gdybyś się ich spytała, każdy ci powie, że jestem kobietą bez skazy. Tylko na Boga! Czyż my, kobiety uczciwe, mamy być pozbawione już wszelkich przyjemności?

Nawet tych — przedwstępnych?

Twoja

Rena.

LIST CZTERNASTY

Dopisuję dziś jeszcze te kilka słów, bo przyznam ci się, iż rano byłam tak oburzona na Alego, na ciebie wreszcie, że nie poznawałam sama siebie. Całe popołudnie przepędziłam w łóżku. Tak! Rozebrałam się i położyłam. Niby chora! Ślicznie wyglądałam cała w koronkach i okryta cieniuchnym, jedwabnym weneckim kocykiem, koloru *fraise*, pod którym zaznaczałam się jak posąg koralowy.

Przemknęła mi po głowie myśl:

— *Czy tak* wygląda metresa Halskiego?

I wiesz?

Postanowiłam, że coś przecież zdołam wymyślić, aby mnie tak zobaczył. Nie boję się porównania, bo jeżeli się dobrze oświetlę, a włosy zafryzuję, to czysty ze mnie *Réve* Chaplin'a. Wiesz, ta Suzanne Derval, cała różowa i sploniona. Tę karnację można osiągnąć za pomocą lampki nocnej, różowej, tylko należy dać jej podkład złoty.

Wypróbowane.

A teraz, co dalej? Postanowiłam, leżąc tak w ciszy skandalicznej, że...

Przedewszystkiem:

Alemu nie dam poznać nic, że wiem o smutnym rezultacie, do jakiego doszedł ze swoją krystalizacją idealistyczną miłosnych uczuć dla mnie.

Jednakże.

Będę go cudownie dręczyć, zachwycając się jego czystością dziecięcą, czarem kwiatu, który rośnie, rozwija się i pięknieje w oddali od trujących bagien życiowych. I będę mu mówić:

— To mnie ku tobie ciągnie, to właśnie, to jedno. Bo gdybyś był takim, jak inni, skalany i znajdującym upodobanie w niskich rozkoszach życiowych (zauważ i podziwiał styl!) — nie mógłbyś istnieć dla mnie. Jesteś mi czarującym źródłem, otoczonem wieńcem narcyzów. Pochyliłam się nad niem, piję zeń czystą, doskonałą wodę i oddycham twą anielską, przejasną duszą!... O! Ali!...

A on, który się tak dobrze „zapomniał” — w gościnnych apartamentach firmy Malci Stockfisz, kręci się niespokojnie — i stara się uśmiechać anielsko. — I myśli:

— O Boże! Żeby się to tylko nie wydało!... Przepadnie cała moja nadzieja.

Ja mu patrzę w oczy, niby jako aniołowi i kończę mą tyradę uśmiechem królowej z bajki.

Powiadam ci, mieć będę cudowną i niewyczerpaną zabawę!!!

Tak, Helu, zabawę! Cóż? I to ci się nie podoba? Cóż to jest to moje igranie kota z myszą w porównaniu z tem, co tam w Warszawie wyprawia pan Halski ze swoją metresą! Pomyśl tylko! Pomyśl! Wiesz teraz dużo szczegółów. Gdy mi przyszła myśl o Halskim do głowy, nie mogłam dłużej uleżeć. Po prostu, podniosło mnie! Ubrałam się i przeleciawszy jak wicher przed oczyma Hanki, która zaczyna dziwnie na mnie patrzeć, poleciałam do Maryli.

Zdziwiłam się mocno. Siedziała właśnie w jadalni. Piła kawę z obrzydliwego, zielonego ze złotem, garnuszka. Wykwint marzeń kucharki. I wyobraź sobie tę siostrę donny, w rzeczywistości ślicznej jadalni, kosztownej i w nadzwyczaj dobrym smaku. Nawet są witraże w guście Mehoffera, więc barwne średniowiecza, o prymitywnym wdzięku.

Ale słodka nasza Maryla ma na sobie matinkę z pięciu perskich chustek, które tworzą jej śmieszny garb na wypukłych plecach. Bez gorsetu przedstawiała amalgamat większych lub mniejszych kul, połączonych ze sobą niewidzialnymi węzłami. Jest po prostu odrażająca. Ma niewiele włosów, świecący nos i zapuchłe oczy. Patrząc na nią zdumiona. Widziałam ją zawsze „pod bronią”. Wiesz, że uchodzi za powabną kobietkę. Sądziłam ją przedewszystkiem z materiału, jakżeby ci to powiedzieć — bardziej... solidnego. To zaś, co mi się przedstawia pod deseniem perskich palm, robi wrażenie czegoś beznadziejnie *croulant* (Francuzi mają doskonałe i soczyste w tych razach wyrażenia). Dziękuję Bogu, że mnie stworzył bardziej odporną i z jakiejś doskonalszej gliny — wyprostowuję się, dumna, że mogę chodzić między ludźmi bez gorsetu i wywołania równocześnie skandalu, i klękam na krześle, a pokładam się całym torsem na stole. Jest to moja ulubiona pozycja, gdy mnie nikt nie widzi. Zrozum — Maryla nie liczy się za kogoś. Wprawdzie później dostrzegam, iż w gabinecie robi porządki lokaj i w lustrze konstatuje, że jest przystojny wyjątkowo i kształtny chłopak — ale nie zmieniam pozycji. Dla dwóch przyczyn.

Pierwsza:

Że taki mud? może się nie poznać.

Albo:

Że się może poznać, więc...

Tem lepiej.

Zawsze — niech ani jedna linja nie zostanie stracona. I milej być głaskaną wzrokiem choćby osobnika, zajętego oczyszczaniem otomany z problematycznych moli, jak nie być głaskaną wzrokiem niczym.

Bo w takim razie pozostaje nam tylko gorzki żal nad słonym, a niezapłaconym rachunkiem szwaczki, która nam taki piękny i cudnie opięty kostjum stworzyła...

Więc już lepiej — niech choćby lokaj...

Czuję magnetycznie, że jestem podziwianą od strony odwrotnej, a tymczasem ja znów podziwiam łysinki na czaszce Maryli. I myślę, że jej mąż, który jest człowiekiem bardzo wykwinnym, ma mnóstwo smaku i gustu, ma dużo do czynienia w tym domu.

Gdyż dziełem jego jest nie tylko ta jadalnia, ten salon Louis XV, ten gabinet orientalny, ten buduar bardzo czysty empire, ale i ta Maryla, „powabna kobietka”, którą lubimy i którą mężczyźni bardzo pożądliwym wzrokiem ścigają na balach.

Wiem, że Jasiński jest człowiekiem dumnym i że drażniłoby ambicję jego i miłość własną, gdyby jego żona ukazywała się w swej naturalnej postaci, prosto, skromnie — jak Pan Bóg stworzył i żyć jej przykazał.

Przetwarza ją. Tak, jak przetworzył niesmaczną kamienicę „jej ojców”, wziętą w posagu.

I ta zręczna, dobrze ubrana, solidnie opancerzona kobietka, z gorsem unieruchomionym, z rękami pokrytymi gazą falban, z gąszczem ślicznie ondulowanej fryzury, prezentuje się doskonale, w niczem niepodobna do tego czegoś, co w tej chwili wsadziła nos do garnuszka z kawą, który sobie sama przyniosła, drepcąc z kuchni „z podwieczorkiem”.

Patrząc więc z uwielbieniem na tę kobietkę, zdolną do takich metamorfoz i w obecnej chwili złożoną z całej masy piętър cielska, jakby jakiś drapacz chmur z żelaza.

— Marylu! — mówię do niej — co ty czytasz?

Obłożyła się bowiem stosem gazet. I to, wiesz, Helu, solidnych gazet, tych, które trzęsą krajem, trzymając rękę na jego pulsie, są u steru — słowem koguty Rostandowskie, sądzące, że bez nich słońce nie wejdzie.

I przedstaw sobie.

Wszystkie te dzienniki są poskładane na wierzch politycznymi artykułami (!) Helu. Wstępne, a potem dojadania jeszcze w środku numeru — i potem z prasy obcej — i potem korespondencje — i potem cała lira...

Pytam więc:

— Marylu! Co ty czytasz?

Z nad garnuszka kawy podnosi się głos:

— Widzisz przecie.

— Widzę! Polityka?

— !

— Po co ci to?

Milczenie.

Wtedy przypominam sobie, że Maryła jest nad przepaścią. A na jej dnie jest mąż polityczny, ogromnie wysoki i ogromnie milczący. Do tej pory brał udział tylko „w komisjach”, jeszcze się nie odezwał ani razu, ale nie trzeba tracić nadziei. Ma doskonały gust, pyszną sylwetkę i łatwość zmiany przekonań zdumiewającą. Z tem wszystkim trzeba by naprawdę pecha, ażeby nie zaszedł bardzo wysoko...

Na to liczą wyborcy, na to liczy i Maryła. Polityczny bowiem mąż za czasów jeszcze swej adwokatury stołecznej wyróżniał wcale wybitnie Jasięńską. Ona zaś nie chciała pozostać pomiędzy nami bez wielbiciela. Widziałam, iż go ośmielała. Niezgrabnie, jakby niedźwiedź tańczył, ale ośmielała.

(Nie chcę jej zasmucać odkryciem, iż polityczny mąż na ostatnim pikniku, w sposób wcale nie dwuznaczny zniszczył mi zupełnie śliczny pantofelek z *vert nil* atlasu i takąż pończoszkę. Byliśmy przy kolacji sąsiadami).

Widzę więc obecnie, że Maryła nie na żarty jest na złej drodze.

Przechodzi bowiem trening polityczny, bo zamierza, jak ongi pani de Staël i inne, otworzyć salon polityczny, celem jeszcze solidniejszego zawiązania węzła pomiędzy sobą i mężem stanu.

Hm! Może i ma rację. Zastanowiwszy się nad tem, że *au déballage* wdzięki jej stracą fatalnie. A mąż stanu, zepsuty marmurami kasjerek wiedeńskich, może się zrazić.

Należy więc czemś podeprzeć mogącą zawalić się świątynię miłości.

Tą podporą będzie...

Możliwość rozmawiania.

Tak.

Maryła chce być kobietą, z którą można i jest o czym pomówić.

Biedna Maryła!

Nie chcę nalegać. Nie chcę wprowadzać ją w kłopot. Pytam więc *à brûle pourpoint*.

— Nie wiesz, co się dzieje z Halskim? — Mam u niego dwie książki, nie moje. Chciałabym je odebrać... Czy wrócił?

— Nie.

— Jeszcze w Warszawie? Czy ma drugi odczyt?

— Nie!

— Więc czego tam siedzi?

Czuję, że to, co mówię, jest głupie, a przecież mówię, bo inaczej nie mogę.

Maryła odpowiada filozoficznie:

— Mówiłam ci, że ma tam metrese?

Mimo woli ogłądałam się na drzwi do gabinetu. Ładny lokajczyk zapatrzony jest we mnie. Zwracam uwagę Maryli, aby obniżyła ton mowy. Można bowiem dać się podziwiać takim indywiduom, ale nie należy, ażeby te indywidua wtajemniczały się w obniżony choćby słowami, choćby chwilowo ton naszego życia. Należy być podziwianą, ale ani wyśmiewaną, ani pogardzaną. Maryła wzrusza na to ramionami i urywa rozmowę. Widzę, że zezuje w stronę swojej polityki... Radaby pogрузić się w jej przepastnych otchłaniach, aby wydobyć ze siebie *kobietę wyższą*. Lecz *moja kobieta niższa* coś rozegrała się na dobre i aż tętni we mnie. Chcę, pragnę i muszę wiedzieć coś więcej o Halskim. Wszak nie przysłałam tu po to, aby podziwiać Marylę w jej nieśmiertelnym neglizu, kasetony jej sali jadalnej i jej garnuszek z kawą. Wyciągam więc rękę w stronę zadrukowanych płacht, ściągam je niewinnie i czynię sobie z nich podściółkę, na której kładę się z miną nowonarodzonego dziecka. Sądzę bowiem, że w ten sposób wszystkie parlamenty, komisje, koła, interpelacje, obstrukcje i inne cuda i grzechotki cacane mężczyzn znikną na chwilę z pamięci Maryli i pozwolą jej indyczemu mózgowi zająć się kwestją pasji temperamentów i namiętności z możliwą uwagą.

Z chytrością Indjanina znów dążę ku swojemu celowi.

— Gdybym chociaż miała pewność, kiedy Halski wróci... — zaczynam.

Maryła jednak czegoś się dąsa.

— Wróci, jak będzie miał dosyć.

— Czego?

— Tej swojej.

Widzę, że jest zirytowana, iż zwróciłam jej uwagę poprzednio. Postanawiam więc już brnąć dalej, nie zważając na obecność służącego.

— Dlaczego mówisz *swojej*. Taka kobieta przecież się nie liczy.

— Liczy.

— Mężczyzna nie szanuje takiej istoty, więc nie uważa jej za swoją.

— Uważa.

— Skąd-że wiesz o tem?

— Wiem.

Zaczynam się śmiać, ale daję ci słowo, że we mnie coś aż drży ze złości.

— Sądziłoby można...

— Że co?

Patrzy na mnie nawet agresywnie swemi rybiemi oczyma.

— Że ich bronisz.

Wzrusza ramionami.

— Nic mnie nie obchodzą. Tylko lubię mówić prawdę.

— Wygląda tak, jakbyś chwaliła takie ustępstwa.

Milczenie.

— Co?... — nacieram.

— Nie chwałę, ale...

— I nie potępiasz.

Wybuchła nagle, aż nasek się jej czerwieni.

— Dlaczego się nie mają kochać?

— Bo ona nie jest wolna, bo jest uczciwa, a przynajmniej za taką uchodzi, bo taki Halski, deprawujący kobiety z towarzystwa, zasługuje na to, aby go usunięto precz poza społeczeństwo, bo są to oboje wyrzutki tego społeczeństwa... a ona gorsza i bardziej pogardy godna od każdej, każdej...

Brakuje mi tchu, brakuje mi słów.

Czuję się bardzo wzburzona, szczęka dolna lata mi jak na sprężynie. Mimo to podziwiam się w lustrze, tak ta pasja dodaje mi blasku i uroku.

Maryla patrzy na mnie tępo.

Wreszcie odpowiada:

— Kapelusz ci się skrzył na bakier.

Mimowoli zeskakuję ze stołu, z gazet — pędzę do lustra.

— Naprawdę?

Poprawiam szutro estetyczne, ciężące mi na głowie. Tymczasem Maryla chwyta dzienniki i zaczyna na dowód swego złego wychowania czytać je z zapamiętałością, pragnącą wynagrodzić sobie czas stracony.

Jestem zła, podrażniona — czuję, że chętnie wpakowałabym jej szpilkę od kapelusza pomiędzy łopatki.

To przyniosłoby mi bezwątpienia ulgę. Dla niej wszakże byłby to czyn — według Nietzcheho — „nieprzyjemny”.

Pakuję tedy szpilkę w stos tafty, włosienia, gazy, piór i klamer — i rzucam jej z mściwością:

— Cóż to? Czy masz zamiar stać się sufrażystką?

— ?...

— Studjujesz politykę. Czy będziesz kandydować, rewindykując w ten sposób prawa kobiecie jako człowieka?

Odpiera z godnością:

— Rola kobiety jest inna, piękniejsza.

— Spodziewam się. Nie ma co robić w tem bagnisku intryg, kłótni, próżności, sprzedajności, obludy...

— Przepraszam. Właśnie Ona powinna znajdować się w tym świecie, tylko...

Nie umie się wyjęzyczyć. Dopomagam jej:

— Niewidzialnie... jako ta, która rozdziela dobre natchnienia, zagrzewa do walki, niby te gołe boginie z czasów greckich, tańczące na chmurach w czasie bitwy.

— Drwisz ze wszystkiego. A przecież właśnie kobieta może nadać ton sprawom najniższej wagi.

— Właśnie. Eugenia Montijo zgubiła Francję tem, że nie chciała poprzestać na sławie wynalezienia krynoliny, ale miała ambicję nadawania tonu polityce Europy.

— Eugenia była głupia.

— Nie. Eugenia była kobietą, to znaczy, że nie miała tchu do *szerokich* szkaradztw i intryg. Naszą specjalnością są drobiazgowo świństwka. W nich celujemy. Skoro jednak arena się rozszerza, tracimy dech i pojęcia nasze się mącą. Tymczasem mężczyźni gubią się w intrygach pałacowych, a są w swoim żywiole, gdy mają gubić narody i państwa. Dlatego, moja piękna, najlepiej nie mieszać się do tego, w czym odniesiemy porażkę... albo będziemy śmieszne.

— Nieprawda. A potem trudno zawsze tylko rozmawiać z mężczyznami o gałgankach i rzeczach płytkich. Są przecież kwestje społeczne...

Urywa, bo czuje, że jest komiczną. Ma jeszcze to poczucie i powinna mnie rozbroić tym odcieniem subtelności swych uczuć.

Ale ja jestem tak rozpasaną w mej złości, że nie mam dla niej współczucia.

— Naturalnie! — odpowiadam — pasja, aby gdakać wspólnie na jeden ton. Sądziś, że tem się mężczyzna przywiąże? Złudzenie! Nigdy w *wyższej* rozmowie nie osiągniesz wymiarów jego przeciętnego politycznego n. p. kolegi, będziesz zawsze dla niego uczniem i właśnie odsłonisz przed nim tajnie swej nicości. A stracisz cały wdzięk jako kobieta...

— Zyskam jako przyjaciółka.

— Ech! Moja droga!

Ten wyraz wydaje mi się w tej chwili chorobliwie anemiczny i niewystarczający.

— Niczem nie będziesz, niczem...

Jest zupełnie zderutowana, oczka jej latają ze smutkiem od stosu gazet do mnie. Jest naprawdę szczerze zmartwiona. Widzi już, jak jej mąż stanu gardzi nią w duszy i idzie do „mężczyzny”, aby z nim gdakać na jedną nutę.

— Więc co robić?

Zaczynam się śmiać piekielnie.

— To, co ta... Halskiego w Warszawie. To, moja droga!...

Płomienie przebiegają pod skórą Marylki.

— Och?...

— Tak! Tak! Tylko wtedy możemy marzyć o jakimś uczuciu i przywiązaniu i szczęściu i innych akcesoriach życiowych! Tylko *wtedy*... Inaczej dla nas nic! nic!... Rozumiesz mnie, *nic*.

Porywam ją za ręce, wstrząsam nią. Cała gorycz dni ubiegłych wypływa mi do serca, na usta.

— Mamy *szacunek* tych panów, rozumiesz, *szacunek*! One wszystko!...

Lecz już to słowo „szacunek” wystarczy, aby mnie uspokoić. Jestem jak koń cyrkowy, który posłyszał znaną mu melodię polki. Znarwił się na chwilę. Lecz oto — polka. Wraca do ronda i zaczyna dreptać, tańczyć, przebierać nóżkami.

— I trzeba się tem zadowolnić!... — kończę z szerokim, szlachetnym gestem córki monarszej, którą wydają za mąż za drobne, nic nie znaczące książątka z krwi królewskiej.

Maryla oberwała ze zmartwienia koronkę u matinki.

— Idziesz już?

— Idę.

— Co będziesz robić? — pyta, ot, aby coś powiedzieć.

— Idę kazać się... szanować! — kończę, wychodząc — i mam bardzo ładne i efektowne „wyjście”. Żałuję, że nie mam widzów, bo i lokaik zniknął dyskretnie, sądząc z podniesionych głosów, mojego i Maryli, że „wielmożne panie się kłócą”.

I poszłam — do siebie.

Ach! Helu, na progu zastałam pokorny, obrzydliwy bilet wizytowy Kaswina. Zasnuty był w szparę drzwi. Było w tem coś niskiego, jakiś lęk, skradanie się psa, który wpadł do błota i czuje na sobie brud cuchnącej kałuży. Porwałam ten bilet w strzępy. Wpadłam do mieszkania, w którym aż zawyło czegoś pustką opuszczonych domostw. W pudełku, krytem przezemnie samą kretonem w kwiaty i wiązonym wstążką *chinée* o pastelowych barwach, mam cały stos fotografii. Jak hjena rzuciłam się na nie. Porwałam fotografie Kaswina i Halskiego i poszarpałam w kawałki. Gdybym się nie wstydzila, że dziecinnie, byłabym przedtem przekłuła tym dwom podłym twarzom oczy szpilką od kapelusza. Ale

i ten akt podarcia ich fotografii nie uspokoił mnie. Rozpętał raczej we mnie jakąś żalność, jakąś rozpacz...

W kapeluszu — jak byłam — rzuciłam się na fotel i zaczęłam płakać.

Ale nie płakać, Helu, tylko *wyc*.

Tak jest.

W tym półmierzchu letnim, ja, śliczna jak lalka, ubrana jak cacko, subtelna, wykwiintna, z inteligencją i kulturą prima sorty — *wylam*.

Bez łez — tylko tak — w pustkę, w przestrzeń tam, gdzie niema nic, nic, nic...

Co się ze mną dzieje? Czy i ja zaczynam wiedzieć o tem, że mam tak zwane nerwy?

To byłoby fatalne. Kobieta nerwowa o tyle jest interesującą, o ile tę nerwowość udaje. Skoro naprawdę nerwy się w niej rozpętają, staje się tem, co ludzie tak wykwiintnie nazywają — *piłą*.

I zanudza...

Całuję cię bardzo serdecznie po szablonowemu,

Tvoja

Rena.

LIST PIĘTNASTY

Droga ty moja! Jedyna na świecie, bo przecież zrozum, że do nikogo się nie mam przytulić, tylko do ciebie, kochanie!

Piszę do ciebie znów dzisiaj, bo tak mi dziwnie jakoś, że mało się nie uduszę własnymi myślami. Są one brzydkie i zmijowate. Czy wiesz? Myślałam całą noc nad tem, że w średnich wiekach bardzo silnie była rozwinięta praktyka owego *envouement*, to jest lepio no figurki swego wroga, lepio no je z wosku i kłuto zatrutemi szpilkami koncentrując w sobie całą siłę nienawiści duchowej, na jaką stać było. Podobno ów pierwowzór figurki miał cierpieć tortury, chorować, ginąć, przepadać, a czasem nawet umierać. Muszę wziąć trochę wosku od froterowania podłóg i ulepić takie dwie poczwary na wzór Kaswina i Halskiego. Zmaczam szpilkę, dajmy na to, w karbolu (który mam od bólu zęba) — i będę kłuła te lalki, kłuła z całą pasją...

Tobie się przyznam. — Właściwie kłułabym nie figurki, wyobrażające małego i Halskiego, ale z większą ulgą te dwie ich... partnerki, w których objęciach zapominają o mnie.

A może nie zapominają.

Może — właśnie — wtedy...

No, ale w każdym razie rola to chyba nie bardzo zaszczytna, choć poetyczna.

Być tym... Nieosiągniętym celem.

Enfin — inaczej być nie może.

Ale mi dziś od rana, jak kobiecie, której już od dawna, od lat całych nikt *kwiatów nie przyniósł*.

Może i ty czujesz to czasem w twej bezmiernej obowiązkowości? Nagle ujrzałaś, że przez ulicę niosą cudny kosz kwiecia. Takie to zalotne, różowe, liljowe, jakieś kwiaty rozwiane, jak sukienki greckich tancerek. Wiatr igra z wstążkami kokard i delikatną koronką paproci. Czuć w tym koszu kwiatowym miłosny pęd ku pięknej jakiejś, leżącej wśród koronek kobiecie. Ten kosz stanie w półcieniu sypialni, w której pachnie heliotropem, konwalją, pudrem marechal.

Różowo tam i złoty od włosów kobiety.

Na dywanie zapomniano pantofelek, haftowany złotem, i słońce południowe przez muśliny firanek igra z blaskami w gwiazdeczkach haftu... Na szezłagu delikatnie warczy cudowny King Charles, o olbrzymich czarnych oczach i potwornej mordzie chińskiej pokraki.

Ach! A propos — kupię sobie takiego King Charles'a. To właśnie będzie sto razy więcej warte, niż ci wszyscy „uwieltiacze” i „przyjaciele” dla których właściwie jestem niczem. Nazwę go „*amour*” — miłością — i będę miała dziką satysfakcję tresować tę miłość i wlec ją za sobą na sznurku. — Raczej — właściwie nie powinnam nazywać King Charles'a *Miłością*, bo to przecież profanacja, ale raczej *Żądzą*, *Pasją*, *Namiętnością*.

Bo tem wszystkim, niczem innym są pobudki, jakie kierują tymi panami w postępowaniu z ich kochankami.

Miłość — to może nawet to, co czują dla ciebie, dla mnie... Bo oni nie są zdolni odczuwać tej delikatnej tkanki miłosnej, nie składającej się przecież z grubo ciosanych belek zmyslowych. Nazywają to romantycznością. Mylą się najzupełniej. Romantyzm jest tylko pozą i gestem. W gruncie rzeczy kończy się zawsze upadkiem w błoto (jak to uczynił Ali), albo czemś niby wyższym, a co jest tylko groblą na błocie (jak to uczynił Halski). A że romantyczność jest nieszczerą i tylko tkwi w powierzchownej warstwie miłosnych uzdolnień ludzkich, więc raczej ja jestem *romansowa*. Tak jest — romansowa. Lecz w szlachetnym tego słowa znaczeniu. To, czego się dopuszczam poza tem, to jest drobne koncesje, czynię to raczej nie dla własnej satysfakcji, (bo tej nie cenię), ale dlatego, iż z żalem widzę, że miłość ich (czy co tam dla mnie czują), potęguje się tem właśnie postępowaniem.

Ach, Helu! Helu! Bystra jestem bardzo i to mnie gubi. Beyle mówi, że *Władza skromności jest tak wielka, że kobieta wrażliwa dochodzi do tego, że się zdradza względem kochanka więcej czynem, niż słowem*. — Powiedział mi to raz Halski podczas naszych podjazdowych walk o istotę skromności. Czasem więc dlatego następują małe, niby bezwiedne, niby pomimo mej woli koncesje.

I doprowadzają...

Ach Helu! Helu!...

Wolę zakończyć ten list. Jestem bowiem w okresie mej katylinarnej egzystencji. To wczorajsze wycie moje samotne na fotelu przedłuża się w głębi mnie i przechodzi w gniew, prawie upadający. Czuję się marną i żadną, czuję się strojną i nędzną moralnie. A wiesz, dlaczego? Bo *duma* moja nie wykwita ze mnie samej, ale jest raczej wynikiem potrzeb mej egzystencji. Tak mi się dzisiaj przedstawia. I nie wiem sama, czy gdybym była jeszcze w domu męża, mająca ów „parawan”, kto wie, czy w tem usposobieniu, co dzisiejsze, nie dopuściłabym się tego, co tamta z Warszawy dopuszcza się z Halskim!

Ach! nie, nie! — podrzyj ten list, spal go! Wyrzuć!... To mnie niegodne.

Jestem zawsze gronostajem, przewijającym się po śniegu. Bielsza, niż łabędź... Piszę w stylu rozpasanej literatury.

Nie poznają siebie. To wina mej samotności.

A przecież nie chcę widzieć Alego. To wstrętne. Fizyczny wstręt mnie ogarnia. To silniejsze nademnie. Nie wiem, czy i do Halskiego odczuję taki sam wstręt. Zdaje mi się jednak, że tu będzie pewna różnica. Sprzedajność w sprawach miłosnych wywołuje u nas, kobiet uczciwych, tę odrazę fizyczną do istot, sport ten uprawiających.

Prawda?

Zresztą — dość o tem.

Krzyż.

Zajmijmy się czem innym.

Oto — Janka — wiesz, Janka Murawska, ta, zaręczona z Ottowiczem, dostała od swego „narzeczonego” cudowny płaszcz, zahaftowany bajecznie w jakieś mistyczne desenie. Powiadam ci — marzenie. Sprowadził go od Doucet’a z Paryża. Tło — jedwab koloru morza. Gdzie właściwie się w niego ubierze? Nie wiem. Bo niby czy widzisz *taki* płaszcz w naszej obszarpanej dorożce? A Janka jeszcze długo będzie jeździć tak dorożkami, bo ten rozwód Ottowicza bardzo niepewny. Podobno jego żona strasznie się zacięła i żąda bajońskich sum za odstąpienie swych praw małżeńskich. Ja przypuszczam, że to jest żądanie słuszne zupełnie, i gdyby pan Bohusz miał pieniądze, i ja żądałabym porządných sum jako odszkodowania. To słusznie się żonie od męża należy i tak to jest mądrze postanowione w społeczeństwie. Ostatecznie — oddajemy im naszą młodość, piękność i cnotę. Słusznie więc, ażebyśmy za te ofiary były *zabezpieczone*. Dlatego żona Ottowicza jest mądra bardzo i powinna się trzymać w cenie.

Ja głupia jestem, że przystałam tak na rozwód bez dowiedzenia się, czy rzeczywiście mój mąż nie może mi zapłacić pewnej sumy za to przystanie. Ale podejrzewam, że pan Bohusz jest trochę szczywany i ma tam gdzieś pieniążki ukryte. Może jako możnaby dowiedzieć się, jak właściwie rzeczy stoją i zażądać owego odszkodowania. Tylko nie wiem, jak się zabrać do rzeczy, żeby wytropić całą prawdę. Muszę się poradzić mego adwokacyny. Sądzę, że po sentymencie, jakim tchnęła moja ostatnia urządzona mu scena, dużo będę

mogła z niego osiągnąć. Doprawdy — zdalaby mi się jakaś większa suma, pozwoliłaby mi spokojnie czekać na owo nowe... małżeństwo.

Tylko — wiesz — już teraz będę mądrzejsza. Każę sobie zapewnić jakąś sumę porządną w intercyzie ślubnej. Niech wiem przynajmniej, za co i dlaczego. Otaksuję się bezstronnie i uczciwie. Ale niech płacą!

Ktoś dzwoni.

Nieśmiało. To Ali! Ach! Nie chcę, nie przyjmuję. Co on sobie wyobraża? Chce wnieść do mego domu atmosferę swej sprzedanej i kupionej miłości? Aż mnie głowa rozbolała od tej samej myśli. Co to jest jednak ta nasza wrodzona uczciwość? Cały organizm burzy się i buntuje na myśl o kontakcie z kałem i rozpustą. — Drzę cała i tylko całuję twoje pocziwe i uczciwe oczy. To mnie jakby oczyści i uspokoi.

Tvoja

Rena.

LIST SZESNASTY

Helu!

Przyjechał.

Twój Halski. Spotkanie. Niespodziewane. Banalne. W sklepie. Kupuję obrus i serwetki do herbaty. Lila. Skoro się na nim rękę obnażoną położy, bardzo twarzowe. Stoję przy kontuarze. Szczęściem, miałam na sobie suknię tę z dekoltażem. Byłam zondulowana i turban mój tiulowy, czarny, robił mi ton jakiś tajemniczy i niezwykajny. Widzisz, jak trzeba być zawsze pod bronią. A nie miałam już ochoty *ubrać* się dzisiaj. Omal nie wyszłam na miasto w mej pepitce. Tej do szarżania. Coś mnie tknęło i natchnęło. Stoję tedy w sklepie bieliznianym i kupuję serwetki. Nagle w lustrze dostrzegam jego.

Schudł, zmizerniał. Ale jest w nim coś, co rozbraja. Zamiast wstrętu, jak do Alego, budzi się we mnie nieprześlągana chęć walki, zdobycia go, odebrania tej niewidzialnej, a istniejącej.

I wiesz, co czynię?

Instynktownie.

— Oto — każę sobie czempredzej podawać najwytworniejszą bieliznę damską. Znoszą pudła batystów, koronek, walansjenek i klocekowych, dalej hafty szwajcarskie, delikatne jak pajęczyna. Nagle cały wdzięk naszych *dessous* ujawnia się zwycięsko.

Odrzucam wzgardliwie blade, pastelowe, kolorowe batysty i jedwabie.

— To... nie dla mnie! — mówię, wydymając wzgardliwie usta.

Widzę w lustrze, iż na dźwięk mego głosu — *on* tam, wybierający kołnierzyki, drgnął i odwrócił się.

Ja — nic.

Pochyłam się nad śniegiem koszul, pod które bardzo chytrze podłożono jutrzenną, różową bibułkę. Jakby przebijało od snu rozgrzane ciało kobiece. Ściągam szybko rękawiczkę. Obnażona moja poza łokieć ręka przebiega puchy i śniegi koronek. Widzę (ciągle w lustrze), iż czynię prześliczną sylwetkę *noir et blanc* — tak wdzięcznie wygiętą w mych czarnych, cieniuchnych szatach na tle tej nieskalanej bieli. Umysłnie rozrzucam czarujące i leciuchne piękności, aż nagle — chwytam czarną, jedwabną koszulę, pociętą całą ażurem koronek, i rzucam ją niedbale pomiędzy wybrane białe batysty.

— To wezmę także — mówię troszkę przyciszonym, jakby zdławionym głosem.

Subjekt, który mi usługuje, jest prześlicznym blondynem, o jakimś rozmarzającym uśmiechu. Tak wyglądała twarz *Rolli Mussetowskiego*.

— No — co począć? — Tak wyglądała! Ale *dziś* subjekt dla mnie nie istnieje. Cała myśl moja i siła skoncentrowała się tam, na tej postaci, czerniejącej w ukośnym promieniu słońca, który się przedziera do wnętrza sklepu przez zastawioną wystawę okienną. W tem odbiciu lustrzanem nabiera on wrażenia złudy jakiejś i lękam się, czy nie jest on czasem wytworem mej wyobraźni. Czegoś cieszę się, że mi padł na ręce. Wyobrażam sobie, iż ta walka teraz to już będzie zupełnie *serjo* i doda życiu memu interesu, bez którego egzystencja samotnej kobiety jest niemożliwa. Czuję, że mam w sobie potężny bodziec, który mnie uzbroi w cudowne siły i doda wężowej przebiegłości.

— To będzie — zemsta.

Tak — i do walki z tym wrogiem muszę użyć broni, która go dosięgnąć może. Odrzucam precz wszelką romansowość, a czas jakiś popadam w zmysłowość huryski, pragnącej za wszelką cenę zdobyć chustkę sułtana.

I ja pragnę zdobyć od sułtana nie „chustkę”, bo tę — Boże drogi! — uważam jako *malum necessarium*, ale... obrączkę ślubną.

— Tak — przyznaję się otwarcie.

I dlatego roztrząsam z takim szykiem i powolną, senną gracją te stosy batystów i koronek...

Wszystkie ścieżki są dozwolone, skoro prowadzą do Rzymu.

I widzę — co?

Oto mój, a raczej twój Halski zachowuje się jakoś biernie i obojętnie.

Poznał mnie, ale popatrzył na tę koronkową grę i... powrócił do swych kołnierzyków.

Poznałam, iż byłam na *fausse route*.

Przestałam igrać z koronkami, odwracam się i mówię:

— *Tiens!* To pan!... Nie widziałam.

A on na to:

— Przypuszczam!

— Dlaczego?

— Bo nie byłaby robiła pani takiego *etalażu* ze swych tajemnic.

Widzę, iż w kącikach jego ust gra ciągle ten sarkastyczny, niepochwytany uśmiezek. Nie wiem znów, czy prawdę mówi, czy szydzi...

— Nie rozumiem pana — belkocę i co najgorsza, że tracę swoją pewność.

— Rozumie mnie pani doskonale! — mówi z zupełnym spokojem i odchodzi do kasy, aby zapłacić za swoje kołnierzyki.

Przy kasie siedzi ładna, świeża, zmysłowej urody dziewczyna. Widzę, że Halski uśmiecha się do niej, jak do swej dobrej znajomej, ślicznym uśmiechem swych czarujących, trochę za czerwonych i nazbyt „ponętnych” ust. Jestem podniecona i czuję, że mam głupią minę z memi batystami. Mussetowski subjekt zachwala dalej *combinaisons*, nawlekane sentymentalnie błękitną wstążeczką.

— To bardzo wzięte i praktyczne — mówi — właśnie pani mecenasowa Ottowa wzięła po trzy takie dla siebie i dla córki... Na wyjazd doskonale.

Głos jego brzmi płaczliwie i monotennie.

Ja patrzę na to, co się dzieje przy kasie.

— Czy pani dobrodziejka weźmie taką *combinaisons*?

— Wezmę! — odpowiadam z rozpaczą.

— Ile par pani dobrodziejka każe odłożyć?

Pani dobrodziejka, gdyby mogła, udusiłaby tego Rollę od *combinaisonów*.

— Dwie!

— Z błękitną, czy różową wstążką?

— Tak!

— ?...

— Z błękitną.

— I tę czarną koszulę?

Na co mi to wszystko, skoro on zapłacił już i pożegnał z wdziękiem kasjerkę, która aż się mieni od tej króciuchnej rozmowy. Potem — jakby sobie mnie przypomniał, zdaleka składa mi ukłon w ten swój specjalny sposób, ogarniający mnie całą. Tak, od stóp do głowy. Dreszcz mnie przeszywa. Chciałabym mu rzucić w twarz, że jest podły i że go nienawidzę.

Ale on ujął klamkę — i już go niema.

A ja pozostałam z kilkoma koszulami, nadzwyczaj drogiemi, z dwoma *combinaisons* o błękitnych wstążkach to jest z wydatkiem kilkudziesięciu guldenów...

To też, gdy subjekt płaczliwym głosem zapytuje mnie:

— I ta czarna, jedwabna koszula?...

Wyrwam mu ją z ręki i rzucam, aż pada poza kontuar.

— Nie potrzeba. Nie chcę.

Z rezygnacją twór Mussetowski pochyla się po ten czarny łachman, „przy którym ciało wydaje się bielsze”. Ja tymczasem idę do kasy płacić za moją przegraną. Widzę stanowczo, iż kasjerka ma jeszcze na twarzy, w uśmiechu, w oczach, odbłask tego zmysłowego wdzięku, jaki cechuje Halskiego. Znajduję ją wstrętną i bezwstydną. Mówię do niej jak do psa. Ona, pogrążona w swej ekstazie, nie zwraca na to uwagi. Wychodzę ze sklepu formalnie rozwścieklona. Wskakuję do dorożki, bo czuję, że jestem brzydka i boję się, aby nie spotkać jego. Taszczę ze sobą swoje batysty, które poszarpałabym chętnie w kawalki.

I oto było moje *spotkanie* z tym nikczemnikiem!

Czuję, że on mnie nigdy ani odczuć, ani zrozumieć nie potrafi.

Twoja

Rena.

LIST OSIEMNASTY

Helu!

Uspokoiliam się.

Wiesz, kto mi dał doskonałą radę? Oto Janka, owa narzeczona Ottowicza. Ciekawa rzecz, jak ta dziewczyna jest *experte* w tych rzeczach. Możliwy przypuszczać, Bóg wie co, gdyby się nie wiedziało, że jest absolutnie bez skazy. Zapewne, że tu gra rolę przedziwna intuicja. Otóż zjawiała się u mnie wczoraj po południu, bardzo szykowna, bardzo angielska i zawsze doskonale ubrana. Miała w ręku cudowną złotą torebkę, wartości co najmniej sześciuset koron. Prezent Ottowicza! Otóż powiedziałam jej wszystko. Byłam w takim dniu, w którym musi się mieć powiernika, bo inaczejby się człowiek udusił. Wygadałam przed nią wszystko. Umie słuchać. Ładnie słucha i mądrze. Widocznie pochlebiała jej ta rola, jako że ja, starsza od niej i ta, która „przeszła już przez życie” — zwierzam się jej i zasięgam u niej rady. Ale nie pokazała tego po sobie. Miała ciągle tę minę wyższości, to jest istoty, której *takt* nie zbacza ani na chwilę z drogi obranej, a to co się nazywa *folle du logis*, jest zamatowane i zamknięte do osobnej komórki. Patrzyła na mnie swemi dużemi, imponującymi oczyma i robiła wrażenie żony Cezara, „która nie może być *posądzana*”.

— Cały błąd twój — wyrzekła powoli, ważąc każde słowo — jest to, żeś się zanadto pośpieszyła.

— Jakto?

— Naturalnie. Pośpieszyłaś się wtedy, gdy Halski jest nasycony, a właściwie przepojony kobietą. Zbłądziłaś, idąc ku niemu ze zmysłową podniętą. Należało właśnie uderzyć w strunę nie sentymentu, ale rozumnego ideału. Zamiast rozwiewać przed nim koronki i batysty, trzeba było zapytać go o jego odczyt w Warszawie, o powodzenie, o to, czy czuł, iż zawiązuje się pomiędzy nim i słuchaczami kontakt, czy był odczuty, zrozumiany. Należało leciuchno podniecić w nim strunę jego wielkości, a co do zmysłów, te pozostawić na boku.

Czułam, że ma rację.

Powiedziałam jej z uwielbieniem:

— Masz słuszność. Jesteś mądra. Skąd wiesz o tem wszystkim?

Odpowiedziała mi skromnie:

— Zgaduję.

Poczem zapytała mnie:

— Chcesz się wydać za Halskiego po otrzymaniu rozwodu?

Byłam w wniebieszczoci.

— Może! — odpowiedziałam.

Myślała chwilę.

— Nie jest to bardzo błyszcząca partja! — wyrzekła nareszcie. — Ma tam jakiś kapitalik, jest tym profesorem — ale... jeżeli masz na niego gust...

— No, znów tak bardzo...

— W każdym razie zapamiętaj sobie jedno. W drobiazgach możesz się zapomnieć, to nie ma konsekwencji. Wszystko to może być podciągnięte pod miano flirtu i to wystarczy. Lecz co do punktu głównego i zasadniczego, nie ustępuj!... Niech ci się nie zdaje, że

może tem właśnie zobowiązesz mężczyznę, że jego honor etc. Nigdy! To są złudzenia. Gdy spragniony podróżny się napije, odchodzi od źródła obojętnie, a czasem pluje w jego powierzchnię. Tak samo i z nami. Naprzykład ja i Ottowicz... Czy sądzisz, że szalałby za mną, gdybym nie była dlań tą twierdzą niezdobytą, broniącą się z całą godnością i dumą. Co innego, że pozwalam, aby nieprzyjaciel... wtargnął czasem na okopy. Ale to wszystko. Sama forteca jest niezdobyta.

Uśmiechnęła się milutko.

— Gibraltar!

Patrzyłam na nią z podziwem i zazdrością.

Po prawdzie mówiąc, Janka jest brzydka i nie tak bardzo młoda. Ottowicz jest nadzwyczaj przystojny, bogaty i rozumny. Żona Ottowicza jest jedną z piękniejszych kobiet w kraju. I oto porzuca tę żonę dla Janki, szaleje za nią, obsypuje prezentami, zaniedbuje majątek ziemski, przesiaduje ciągle przy tej „narzeczonej”.

I za to wszystko maluchne koncesje.

Ale tej największej, tej istotnej — *jamais!*

Janka jest naprawdę bez skazy.

Za to szyję dać mogę.

Jak za siebie.

Więc Ottowicz się rujnuje dlatego, że czeka. To proste. Doskonała metoda.

Halski jednak może ma inne pojęcia, inny układ nerwowy.

Pytam więc, ale bez przekonania:

— A czy wszyscy?

— Co?

— Tak szaleją w tem wyczekiwaniu?

Janka odpowiada bez namysłu:

— Wszyscy.

— A jeżeli się znudzą i odejdą?

— To już od nas zależy, ażeby się nie nudzili.

Wyciągnęła się, ręce zarzuciła w tył głowy.

Czy wiesz? Coś po jej twarzy przemknęło. Była jakaś inna, dziwna, zajmująca. Jakby kryła w sobie przepaść tajemnic.

— A jeżeli odejdą do innych, jak Ali?

Skrzywiła się pogardliwie.

— To nam nie uchybia. Nawet brzegu sukni nie dotyka. Powinnyśmy o tem nie wiedzieć.

— ?...

— Tak jest. I ty otwórz chętnie drzwi Alemu i pozwól mu uklęknąć przed sobą. Będziesz jeszcze więcej dla niego Madonnowatą, niedościgłą *Jungfrau* — czy jak tam.

Ziewnęła. Spojrzała na cudny, okrągły zegarek.

— Idę.

— Ottowicz czeka na ciebie?

— Tak! Mamy iść wybrać kufer. Cudowne nadeszły. Poematy.

— Jedziesz?

— Do Marienbadu.

Nie pytam, czy jedzie sama. To znane i uznane, że Janka jeździ sama, a potem *przyjeżdża* Ottowicz.

— A kiedy Ottowicz jedzie?

— Za tydzień.

Jest zupełnie spokojna i bardziej „cezarowa żona”, niż kiedykolwiek.

— Czemu ty nie jedziesz? — zapytuje mnie, zapinając rękawiczkę.

— Nie mogę. Rozwód mnie trzyma.

Westchnęła.

— Szczęśliwa! *Nasz* rozwód, jak utknął, tak ani się chce poruszyć z miejsca. Ta Ottowiczowa jest bezwstydną. Żąda sum bajońskich. Radaby pana Olesia zrujnować do szczętu. Ciekawa jestem, na co jej to wszystko. Przetraci na stroje i wyjazdy. Pusta głowa! Ale ja czuwać i nie dam nas zrujnować! — Nie dam!

Wzięła z kąta cudowną parasolkę. Rączkę stanowiła złota kula, nasadzana chryzoprasami.

Mimowoli wyciągnęłam rękę.

— Och! cudo!

— Prezent wczorajszy od *niego!* — rzuciła niedbale.

Ucałowała mnie.

— Wiesz — coś tam słyszałam. Mamy mieć piknik pożegnalny, czy coś, zanim się rozjedziemy. Zaproszę małego i Halskiego dla ciebie.

Zatrzymałam ją.

— Gdzie to będzie?

— Naturalnie w naszej knajpie. — Chcesz tych dwóch? Może jeszcze kogo?

— Nie, nie. Tylko Halskiego. Alego nie chcę. Obrzydl mi.

— Dlaczego? Zostaw. To bardzo przyjemnie, jak tam coś pod łokciem poetycznie skrzeczy. Zresztą, jak chcesz.

Była już na progu.

— A!... nie dekoltuj się.

— Dlaczego?

— Dlatego, co ci powiedziałam. Halski ma dosyć dekoltażu. Uwiedziesz go łatwiej szczelnie zasłonięta. — Później sobie to odbijesz.

Roześmiała się.

I znikła.

Po jej odejściu miałam wir w głowie i jakaś gorycz mnie ogarnęła. Wiesz, zazdrościłam jej. Tak. Serjo mówię. Zazdrościłam tej płaskiej, żółtej i trochę już w latach pannicy. Imponuje mi znajomością mężczyzn i *lâchons le mot* sprytem kupieckim. Doskonale swe dziewictwo wyprowadziła na targ i znalazła kupca. — A ja marnie drepczę w miejscu.

Ha! cóż... trzeba się *trzymać!*

Może i ja pójdę w cenę.

Zobaczymy!

Twoja

Rena.

LIST DZIEWIĘTNASTY

Co? Jak? Dzieci twoje mają ospę?...

Boże! Co za szczęście, że sypiam w rękawiczkach!

Gdy list twój przyszedł, leżałam jeszcze w łóżku, w rękawiczkach. Pokojowa przynosi mi list, biorę do ręki. Czytam. Ciemno mi przed oczyma. Wyskakuję z łóżka. Pali się w piecu. Rzucam list do pieca i rękawiczki. Wołam pokojówkę, daję jej karbol. Każę, aby zdezynfekowała ręce i tackę wyrzuciła z domu.

— Boże! to straszne. Gdybym dostała ospy, coby się ze mną stało! Ty już masz męża i byt zabezpieczony. Ale ja! Ja! Muszę się dopiero starać, aby coś wreszcie znaleźć możliwego. A tu dziuby! Kto mnie weźmie? Kto? — Ale może Panna Najświętsza mnie uchroni. Pójdę do lekarza, albo każę go zawołać. Niech zarządzi co. Może to cuchnące coś, co to palą od zarazy. A co u ciebie? Pisziesz „dzieci”. Ale czy i dziewczynka? — To byłoby straszne. Podobno smarować kolodjum, czy jeszcze coś. Już nie wiem. Głowę tracę. Pisać do ciebie więcej nie będę. Daruj. Ani ty do mnie. Proszę cię. Kocham Cię bardzo, ale to silniejsze nademnie. I nie telegrafuj, bo to... choć to zdaje się nieszkodliwe. Już nie wiem.

Ale nie pisz! Całuję cię zdaleka, zdaleka!...

Twoja kochająca cię

Rena.

Strasznie mi dziś ciężko, nudno, pusto. Wiesz — chwilami to mi już nawet tego męża żal. Niema na kim ani przed kim demonstrować złego humoru. O Boże! Po co mnie stworzyłeś? Jakąż ciężką walką jest to moje nędzne życie...

I

Rena błądzi po domu, jak dusza niepewna swego przeznaczenia.

Rena ma błękitny, ładny peniuar, nie zapięty zupełnie, a pod nim cienką koszulę. Ta koszula nie jest nadzwyczaj świeża, ale za to peniuar ma atlasową podszewkę. Nastrój umysłu Reny jest podobny do szczegółów jej stroju. Wierzchnia warstwa — ta widzialna dla tłumu, jest nawet błyszcząca i kulturalna. Jest to kultura ludzi, którzy czytają początek i koniec każdego dzieła, „o którym się mówi”. Lecz to, co wewnątrz — ta koszula, ta warstwa własna i niewidoczna, to ma zatęchłe pojęcia zmieszanych, różnych, fałszywych wartości, któremi suggestjonowali to atlasowe stworzenie od kołyski po łożnicę ślubną.

Więc przedewszystkiem rozwiana tam chorągiew pruderji, ta skromność przedewszystkiem — nie była cnotą z potrzeby, nie szła ze źródła kierunku ducha, lecz była to raczej cnota z wyrachowania. Było w tem coś z zasad Chrystjanizmu. — „Ja, Panie Boże, będę uczciwy, ale ty mi za to, Panie Boże, dasz to i to”...

Rena była uczciwą i to, co Francuzi nazywają *prude*.

Tak sądziła. Ale za to cały szereg gestów jej i słów był szeregiem gestów i słów wykonywanych przez handlarza, zachwalającego swój towar. Tak było z pierwszym jej małżeństwem, a raczej sprzedaniem swego dziewictwa. Tak było i teraz, gdy pewien przeciąg lat i doświadczenie rozluźniło pęta, jakie panieństwo nałożyło na nią. Patrząc zdaleka na jej zachowanie się, sądziłoby należało, iż jest to z gruntu istota zdeprawowana i lubieżna. Mimo to przecież była bez skazy, choć wyznawała zasady małej pani Jourdan z Zolowskiego *Pot-bouille*.

— *Tout — mais pas ça!...*

Owo *tout* czyniła z naiwnością prawie dziewczęcą. Doskonale wytresowała się i zakamieniała w tej obojętności, dozwalającej jej igrać i rozniecać dokoła siebie ogniska.

W początkach osiemnastego wieku — tego rodzaju zabawa nazywała się *galanterją*. Przy końcu wieku flirtem.

Obecnie jeszcze się to ciągnie niby flirt. Ale czy flirt, czy galanterja, jest to światowe, opatentowane i usankcjonowane świństwo, w najlepszym razie — *une petite cochonnerie* — przysparzające w najlepszym razie miłości Ninon'om, lub prowadzące do ołtarza w najgorszym razie.

Owe pieszczoty i kokieterje, ponieważ nie są „tkliwemi”, jak chce Beyle — są odrażające.

Najgorsze jest to, że w nich sponiewieraną jest duma kobieca. Strój to powabny, lecz w gruncie rzeczy, gdy zagaśnie lampa, przyćmiona różowym abażurem, dostrzeżę się na nim cery i szych szerniały...

Dlatego to może Rena błądzi po domu, jak dusza niepewna sytuacji.

Szczególniej, że ten Halski...

Rena go nie kocha. Gdyby jej skromność była nią rzeczywiście i należała do niej, jak należy cię — z tego opierania się kuszącym jego propozycjom i naleganiom wynikałaby w Renie miłość. Bo „*skromność jest matką miłości*”.

Tak twierdzą ludzie, żyjący w czasach, gdy pisano *Niebezpieczne związki*. Twierdzą oni również, że kobiety skromne chcą czasem udawać, że wstyd jest przesądem, i wtedy są niezręczne (wzruszająco niezręczne).

Po latach kilkudziesięciu kobiety nabrały giętkości gimnastycznej w tym kierunku.

Gdy są naprawdę w gruncie rzeczy, jak Rena wskutek sugestji — *skromne* (bo są bez zarzutu pod pewnym względem) à la pani Jourdan, udająca bezwstyd, mają pewny gest i rozwianą śmiałość. Nie są „wzruszająco niezręczne”, tylko są mimo wszystko niezgrabne. Najmarniejsza kurtyzana piękniej się porusza w atmosferze zmysłowości, niż najbardziej wyrafinowana, wysubtelniona i najpiękniej wychowana dama „z towarzystwa”. Jest wtedy tak, jak ze sztuką sceniczną. Najmarniejszy prowincjonalny aktorzyzna jest doskonalszy w świetle kinkietów, niż najwytrawniejszy i z dużą kulturą estetyczną amator.

Przedewszystkiem bowiem zachodzi tu ta różnica, iż aktor jest aktorem z powołania i ma aktorstwo swoje za cel główny, a amator jako cel główny stawia zadowolenie swej próżności, lub jakieś inne względy. Kurtyzana z rzemiosła zatracza swoje ja w chwili oplątywania mężczyzny w swe sieci, kurtyzana z amatorstwa (jakiemi są zawodowe flirtiarki salonowe), stawia siebie i swoje cele na pierwszym planie.

Mężczyzna zaś, który w okresie miłości pragnie być tym jedynym, głównym i wyciecznym punktem, koło którego obraca się cały system planetarny, niechętnie dzieli tron, na którym z całą lubością zasiada.

Z początku — ponieważ, jako że galanterja jest smutną koniecznością jego płci — ustępuje połowę tronu kobiecie i pozwala jej *pawić się* przed sobą, uprzejmie nawet oceniając jej pozorne triumfy. Lecz nagle ma tego dosyć. Porywa się i nie chce więcej. On musi mieć skoncentrowaną na sobie całą uwagę i on jeden tylko ma monopol piękna w miłości. Stąd tak chętnie mężczyźni porzucają wykwintne kochanki dla bardzo prostych, nieskomplikowanych i żądnych kobiet.

*

Rena ma dziś właśnie zobaczyć Halskiego. Piknik ów ma miejsce tego wieczoru. Kilka kobiet, kilku mężczyzn. Każda znajdzie swego każdego. Mężowie i przyzwoitki wykluczone. Jest to już poświęcone tradycją zebranie. Mężowie, jak Jasieński, mąż owej Maryli, pretendującej do roli pani de Staël, chętnie godzą się. Toż samo i pan Weychert, partner jego bridgeowy. Pani Weychertowa, kobieta okrągła i prawie piękna, o zbyt dużej głowie i roslym karku, uwielbiana jest od lat kilku przez nader przystojnego redaktora Czyńskiego, który ma żonę chorą, rezydującą stale w Zakopanem. Owo półwdowieństwo Czyńskiego upoważnia go do miłości rozmaitych i w rozmaitych gatunkach.

Mówi się.

— Mój Boże!... Jego żona chora...

I oto...

Pani Weychertowa jest jedną z tych miłości redaktorskich w lepszym gatunku. Mądra jest jednak, prowadzi całą rzecz umiejętnie. Odczuła, iż w gruncie rzeczy Czyński kocha swą żonę i zawsze jest ona tą *pierwszą*. Zmienność Czyńskiego, jego jakiegoś brutalne i bezceremonjalne porzucanie kochanek wynikało z tego, iż te ostatnie zajmowały od razu wrogie stanowisko względem jego chorej żony.

Weychertowa nadzwyczaj subtelnie zrozumiała sytuację, pochwyciła strunę, na której grać była powinna, i wzięła interesa żony w swoje ręce. Czuwała nader umiejętnie nad pisywaniem listów, przesyłką pieniędzy, telegramów, dojazdów pięknego redaktora do ponurej willi wśród smereków zakopiańskich. Zajęła od razu rolę anioła i wzięła na tę rolę patent.

I to sprawiło, że już trzy lata czarnowłosy redaktor o pięknej twarzy tenora „*trzyma się*” Weychertowej...

Pomimo, że podobno — jakoby:

Pomiędzy nimi nic niema.

Tak, jak między Marylą a jej mężem politycznym, panną Janką a Ottowiczem, Reną a Halskim...

Są to kobiety bez skazy.

Lecz są uwielbiane i wyrobiły sobie w świecie pewne prawo do przeżycia swego *półżycia*.

Skoro całem życiem im żyć nie było wolno.

Z tego tedy powodu i mężowie tych kobiet wiedzą, że dziś jest piknik Istot Wolnych. Tak się mieni to całe towarzystewko — o pół moralności — ślizgające się niepewnie na cieniuchnej powłoce lodu. Panowie Weychert i Jasieński, mężczyźni w sile wieku i dobrze odżywieni, spędzą ten wieczór w kole, gdzie podzielią się według swego zwyczaju kilkoma porcjami wykwintnych potraw i butelką szampana.

Jeśli im czas wystarczy i chęć także, pójdą pod rękę do pewnych dwóch znajomych siostr, „*prywatyzujących*” na jednej z bocznych uliczek, celem zabawienia się. Wiadomo bowiem, że „*mężczyzna od czasu do czasu musi się zabawić*”...

Jeżeli jednak nie mają do zabawy animuszu, zagrają wreszcie w bridge'a i pójdą później po żony.

Zonom tym *wierzą*.

Lecz pobłażliwie i szeroko zapatrują się na nie.

Mają tę wspaniałomyślność, iż pozwalają im także się zabawić.

Wprawdzie trochę *inaczej*, niż oni z dwiema siostrami, „prywatyzującymi na piąterku”, lecz...

Niech się biedne kobieciecia zabawią.

*

Stąd Rena wie, iż wieczorem w restauracji Palace Hotelu, w znanym jej dobrze gabinecie, zbiera się niewielkie, ale dobrane gronko.

Ubiera się powoli i z całym namysłem. Idzie za radą uświadomionej panny. Ukryje całą swą *skórę* i zachowa się odpowiednio.

Kładzie na siebie powoli mieniącą się szafirową suknię z jedwabnej, czarującej tkaniny. Wysoki kołnierzyk z gęstego tiulu, naszytego szafirowymi kamyczkami, zakrywa zupełnie szyję. Włosy, gładko uczesane, ujawniają prześliczny, drobny, rasowy kształt głowy. Tylko po obu stronach twarzy lekki puch o miedzianych tonach włosów czyni miękkie, delikatne ujęcie bladej twarzyczce, na której czernieją plamy ciemnych, jakby zmęczonych, proszących o coś oczów.

Rena patrzy na siebie w lustro i sama nie wie, czy czuć się pewną i dobrze w tej postaci. Uczy się przygryzać wargi, szepcze jakieś słowa, powtarza, uczy się tonu...

— Nie rozumiem pana — tak się panu zdaje...

Owija się płaszczem, gasi sama kandelabry na tualecie, bo mimo wszystko nie zapomina, jak być powinno w domu, gdzie pani „zajmuje się wszystkim”.

I oto Rena jest w drodze do boju.

W dorożce zaczyna drżeć. Prostuje się i sama nie wie, jak skądś, z jakiegoś jak najdalszego kąta wypelza modlitwa:

— Panie Boże! Daj, żeby mi się udało — żeby ten... ten...

Czego właściwie chce, nie wie, ale powtarza aż do samego Palace Hotel:

— Panie Boże! Daj, ażeby ten... ten...

Kobiety bowiem zawsze w trudnych sytuacjach miłosnych czepiają się sfer niebieskich, szukając tam odpowiedniego sukcesu.

A im sprawa bardziej zawikłana i przeciw właśnie owej moralności, naznaczonej z góry — modlitwa jest tem żarliwsza i prawie przechodząca w imperatywny ton.

Bo taka jest logika kobiet w sprawach miłości.

II

Więc „gabinet”.

Najbanalniejszy, jaki sobie można przedstawić. Dwa duże lustra, cztery obrzydliwe obrazy, przedstawiające blondynkę, brunetkę, szatynkę i rudą. Wszystkie te pokusy Św. Antoniego, odpowiednio obnażone do pasa, zafryzowane i dobrze podkarmione. Dalej kilka prospektów na ścianie. Jakies tatrzańskie sanatorium przekomicznie reprezentuje góral z kieliszkiem wody w ręce. Kładzie to pewną krajową nutę w atmosferę ogólnoludzką restauracyjnej nory. Poza tem nic nie odda banalności smutnych kelnerów i niekształtnych dwóch zmęczonych sof, pokrytych wełną aksamitu. Biedne, rude pianino odpoczywa w kącie.

Stół wyciągnął swój grzbiet cierpliwie pod jarzmo kanapek, kawioru, cytryn, przystawek. Kilka bukietów więdnie przedwcześnie i kona. Pod ścianami przylepione senne postacie dwóch kelnerów i piccola o twarzy kretyna. Wszyscy trzej mają rozpaczliwie długie spodnie, spadające im w rozlicznych fałdach na płaskie stopy proletariatu. Elektryczność ujawnia jakoś dziwnie nędzę tła i poszczerbienie serwisu, zużycie portjer, brud sufitu. To jest banalne i brzydkie. Odrazu odczuć można, iż girlandy miłosnych słów i dreszczyków nie mogą tu znaleźć odpowiedniego nastroju. Nic w tem niema z tego, co musiała mieć w sobie jakaś loggia, na której przedziwne, białe palce rozmaitych madonn muskały ciemne róże i aksamit strojów kłęzących u ich kolan rycerzy. Woniały ogrody róż, tuje, poważne czarną barwą, dawały im tło świątynne. Przez marmurową balustradę przerzucana purpurowa, aksamitna draperja wlokła się aż do stóp siedzących kobiet. Splatały się i rozplatały palce, usta, serca... Niezaspokojona ciekawość wzbudzała niepokój, graniczący z rozkoszą. Zachodzące słońce rzucało na wszystko gorące, złote oświetlenie. Kobiety

były piękne i biło od nich ciepło, jak od nocy sierpniowych. Brokat złoty ich szat, wyciągniętych silnie na kolanach, lśnił się powabnie. Każdemu mężczyźnie zdawało się, iż znalazł się wobec prawdziwej namiętności. I choć to było kłamstwo, jednak stapało się w uroku tak wielkiego Piękną, takich barw, linii, doskonałego szarmonizowania się, iż kłamstwo doskonalilo się na wzór Prawdy.

Byli piękni i przeżywali Sen prawie *prawdziwej namiętności*.

*

Tak było w lodzji i w czasie, gdy kobiety chodziły w brokatakach, a mężczyźni u ich stóp klęczeli.

Prosilili pokornie — kobiety odmawiały lub zezwalały, nie tracąc ani atomu ze swej gracji i czarującego wdzięku.

Siedemnasty wiek jest bardzo od nas daleki, a patrząc na gabinet, w którym Rena siedzi przy stole milcząca i jakby nieufna, sądzićby można, iż ten „siedemnasty wiek” nie istniał nigdy.

Cztery kobiety i pięciu mężczyzn je kanapki i pije koniak. Różowego ciała kobiet jest pod dostatkiem, bo wszystkie oprócz Reny, są silnie wydekoltowane. Maryla ściśnięta tak silnie, iż łopatki jej tworzą prawie gors odwrotnej strony jej ciała. Surowe prawie *decollete* uświadomionej panny Janiny zatrzymuje się na punkcie domyślników. Cała „ona” maluje się w tej gazie i pasmanterji. Każę się domyślać, pozwala przypuszczać... nic więcej.

Pomiędzy tą orgją ciał szafirowa szata Reny odbija nader szczęśliwie. Jest odmienna, a więc ciągnie spojrzenia. W pierwszej chwili wszyscy mężczyźni zaprotestowali.

Wszyscy, oprócz Halskiego.

Rena, rozbierając się powoli, przed lustrem śledzi, jakie właściwie strój jej sprawi na nim wrażenie. Obrzucił ją szybko jakby zdziwionym wzrokiem. Widocznie sprawiła mu niespodziankę. Oczekiwał szablonu obnażenia, a spotkała go zazdrosna zasłona. Rena podchwyciła na jego ustach uśmiech, któremu nie potrafi jeszcze nadać znaczenia.

Na troskliwe pytanie Alego, czy nie jest zaziębiona, odpowiada sucho:

— Nie, jestem zupełnie zdrowa.

Halski manewruje tak, aby usiąść przy niej. Rena aż drży od tego samego pragnienia, lecz już trzyma się nakreślonej linii, którą zapoczątkowała swą suknią. — Rozmawia z Weychertową, której redaktor Czyński pomaga przypiąć jakiś zbuntowany i rozfryzowany loczek tuż nad samym karkiem.

— Nie tak... nie tak... — szepleni przystojna kobietka.

Wreszcie siadają do stołu i zaraz Halski zwraca się ku Renie. W oczach jego migoce coś, jakby pragnienie flirtu. Ta noc letnia, płynąca od miasta, wreszcie dwa tygodnie pauzy od powrotu zdziałało swoje. Lecz Rena wymienia z Janką spojrzenie przez baterję koniaków i wędzące wiechcie kwiatów.

I grzecznie, swobodnie pyta:

— Jakże było z odczytem? Wiem z dzienników o wrażeniu „sali”. Lecz pan? Czuleś się swój? Zadowolony ze siebie — nie mówiłeś w pustkę?

Halski odpowiada niechętnie:

— Mówiłem w pustkę.

— Rozumiem! Ja nie miewam odczytów, a często mówię w pustkę.

Roześmiał się ironicznie.

— Nie sądzę. To, co pani ma do powiedzenia, zawsze znajdzie echo.

Rena odsunęła się od stołu i z pod zmrużonych powiek spojrzała na niego przeciągle.

I milczała.

Czekał, że się obrazi i z tego wypłynie ton lekkiego przekomarzania, który doprowadzi go wreszcie do uścisku rąk pod obrusem. Lecz ona patrzyła już teraz senną melancholją w światła kandelabrow.

Sforsował więc:

— Pani się nie obraziła?

Stała się jeszcze bardziej smutną.

— Nie, panie! — odparła powoli. — Za co? Mam to, na co zasłużyłam.

— !!!

— Tak! Zwykle używam do wypowiedzania się — mowy, więc nic dziwnego.

Gniew jakiś go ogarnia za ten jej sentyment.

— Jakże ma być inaczej?

— Tak... gdakanie.

— ?...

— Pan sam tak nazywa mowę ludzką. I ma pan rację. Niech pan posłucha, jak się wszyscy rozgdakali dokoła nas...

Rzeczywiście, jak na kołowrotku, jak w kurniku, gdy ptactwu posypią ziarna, warcząły zbyteczne słowa, wypływane masą z ust ludzkich.

— Niech pan patrzy! — Ci milczący kelnerzy mają o wiele więcej dostojenstwa w sobie, niż cała reszta.

I przybrawszy wzrok Madonny, dodaje:

— Nie wyłączając pana.

Czuje, że go stropiła na chwilę. Jest szalenie rada. Ma ochotę porwać serwetkę i zacząć go bić nią po głowie. Jest to ordynarny jakiś odruch, który zbudził się w niej nagle, zazdrosną falą. Z boku, z jakichś głębi pchnęło się ku niej wspomnienie tej jakiejś nieznanej jego kochanki, z którą spędził te długie tygodnie, w czasie których ona nawet płakała w osamotnieniu.

Lecz profil jej jest dziwnie piękny, choć trochę zaostrozony, a te oczy, nie patrzące na niego, drażnią go dziwnie.

Stara się być łatwym do ustępstw.

— Pani ma rację.

Jaką rację, dlaczego, nie wie. Ale zaraz z miejsca dawnym zwyczajem stara się szukać jej ręki, którą ona powoli, umyślnie opuszcza w dół. Chce z nią kontaktu, potrzebuje go. Musi wyczuć atlas jej skóry. Wie, że gdy się to stanie, opór, który w niej czuje od początku kolacji, zniknie.

Lecz oto staje się rzecz nieprzewidziana:

Rena rękę swoją cofa.

Nie dozwoliła mu nawet musnąć paznogci.

Tych długich pazurów pantery.

Położyła znów rękę na obrusie i jakimś skurczem dzikim wpiła te pazury różowe w obrus.

Patrzy na tę grę Halski i myśli:

— „Gdyby tak we mnie! W mój kark, w moją skórę!”

Przeszywa go dreszcz.

Wzięła go...

I pragnie jej.

Nagle porywa się dookoła stołu krzyk.

Ktoś drzwi otworzył. Wsuwa się mąż polityczny. Właśnie przyjechał z Wiednia. Ledwo wrzucił smoking, już jest na dole, stoi bowiem w Palace Hotelu. Witają go jak zbawcę wygłodzonego miasta. Czepiają się pretekstu, aby być także nietylko erotyczną bandą, zebraną tu dla flirtu. A potem wszyscy odwracają się ku niemu z jakąś przesadną, małomiasteczkową afektacją. I ujawniają tem po prostu brak spójni nawet w zakresie swej namiętności, celem której wyładowania się tu zesзли.

Mąż polityczny, wysoki, giętki, dostatecznie podwatowany tłuszczem, wita ich wachlowaniem ręki. Przybiera ton z manieri tych tam z wyższych stanowisk. Zdaje mu się w tej chwili, że jest naprawdę „figurą”. Wydyma klatkę piersiową i przybiera zagadkową maskę profesjonalnego dyplomaty. Nauczył się zdobić swe wygolone usta półuśmiechem, który jakoby gnieździł w sobie mnóstwo fałszu i kłamstwa.

Pochyla się także kunsztownie. Jak ten, który dużo mówi na trybunie, wspierając się znużony na w kulak złożonych rękach.

Tymczasem mąż polityczny właściwie nie odzywał się do tej chwili nigdy.

— „Na komisjach właściwie!” — odpowiada skromnie, pytany przez niedyskretnych.

Lecz zawsze przedstawia on tu to coś wyższego, niedoścignego, coś trącającego wonią jakby przedpokojów Burgu — coś, co na przeciętnych śmiertelników spada w formach bardzo uproszczonych, jako policja, podatki i tym podobne. Ma swój szyk i działa zwłaszcza na taką Marylę.

Wyciąga ku mnie ręce, garnie się, jubiluje cała w swej obcisłej *vieux rose* sukni, narzuconej koronką...

— Tu, koło mnie!...

Zatapia w niego oczy. On uśmiecha się dobrotliwie. Jest to jeden z tych mężczyzn, którzy pozwalają się kochać.

Odczuć to zaraz można w sposobie, w jaki usiadł i czeka, aby się nim zajęto. Podniósł wysoko głowę i łaskawie odpowiada na pytania, ogniowo skierowane ku niemu.

— Cóż tam w Wiedniu?...

Maryła opiekuńczo przecina odpowiedź:

— Nie, nie... proszę odpocząć. Oto koniak, kanapki! On zmęczony! Później!...

— Zajmijcie się sobą!

W gruncie rzeczy odgaduje u Czyńskiego zawisłe na ustach pytanie:

— Cóż Wiedenki?

A że jest zazdrosna o swoją władzę, a raczej cień owej władzy, nie chce tracić iluzji i wywoływać widma owych Wiedenek, szerokich w biodrach i piersiach, odzianych jak papugi i opędzających się wzdłuż Kärntnerstrasse i Grabenu z zaciekłością, godną lepszej sprawy.

Powoli wszystko wraca do normy.

Ręce znikają pod obrusami — jakiś przytłumiony chichot wyrwie się czasem. Jeden Ali błądzi beczynnie poza krzesłami, przyzywany lub odpędzany w razie potrzeby. Kolacja idzie swoim trybem, niewyraźna i niesympatyczna. Nie jest to orgia, a przecież czuć, że dzieją się tu rzeczy nieprawidłowe i niedozwolone. Od czasu do czasu rozmowa staje się ogólną — jakby ci wszyscy czuli się w obowiązku uczynić coś dla zamarkowania swej przyzwoitości. I zaraz potem głosy się ścinają i rozchodzą, aby zanikać w szept, przecinany chichotem.

Rena jednak, która zawsze doskonale nastrajała się na ten fałszywy ton udanej wesołości, dziś przybrała zupełnie inny sposób. Przeważnie trzyma się odsunięta od stołu, wargę ma wydetą, biust naprzód podany. Od strony Halskiego przebiega po niej jakby dreszcz. Tłumaczy to sobie fizyczną odrazą, jaką budzą w niej reminiscencje jego zbliżenia się do innej kobiety.

Rzuca przez zęby:

— Ach! Jakie nudy!

Halski się dziwi.

— Tu, wśród wesołości?

— To wesołość?

— To więcej niż wesołość! Prawie szal.

Oboje wykrzywili się ironicznie. Odwróciła się twarzą ku niemu:

— Wstrętne!...

— Po cóż pani tu siedzi?

Rzuciła przez zęby:

— Gdzież pójde?

— A! Więc tak... z nudów — z braku czego innego...

— Tak! — odparła twardo — z braku czego innego!

Uczuła, iż jest gotów, aby zadać jej jedno z tych pytań, któremi zwykł wyprowadzać ją z równowagi.

— A gdyby dane pani było przeżyć jakąś wielką, wspaniałą, klasyczną rozpustę, czy rzuciłaby się pani w nią?

Milczała chwilę.

Ogarnęła sytuację. Nie chciała mu się wydać tak skromną, że aż beztemperamentową. Lękała się również być przed nim spragnioną Messaliną...

Zasłoniła się zagadką.

— To jest rzecz moja! — odpowiedziała, starając się głosowi swemu nadać bardzo zmysłowe brzmienie. Równocześnie jednak przyoblekła twarz w wyraz prymitywnej boskości.

— Tak będzie najlepiej — myślała.

Lecz on zaczął śmiać się nieprzyjemnie.

— Pytanie za silne dla pani — nie wie pani, co z niem począć! Zapomniałem, że pani nie potrafi być ani na chwilę żywiolową. A to jedno coś warte — poza tem nic.

Wyprostowała się z godnością.

— To jedno?

— Tak — w dziedzinie miłości.

— Och! Ciągłe ta miłość!...

— Jesteśmy obecnie na tej ścieżce. Po to się tu zesłaliśmy. Zdaje mi się przynajmniej. Po to te panie wybrakowały stąd swoich mężów, ta panna swą matkę... Jeżeli się zjedziemy na posiedzeniu jakiegoś komitetu, organizującego coś tam dla... społeczeństwa, to mówić będziemy inaczej, tak samo w dyskusji nad twórczością w jakimś kierunku. Lecz dziś bądźmy szczerzy. Jesteśmy po to, aby krążyć dookoła miłości, więc...

— Miłości!...

— Pasji, żądz, namiętności, sentymentu. Jak pani chce. Ja to nazywam miłością! — Słowem, *Cour d'amour*.

— Och, proszę, bez bluźnierstw.

Nagle zaczął mówić cicho, krząc delikatnie kanapkę, przystrojona jak baletniczka:

Mignon allons voir si la rose

Qui ce matin avait eclose

N'avait perdu à la vesprée

Sa robe...

— Ach! przestań pan, proszę.

— *Tiens!* — Pani nie lubi Ronsarda i jego plejady...

Uśmiechnęła się gorzko.

— Przypomina mi to — rzekła — jedną damę, którą prosiłam, aby przykróciła bębienie gam swej córki w sąsiednim mieszkaniu. — „To pani nie lubi muzyki?”

Myślała, że się obrazi, ale on roześmiał się, zjadł kanapkę i odpowiedział:

— Te panie nie są tak jak pani wybredne.

Rena z niewysłowionym niesmakiem potoczyła wzrok dokoła. Zanurzona w rozmowę z Halskim, nie zauważyła, jakie „kolacja” uczyniła w erotycznym kierunku postępy.

Panie piły od samego początku szampana, racząc się w obrzydliwy i niepomiarkowany sposób tym fałszywym trunkiem. Powoli ordynarność wina, które chłonęły, jego zdemokratyzowanie się, zapoczątkowane przez żydowskich komiwojażerów i koszlawe szansonetki — jakby weszło w krew tych kobiet. Mężczyźni bowiem, przywykli do picia tego brzydactwa, pozostali sobą.

W kobietach jednak przez wszystkie pory przejawiała się trywialność natury sztucznego podniecenia kobiety. Śladu tam nie było namiętności o wielkiej, olbrzymiej sile i linii, która usprawiedliwia nawet zbrodnie — nawet występki...

Tam była szpetota płaska, łącząca po bagienkach małych dreszczyków i duszonych westchnień. Nie było to upojenie dziewczki, tonącej w świeżo skoszonym pęku trawy, której woń zawrotna wędnącego kwiecica dyszy na nią całą siłą natury, lecz pisk łaskotanej dziewczyny, którą parobek upoił kieliszkiem wódki i ma za to prawo bezcześcić szpetotą brzydkich gestów.

Rena była trzeźwa — nie piła wcale, nie wysączyła jednego kieliszka. Od samego początku odepchnęła od siebie Alego, który pragnął ją skłonić do przyjęcia udziału w ogólnej pijatyce. Obrażony chłopak poszedł schronić się do drugiego boku uświadomionej panny, która tę część swej indywidualności miała na razie niezajętą. Ottowicz bowiem, jako człowiek muzykalny, uznał za stosowne, iż od bażantów z sałatą poczawszy, należy, aby w gabinecie było trochę „muzyki”. Rozpoczęła się serja powolnych walców, szpetnych i Wiedniem nasiąkniętych po to, aby skończyć się na *Solfegietto* Bacha i przejść w *Rondeau* Cooperina. Nikt nie wiedział, co Ottowicz gra. To było obojętne. Był to jeden dźwięk więcej, dla nich i wszystkich zupełnie niezrozumiały.

Przypuszczalnie, na razie i dla samego wykonawcy, który wykonywał te drobne arcydzieła zamierzchłych, czarujących czasów z papierosem w ustach i kieliszkiem szampana, czekającym na pianinie.

— One są obrzydliwe! — wyrzekła nagle Rena.
Halski się obruszył:
— Dlaczego? — Są tylko nieszczerze i wystygłe; podniecają się i budzą w sobie ko-
biecość... na gwałt.
— Po co?
— Jakto po co? — Kobieta bez namiętności jest właściwie obrzydła — *passes l'expression...*
— Pan-byś chciał, żebym to samo zrobiła, co one...
Utopili w sobie oczy.
Żrenice ich zmętniały.
— Chciałbym — wyrzekł cicho.
Uczuła, że był także trochę pijany. Nie tyle winem, ile jej oporną obecnością.
Uczuła się wyższą ponad niego i cieszyło ją to.
— Naprawdę!... — wyrzekła wyniośle. — Ja wyznaję ascezę. Jest ona i piękną i zdro-
wą.
— Nie bardzo.
— Ja jestem zdrowa.
— No, tak na pozór. Ale pani jest na drodze do hysterji klasztornej.
Zaczęła śmiać się sztucznie i z przesadą.
— Niema obawy, jestem zupełnie *en forme*.
Nagle poczuła jego rękę obejmującą ją delikatnie. Rzuciła wzrokiem dokoła. Wszyst-
kie pary były po prostu pograżone w jakichś praktykach dyskretnych zbliżeń.
Ali, zupełnie przyklejony do uświadomionej panny, układał jej z wykalacek jakieś
niedwuznaczne rebusy na obrusie. Redaktor Czyński, napisawszy pod dyktandem Wey-
chertowej korespondentkę do swej żony w Zakopanem, całował dołek w łokietku pięk-
nej pani z nadzwyczajnym apetytem i rozkoszą. Mąż polityczny, odpowiednio wypoczęty
i nakarmiony przez Marylę, miał jej dużo do powiedzenia po cichu — o wiele więcej
z pewnością, niż na komisjach. Maryla świeciła się zdaleka i promieniała niewyraźnie,
jakby przesycona światłem jakiejś pasji, trawiącej ją wewnątrz.
Rena zastanawiała się teraz z całą przytomnością, co jej czynić wypada. Czy drgnąć,
rzucić się i przyznać się w ten sposób, że dotknięcie Halskiego oddziaływa na nią zmy-
słowo, czy raczej udać, że nie czuje nic i że Halski nie ma nad nią pod tym względem
przewagi. Szybko wybrała ten drugi system.
Wydał jej się lepiej prowadzący do celu.
Z nieporównaną ironią zwróciła się ku swemu partnerowi:
— Czy pan zechcesz usunąć swoją rękę? — zapytała wyniośle — przeszkadza mi —
i bez tego jest dosyć gorąco!
Zmieszał się. Szedł najczęściej drogą brutalnych i śmiałych gestów i to udawało mu
się wobec innych kobiet znakomicie. Rena tak doskonale zagrała wobec niego komedję
zupelnego chłodu, iż uczuł się zderutowany.
— Przepraszam! — wyrzekł zmieszany.
— O! Nic nie szkodzi! — odparła, powstając od stołu — zdawało się Panu, że jeszcze
jest u swych znajomych w Warszawie!...
Gdy wymówiła to słowo, targnęło się w niej aż wszystko. Uczuła, iż popełniła nie-
zręczność. Wydała się z tem, iż była zazdrosna. Chciała to jakoś naprawić. Lecz było
zapóźno. Miała do czynienia ze zbyt wytrawnym graczem.
Dostrzegła na jego ustach uśmiech triumfu.
— A... tędy droga...
Zmieszana podeszła do pianina. Znalazła się sam na sam z Ottowiczem.
On grał ciągle, zanurzony w preludja Bacha. Był to dziwny człowiek, łączący
w sobie subtelne, artystyczne uczucie z brzydkim, prawie płaskim serwilizmem w miłości.
Rena w tej chwili uczuła ku niemu jakiś pociąg, jakby coś wspólnego ich łączyło,
czego określić nie umiała. Nie kochała przecież nikogo, a tem więcej Halskiego, ale jakaś
obroża żelazna erotyzmu zaciężyła jej na karku.
Oparta o pianino, słuchała chwilę.
— Niech mi pan zagra *Warum Szumana!* — poprosiła.

Uczynił zadość jej żądaniu. Zaczęły ją opływać urywane, denerwujące, szarpiące zdania muzyczne. — Miała ochotę zacząć krzyczeć, lkać spazmatycznie, wołać.

— Dlaczego!...

Opamiętała się. Czyżby rzeczywiście czyhała na nią owa histerja klasztorna?

Głupstwo! To otoczenie wstrętne tak działa. Zaczyna zapominać o celu, do którego dążyć winna.

Pozostać bez skazy — i małżeństwo...

Ach!...

Zamiast obroży erotycznej poczuła straszny ciężar na swych barkach. Coś ją gięło ku ziemi. Wyraz jej twarzy był naprawdę zmagający się i bolesny. Oczy mimo woli błędziły. Spotkała się z wzrokiem Halskiego, który pozostał przy stole i w milczeniu pił czarną kawę. Przed nim leżał na stole stos różanych liści, które oberwał widocznie ze stojącego przed nim na stole bukietu, w przystępie rozdrażnienia...

We wzroku jego Rena pragnęła mimowoli spotkać jakieś współczucie. Tak jest. W tej chwili uczuła się jakby raną i jakby nieszczęśliwą.

Zazdrościła tym kobietom ich łatwej szpetoty i nie wynosiła się swą pięknnością prostolinijną. Lecz w oczach Halskiego migotała teraz lubieżna ironia mężczyzny, radego, że złapał kobietę na zazdrości i wobec tego bezbronnej i zdanej na jego łaskę i niełaskę. Nie spieszył się ku niej — bynajmniej. Teraz mógł i chciał ją przetrzymać.

Był jej pewnym.

Wszystko to bez słów przepłynęło ku nim dwojgu na fali wysnutej z Szumana i zginęło w przestworzu. Ktoś, zdaje się Ali, poskoczył ku oknu i otworzył je na rozcież. Wszyscy bowiem teraz palili papierosy. Wytwarzała się atmosfera kordegardy. Przez otwarte okno, wychodzące na ciasny dziedzińczyk hotelu, wpłynęło skandaliczne pomieszanie przezryzanej woni letniej, czarującej nocy i odoru kuchni i gnijących w kubłach odpadków. Szło to całą falą w gabinet, w ciemności rozjaśnionych jasną plamą na wpół zasłoniętych okien kuchennych.

Była w tem połączeniu cała synteza *miasta*. Czystość ludzkich uczuć, zabłąkanych jeszcze i wyniesionych z kontaktu z naturą, i zgnilizna przypraw kultury, podawanej z całą perfidją i chęcią zysku...

Ottowicz instynktownie grać przestał.

Posunęła ku niemu Janka. Niewiadomo jednak, czy szła za nim, czy za Alim Kaswinem.

Była dwuznaczna i niezbadana.

Zatrzymała się jednak u fortepianu.

Wyjęła Ottowiczowi z ust papierosa i z uśmiechem, który rozślonił jej blade dziąsła wyczekującej panny, pociągnęła kilkakrotnie parę kłębow dymu. Potem wilgotny od swych warg papieros napowrót włożyła w usta Ottowicza i usiadła w milczeniu obok niego na oknie.

On, jak przez mgłę, nagle rozanielony, dziękował jej, całując szybko jej chude, obciążone niewinną etaminą kolana. Poczem grać zaczął Szumana, jakby pijany, niewyraźny...

Rena uczuła, iż powinna się usunąć. Usiadła na jednej z sof, w chwili, gdy Weychertowa reklamowała „coś z Wagnera” — gdyż

...,nie zna nic bardziej zmysłowego nad tego nieboszczyka”...

Coś obudziło protest ze strony męża politycznego.

Lecz Weychertowa piskliwym głosem motywowała:

— Nie, nie — posłuchajcie tylko — zdaje się, że już, a tu nagła pauza i spadek w nicłość... I tak ciągle. To denerwuje...

Ali, zajądając się winogronami, zaczął śmiać się zuchwale, pewny swej siły i lat dwudziestu.

— Rozpacz czarna i beznadziejna.

Posel do parlamentu spojrział nań wyniośle.

— Sensacja najdelikatniejsza. Dostępna tylko ludziom o wysokiej kulturze erotycznej. Kaswin śmiał się teraz na całe gardło.

— Boże, uchroni mnie od poznania tej kultury! — wołał, czując poparcie i sympatię wszystkich kobiet, garnących się myślą ku jego rozkwitłej młodości.

Z wyjątkiem Reny.

Ta czuła się samotna i milczała. Oparła głowę na przerzuconych rękach i miała w sobie czar i linję rzuconych na płótno wężowych kobiet Boldiniego. Nogi jej, skrzyżowane, odsłaniały się do pół łydki i były smukłe, cudne i wabne. Odziane w jedwabne, krepowe pończoszki, półbuciki o wysokich obcasach Louis XV. i dużych, czarnych kokardach, z ośrodkiem klamerek z simili brylantów — żyła osobnem życiem, wyczekującym i spragnionem. Rena odsłoniła je gestem swym bezwiednie, lecz natychmiast poczuła na nich wzrok Halskiego, którym wpił się w cienką tkaninę krepy i palił ją.

Gorzkie uczucie żalu przepełniło ją całą.

— Więc tylko tak! — pomyślała — tylko ohydą drobnych, drażniących środków mogą doprowadzić go do celu!

Nie poruszyła się z miejsca. Zdawała się zapadać w senność.

Ale czuwała...

Lecz oto do jej stóp przypełzała młodość Alego.

— Lala cacana!... — zawyrokował tonem pieszczocha — jakie ma pończoszki.

Już od stołu porwał się redaktor, który musiał mieć na razie dosyć korpulentnych wdzięków Weychertowej.

— *Faites voir!*...

Rena pierwszym odruchem chciała zarzucić tkaninę sukni, lecz nie uczyniła tego ze względu właśnie na Halskiego.

Redaktor jednak zaopiniował:

— Pończochy są zanadto zazdrosne. — Mają za ścisłe oczka. Kryją *la chair devine et rose*.

Rena odparła głosem monotonnym, nie ruszając się z miejsca:

— Ciało kobiety nie powinno być nigdy różowe... Ciało różowe jest *mal porté*.

Postanowiła być brutalnie drażniącą w słowach. Pogardzała sobą.

— Jakież powinno być — jakie? — nalegał redaktor.

Chciała mówić dalej — ujawnić tajemnicę swego ciała, o barwie kości słoniowej i chłodzie marmuru — lecz coś w niej zbuntowało się. Przyzywała do pomocy Alego, który wciąż klęczał przy niej na dywanie.

— Jakie powinno być ciało kobiety? — Mów, mały!...

Wyrecytował jednym tchem:

— Białe i chłodne.

Weychertowa, która była zawsze różowa i ziała ciepłem, zaprotestowała:

— O! O! Zawsze?

Ali potwierdził z mocą:

— Zawsze!

A Rena dodała:

— To moja szkoła!

— Czy pani uczy teoretycznie, czy też metodą pogładową?

Rena spojrzała na niego z pod przymkniętych rzęs.

— Zbyt śmiało! — wycedziła odpornie.

U swego boku czuła dziwne, niesympatyczne dla niej łaszenie. Była to panna uświadomiona, która zaczynała używać pensjonarskich środków, mających na celu podniecenie mężczyzn. Przypadła na sofę i objęła Renę w napadzie udanej czułości, skierowanej ku Ottowiczowi.

Renie było to wstrętne. Przypominały się jej dziewczyny z przedmieścia, całujące się w oczach kaprali, lub pensjonarki, ściskające się przed studentami. Zadrzała po prostu, nienawidząc w dodatku zbliżenia się kobiet, któremi fizycznie pogardzała. Dlatego zawsze wybierała lekarza mężczyznę, miała krawca, a nie krawcówkę, masażystę, a nie masażystkę. Ujawniała tem swoją, w gruncie rzeczy prostą i nie zdeprawowaną naturę. Nie szła nigdy przeciw wyznaczonym przez naturę szlakom i brzydziła się w takim kierunku objawami. Przytem podwójnie jej było niemiłe łaszenie się panny uświadomionej. Degradowało ją w oczach Halskiego. Widziała, iż ma za wysoką erotyczną kulturę, aby *takie* marne, dziecinne środki działały na niego.

Odsunęła się więc prawie od Janki i równocześnie odtrąciła Alego.

— Ach! Zostawcie mnie... gorąco!

Porwali się oboje i znikli w czeluściach drugiej sofy...

— Chodźmy się pocieszać!...

Weychertowa reklamowała ku sobie redaktora, który powracał do niej, oglądając się wszakże na nogi Reny. Szuman dalej lkał uparcie w atmosferze kuchennych pomysłów i blasku topiących się świec i spalonych surowych abażurów... Z kątów wypełzały wspomnienia finałów innych „kolacyj”, szerszych, bardziej określonych celowo, urządzanych ze z góry powziętym zamiarem wyładowania namiętności. Tu dławilo się ciągle coś w powietrzu, niedopowiedziane, niewyraźne, obłudne, połowiczne...

Rena poczuła zbliżanie się Halskiego.

Dokończył spokojnie papierosa, wstał i szedł ku niej powoli, nie spiesząc się. Siedziała jak posąg, zamknawszy oczy. Wiedziała, iż jest przy niej. Dreszcz znów ją pochwycił. Nie chciała go zrozumieć. Lecz mimowoli sennym gestem nasunęła na nogi suknię.

Halski, rozwalony prawie brutalnie obok niej, wyszeptał:

— Och! Och!... Jakaż kokieterja!

Poruszyła się gniewnie.

— Przeciwnie.

— Właśnie, że tak.

— To, że kryję?

— Dla mnie — tak!

— Dla mnie to odruch mimowolny...

— Czego? Może skromności?

Wyzywał ją.

— Skromności! — potwierdziła ostro.

— Och!...

Zamilczał chwilę, poczem dodał z ironią:

— Ażeby ujawnić tyle skromności, ile jej potrzeba, należy mieć wiele sprytu.

Nie odpowiedziała nic. Badała siebie, czy ma na tyle sprytu. Lecz on nagle pochylił się ku niej bardzo wdzięcznym gestem i prawie w ucho jej wrzucił:

— Więc tak bardzo nam chodzi o tę Warszawę?...

Poznała, iż Maryla musiała mu coś mówić, przy tem ona sama się zdradziła. Spojrzała na niego i wydał jej się przesłizcznym. Tak z bliska, jego oczy były dziwnie niepokojące i miały bezdenną głębię. Przytem włosy jego brody ciemnej, gęstej, doskonale utrzymanej i pocentkowanej jakby złotymi iskierkami, wydawały ze siebie zawrotną woń, jakby świeżo skoszonego siana. Odurzało ją to i gniewało równocześnie. To słowo „Warszawa” przywiodło jej na myśl rozkoszne chwile, które ten człowiek, drwiący z niej, przeżywał z tamtą, nieznaną. I wszyscy tutaj przeżywali te rozkosze wzajemne, czy wspomnieniami niskich instynktów, jak Ali lub on, Halski, niosący jej teraz jałmużnę resztek po królewskiej uczcie, odbytej z Nieznaną.

Porwała się nagle z kanapy, jak podcięta szpicrutą:

— Odchodzę!

Patrzył na nią, nie ruszając się z miejsca. Wydała mu się wspaniałą. Linia jej czarowała. Była bez gorsetu. To ujawniało tajemnice jej ciała. Przypomniała mu bardziej niż kiedykolwiek zmysłowe studjum Puvis de Chavannes. Lecz był świeżo nasycony i umiał czekać. — Nie był już przenerwowanym, neurastenicznym młokosem, który pragnie tylko wyłącznie tego ciała, które objawia się przed nim doskonale piękne. Ujął jednak fałdy jej sukni i przytrzymał ją przy sobie.

— *Ninon! Ninon! Que fais tu de la vie?* — zanucił cichutko.

Odsłoniła swe zęby w bolesnym jakimś uśmiechu.

— Nie rzucam mego życia zwierzętom na pożarcie! — odparła buntowniczo.

— To źle!... Bo kto wie, czy zbliżając się do zwierząt, nie zbliżamy się równocześnie do ideału?

— Paradoks!... Odchodzę!...

Czekała, że ofiaruje się jej za towarzysza. Z rozkoszą byłaby odrzuciła tę ofertę i to głośno wobec nich wszystkich. Lecz on nie poruszył się nawet. Znużony, śledził ją ciągle z pod oka. Znienawidziła w tej chwili tamtą kobietę, która go tak wyczerpała, że nawet moralnego odruchu nie pozostawiła w nim ani śladu. — Krótkim rozkazem przywołała Alego.

— Toś! Każ zawołać mi dorożkę.

— Odchodzi Lala? Odchodzi?

Tupnęła nogą.

— Każ wołać dorożkę!

Przyniesiono jej płaszcz. Zrobiło się zamieszanie. Usprawiedliwiała się bólem głowy. Gdy posunęła się ku drzwiom wejściowym, ogarnęła wzrokiem ten teren, na którym stawała kartę swego życia.

Brudna, cuchnąca stancja, z rozklekotanym pianinem, wypełniona półnągą półrozpustą. Uczuła, że jest za roslą, za piękną, za doskonale czującą, aby tu mogła sprezentować swe powaby odpowiednio. I ogarnął ją żal, że przegrała stawkę. Chciała się zrehabilitować. W jednej chwili błysnęła jej myśl, którą wprowadziła w czyn. Wysnuła ją ze słów Ottowicza:

— Pani odchodzi, a wszyscy w tym tygodniu się rozjeżdżamy! Kiedy się zobaczymy?...

— Przyjdźcie wszyscy do mnie jutro, jutro wieczorem... Czy chcecie?

Przyjęli okrzykami radości.

— Ależ naturalnie. Przyjdą wszyscy.

Oczami poszukała Halskiego. Stał spokojnie na drugim końcu pokoju przy pianinie i zapalał papierosa. Zaczęła zwracać się kolejno do wszystkich.

— I pan, redaktorze, i pan, panie pośle, i ty, Janko, i pan... panie profesorze!...

Skłonił się zdaleka.

Chciała nalegać, otrzymać zapewnienie, lecz oto Ali stał we drzwiach.

— Lulu! Powóz czeka!...

Wyszła szybko, wlokąc swą miękką suknię poza sobą. Za nią biegł Ali. — Chciał wejść za nią do dorożki.

— Czego? Po co? — szarpnęła się z całą hamowaną tak długo złością.

— Ja...

— Co? Wracaj zaraz na górę. Nie chcę, aby mnie to tam szanowne grono obmawiało z powodu twojej nieobecności..

I odjechała, cała okryta pocałunkami kobiet i pożądliwymi spojrzeniami mężczyzn tego „szanownego grona”.

III

— „Przeduchowanie zmysłowości zowie się miłością” — przekrada się bezustannie przez umysł Reny.

Biel, dominująca w jej sypialni, pomieszana z różową barwą nocnej lampy, drażni ją tej nocy. Nie może się wczuć w osamotnienie i ciszę.

Jest ciągle myślą i wrażliwością ciała w tym brzydkim gabinecie, w którym z jej odejściem zaczęła się prawdopodobnie szeroka zabawa. Ona mimowoli krępowała te kobiety. Staraly się dostosować do jej tonu, bo czuły ją inną w głębi, niż one były.

Teraz prawdopodobnie nie krępowały się i dawały upust szpetocie swych zimnych i wystygłych natur.

— Przed chwilą — myślała — byłam tam, stanowiłam jakby cząstkę tej całości, dla której poprostu w głębinach, oprócz pogardy, nie znajduję nic więcej.

Czy i ja w oczach Halskiego wydałam się tak samo pogardy godną? Czyniłam wszystko, co mogłam, aby być *inną*. Ale czy byłam nią rzeczywiście? Właściwie zależało to od jego usposobienia i punktu widzenia. Lecz punkt ten określił on sam dość jasno.

Wszakże wyrzekł, iż „kobieta bez namiętności jest ohydna”. A potem podał przecież: „kto wie, czy stając się zwierzętami, nie jesteśmy bliźcy ideału”...

Rena odrzuciła kołdrę i usiadła na łóżku. To ostatnie zdanie Halskiego sprawiało jej zamieszanie silnie wkorzenionych pojęć. To uduchowanie miłości, które właśnie miało być jej ideałem, przedstawiało się jej lata całe na ołtarzu jako Bóstwo, dla niej nieznanne, ale do którego modliła się całym pędem istoty, doskonale w jarzmo utartych komunałów zaprzęgniętej. Szła do boju o zdobycie Halskiego-męża z całym arsenałem czystej wzniosłości sentymentalnej — potykała się zaraz na pierwszym kroku o całe brutalne Credo, ziejące jawną chęcią zmysłowego połączenia. Nie było nawet przejścia powolnego. Odrazu ideał był przeniesiony na stronę prymitywnych pędów, którym przodują zwierzęta

bez troski o cały aparat, nałożony dookoła istot ludzkich, pod pozorem doskonalenia się duchowego.

— Nie jestże to raczej przeszkodą właśnie ta cała komedia, tkwiąca w kokieterji moralności? — przesuwało się przez gorączką przesiąkły mózg pięknej kobiety — czy nie my to, ludzie, wytwarzamy dookoła siebie całe tragedje sztuczne, kłamliwe, zabójcze, czyniąc z faktu tak prostego, jak jedzenie lub picie, akt główny, około którego obraca się życie nasze?...

Czy nie prościej byłoby rzecz tę brać naturalnie, a pozostawiać innym sprawom czystą rolę, zajmującą dominujące znaczenie w naszym istnieniu? Na dwie bowiem Dominanty miejsca i sił w nas niema. A że owe komedje i grymasy miłości są wsparte potrzebą zmysłów, mających olbrzymią nad nami władzę, więc nic dziwnego, iż utarło się pojęcie, że miłość jest wrogiem wyższych aspiracji i gnębi je.

Rzadkie wyjątki potwierdzają tylko regułę. Możemy powiedzieć śmiało, iż Dante był Dantem *pomimo swej* miłości. Dowód to tylko, jak potężną i wielką była jego dusza.

Nic więcej.

Smutek jednak ogarnął Renę. Smutek, który odczuwała już wtedy, gdy dzieckiem patrzyła na żółkniejące liście akacji i rozlatujące się po jesienią zwarzonym ogrodzie. Sentyment miłości, którego nie doznawała nigdy, ale którego nie negowała — przeciwnie, hodowała jego egzystencję w zakamarkach tajemnych swej wyobraźni — przywodził jej na myśl słodki czar jakichś uczuć stałych, lęklwych, pełnych nieokreślonego uroku. Zwracała się zawsze, od dziecka prawie, całym pragnieniem do chwil nadziei, tęsknoty cichej, słów niedopowiedzianych, spojrzeń, zamienionych delikatnie, jak muśnięcie skrzydeł motyla o płatki rozwijającej się róży. Niebyło w tej miłości nawet cienia, nawet wyobrażenia zmysłowych dreszczów i charczących ekstaz. Potrzeba subtelnej wymiany delikatności serdecznych porywów przepajała cała owe wyobrażenia.

— Czy byłoby to romantycznym? — ozwało się w niej z niesmakiem.

Lecz zaraz odrzuciła od siebie to pojęcie.

— Nie — pomyślała — romantycy są wystygli, zimni, nieszczerzy. Nakręcają się w razie potrzeby, jak pozytywka. Halski jest romantykiem, gdy zaczął nagle deklamować wiersz o róży, lub pytał mnie: „*Ninon que fais tu de la vie*”... szukając mej ręki lub kolana pod obrusem... Ja jestem szczerą w mej tęsknocie do krystalicznego, dziewiczego piękna miłości... Lecz mi to nie sądzono...

Opadła znów na poduszki, śliczna, przeświecając nagością swych członków przez biel batystu długiej, nocnej koszuli.

— Chcąc zapewnić sobie legalną i usankcjonowaną sytuację, muszę chwycić się środków, jakie mi są wskazane. Muszę być jak ta Janka, która zwilżony w swych ustach papieros wkłada w usta Ottowicza, aby wieść go na pasku żądzy i namiętności. Halski jest absolutnie tym samym typem i będę musiała być jutro dekolowaną, bo drugi raz mogę sprawę przegrać, grając rolę mniszki. Raz jeden wystarcza. Tylko mam ciężką grę — Halski jest bardzo oporny i wytresowany w sprawach miłości. A przytem nie wiem jeszcze, jak stoją rzeczy z tą kobietą z Warszawy. Czy się już nasycił, czy nastąpiła już chwila przełomowa? Czy jest już po tamtej stronie, która jest w każdym miłosnym stosunku. Przychodzi nagle i zmienia wszystko. Ginie czar, ktoś zdiera welony błyszczącej gazy, w pragnień, myśli i czynów.

Czy taka chwila nastąpiła u Halskiego i tej drugiej — dalekiej?

*

W salonie zegar, stojący na biurku, zegar z czasów Stanisława Augusta, wybił trzecią. Dźwięczny, czysty jego głos rozległ się po pokojach z całą dokładnością i wdziękiem.

— Trzecia! — wyszeptwała Rena — trzecia!...

Umysł jej stawał się jakby zamroczony. Zdawało się jej, że płynie w przestrzeni. Doskonale widziała teraz twarz Halskiego, taką, jak miała ją przed sobą przez chwilę z pogłębieniem czarujących oczów i złotymi iskierkami, migocącymi wśród gęstwy pachnącej brody. Zwłaszcza woń tych włosów, woń świeżo skoszonego siana i doskonałej herbaty prześladować ją zaczęła okrutnie. Wypreżyła się i rzuciła przed siebie obie ręce, jakby chciała odegnąć widmo jakieś, pełne grozy i niepokoju.

— Nie wolno mi! — myślała — nie wolno tracić głowy i kochać... Pamiętaj to sobie! Miłość czysta dla ciebie istnieć nie może... Jeżeli ulegniesz sama tej drugiej, tej, którą udawać musisz, stracisz siłę i władzę. Tylko na zimno działać możesz. W tem jest twoja potęga i pewność twego zwycięstwa...

Przez różowe zasłony okien coś jakby powoli zakradać się zaczęło, nieublagane, obojętne.

Wstawał — świt.

IV

Gładjolusy i rododendrony. Nic więcej, tylko te kwiaty. Gdzieniedzie jeszcze zieleni i biel przesubtelna królowej łąk.

Takie tło nadała swemu salonikowi Rena w ciągu kilku godzin. Przewidująca delikatność liljowa bukietów rododendronów i strzelające płomienie gładjolusów wiążą się w czarującą harmonję. Zieleni liści długich, smukłych, lub krótkie, wachlarzowate liście stanowi dopełnienie doskonałości tej dekoracji. Nieliczne meble Reny — jej garnitur, autentyczny z XVII. wieku, biały i złocony, mnóstwo parawaników, pokrytych wabną, białą materją, lub gazą, na których ponad gałęziami wiśni zlatują delikatne japońskie kwiaty, mają w tym kłębnie kwiatów subtelne stonowanie, jakby zapożyczone z jakiegoś pawilonu, przeznaczonego na rozkoszne, poufale siesty pięknych kobiet i cudnie ułożonych, na wzór grzecznych chartów, kawalerów.

Nawet banalną elektryczność smak Reny zdołał wcielić i przykrócić w kulach matowo-białych, wytwornych lamp francuskich, całych z mlecznego szkła, nasypywanego malowidłem róż i fiołków.

Wszystko tu zionie jakąś czystością z podkładem pewnych dreszczyków. Rzeźby można, urządzenie kokotki, spodziewającej się przybycia sentymentalnego księżątka.

Ona sama — Rena — prawie naga, w długiej, krepowej szacie z miękkiej, białej tkaniny, porusza się febrycznie wśród tych kwiatów, na których tle jej gracia wytworna nabiera jeszcze większej doskonałości. Ciemne plamy jej oczu błyskają dziwnie, jakby trawił ją jakiś ogień, mający źródło w samych niezadowoleniach miłosnych opuszczonej kobiety.

Gdy ubierała się, znużona i wyczerpana, podniecała się, śląc ku swemu odbiciu w lustrze słowa najbrutalniejszej zachęty do walki, do której przystąpić miała.

— Obnażaj się! — myślała z całą goryczą, przepelniającą jej serce — obnażaj się jeszcze modą dam osiemnastego wieku i prostytutek dziewiętnastego. Poprzednia szata westalki sprowadziła ci tylko serję dwuznacznych gestów. — Wszystko więc jedno!...

Nagle weszła pokojowa.

— Proszę pani — pan Halski!

Zawczasem było na przybywanie gości. Coś więc zaszło. Serce jej ścisnęło się. Poha-mowała się, gryząc wargi aż do krwi.

— Spokoju, warjatko!... — poskromiła się w myśli — stroisz łamańce, jakbyś się kochała!

Chciała jednak zachować efekt swej toalety. Obejrzała się. Krwawy, miękki ogromny szal leżał na dywanie. Otuliła się nim szczerze. Miała pozór jakiejś dziwacznej statuetki, o twarzyczce z kości słoniowej, o ciele koralowem.

Krokiem najdoskonalej elastycznym wysunęła się do salonu.

Twarz miała spokojną, choć cała drżała. Halski stał na środku salonu. W zwyczajnem codziennem ubraniu. W świetle matowych lamp wydał jej się przezroczyście bladym. Ujął jej smak estetyczny tą bledością, na której ciemniały wielkie głębie jego oczu. Wzrok jej ześlizgnął się ku jego brodzie, która stawała się jakby magnesem dla jej oczu. Oprzytomniała.

— Co się stało? — spytała.

— Nie wiem, czy będę mógł przyjść wieczorem... chciałem sam osobiście przeprosić.

Uczuła zimny dreszczyk. — Roześmiała się jednak niedbale.

— A to z powodu?

— Drobnostka...

— Przygotowanie się do jutrzejszego wykładu.

— Nie — do moich wykładów i do moich *rendez-vous* miłosnych przystępuję bez przygotowania.

Odnajdywała w nim pierwiastki pychy i męskiej zarozumiałości, stanowiącej podstawę jego charakteru.

— A więc...

Zdawał się szukać przez chwilę w myśli.

Wreszcie rzucił:

— Ktoś przyjeżdża, muszę być na kolei.

Od stóp do głowy przebiegł ją war.

— Ktoś...

Chciała dodać: „z Warszawy”. — Opanowała się. Osunęła się wdzięcznie na kanapkę, obciągając silnie na biodrach krepę szalu.

— Och! Trafi pan na pociąg wieczorny. Sama panu przypomnę i wyprawię.

Byłaby go po prostu rozdarła za tę walkę, którą z sobą toczyć musiała.

— Doprawdy, nie wiem...

Zaczęła się śmiać nadzwyczaj dźwięcznie i szczerze.

— Wie pan, to lepiej, że ten ktoś do pana przyjeżdża. Cieszę się z tego.

— ?...

— Tak, bo nam pan nie ucieknie.

Nie odpowiedział nic. Przypatrywał jej się uważnie. Wreszcie wyrzekł powoli:

— Zresztą — to naturalne. Co pani może zależeć na mojej obecności?...

Ledwo wyrzekł te słowa, ona już była górą. Widząc, jak czekał zaprzeczenia, wyczuła po prostu manewr z jego strony. Ucieszyła się płytkością i banalnością tego manewru. Postanowiła wzmocnić dozę i ze swej strony niewybrednych środków. Powoli, jakby niedbale, rozchyliła purpurową oponę. Zaświtała jasność piersi, do pół obnażonych i obramowanych złotem haftu, jakby jakieś kosztowne, drogocenne perły. Odetchnęła ciężko. Niby pod wpływem gorąca. Piersi zafalowały. Nie patrzyła na mężczyznę. Nie wiedziała jednak, co w niej gra. Rozpaczliwy wstyd, choć tak łatwo obnosiła swe obnażone ciało pod tiulem sukien po ulicach miasta.

— Przyjdzie pan! — wyrzekła ślicznym, pieszczotliwym głosem.

Chwila pauzy i wreszcie głos mężczyzny:

— Przyjść!

Powstała, skłoniła mu się i skierowała ku sypialni.

— Powtarzam, że sama panu przypomnę.

I znikła.

W sypialni usiadła na krześle wyczerpana. Nie widząc go przed sobą, nie mogła dostrzec prawdy. Czy rzeczywiście jego metresa przyjeżdżała, stęskniona za nim, a co gorsza, może przez niego sprowadzona? Czuła się w pozycji wodza, który ma lada chwila przegrać najważniejszą bitwę. Egzaltowała się, podniecając swą wyobraźnię, jakoby Halski był owym jedynym, którego bądź co bądź zdobyć musiała.

I pokrywała właściwy stan swej względem niego uczuciowości chłodnym i gwałtem na powierzchnię wydobywanym rachunkiem.

Halski był najdoskonalszą partją małżeńską, jaką zdobyć w danych czasach mogła. O niego więc walczyć chciała *en défendant une bonne cause*.

„Małżeństwo”.

To słowo sakramentalne hasłem swoim czyniła i wywieszała go na sztandarze swej kokieterji.

Ta druga wydała się jej w tej chwili demonem rozpusty. Szła jakby do krucjaty, pragnąc zniszczyć zło.

Zachwycona tym obrotem myśli, porwała się z krzesła. Drzemiący na dnie jej pasji fanatyzm rozpiął swe skrzydła i uświęcił środki.

Szło o zniszczenie rozpustnego stosunku, w jakim ginął Halski. Przyczyną była jego metresa. Wiązały go z nią nici przeżyć miłości cielesnej. Należało znaleźć się w poprzek tych drzeń, należało dać mu nowe, nieznanne sensacje...

I potem kornie przypaść do stóp ołtarza i przynieść Bogu w ofierze nawróconego męża i siebie, ślubującą: „nigdy więcej, o Panie”!

*

Zabawa w pełni rozwoju.

Jeśli jest na niej królem *cochon triste* Baudelaire'a, to w niewielkiej ilości. — Erotyzm bowiem, drgający w ukrytych tajniach tych kobiet, dostosował się z przedziwną giętkością do otoczenia. — Stały się wytworne w gestach i całym pędzie zmysłowym, który nabrał cechę jakiegoś rozkosznego wdzięku. — Stały się prawie swobodne w tych rolach i wyglądało tak, jakby były naprawdę obdarzone *czarującymi* charakterami. Miały na ustach dowcip i przyciszały głos. — Poruszały się wabnie wśród liljowych bukietów rododendronów i płomieni gladjolusów. Umiały usiąść i powstać, jakby sfruwały z kwiatów, a do chodu ich, jakby chwiejnego, dopomagały im wysokie obcasiki ich modnych pantofelków. Abnegowały z klasycznej przewagi, aby stać się nagle temi, które są słabsze, potrzebują starania, tkliwości, przyciszonych słów i delikatnych pieszczot.

Mężczyźni z początku czuli się zdystansowani i niepewni w rolach, jakie im przeznaczono. — Do tej chwili tak Maryla, jak Weychertowa, a po części nawet uświadomiona panna, otaczały swych kochanków atmosferą ciągłego dogadzania ich próżności i to zajęcie się i uwaga, jaką im poświęcały, weszła w zasadniczy ton ich stosunku.

Obecnie stało się inaczej. Kobiety od razu wśród tych kwiatów, oświetlenia i piękna wstąpiły na ołtarz Bóstwa i pozostały na nim, oczekując hołdów im należnych. — Miały w sobie jakieś lubieżne Dostojeństwo haremowych, zrezygnowanych istot, lub zmęczonych upałem Włoszek.

Były inne i nowe.

Mężczyźni, początkowo zdziwieni, wprędce zrozumieli to przetworzenie się, i oni stali się o wiele subtelniejsi i bardziej rafinowani w sposobie uzewnętrzniania nowych nastrojów. — Tak Redaktor, jak Ottowicz, a zwłaszcza poseł do parlamentu, zaczęli być dumno pokorni i rezygnowali ze swych, dotychczas uzurpowanych sobie wyższości, z elegancką rezygnacją. Wystarczyło rzucić okiem na widok, jaki przedstawiał salon Reny po kolacji.

*

Na puszystej podściółce dywanu rozrzucono nieprzeliczoną ilość poduszek o barwie i kształtach tak różnych, aż zaciekawiły wyglądem swoim. — Były tam poduszki atlasowe, splewiałe, pokryte kwadratami gipiury, przywiązane węzłami wstążek do końców poduszki. Były inne surowe, angielskie, z białego płótna, zaledwie poznaczone zygzakiem haftu. — Były także orzentalne, purpurowe lub barwy ametystowej, aksamitne, drogocenne — haftowane złotem, srebrem w hieroglify i dziwne znaki. — Te odcinały się od lekkomyślnych, pustych poduszek, zrobionych z gobelinów, na których pastelowe pasterki słuchały miłosnych gruchań pastelowych pasterzy. — Lecz już serja czarnych kaukaskich poduszek, zasianych haftami, wywodzonemi cienkim, jedwabnym sznureczkiem, poznaczonych masą naiwnych kanarków, kładła nutę trochę barbarzyńską w ten cały amalgamat wdzięcznych tonów, falban, koronek, wstążek i srebra.

Na tych poduszkach, na dywanie, wprost na ziemi, leżało niemal całe towarzystwo. — Po środku stały przybory do czarnej kawy, starotureckie stambulskie filiżaneczki z czerwonej glinki, inkrustowane złotem, lub na podstawkach z miedzi czareczki porcelanowe, białe o błękitnych, delikatnych żyłkach. — Rozmaite likiery, butelki Martela, przejrzyste, maluchne, prześlizgane kieliszki o długich nóżkach, jakby kwiaty barwne i mieniające się, tonęły w porzrzuconych dokoła kwiatach.

Czyniła to Rena — która snuła się wzdłuż odpoczywających gości, rzucając na nich liljowe kiście rododendronów i purpurę liści porwanych gladjolusów. Kobiety śmiały się ku niej z wdzięcznością, czując, iż za jej to sprawą dane im było przez chwilę być pięknie kochanymi i pożądanymi. — Mężczyźni śledzili ją z uwielbieniem. Mimo wszystko — była ona zawsze dla nich niedostępna i daleka.

Gdy tak leżeli na ziemi obok swych kochanek — trzymając ich ręce, pieszcząc dyskretnie ich stopy — mimowoli wybiegali oczyma ku tej wyniosłej, półnagiej kobiecie, która wydawała się im w tej chwili doskonałością samą.

Jeżeli bowiem potrafiła pośrednio wprowadzić ich w nastrój, którego wdzięk odczuwali z rozkoszą, jakże dziwnie doskonale i piękne wrażenia mogliby otrzymać od niej

bezpośrednio. — Kokietowani prostemi, choć na pozór kulturalnymi środkami przez kobiety, które do nich należały, zapomnieli prawie o delikatniejszych oddźwiękach, jakie nieść może erotyczne połączenie obu płci. — Obecnie z rozkoszą zaczynali zanurzać się w tej pachnącej topieli. — Jednej tylko nuty pozbyć się nie mogli — to jest sposobu prowadzenia rozmowy.

Obniżyli tylko ton mowy, nadali mu jakieś szlachetniejsze dźwięki i to wniosło coś bardziej „aksamitnego”, jak mówiła uświadomiona panna, w atmosferę tego wieczoru. — Wszystko było jakieś kocie, jakieś łaszące się, stonowane...

Zaczawszy od tych kobiet, tak wdzięcznie rozłożonych na tle koronek, złota i haftów, których wdzięki zbyt obfite zdawały się zacierać i maleć, aby przybrać doskonałą smukłość kurtyzan odrodzenia. — Matowe światło lamp wybielało ich skórę i wyjaśniało włosy. — Wśród nich ciemniały sylwetki mężczyzn. — Ottowicz rozmiłowanymi oczami śledził Jankę, która prawie łagodnie opadła mu u boku, jak kwiat podcięty o długiej, wiotkiej łodydze. — Ręce redaktora i Weychertowej splotły się w zagadkowym skurczu, przesyłając sobie wzajemnie strumienie dreszczów. Maryla miała u stóp męża politycznego, który stopy te, obute w cienki, pajęczny jedwab i złotawą, mieniającą się skórkę, przepiętą migocącą agrafą — muskał delikatnie świeżą kciśką liljowych rododendronów. —

Wzajemnie zaś przesyłano sobie uśmiechy, dwuznaczniki, słowa porozumienia. Pary te robiły wrażenie jakiegoś stowarzyszenia masonskiego, porozumiewającego się na jednej linii, doskonale znanej i wybranej. — Umieeli oni wszyscy dostosować się doskonale do jednego tonu. — Przedziwny takt cechował to małe erotyczne zbiorowisko. — Inaczej rozplomieniali się pod osłoną obrazów restauracyjnych i w dwuznacznej atmosferze gabinetów, inaczej zupełnie wśród nastroju rzeczy pięknych i harmonijnych.

U Remy bowiem — było tak pięknie, i przypominała się mimowoli opowieść o owym ambasadorze hiszpańskim, który w czasach odrodzenia, zaproszony do jednej z najgłośniejszych kurtyzan rzymskich — mając ochotę splunąć, splunął w twarz służącego i wytłomaczył się, mówiąc:

— Daruj, lecz twoja twarz jest najbrzydszą tutaj...

Owa ślina *moralna* tych ludzi, wypełniających w tej chwili salonik Remy, zdawała się cofać i ginąć w czeluściach ich moralnych. — Gromadziła się, aby prawdopodobnie wybuchnąć z większą jeszcze siłą na odpowiednim miejscu. Lecz w tej chwili zdawała się nie istnieć wcale. — Jeden Ali może nie dostrajał się do całości. — Podrażniony pięknnością Remy, zazdrosny o Halskiego, wyczuwający prąd miłosny, drgający wśród tych dwojga, chwycił się zwykłego w tym razie, a trywialnego środka, umożliwiającego zapomnienie. Pił za dużo i bez wyboru. — Świadomość jego zaczynała się mącić. — Do tej chwili jednak jego dobre wychowanie brało górę i nakładało cugle. — Błądził wśród par i snuł się za Reną, jak cień, chcąc się uczynić koniecznym i potrzebnym. Ona odsuwała go łagodnie mimo, iż wzbudzał w niej ciągle wstręt fizyczny. — Lecz w jego oczach dostrzegała ogniki małego zwierzęcia, gotowego do wniesienia dyssonansu z powodu niezadowolenia swych podrażnionych instynktów.

Unikała tego. — Nie wrywała mu rąk obnażonych, do których lepnął w przejściach wargami gorącymi od nienasyconego, młodzieńczego pożądania. Tylko gdy czepiał się fałdów jej sukni, spoglądała na niego wzrokiem poskromicielki zwierząt. — Cofał się wtedy, gdyż był jaszczke na tyle trzeźwy, iż wzrok ten działał na niego. — Chmurnie tylko wtedy zwracał się ku Halskiemu, który w odosobnieniu, przy otwartym oknie palił papierosa.

Bo — Halski przyszedł. Jakkolwiek późno, ale przyszedł. To spóźnienie się miało w sobie coś z kokietki, która przybywa na bal ostatnia, aby wydać się tem świeższą w porównaniu z temi, które się już „opatrzyły”.

Wyczekał widocznie, ażeby febra oczekiwania przeszła u Remy w paroksyzm utraty nadziei.

Od progu zaraz zwarli się oczami. Uczuli oboje, że stoją dziś na polu walki otwartem i bez osłony. Oboje starali się być piękni najmożliwszą swoją pięknnością. — Wydobyli wszystkie swe walory i poparli je siłą woli.

Ta siła woli przedewszystkiem objawiła się u Remy w taktcie, z jakim zgasiła w oczach swych iskierki tryumfu na widok wchodzącego Halskiego. Zdawało się jej, że oto wpada

w rozstawione przez nią sieci i że z sieci tych nie wypłacie się cało. — Obojętnie napozór, uśmiechając się zdawkowo, kącikami ust, powitała go. Lecz śledziła to pierwsze jego spojrzenie, aby wychwycić w niem ton zasadniczy jego dzisiejszej słabej strony, na którą uderzyć należało.

Gdy wzrok jego wbił się w jej oczy, głęboki i pytający, sądziła przez chwilę, iż, otrząsnąwszy się z pożądań „niższego gatunku”, szuka u niej dzisiaj jakiejś cechy bardziej doskonałej, jakiegoś zrozumienia rzeczy „naocznych i płonących”, które każdy ma w głębi swej duszy. I porwała ją radość. Chciała wybiec ku niemu z tem odczuciem i ukojeniem, jak z rękami pełnymi najrzadszych kwiatów. I aż łkanie radosne przepelniło ją całą. Lecz oto oczy jego ześlizgnęły się po marmurowej piękności uduchowionych jej w tej chwili rysów i obejmowały w posiadanie czarujące ramiona, nagie i przepyszne, odsłonięte silnie z jednego boku, a spięte tylko agrafą tkaniny, podkreślone jak u Imperji, tej niezgaszonej nigdy kurtyzany renesansowej na stanzach watykańskich Rafaela Sanzio.

W jednej chwili, pod wpływem siły tego palącego wzroku przetransformowało się usposobienie Reny. Jakby ścięta biczem brutalnej żądz mężczyzny, zrozumiała, jaką iść ma ku niemu drogą. — Rozpaczliwym gestem strząsnęła ze siebie gazy białe, pieszczące jej piersi.

Nabrzmiałe usta rozchyliły się powoli sennem powitaniem.

Była gotową.

I owe stonowanie całe nastroju całego towarzystwa służyło jej doskonale za tło, na którym korzystnie poruszać się mogła. — Czula bowiem, iż nie jest w stanie stać się powabną żywiolowo i brutalnie. — Może nawet potrafiłaby w tej rozpaczliwej walce znaleźć dosyć siły, aby obudzić śpiące na dnie swej istoty moce nieokielzanej miłości zmysłowej — i bała się właśnie, ażeby nie okazać się w oczach wytrawnych Halskiego niezręczną i głupią na tem polu.

Forsowała więc tylko nutę pięknej lubieżności — i przesycała atmosferę rozkoszą oczów i dźwięków. Sama siadła u fortepianu i dyskretnie grała na nim arję, którą nad wszystko lubiła.

Niskim, drżącym trochę głosem — cicho nucił zdaleka Ottowicz słowa.

Miłosne te, czarujące tony ulatywały w przestrzeń i owiewały Halskiego. Czuł się niemi pieszczony. Delikatne, subtelne dotknięcie klawiszy, którym celowała Rena, przywodziło mu przed wyobraźnię całą serję rozkosznych sensacji, jakie palce jej mogłyby wywołać wzdłuż jego czoła i skroni, to jest tam, gdzie skóra staje się w chwili pieszczoty miłosnej najdoskonalej wrażliwą, jak harfa drżąca z pragnienia, aby wygrano wreszcie na jej strunach miłosną canzonę lub stanzę.

I te plecy Reny, doskonale, białe, z lekkim odcieniem kości słoniowej — plecy rozpustne, służące za wazon przepyszny, z którego wykwitał czarujący kwiat jej głowy, obróconej ku niemu profilem — poddawały mu porównanie, które mógł znaleźć dla tej kobiety tylko w czasach renesansu, w których kochano się „jak Bogi”, a dowodzono tej miłości z zaciekłością wyhodowanych w przepaścistych puszczech zwierząt.

— Jakąż wspaniałą kurtyzaną, tą „*honest*” — kurtyzaną wyższej kategorii, byłaby za czasów Juljusza Drugiego — ta kobieta! — myślał. — Prosto z łożnicy, na którą sypanoby kwiaty i deszcz złota, przeszłaby do najpiękniejszego kościoła w Rzymie, aby tam pod strażą marmurowej Madonny i skrzydłami ptaków i aniołów przedłużać tylko swój wabny sen, pełen rozkoszy dzielonej. Dziś terenem jej pozostał ten salon i moja namiętność, rwąca się do jej matowego ciała i denerwujących pieszczot jej rąk...

Dla niej to jest niczem, dla mnie jednak królewski dar, który osiągnąć winienem pod grozą nawet dużych ofiar.

W tej chwili odwróciła się ku niemu, jakby uczuła, że myśli o niej z taką mocą i uśmiechnęła się słodko a zalotnie.

— Ofiary te nawet, zdaje się, będą niepotrzebne! — dokończył w myśli, jakby pod wpływem tego uśmiechu.

— Zresztą jakież byłyby z mej strony? — Chyba... małżeństwo. Słyszałem, że się rozwodzi. Ale co do tego jednego muszą stać niewzruszony. — Nienawidzę małżeństwa, jako wymysł piekielny i najbardziej ohydny, na który ludzkość mogła się zdobyć. Połączenie etycznych i erotycznych pojęć wytwarza amalgamat niemożliwy do zniesienia. Winie-

nem jednak jej szczerość. Chciałbym, ażeby znała moje pod tym względem zasady... Jeśli stanie się moją metresą, niech wie, iż nie stanie się nigdy moją żoną.

Zaczął wsłuchiwać się pilnie w to, co mówili dokoła. — Pragnął zaczepić w ich temata swoją ideę i rozwinąć ostrzegająco pogląd na małżeństwo. Lecz oni obecnie debatowali nad typami piękności kobiecej. Z całym brutalstwem mężczyzn, apoteozujących zwykle wdzięki nieobecnych kobiet! — Ottowicz i Redaktor zachwycali się jakąś Mecenasową, która na wyścigach zwracała ogólną uwagę. Mąż polityczny natomiast twierdził, iż najpiękniejszą kobietą w mieście była jedna z chórzystek, kryjąca się zawsze za filary kulis.

— Jest drobna, maluchna — o fryzowanych włosach — czysty Greuze... prześliczna!

Twarz tłusta i nalana Maryli pociemniała z irytacji. — Dla zatarcia swego zmieszania zwróciła się do Halskiego.

— A Pana ideał piękności? Jaki jest Pana ideał?...

Pochwyił okazję.

— Mój ideał? — odparł. — Połączenie dziwne: plecy rozpustne, twarz Madonny...

— Och! Nieziszczalne! — zawołał redaktor.

— Przeciwnie — pani Rena! — wyrzekł Halski, ukazując na młodą kobietę, pod której palcami skonała wreszcie melodia.

Wszyscy zwrócili znów oczy na Renę.

— Kochanka Chigi il magnifico!... — dorzucił jeszcze Halski.

Posel do parlamentu podniósł się na kolana i włożył w oko monokl.

— Jabym sądził, że raczej *genre* pani Reny jest w rodzaju pani Recamier.

Halski milczał przez chwilę, wreszcie potwierdził.

— Może... gdyż wykwit skromności, a zatem kłamstwa.

Rena podniosła się wyniośle.

— Nie jestem typem niższym, pan się myli...

— Och! Takie kłamstwo, jak Chateaubriand, który był właśnie kłamstwem pani Recamier.

— Pan zapomina, iż pani Recamier oparła się Napoleonowi...

— Raczej Napoleon jej się oparł...

Panna uświadomiona uznała za stosowne wmieszać się do rozmowy.

— Słuchając Pana, sądziłby można, że nie ma kobiet uczciwych.

Halski skłonił się przed nią.

— Ja sądzę, że są punkta uczciwe, na których etyka i erotyka kobiet się zatrzymuje.

Punktów tych jest tyle, ile kobiet na świecie.

Rena zbliżyła się powoli ku niemu.

— Rasa, wychowanie, kultura — sprowadza ten punkt do jednego mianownika.

Usiadła na ulubionym swym, bujającym fotelu białym, pokrytym jasną materją, o delikatnych, kwiecistych deseniach. — Głowa jej spoczęła na warku, przewieszonym przez poręcz, białym atlasowym — haftowanym blado zieloną pelą i jedwabiami. — Usta miała wilgotne od szampana, w którym, wbrew swemu zwyczajowi, umaczała tego wieczoru kilkakrotnie wargi.

Patrzył na nią z upodobaniem i ona odwzajemniała mu się typem tego wzroku. — Rada była, iż ta „partja” przedstawia się jej tak ponętnie.

Rozmowa na dywanie stawała się bardziej ogólna. Wmieszał się w nią Ali, który płacziwie pijanym głosem zaczął bronić czci i cnoty kobiet. — Był śmieszny z tą młodzieńczą rycerskością swoją i wystąpieniem średniowiecznym. Zdawało mu się jednak, że się odznacza i że zyskuje wdzięczność dam.

Rena nie słuchała go. — Niecierpliwie spojrzała na Halskiego. Czekwała od niego dziś jakiegoś decydującego słowa.

Za tyle trudu, jaki zadała sobie, należało jej się coś więcej oprócz jego obecności. Czuli, iż ma na ustach jakieś słowa, że chce coś powiedzieć.

Wyzywała te słowa myślą, wyrwała je z głębi jego mózgu, który odczuwała prześląknięty myślą o niej do najdrobniejszych zakątków.

I nagle dostrzegła gest, na który nie oczekiwała więcej.

Dyskretnie, szybko wyjął zegarek z kieszonki kamizelki.

— Mam jeszcze pół godziny czasu! — wyrzekł przyciszonym głosem.

Doznała pchnięcia w serce.

— Jakto?
— Do nadejścia pociągu...
— Pan... idzie?
— Tak — mój przyjaciel nigdyby mi nie darował, gdybym nie wyszedł na jego spotkanie.

Milczała chwilę, jakby zdławiona stalową ręką. Wreszcie wyrzekła:

— Niech pan idzie!...

Pochylił się ku niej.

— Ale... wróć!

— Kiedy?

— Za dwie, trzy godziny... gdy oni wszyscy odejdą... gdy światła u pani zgasną!

Zbladła nagle, czując w sobie śmierć wszystkich swych nadziei.

— Pan oszalał? — wyrzekła banalnie, nie umiejąc na razie znaleźć słowa.

— Przyjdę, gdy pani pozwoli!

— Pan wie, że ja nie pozwolę!

Zapanowała chwilką milczenia, wreszcie on odparł tonem chłodnym:

— Nie wiedziałem o tem!

Ogarnął ją szalony gniew.

— Jakto? — Więc mimo wszystkie wysiłki z jej strony, aby pozostać dla niego w sprawie *oddania się* Niedościągła — on osądził ją tak łatwą do zdobycia!

Odwróciła się ku niemu teraz całym korpusem i z wyrazem twarzy nieokreślenie hardym półgłówno zawołała:

— Ażeby mnie posiąść, nie należy chcieć wejść przez moją sypialnię.

Odparł spokojnie, lecz z pewnym, równie zuchwałym błyskiem w oczach:

— Ażeby chcieć mnie posiąść, nie należy chcieć zaprowadzić mnie przed ołtarz!

Opadła po prostu ze zgrozy. Uczuła się nagle prześwieconą i przejrzaną na wskrós. Uczyniono to brutalnie i dano jej odprawę jak policzek.

W tej chwili znienawidziła Halskiego.

Kto wie, czy i on jej nie znienawidził.

Ścierali się wzrokiem i wpajali się w siebie z furją.

Nie było to dwoje możliwych w przyszłości kochanków, lecz dwoje istot, walczących o szmat jego wolności, na który ona czaiła się z ostrożnością i przebiegłością indjanina, a on warczał i bronił jej na wzór drażnionego tygrysa w klatce, któremu chcą zabrać kawał gnijącego żarcia. Nienawistna walka dwu płci rozpętała się w całej pełni.

Rena porwała za stojący pod jej ręką kieliszek szampana i wychyliła go duszkiem. Nie wiedziała, co robi. Uczuła gwałtowny ból w samym tyle głowy. Czerwone płatki wirowały przed jego oczyma.

Przywołała Alego.

— Ali! Nalej mi jeszcze wina!...

Kaswin z całą radością uczynił zadość temu żądaniu. Poskoczył z błazeństwem i wypełnił jej kieliszek. Halski śledził jej zdenerwowanie z zajęciem. Bardzo łatwo uspokoił się i powrócił do równowagi. Winszował sobie nawet, iż tak zuchwale pochwycił okazję postawienia jasno owej kwestji małżeństwa.

— Będzie teraz wiedziała, czego się trzymać — myślał.

Pragnął jednak nawiązać znów kontakt z Reną. Czuł ją gniewną. Nie rozumiał, że kobieta ma dwa rodzaje gniewu. Ten, który boli i który tylko drażni naskórek.

Widząc, że pije drugi kieliszek szampana, odezwał się prawie przyjacielsko:

— Niech pani nie pije...

Chciała mu odpowiedzieć, gdy Maryla zwróciła się ku niej z interpelacją:

— Reno! Przyznaj, czy nie mam racji? Ci panowie wiecznie zajmują się kobiecą urodą, ale nas to nudzi. Pomówmy o typie męskim, który jest uosobieniem piękności. Zaraz usłyszymy słynne zdanie, iż mężczyzna nie potrzebuje być pięknym!...

Mówiła dziwnie płynnie, czerpiąc w swej gniewnie podrażnionej ambicji chęć zemsty na mężu politycznym, który, mając postawę i dystynkcję, był „suto szpetnym”, jak mawiano w XV. wieku.

— I niech każda z nas określi swój typ...

Panna uświadomiona zaczęła radośnie klaskać w ręce.

— Tak... tak... ale niech będzie szczerza. Ja zaczynam!...

Zrobiła się nagle dziwna cisza. To było niespodziane. Niewolnice milczące na tym punkcie, o których *gust* nigdy się nikt nie pytał, które miały zadawałniać się zawsze rolą podnoszenia rzucanych im chustek — miały wreszcie wypowiedzieć się i określić także swe ukryte upodobania.

Panna uświadomiona zwinęła się w kłębek, nakształt małej, czarnej pantery.

Była dziś w czarnym atlasie, który podnosił jeszcze wężową smukłość jej postaci. Ogromny, purpurowy mak wiądl u jej gorącego gorsu, spalonego żarem wyczekiwania. Z pod przysłoniętych rzęs zaczęła mówić:

— Twarz ściągła, wybladła, o skośnych, zielonych źrenicach, na które kątowo opadają powieki. Ust prawie ani śladu. Coś z apasza, coś ze zbrodniarza, coś z księdza, zmęczonego długim postem i czuwaniem. Słowem *Lorenzaccio* Musseta... zohydzony i zachwycający. Oto wszystko.

Redaktor syknął przez zęby.

— Literatura!...

Panna uświadomiona odparła żywo:

— Pan także żywo fabrykujesz literaturę. Wszyscy ją fabrykujemy. Pan żyjesz z niej, a ja żyję nią. Tu jest różnica.

Ottowicz był pogrążony. Blondyn, dość zażywny, o twarzy imperatora, przystrojonej melancholijną brodą, był raczej typem ofiary apasza, a nie apaszem samym.

Kobiety uśmiechały się złośliwie, rade z wystąpienia śmiałego dziewczyny. Ona napałała się triumfalnie zmieszaniem kochanka. Wpiła pazury w atlas poduszki i rozdzierała go.

Nuciła cicho:

Marion! Marion! Marion!

U więziennych stoję krat,

Wiem, czuję, słyszę, że tam

Czeka mnie z stryczkiem kat.

Lecz już Maryla zwracała się ku Renie, prosząc ją, aby ona objawiła swój „typ”. I teraz wszystkie oczy wpiły się w postać i twarz tej kobiety, którą jedni nienawidzili, drudzy pożąдали. Podniecenie zmysłowej atmosfery, dreszcze, wywołane winem — słowem, upojenie i podwyższenie diapazonu mogło wywołać szczerłość.

Nie napróżno, mieniąc się bez skazy, drażniła tem i wyzywała miłość własną kobiet i lubieżną ciekawość mężczyzn.

Rozpłomienione nagle jej policzki i świecące źrenice zwiastowały, że i ona uległa ogólnemu podnieceniu. Spodziewano się po niej wiele, jakiegoś odruchu szczerości. Suggestjonowano ją w myśli, narzucając jej typ Halskiego, którego jej wszyscy przeznaczali fatalnie za kochanka.

Ona chwilę myślała usunąć się z tej gry, która była dla niej w obecnej chwili rzeczywiście niebezpieczną siatką. Nic bowiem zdawało się nie pozostawać w niej już ze zwracania się ku Halskiemu.

W jednej chwili stanął w jej wyobraźni okolony promieniami nienawiści. Chciała się zemścić za to podniecenie, które poniżało ją w jej oczach i za tę obelgę, która według niej błociła jej szatę gronostaja.

Zniżyła się do trywialności, sięgnęła nisko, chcąc tarzać miłość własną Halskiego w jakimś obrzydlistwie, które by równie poniżyło go w jego oczach, jak on poniżył ją przed chwilą.

Podczas kolacji pobieżnie zauważyła, iż lokaj, przysłany jej do usługi przez restauratora, u którego zamówiła główną część kolacji, był typem silnego, rosłego mężczyzny, z ludu, imponującego barami, prostolinijną twarzą i sokołymi brwiami nad równym, zgrabnym nosem. Oczy były czyste, błękitne, a zwłaszcza pociągający był wiosenny uśmiech drobnych ust, okalających białe, przepyszne, pierwszej sorty zęby. Całość była imponująca, taka od pluga, od roli, trochę ciężkawa, tyrańska, lecz bardzo normalna.

Przelotnie Rena jeszcze rzuciła wzrok na Halskiego, który wydał się jej więcej *afflue*, niż kiedykolwiek. Przez to samo jednak jakby wynaturzonym i nienaturalnym. Zdawało się, że doskonale mógłby przestać istnieć, a miejsce jego pozostałoby równie zajęte, jak do tej chwili. W spojrzeniu, jakie równocześnie z nią skrzyżował, gniew jej umieścił całą dozę przeogromną zarozumiałości, wyzywającej i świadomej.

— Ali, zadzwoń! — rzuciła niedbale.

Drzwi się otwały.

Przypadek jej posłużył.

Wszedł piękny, jasnowłosy chłopiec, w zbyt dużym, trochę podniszczonym fraku. Lecz pod tym frakiem ciało było Discobola.

Pytająco otworzył błękity swych oczu i zwrócił je na Renę. Jakieś milczenie dziwne, ciężące zapanowało dokoła. Wszyscy odczuli obecność istoty, która, mimo niesprzyjające warunki rozwoju, potrafiła utrzymać główne cechy swej piękności prymitywnej. Pomimo wszystko, jeśli był tu typ wyższy, to właśnie on, ten chłop, prawie od pługa, nieoszczędny nawet na tandecie kupionym, ohydny, karawaniarskim strojem. W uśmiechu swym świeżym, jakby skąpanym w rosie, przynosił ten typ istoty, która w rozwoju swoim doszła do *granicy* i poza tę granicę nie wykroczyła. Dlatego otaczała go i promieniowała od niego ta bezwzględna prawidłowość, która w tej chwili biła i gniotła wszystkie wynaturzone i schorzałe typy kochanków, znajdujących się tam i wpatrzonych w to objawienie niezwyrodniałej i niezmarniającej jeszcze przez rozpanoszenie używalności istoty.

Z ust Reny padł wreszcie krótki, urywany rozkaz:

— Poodbieraj filiżanki od tych pań!...

Zbliżył się ciężkim krokiem. Pochylał się nad każdą leżącą na ziemi kobietą.

Uśmiechały się trochę głupio, będąc nieprzygotowane na taką brutalną grę. Oddawały mu swe kieliszki i tureckie filiżanki jakby z żalem, powoli jednocząc się w myśli zatrzymania go jak najdłużej pośród siebie. Było im tak, jak gdyby ktoś im nagle przypomniał, że są na łąkach dziwne kwiaty, które o porannem słońcu wydają ze siebie upajającą woń, a one nigdy tej woni rozkosznej nie zaznały i znać nie będą!

Mężczyźni powstali i jakby obrażeni, usunęli się koło fortepianu. Halski nie łączył się z nimi, lecz Rena czuła, iż rozumiał przyczynę jej postępków. Chciała go jednak jeszcze doskonale zaakcentować.

— *Mój ty!* — wyrzekła, dobitnie wybijając jakby uderzeniem szpicruty ostatnie słowo.

— Typ niższy!... — padło od fortepianu.

— Możesz odejść! — zwróciła się Rena do lokaja.

Wszedł cicho — i to było dziwne, to połączenie pozornej ciężkości z cichością stąpania, prawie kociego, lwiego raczej.

Razem z jego zniknięciem, jakby czar prysł. Kobiety szukały wzrokiem swych mężczyzn. Już przerażały się na samą myśl obrażenia ich. Niewolniczo pelzały ku nim o przebaczenie.

Pierwsza zaczęła Maryla:

— ...Tak!... Ale inteligencja... rozum... dystynkcja...

Rena śmiać się zaczęła chrapliwie, nieprzyjemnie.

— Zdolności parlamentarne... Na razie jednak poraziło wam mowę.

Odwróciła się do Halskiego.

— Panu także!

Zdawał się być zupełnie spokojny.

— To było śmiało, co Pani zrobiła.

— Nie sądzę. W każdym razie w rodzaju pana. Otwarte.

— Brutalne.

Niedbale przecięła:

— Powiedz pan: trywialne! Zresztą, co pana mój typ obchodzić może. Między nami niema nic wspólnego.

— Niema, ale może być!

Wewnątrz niej zadrgało aż coś. Sama nie wiedziała, czy była to radość, czy wzmożony gniew.

— Nigdy! — krzyknęła prawie głośno.

Łaskotliwa, nieprzyjemna muzyka zagłuszyła jej słowa. To Ottowicz grał walca apaszów. Kobiety bowiem, czując urażonych mężczyzn, postanowiły wnieść w atmosferę trochę bujnej (według nich) wesołości. I już poseł do parlamentu, pochwycyony przez pannę uświadomioną, zaczynał ryzykowną karykaturę apaszowego tańca.

— Upust temperamentowi! — wołała, przeginając się z dziwną giętkością prawie do ziemi dziewczyna.

Ali, opuszczony, pochwycił rękę Reny.

— Lalu... ile masz dziś pierścionków?

Była to jego ulubiona zabawa igrać z pierścionkami Reny, przenosić je z palca na palec, tworzyć kombinacje barw i kamieni. Pozwoliła mu na to i w tej chwili, choć skóra jej, podrażniona gniewem, była jak siatka rozpalonych drutów. Zaslaniała się jednak obecnością Kaswina od zbliżenia się Halskiego, który usunął się we framugę okna, gdzie palił papierosa.

Nagle powstał projekt. Ktoś przeglądał album Ropsa i zaproponował odtworzenie niektórych obrazów.

Przystano chętnie i burzliwie. Na plan pierwszy wystąpiła słynna kobieta z pajacem, lecz musiała odpaść z powodu braku krynoliny i pajaca.

Ze śmiechem łaskoczącym odrzucono *La lecture du grand Albert...*

— Nie — żadna z pań nie zdecyduje się nawet w przybliżeniu na coś podobnego. Lecz za to *Le coup de la jarretière* zostało zaadoptowane jednogłośnie. Uznano rzecz za niezmiernie łatwą do wykonania. W mgnieniu oka zaaranżowano estradę ze stołu i jako tło ustawiono parawany. Najpomysłowszym okazał się tu redaktor. Za pomocą Kaswina wynalazł odpowiednie ciemne zasłony w łazience i przyniósł je do narzucenia stołu i przyciemnienia tła.

Chodziło teraz o wybór kobiety, która miała uosabiać wspaniałą typ Ropsa.

Oczy wszystkich mężczyzn zwróciły się na Renę.

— Pani Rena! — zawołał pierwszy Ottowicz.

— Tak... Lalusia!...

Kobiety, jakkolwiek podrażnione, zawtórowały:

— Tak... Rena!...

Rena w każdej innej chwili byłaby odrzuciła rzecz podobnie ryzykowną. Lecz zaczęła jej być powoli „wszystko jedno”.

Kto wie nawet, czy nie była w gruncie rzeczy rada, iż nastęczyła się jej sposobność być na czysto bezwstydną. Podeszła do stołu.

— Skoro chcecie!

Przyćmiono elektryczności.

— Proszę... *Warum!*... Mały, improwizuj!...

Ottowicz poskoczył do fortepianu. Ali ukląkł przy stole.

Nagle przez grupujące się na ziemi towarzystwo delikatnie ku drzwiom wyjściowym przesuwać się zaczął Halski.

Rena, stojąca już na stole, dostrzegła go.

Wszystka krew zbiegła jej do serca.

Wygięła się w łuk ku niemu.

— Pan odchodzi? — zapytała bezdźwięcznym głosem.

Sklonił się.

— Pani wie... powiedziałem, pół godziny, spieszę na pociąg...

— A!... Na pociąg.

Kaswin wyciągnął ku niemu rękę.

— Panie, niech pan nie odchodzi! To będzie takie śliczne.

Lecz Halski uśmiechnął się ironicznie.

— Nie, panie! To będzie raczej smutne. *Un cochon triste...* no tak... bezrogie, melancholijne.

Kaswin się obruszył.

— Proszę pana!

Przywołała go do równowagi Rena:

— Zapominasz się, mały! Pierwszym warunkiem bezwzględna szczerłość.

Mrużyła oczy impertynencko, była nawet śmieszna i czuła to.

Rzuciła ku Halskiemu:

— Ten pan wyznaje bezrogie wesole.

Odparł:

— Przynajmniej niech się wesołością usprawiedliwi.

Ironicznie podjęła:

— Tak... wszystko otwarcie.

Halski odparł:

— Wszystko, albo nic! To moja dewiza.

Zdawało się jej, że chce zrobić jakąś do niej aluzję, więc żywo rzuciła z całą wspaniałością, na jaką się zdobyć mogła:

— Wszystko — tylko nie... to! Moja dewiza.

Czarujący uśmiech rozjaśnił jego usta.

— Szkoda!

— Wierzę! — sztychła.

Lecz on, ukłoniwszy się jej dwornie, wyrzekł:

— Dla pani...

I — znikł za portjerą.

A ona uczuła wrażenie, że nie warto ani uśmiechać się, ani być piękną... że nie warto wogóle patrzeć, mówić, poruszać się, nieść grację i wdzięk rozsiewać dokoła.

Takie wypełniło ją wrażenie.

Tymczasem goście reklamowali hałaśliwie przyobiecane ilustracje Ropsa. Dobre jej wychowanie przeważało. Nie umiała oprzeć się. Przybrała odpowiednią pozę. Mimowoli uszlachetniła trywialną zmysłowość gestu. Wydobyła nawet pierwiastek jakby dziecięcej swawoli. Uczyniła sobą rzecz piękną z tego, co mogło być tylko ładne.

U stóp jej, na tle Szumana, płynął głosik młody Alego.

Podwiązeczka! Kwiat cudny, filuterne ptaszę.

Ona — wróżka nadobna z uniesień cieplarni,

Zradzi nam grzeszki wszystkie i figielki nasze,

Któreśmy hodowali na miłosnej darni.

Zradzi nam, już zdradziła, już się rodzi księga.

Jest skład welinowy i formacik wąski.

A co wewnątrz? To poza wolne żarty sięga...

A tytuł będzie... *Żywo i dzieła Podwiązki.*

*

Jak lekki, wonny dym kadzidla, tak unosiły się te lekkie i wonne słowa ku prześlicznej linii nóg Reny, odzianych w jedwabną pajęczynę pończoch, które czyniły je prawie nagimi. Nic nie zdoła określić doskonałej czystości tych linii i poetycznych kształtów. Podwiązki blado liljowe, lśniące drobnymi kokardami atlasu, ginęły prawie wśród śniegu koronki miękkiej o żółtawej barwie. Cały poetyczny wdzięk owych *dessous* współczesnej kobiety, z jakąś klasyczną pięknnością połączony, zajaśniał nagle, wywołując zdziwienie i uczucie jakby hołdu.

Nie we wszystkich jednak. Bo oto już redaktor trywialnie i niesympatycznie odezwał się:

— Wyżej! Wyżej!

Rena, która przez chwilę czuła także jakby rodzaj ekstazy nad emanowaniem ze siebie tyle niewieściego czaru, uczuła się niemile dotkniętą.

Osunęła na swe stopy suknię i zesła ze stołu.

— Przepraszam pana! — wyrzekła — gdyby wyżej — byłoby to właśnie, co pan Halski powiedział... Któreś — bezrogie.

Redaktor się usprawiedliwiał:

— Och! Mniejsza, lecz byłoby piękne!

Lecz Rena uparcie z oczyma pełnymi gniewu odparła:

— Byłoby szpetne. — Do tej granicy było dzieło sztuki.

Zaczął się gwar i śmiechy. Ali, któremu drobny triumf deklamatora i przygodnego truweru zasmakował, proponował ilustrację *Buveuse d'absinthe*. Lecz inni protestowali. Znudzeni się uczuli rolą bierną. Przytem atmosfera zaczynała stawać się jakaś zanadto *prude*. Coś się psuło w państwie duńskim. Od Reny wiało jakby niechęcią. Lecz oni postanowili nie zważać na to. Zeszli się tu dla zabawy, dla pieszczot. I pierwsza dała sygnał Weychertowa. Siedząc na bujającym fotelu Reny, pociągnęła ku sobie skrzydło jednego z gazowych parawaników, odcinając się w ten sposób od reszty towarzystwa. Wprawdzie przez gazę widać było doskonale klęczącego u jej nóg redaktora, jednak była to już jakaś zasłona, upoważniająca do większego zbliżenia się. Natychmiast w ślad za nimi poszedł Ottowicz z Janką, która rozbawiona, podobny gabinetik urządziła i dla Maryli z mężem politycznym. Potworzyły się państwa w państwie — trzy małe, odosobnione wysepki na wielkiej wyspie miłości, którą był od tej chwili salon Reny. Nie działo się w tem nic złego, przeciwnie, to było raczej jakieś rozbawienie dzieci, tworzących pod stołami jadalni własne domki i salony. Tak wziąć tę rzecz należało, tem bardziej, że z poza parawaników, bynajmniej szczelnie nie zasuniętych, Rena mogła doskonale kontrolować stopień zachowania się swych gości. Lecz młoda kobieta była w tej chwili niezdrowo podniecona. Sama, czując w sobie jakieś gwałtowne, niezrozumiałe dla niej budzenie się namiętności, przyzywała ku temu prądowi całe uzbrojenie wrogich argumentów, jakimi od dzieciństwa tradycyjnie ją napajano, celem zgłuszenia wszelkich popędów jej przyrodzonych.

— Bawimy się w gabinecie! — śmiała się ku niej przez gazę Weychertowa.

Już Ali, rozzuchwalony powodzeniem swej poezyjki i nieobecnością rywala, ofiarował jej z przymileniem ramię.

— Lala ze mną?

Lecz odepchnęła go prawie brutalnie.

— Za kogo mnie pan bierzesz? — zapytała głośno i wyniośle.

Skierowała się do drzwi balkonu. Przechodząc, jakby mimowoli, przewróciła jeden z parawaników. Ottowicz całował zawzięcie ramiona uświadomionej panny. Wydali lekki okrzyk. Ona imperatywnie odtrąciła parawan i wybiegła na balkon. Wzburzona poddała się cichemu czarowi nocy letniej, która nawet w mieście potrafi zachować swój urok. Oparła się o ścianę i uczuła się nagle strasznie, bezdennie nieszczęśliwą. Nie czuła się już zdolną do tak zwanego „*krowiego morali*” Nietzschego, do tej opasłej szczęśliwości, a zarazem nie miała siły do walki, której zbliżanie się przeczuwała. Stała bezsilna i wyczerpana.

I tylko z jej głębi, jak w godzinach udręki mniszki, która o północnej adoracji, ciepła jeszcze od snów miłosnych, bije czołem o podłogę kamienną chóru, tak głos jakiś, nie poskromiony, buntowniczy wołał:

— Dlaczego? Dlaczego?... ja muszę trwać? Kto mi kazał? W imię czego? Pod jakim hasłem męka moja? Tortura moja?

Wyciągnęła ręce przed siebie. W wyobraźni swej dojrzała nagle dworzec kolei, usłyszała gwizd, szcęk lokomotywy, szereg zajeżdżających wagonów. I z jednego takiego wagonu wyłania się postać kobiety wolnej, nie walczącej, spokojnie biorącej z życia swą część pełną dlonią i nie kalecząc i nie koszlawiąc piękności potężnej linii, wykreślonej z nieubłaganą logiką przez naturę. Kobieta owa padała w tej chwili w rozwarte objęcia Halskiego, niosąc mu rozkosz spragnienia swego i biorąc nawzajem od niego zaspokojenie swych miłosnych pragnień.

I nagle wydali się oni oboje Renie w oślepiającym blasku błyskawic doskonali i stokrój więcej czysti, niż ci tam, wyprawiający łamańce pseudo skromności, pseudo przyzwoitości, a szpetni w swej kulturą pokrytej pruderji. Na jedną chwilę stała się moralistką prymitywną i zacieklą.

Widząc, że Ali w rozswawoleniu zagasił w salonie elektryczność, wpadła nagle, szarpnawszy drzwi z łoskotem.

— Co się tu dzieje? — zawołała.

Ta rozpusta na zimno, ten flirt wstrętny wydał się jej w tej chwili karygodnym i obrzydliwym. Oni jednak pomylili się w pobudkach, jakie nią kierowały. — Sądziła, iż posądza ich o zapomnienie się rzeczywiście. Zaprotestowali. Do głosów ich przyłączyły się także

jakieś głosy nieznanne. Rena, kierując się do ściany, aby rozjaśnić światło, potknęła się o jakieś postacie, siedzące grzecznie na krzesłach. Byli to mężowie Maryli i Weychertowej, którzy w trakcie zabawy gabinetowej weszli do salonu i bardzo cierpliwie i przyzwoicie zachowywali się w ciemnościach. Gdy zajaśniała elektryczność, wydobyła na jaw dwie, podobne do siebie postacie dobrze ubranych mężczyzn, na stanowiskach — o doskonałej podwójnej moralności — pionków solidnych i skończone typy *zwierząt stadnych*. Czuć w nich było przejęcie się wyborne i poddanie dyscyplinie, która w zamian za uszanowanie jej praw obdarzała swych wyznawców sytością i wygodą zupełną. Ludzie ci byli w porządku z sobą i społeczeństwem. — Byli *doskonali*.

Z poza parawanów z chichotem wysuwały się ku nim ich żony i ich adoratorowie. Całowali w ręce żony, ściskali ręce adoratorom. Witali Renę, która zaciskała ironicznie wargi, powstrzymując się całą siłą, aby nie wypowiedzieć tej całej „bandzie” słów prawdy, jakie w niej wzbierały. Nigdy może nie wydali jej się więcej kłamliwą i oszukańczą *bandą*, jak w tej chwili.

— Ładny komplet! — myślała, patrząc, jak mężowie otulali swe żony płaszczami, gotując się do odejścia i przejażdżki automobilem Ottowicza, który właśnie z łomotem i hukiem zajechał przed kamienicę.

— Ale pan musi kogoś przejechać! Pan to dla mnie zrobi! — mizdrzyła się uświadomiona panna.

Weychertowa uczepiła się ramienia redaktora, rzucając mężowi swoje boa i wachlarz.

— Nieś to! Dobranoc ci, Reno!

Lecz Ottowicz zwrócił się do Reny z propozycją:

— Może pani z nami?

Aż wzdrygnęła się cała.

— Ja? Po co?

Roześmiali się. Wybiegli wszyscy, śpiesząc się do nowej zabawy, jakby podnieceni obecnością mężów. Pozostała tylko Rena i na poduszkach opadły, prawie drzemiący, piękny jak cherubin — Ali.

V

Dojrawszy go, Rena rzuciła się ku niemu, jak ku swej ofierze.

— Czego chcesz tu? Idź sobie!

Dla niej była to pozostałość po tym fałszu, tej obłudzie, która przez kilka godzin swą obecnością zatrzymała jej dom.

— Idź stąd! — powtórzyła twardo i z pasją dziwną.

Patrzył na nią mętnymi oczyma.

— Lalusiu!... Ja tu zostanę!

— ?...

— Jesteś taka cudna! Nie wypędzaj mnie!

Przyczołgał się do niej, wpół pijany, i pochwycił jej stopę, przyłgął do jej pantofelka. Szybkiem ruchem zesunął pantofel z nogi, pozostawiając mu to cacko w rękach.

Zadzwoiła.

Weszła zaspana pokojowa.

— Czy ów lokaj restauracyjny odszedł?

— Wybiera się właśnie.

— Niech przyjdzie tu, zabierze panicza, wsadzi go do dorożki, a w razie potrzeby odwiezie do domu. Panicz jest pijany. Daj lokajowi za to dziesięć koron.

Uciekła na balkon, tłumiąc w sobie jakieś spazmatyczne łkanie. Za chwilę widziała, jak lokaj prowadził opierającego się Alego. Obaj wydali się jej ohydni. — Miała do nich szaloną nienawiść i urazę. Lokaja nienawidziła za jego urodę, która posłużyła jej do okrycia się szpetną brutalnością w oczach Halskiego, Alego zaś za jego pożądanie dziecinne, mające w sobie cierpki smak przed czasem robactwem stoczonych owoców.

Osunęła się na balkonowe krzeselko, które stało tam zapomniane pod ścianą. — I tak trwała w ciszy i cieniu. — Miasto zdawało się umarłe — w tej śmierci olbrzymiało i nabierało jakiegos ogromu, jak każda rzecz martwa, milcząca i przez to bardziej od

nas oddalona. Renie wydało się, iż jest w tej chwili Parją, skazaną na wieczne osamotnienie. Czula bowiem w tej martwocie miasta potęgę miłosnych dreszczy, które w tej chwili wśród ciemności wstrząsały jego mieszkańcami. — Najsilniejsze instynkta życia, nie zdławione niczem, nie przygniecione, szły swoim torem. — I wielka, chyląca czoła była ta potęga, która mimo nienawiści, mimo oków i pęt moralności trwała silniejsza nad wszystko — panująca, rozwijająca się, mimo klątw i ucisku wszelkiego rodzaju...

Z głębin Reny powstawała wielka gorycz. I ta niszczyła w niej pragnienie zmysłowe. — Wiedziała i wyczuwała, że w tej nocy letniej spełniały się wszędzie — dozwolone i niedozwolone czasy rozkoszy. Cud miłosnych misterji przepelniał przestworze. — W wyobraźni tylko odtworzone te połączenia i zjednoczenia obu płci nabierały głównego, zasadniczego znaczenia w Istocie wszechświata. — Oczyszczone z naleciałości ludzkich, strojne tylko jedynie w rozkaz i władztwo natury, stawało się owiane niepojętą dla ludzkiego pojęcia idealnością. I pożądanie dochodziło do godności najwyższych i najszlachetniejszych instynktów, stokroć wyższych nad zaspakajanie głodu, a równomiernych nad uczynieniem zadość pragnieniom snu i wypoczynku. I nic, nic nie zdołało wypaczyć i zniszczyć piękności idealnej samego aktu połączenia cielesnego mężczyzny i kobiety. — Naleciałości i wykrzywienia komedjanckie etyki mogły zeszpecić przygotowawczy okres. — Prawem, kodeksem, policją, obmową, klątwą oblepione zespolenia w danej chwili odrzucały nagle precz wszystkie te szpetoty i z kielicha upojeń w równej mierze pili wszyscy spragnieni w ten czarujący moment upojnego dreszczu!

I w tem leży prawdziwa, wielka, niezmożona siła miłosnego aktu.

Trwa wiecznie i po wszystkie czasy, przybierając ogromy wieczności. Ogarnia to wszystko, co jest najsilniejsze i najbardziej delikatne w nas samych. — Przenika i przepaja nasze uczucia i odczucia. — Sięga do najpiękniejszych wzruszeń i każdego w chwili ekstazy podnosi w sferę doskonałego zjednoczenia. Jak w śmierci, tak i tu panuje równość zupełna. — Dreszcze rozkoszy są identyczne, jak spokój śmiertelny dla wszystkich jest jeden. — Nigdy żadna twarz kobieca nie dochodzi do wyrazu równej piękności, jak w chwili odczuwanej rozkoszy. — Jest to ten sam wyraz podniosłej, szczęśliwej tragiczności, jaki przyobleka twarz zmarłego w kilkanaście godzin po śmierci. — Rzecby można, iż ten moment ekstazy — jest właśnie chwilą jakiegoś odpoczynku, wstąpienie w Nirwanę, stopienie się w tę boską słodycz, z której powstaaliśmy wszyscy.

I jeśli za co mieć można rozpaczliwy żal do ludzkości, to za to spłaszczenie, skoszlawienie, upokorzenie najwspanialszego i zasadniczego popędu, nadanego nam w chwili królewskiej szczodrości przez naturę. I za to przystosowanie do swych marnych, żadnych, ślimaczych potrzeb — gigantycznej Mocy — mści się ta moc agonją wzniesłego ideału, który właśnie tą drogą, pozostawioną swobodzie, mógł podeprzeć sztuczne rozplamianie się ducha ludzkiego. W tych warunkach, jak obecnie, ludzkość skuta, spętana była tylko obrazem rozpaczliwej walki Etyki z Erotyką — mieszając ciągle te dwie potęgi, sztuczną i naturalną, z uporem maniaków, dotkniętych manją zadośćuczynienia swym egoistycznym wymogom. — Wieczysty zamęt, panujący we wnętrzu każdego osobnika, wytwarzał chaos potworny, którego dominantą był żal za spętaniem niezaspokojonych upojeń swobodnych i nie zdradliwych od osaczeń — połączeń. Dbali o to „dobro” przewodcy ludzkości — ryjący jej prawa na kruchych niestety tablicach — w obłądnie bezrozumnym wyszli z fałszywego założenia. — Tłumić i walczyć przeciw sile twórczej i rozrodczej, tyrańsko wmawiać mus wstrzemięźliwość według schematu — zapominając, że jedynie zakaz wytwarza niewstrzemięźliwość.

I stąd rozpaczliwy absolutyzm z jednej strony i bunt wieczysty, ciągły, konieczny z drugiej...

Stąd miast rozwoju i rośnięcia skrzydeł — walka niska, cuchnąca trupami, wycie za kratą obłąkańców, bicia o podłogę klasztorną czaszek dziewiczych, pod którymi płoną całe purpury oparów, zmarnowania istnień, przepojonych wieczystą tęsknotą za niedoznanym i nie spełnionym pożytkiem wyznaczonej im egzystencji!

*

Pogrążona w jakiejś mrocznej głębinie istota Reny nie zdaje sobie nawet sprawy, jak bardzo skomplikowaną jest ta gorycz, która ją przepelnia. — Utartym szlakiem tłómaczy

ją sobie jedynie jako cierpienie strony duchowej swej istoty. Ogarnia ją pragnienie niezmiętej kłiwosci. W tej chwili osamotnienia zazdrościła kobietom, spoczywającym w objęciach mężczyzn, lecz zazdrość jej formułowała się jedynie do świetlanej atmosfery, w jakiej te kobiety żyć mogły. — Zdawało się jej, że gdyby jej dana była ta możliwość, głos jej, myśl jej, nabrałyby nieznanego jej do tej chwili dźwięku bezwzględnej szczerości, i że ta szczerość pozwoliłaby jej wreszcie stać się raz jeden sobą samą i zrzucić z twarzy maskę, którą, jak przekleństwo, nosić musiała. — Nie starała się przeniknąć i zrozumieć, w czyich objęciach chciałaby znaleźć to ukojenie, mglisto i niejasno przedstawiała sobie tego człowieka. Chciała tylko, by ją odczuł, zrozumiał i nie przerażał ją swą gwałtownością.

Tylko melancholijna łagodność mogła ją pociągnąć ku sobie. Była, jak ktoś bardzo chory, marzący o odpoczynku po cierpieniach strasznych tortur, w dobroczynnej ciszy błękitnej, nocnej lampy.

Na dole, pod balkonem prawie, posłyszała kroki. — Nie oderwała głowy od rąk — skurczyła się jeszcze przy ścianie.

Nie patrząc — wiedziała, iż to Halski.

Jak we śnie, posłyszała dzwonek do bramy i wtedy porwała się.

— Szedł więc! Szedł!...

Wpadła do pokoju i do swej sypialni. W salonie rzuciła pokojówce prawie bezprzytomna:

— Jeśli pan Halski — wpuść go do salonu... sama siedź w kuchni ubrana! Czekaj aż ja zadzwonię... Zgaś zupełnie światło!

Dziewczyna zdziwiona cofnęła się.

Rena już była w sypialni. — Zaczęła całą siłą przywoływać się do przytomności.

Jeżeli przyszedł, jeśli odważył się, mimo wszystko, na krok tak ryzykowny, musiał w swej głębi mieć dla niej coś więcej, niż przelotną fantazję.

Spojrzała się w lustro. — Odbiło jej twarz jakąś triumfującą, zgorączkowaną twarz, oczekującą na zmienne koleje i ciosy.

— Trzymaj się! — rzuciła do siebie przez zęby. — Trzymaj się!...

W ten sposób, nawet trywialny, sugestjonowała się. — Wydobyła ze swych tajni drobne sposobiki pułapek kobiecych. — Szybko zerwała wprost ze siebie suknie i na cienki batyst koszuli narzuciła równie cienki, różowy, miękki jedwab peniuaru. — Z włosów wyciągnęła szpilki. Rozsypały się rudawą kaskadą po nagich ramionach. — Natarła kilkoma kroplami perfum piersi — zerwała pończochy, wsunęła meszty...

Była pod bronią.

Nadsluchiwała od strony salonu. Posłyszała szept pokojowej — jakieś kroki — potem umilkło wszystko.

Powróciła do gotowalni, drząc całą, podkreśliła oczy i zapaliła dwie świece w kandelabrze. Ujęła w rękę kandelabr — zrzuciła z jednego ramienia peniuar tak, że odkrywała się jasna luna cudownego ciała — i posunęła do drzwi prowadzących do salonu. — Za niemi wyczuwała każdym swym nerwem Halskiego. — Podniosła wysoko płonący kandelabr, spojrzała raz jeszcze w stojące, wielkie, biedermajerowskie zwierciadło i przeraziła się prawie swoją niezmierną, zjawiskową pięknoscią.

— Och! Tem lepiej! — myślała.

I otwierając drzwi, nie wiedziała, co ją wiedzie.

Nienawiść — czy... Miłość.

VI

Pólnaga, wonna, oślepiająca, stała przed nim, jakby ze snu ciężkiego, gorączkowego, porwana.

Z doskonałą, wirtuozowską komedią zapytała znany głosem:

— Pan tutaj?

Lecz on, zbierając także resztki swego komedjanstwa — odparł:

— Nie chciałem kazać Pani dłużej czekać...

Zawahala się.

Miłość własna kazała jej wypędzić go natychmiast. Lecz — przezorność zwyciężyła. — Postawiła na stole kandelabr i napozór zupełnie swobodnie odparła:

— Znużyłam się oczekiwaniem i zasnęłam.

Ta odpowiedź odebrała mu trochę pewności siebie. — Czar bliskości jej ciała robił swoje. Co za przepyszna kochanka, bogata we wszelkie uroki delikatnego, prawie bezkrwistego ciała. — Usiadła na sofie, narzuconej bogato haftowaną, perłową makatą. — Białe światło drżących płomieni świec ślizgało się wzdłuż jej kształtów, wydobywając na jaw coraz to inne piękności. — Oczy jej, tajemniczo przysłonięte, błyskały tylko od czasu do czasu nieuchwytnym wyrazem. — Szczególnie piękną była linia jej długich, smukłych rąk, które zarzuciła w tył głowy, ruchem uśpionej Psyche Casteldi'ego. Nigdy Halski nie podejrzewał nawet, że będzie tak piękną i powabną bez dodatków zwykłego stroju, w którym zjawiała się dotychczas przed nim. — Zawsze rozmawiał, jak szkodliwy dla kobiety jest ów „strój” — i jak dużo tracą w miłosnych sprawach te, które nie umieją nosić swej nagości i włosów „rozczesanych” — z odpowiednim wdziękiem. Lecz nigdy nie zrozumiał tej prawdy tak — jak w tej chwili.

Bosa, prawie naga, Rena była młodszą, świeższą, bardziej świetlaną psychicznie i cielesnie — jeżeli tak rzec można. — Strząsnęła ze siebie naleciałości cywilizacji, oszpecającą piękność triumfalną kobiety. — Odrzuciła precz swe tłumiki i przystroił ją czar jakby dziewczęcego wdzięku, który był zasadniczą piękną, tak jak zasadniczą piękną kobiet malarzy angielskich jest ten dziecinny wyraz, strojący niezwalczonem pięknem kobiety Leightona lub Rosethiego.

Odczuwał to doskonale Halski. I ogarnęła go bezwiedna radość. — To oczyszczenie piękności Reny — obiecywało mu pierwotność wrażeń namiętnych, które za jej pośrednictwem otrzymać zamierzał. — Chciał, aby w ich zespoleniu się nie było nic fałszywego, smutnego i sztucznego. — W tej chwili nienawidził sztuczność swoją. Drżał cały z chęci posiadania tej kobiety, jakby drżał w dzień upalny z pragnienia napicia się z krystalicznego źródła, które dostrzegł nagle wśród aksamitu traw.

Nie wątpił, iż odda mu się. Inaczej dla czego z taką łatwością wyszła na jego spotkanie, tak szczerze obnażona i jakby niezdolna do walki. Wymienione zdania były jakby ostatecznie skrzyżowania szpad w mdlejących rękach, które pragną wyciągnąć się raczej do uścisków rozkosznych pieścizot. — Milczeli oboje, jakby gotując się do jakichś ważnych, kapitałnych wrażeń. — Przyciszony, warczący tupot kół i kopyt bił o asfalt gdzieś bardzo daleko, wreszcie i to skonowało. — Lekki wiatr poruszał żółtem światłem płonących świec. — Biel mebli nabierała dziwnego, fantastycznego wyglądu unieruchomionych szkieleców, oczekujących na mające się zacząć miłosne widowisko.

Halski osunął się na klęczki i tak przypelzał do Reny.

— Pozwól się kochać! — wyrzekł stłumionym głosem.

Na usta jej wykwitł zagadkowy uśmiech.

— Chętnie! — odpowiedziała.

To go cokolwiek zmieszalo. — Przypuszczał, iż swoim zwyczajem zaprotestuje, co mu da sposobność pochwylenia ją w ramiona, roztoczenia całego zasobu płomiennej swej wymowy. — Tymczasem ona leżała spokojna, nieruchoma, tajemnicza...

Sięgnął do swych zwykłych, uwodzicielskich, środków. — Przyczołgał się jeszcze bliżej, dysząc prawie na nią swą wonią i chłonąc woń jej ciała.

— Jak pięknie, jak cudownie, bosko mienić mi się będziesz w ręku... — wyszeptał namiętnie.

Przymknęła oczy.

— Czy sądzisz Pan, że będę do tego zdolna? — zapytała również szeptem.

— Jak kobieta przeznaczona do miłości... — odparł. — A pani jesteś nią od stopek Twych nagicz, różowych — aż do tej głowy wyniosłej, dumnej, o pocałunki proszącej... O pocałunki nie banalne, ale stygmatem krwi z pod twej cienkiej skóry wyssane...

Ujął w ręce jej boską nóżkę, tulącą się wśród jedwabiu i koronek. — Jak strwożonego ptaka tulił ją w swych drżących, rozpalonych powstrzymywaną żądzą dłoniach. — Nagle, widząc, iż usta jej drżą i pierś dyszy szybciej — posunął się ku jej szyi, która miała wdzięk lodygi kwiatu, na której czarownicy, wabnie, uśmiechał się kwiat jej głowy.

— Pozwól! — mówił — pozwól, niech się przekonam, jaki jest zapach twego ciała. — Musisz pachnąć ambłą, miłością i Lacrima Christi. — Przewiduję to... Jakaż cudowna kochanką będziesz, Reno!...

Leżała ciągle bez ruchu z zaciśniętymi powiekami — jakby pozbawiona myśli.

A przecież było to tylko pozorne, bo pod jej czaszką kłębiła się szalona, potworna walka. — Wobec błogiej, omdlewającej rozkoszy, jaką jego usta, które przyłgnęły do jej szyi, wlewać zaczęły w każdy jej nerw — każdą jej żyłę, prawo do zaczerpnięcia z życia upojenia zupełnego i wyczerpującego zaczynało dominować ponad spętaniem, jakie sama, wskutek fałszów i obłud, na siebie nałożyła. — Cierpiała w tej chwili w tej walce nie z nim, ale ze samą sobą. — Dopiero w tej chwili uczuła, jak drobną, jak żadną była wobec tej potęgi, tej burzy, jaka leciała ku niej, chcąc ją porwać w swój wir i płomienie...

Lecz była to jedna, jedyna chwila — jeden moment halucynacyjny istnienia prawdziwego, pełnego, wolnego, jakby wydostanie się na obszar zupełny z klatki ciasnej, której pręty powrastały w jej boki. — Lecz już piersi jej, nieprzywykłe do mocy upojonych, przenikających do najgłębszych warstw wrażeń — żądały drobnej, dusznej atmosfery zdawkowego, moralnego szablonu.

— Tylko żoną — tylko żoną!... — sugerowała się myślowo — opancerzając się w ten sposób przeciw miotającej się u wrót jej jestestwa nawałnicy.

I razem z temi słowami wypełzała ku niej, na pomoc, cała armja kłamstw, sposobików i dozwolonych słodko zbrodniczych zasadzek.

Nie strząsała ze swej szyi ust mężczyzny — lecz stała się nagle martwą i zimną w jego rękach. — Tak silną i nagłą była ta przemiana, iż wyczuł ją, jakby jasnovidzeniem. — Odsunął się sam i patrzył na nią z oddalenia. — To dopomogło jej do zupełnego zawładnięcia sobą.

Otworzyła powoli oczy, jakby wychodząc ze snu.

Nieokreślony uśmiech ironji zeszpecił jej usta.

— Czy to jest cały pański repertuar? — zapytała przeciągle.

Przeraził się.

Uczuł, że mu się wymyka i że oddziaływanie jego na nią jest widocznie zbyt słabe. — Tak sądził, nie mając do tej chwili nigdy sposobności do walczenia z taką siłą wkorzenionych w istotę kobiecą pragnień zastosowania się do szematu, nakreślonego przez ludzkość. Zwykle takie sam na sam, takie przedwstępne upojne pocałunki, w których celował, niweczyły wszelkie skrupuły i kobiety padały mu na ręce bez woli, a raczej z wolą doznania strasznych dreszczów rozkoszy, w której ginie się i odradza nieśmiertelnym prądem. — Gdy sądził ją już na tyle jakby zdrętwiałą, że dla niej nie istniały zewnętrzne światy, lecz koncentrowało się wszystko w jednym, niewysłowionem pragnieniu szczęścia, które sprowadza na usta kobiety uśmiech, oczy jej przysłania łzami, ona miała na tyle siły i panowania nad sobą, aby z tych światów „obok” zaczerpnąć brzydką ironię i z lodowym chłodem podać mu jakby kryształowy kubek pełen lodu.

Nie chciał jednak przyznać się do przegranej, tem bardziej, że doszedł sam do paroksyzmu namiętności.

Wyciągnął ku niej ręce...

— Pachniesz... ambrą... — wyrzekł ochryplym głosem — masz ciało kobiet, które pachną wschodem...

Milczała.

Mówił dalej.

— Dlaczego marnujesz chwile życia? — Dlaczego nie chcesz doznać wrażeń, które pędzą dookoła nas, powołane koniecznością, musem. — Wszak dana ci została od natury piękność i żar twego ciała. Reszta — to świecideła, nabyte i sztuczne. Gdyby nam były konieczne, rodziłybyś się z niemi, jak rodziłaś się z pożądaniem i urokiem twego ciała, twych włosów płomiennych... Reno! Reno!... Nie odwracaj głowy! Płomienie w tobie grają! — Drżysz cała? — Czujesz rozkosz? Czujesz?

Cicho — jakby powiew wiatru — odrzekła:

— Czuję.

Lecz nic w tem nie drgało — nic.

— Bądź moja! — szeptał, garnąc się znów do jej piersi.

— Pragnę tego i ja!... — odparła.

Rzucił się na nią...

— Otwarcie, szczerze, bez zastrzeżeń...

Wypreżyła się nagle i pchnęła go jednym rzutem rąk.

Coś, jakby krzyk, jakby łkanie, wydarło się jej z piersi. — Niewiadomo, czy był to jęk rozpaczny, czy krzyk triumfu zwycięzcy.

Porwała się i równocześnie, gdy stanęła na ziemi, odzyskała całą już i zupełną równowagę. — Owinęła się w szlafrok, ale tak umiejętnie, że przez delikatną jedwabną osłonę wydawała się jeszcze bardziej nagą niż poprzednio. — Z całą godnością znieważonej burżuazki przeszła na drugą stronę pokoju.

— Pan daruje, panie profesorze! — wyrzekła drewnianym głosem — ale nie wszystkie kobiety są do siebie podobne.

Pobiegł za nią. — Pochwyił ją tak, że rozdarł na niej peniuar.

— O!... Nie napróżno pozwoliłaś mi upić się zapachem twego ciała... — charczał — tak się nie skończy.

Ona wydarła mu się z rąk.

— Nie skończy się nic, bo się nic nie zaczęło — odpowiedziała.

— Omdlewałaś mi w rękę.

Mówiąc to czuł, że popełnia nietakt. — Panujący i kobiety nie lubią, gdy się je chwytą na gorącym uczynku chwilowej abnegacji. — Rena zmarszczyła brwi gniewnie.

— Tak źle nie było! — odrzuciła.

Uczuł teraz swój błąd. Lecz poprostu sam wysuwał się sobie z ręki. — Ta kobieta, tak silnie uzbrojona w przesady ogólnoludzkiej moralności, derutowała go. — Rzucił jej więc, jak obelgę.

— Nie jesteś kobietą...

Oglądając podarte koronki peniuaru, odparła:

— Przeciwnie. Jestem kobietą, ale uczciwą... Ten rodzaj panu nieznan. Najlepszy dowód, iż nie uznajesz nawet małżeństwa...

Padło znów to słowo i wywołało jakieś ciężkie uczucie niesmaku. — Co więcej, odrazu spowodowało ich dwoje z roli pożądających się kochanków — do roli nawzajem zastawiających na siebie sieci wrogów.

— Wytłumaczę pani, dlaczego nie uznaję małżeństwa! — odpowiedział, chłodną powoli.

— Oto dlatego, że nie znam kobiety godnej wysokiego miana żony...

Drgnęła cała i wpiła w niego wzrok roziskrzony...

— Tak — ciągnął dalej — są wprawdzie młode panny. Ale ich nieskazitelność jest *musowa* — jak zakonnic, zamkniętych za kratami, lub owych słynnych żon, przystrojonych w średnich wiekach w owe hermetyczne *ceinture de chasteté*. Nieskazitelność ta zatem niema waloru. W inne kobiety nie wierzę...

Drżała cała z oburzenia.

— Zbyt śmiało wobec mnie — zawołała. — Czy i we mnie pan nie wierzy?

Patrzył na nią przez chwilę. Coś tam lepszego załaskotało go pod sercem. Miała w tej chwili wyraz kobiety istotnie czystej.

Lecz mimo to odparł hardo.

— Jeżeli pani jest cnotliwą — to zapewne dlatego, że nie nadarzyła się pani sposobność prawdziwa, któraby pani odebrała wolę i siłę.

Chciała mu powiedzieć, iż ta „sposobność prawdziwa” — była właśnie teraz, może najprawdziwsza i jedyna w jej życiu — ale duma nie pozwalała jej na to.

Natomiast — wyrzekła:

— A czy nie dowód to koncentracji ogromnej woli, aby unikać podobnych sposobności?

— To się nie da, takie sposobności nalatują same z ciemności i nieoczekiwanie druzgocą.

— Nic mnie zdruzgotać nie jest w stanie — odrzuciła wyzywająco.

Patrzył na nią przez chwilę przeciągle.

— Pani źle wybrała z grzechów głównych — wyrzekł wreszcie — bo Pychę — są tam o wiele miłsze grzechy.

Zaczęła śmiać się dwornie.

— Zostawiam je Panu!

— Wolę grzeszyć rozkosznie — podjął tym samym tonem.

— Och! Znów rozkosz? Rozkosz!... — gardziła ironicznie. — Z przed dwudziestu laty wyszła z mody efekta.

Wziął w rękę kapelusz jak grzeczny pan, który jest „na wizycie”.

— Co piękne i podstawowe, nigdy z mody nie wyjdzie. Kwiaty mają zawsze tę samą woń, burza tę samą grozę tragicznego piękna, westchnienia miłosne ten sam dźwięk. — *Voilà!*...

Patrzyła nań wyzywająco, on wzrok ten pochwylił.

— Co najsmutniejsze! — wyrzekł — to to, iż pani zdaje się, że pani triumfuje.

Czuła, że bronić się musi.

— Och! Triumf byłby tu nie w miejscu. Pan nie był na serjo wzięty.

— Głupio, ale byłem!

— Cieszy mnie to. Za to ja nie byłam.

Pożałował swej koncesji.

— Śmiem wątpić.

Nagle uczył się jakby znudzony tą całą przygodą. Wydało mu się, że depczą po jakiejś piaszczystej pustyni, z której niema wyjścia.

— Zresztą ma pani rację drwić ze mnie — wyrzekł szybko — gram w tej chwili śmieszna rolę. Stoję wobec zagadki — wobec kobiety, negującej cel, do którego stworzona została...

— Czy być uwodzonym przez was jest celem naszego życia? — przerwała mu gwałtownie.

I jego ogarnął gniew.

— Tak! — krzyknął prawie — tak! To wasz cel i do tego jesteście przeznaczone na świecie. Skoro usuwacie się od waszej służby miłosnej, wytwarzacie sytuacje chorobliwe, nienaturalne. Oto my — rozmawiamy ze sobą jak dwoje belfrów, którzy się poróżnili o rzeczy marne i smutne. A przecież jesteśmy swobodni, zdrowi i moglibyśmy dać sobie wzajemnie chwile prawdziwego szczęścia...

Wzruszyła ramionami.

— Być może. Ale to ma w sobie coś niezwykłego. Podczas gdy owo „szczęście” spotka Pan w każdym kabarecie.

Tyle było w niej w tej chwili pogardy, iż prawie miała nad nim przewagę.

— I ręczę Panu, że Fryne... — ciągnęła — raczyła także dyskusją swych kochanków.

— Być może, ale Fryne potrafiła urozmaicać gdakania dyskusyjne...

Ukloniła mu się bardzo po wersalsku.

— Żałuję... ale to przechodzi moje środki.

Jakaś dziwna zmiana oświetlenia, coś jakby niepokojącego zaczęło się przedzierać przez koronki firanek.

Ukazała mu okno.

— A więc nie dobrej nocy! Ale dnia dobrego!...

Patrzył na nią już spokojnie i prawie lekceważąco.

— Odchodzę! — uspokoił ją — muszę pani powiedzieć, że zaimponowała mi pani — i wyrazić żal, że ja pani nie mogłem zaimponować.

Zrozumiała bezwstydną aluzję i odczuła, że w ten sposób chciał dać jej do poznania, że oporem swoim nie zyskała jego szacunku.

I ta drobna, podła zemsta nad bezbronną jej wrażliwością przygniotła ją.

Był już przy drzwiach, spokojny — *correct*, a wydawał się jej w tej chwili znów bezczelnie piękny.

— I nie będzie mi to już dane... — ciągnął, akcentując coraz więcej swoją ironię — bo wyznaję, że cnotę mogę podziwiać zdaleka — ale nie ma ona dla mnie siły pociągającej! *Madame!... j'ai l'honneur!*

Banalnie, elastycznie opuścił salon.

Za chwilę Rena posłyszała zamykające się drzwi wchodowe — następnie otwarcie bramy — powrót do mieszkania pokojowej, jej wejście do pokoju służby.

I zapadła wielka, bezbrzeżna cisza.

*

Rena zbliżyła się do sofy, na której leżała przed chwilą. Poduszki jeszcze zachowały odcisk jej ciała. Padła w tej samej pozycji, w jakiej leżała poprzednio. — Zamknęła oczy i zasluchała się w wewnętrzny głos swej istoty. Chciała gwałtem wydobyć ze siebie zadowolenie ze swego pysznego postępu. — Była nad przepaścią i pozostała znów bez skazy i przedziwnie według siebie doskonałą.

Lecz mimo tych usiłowań — powstawały w niej zupełnie inne wspomnienia i echa. — Nie była już w posiadaniu całej swej istoty. Wypełzały ku jej stopom, jej piersiom, jej szyi, jakieś niewidzialne, drżące usta i te zagarniały ją całą. — Nigdy nie wiedziała, co ma za znaczenie tego rodzaju sensacja. Dziś odgadywała... lecz całą resztą mocy odpędzała to odgadnięcie od siebie.

— Precz!... — szeptała — precz!...

*

Świt siał pod jej stopy delikatną, miłosną jasność...

VII

Po długim, ciężkim śnie zbudziła się Rena.

Pierwsze uczucie jej było dziwne.

Jakby ktoś pochwycił ją żelaznymi szponami za serce i zdławił. Obejrzała się dokoła. Wszystko było to samo, codzienne, niezmiennione.

A przecież pomiędzy nią a tą miłą powszedniością stanęła jakaś przeszkoda.

Zapadł jakiś welon — jakby gazy — i przysłonił wszystko.

Mimo to zajęła się gorliwie „domem” i drobiazgowością życia codziennego.

Jak mała furja domowa, tak liczyła pilnie ilość szklanek, kieliszków i srebra, które pokojowa składała do kredensu. Własnymi rękami wstawiała do serwantki prześliczne empirowe solniczki, które miały w sobie jakiś rzadki wdzięk w legendę przechodzących czasów.

Nagle zadźwięczał dzwonek.

Pokojowa powróciła.

— Pan adwokat!

Rena wpadła do sypialni, nałogowo upudrowała się, ukarminowała usta, natarła się perfumami. Za chwilę wchodziła do salonu, wyniosła i niedostępna, jakby ta, która raczej rosą myła kwiaty, a nie skrzętnie oglądała klingi nożów, czy niema na nich plamy.

— Co mi pana sprowadza?

Bełkotał coś, nagle zaskoczony tą obecnością kobiety w szlafroku, z włosami ledwo spiętymi na karku i wonnej jeszcze od snu. Przytem po raz pierwszy był w jej mieszkaniu. Masy kwiatów, zalegających sprząty, porzrzucone poduszki, nieład dziwny i sugestji pełen, mieszał jego naiwną duszkę porządnego i solidnego człowieka.

Mimowoli spojrzął na zegar, który wskazywał pierwszą. Wzrok Reny pobiegł za jego wzrokiem.

— Nie, nie... nie przyszedł pan za wcześnie! — zaczęła sama, nie wiedząc dlaczego nadzwyczaj serdecznie. — Wczoraj było u mnie kilka przyjaznych mi osób, stąd ten nieład...

— Proszę mi wierzyć, iż tylko ważna okoliczność...

— Ależ... usiądź pan.

Usiadł — i ona nagle przypomniała sobie, iż rozpoczęła z nim przed paru tygodniami z nudów grę dramatycznej kokieterji. Ponieważ obecnie musiała powrócić do dawnego trybu życia, należało podjąć znów tę kokieterję, jak coś należącego do programu życiowego. Ale uczuła się nagle wystygłą i zmrozoną. — Niemniej przeto przybrała pozę i mimowoli już enigmatyczny uśmiech wykwitł na jej ustach.

— Pani zdrowa? — zapytała, bawiąc się kiścią rododendronów.

Sklonił się w milczeniu.

Miała ochotę zapytać go — *à quand le baptême?* ale zdławiła w sobie tę niedyskrecję razem z szaloną żądzą śmiechu, która ją ogarniała.

On patrzył na nią zamglonemi oczkami, w których grał jakiś ukrywany sentyment.

— Będziemy musieli poraz wtóry stawać w konsystorzu.
— Jeszcze?
— Niestety! Zeznania pani uznane zostały za niewystarczające.
— Mówiłam prawdę!
Uśmiechnął się dziwnie.
— Czasem prawda staje się naszym — wrogiem.
— Więc co? Kłamać?
— Och, nie... przemilczeć. W tem tkwi mądrość zeznań.
— Należało mi to powiedzieć przed pójściem do konsystorza.
Zdziwione jego oczka ogarnęły ją całą.
— Zdawało mi się, że pani, jako kobieta, posiada w tych sprawach daleko idący zmysł orjentacyjny...

Ogarnęło ją uczucie wstydu. Zarzucono jej brak subtelności. — Wyprostowała się i odparła z godnością:

— Nie kłamię nigdy i nie umiem układać żadnych kompromisów życiowych...

Przysunął się do niej z krzeselkiem.

— Zawsze?

— Zawsze.

— Jest pani szczerą, zupełnie szczerą?

— Zupełnie szczerą!

Podniosła na niego wzrok tak jasny, że biedak doznał olśnienia. Mała jego figurka kręciła się jak wbita na szpilkę. Ona tymczasem myślała sobie, że jest on dziwnie podobny do jakiegoś zwierzątka. Nie mogła sobie tylko przypomnieć, gdzie widziała takie małe, najeżone zwierzątko, nieszkodliwe i wyobrażając sobie, że zajmuje jakieś ważne stanowisko w wszechświecie.

— Więc będę musiała iść do konsystorza? Znów? — zapytała, przeciągając się z całą nudą na samo wspomnienie niemiłych chwil, spędzonych wśród murów kapitulnych, z których aż kapalo od chorobliwego szematu nadmoralności torturującej.

Lecz „adwokacina” pospieszył ją uspokoić.

— Och! Tym razem rzecz będzie daleko prostsza. Zeznania będą gotowe, pani tylko podpisze.

Otworzyła szeroko oczy.

— Jakto? Zeznania gotowe? Naprzód?

Uśmiechnął się dyskretnie.

— Mój Boże... tak...

Nastąpiła chwila milczenia. — Wreszcie adwokat dodał:

— Nie powinna pani się usuwać od podobnej formalności. To drobiazg, a sprawę przyspieszy... Zdaje mi się, iż pani także chodzi szalenie o odzyskanie swobody?

Zawołała z uczuciem jakiejś pasji:

— Ach, tak!...

Słyszac dźwięk swego głosu, zrozumiała, iż pasja ta bierze źródło w niepohamowanym żalu, jaki zrodziła w niej scena nocna z Halskim.

Iść za mąż — byle jak, byle za kogo — tylko dlatego, aby go nauczyć, że bezkarnie z nią igrać nie można!

Wpiła swe oczy w adwokata. Dlaczego się ożenił? Tęgo łatwo byłoby doprowadzić do ołtarza. Był to jeden z tych bezbronnych, na których kobieta nalatuje jak wampir i którego usidłać można nawet drugorzędnymi środkami, nie naruszając wielkich środków. Równocześnie przyszło jej na myśl, do jakiego zwierzęcia ów adwokat jest podobny. Oto widziała kiedyś, w jakiejś szkaradnej restauracji niemieckiej, przyrząd do wykałaczek, z porcelany czy fajansu. Przyrząd ten miał kształty jeża, a ponatykane w grzbiet wykałaczki imitowały kolce. Najeżona czupryna i moralna dusza adwokata czyniły go dziwnie podobnym do tego porcelanowego potworka. Odkrycie to ucieszyło ją i zabawiło zarazem.

Popadła w jakiś galgenhumor. Zwinęła się w kłębek i ziewnęła bezceremonialnie.

— Pan wie... panie mecenasie, że zaczynam się nudzić piekielnie...

Chrząknął, nastawił się, poczerwieniał.

— Przez ten proces siedzę w mieście jak przykuta. Niedługo zacznę chorować — chorować na ciele i na duszy...

— Ja także siedzę w mieście.

— Tak, ale pan siedzi we dwoje, a ja sama, to ogromna różnica.

— Żona moja wyjeżdża na kilka tygodni do swoich rodziców...

— A...

Pomyślała, iż pan adwokat jest przezorny. Pragnie się zabezpieczyć podczas nieobecności żony. Był to taki sobie ukryty immoralista. Najniebezpieczniejsze pod słońcem stworzenie. Poszukała w swej myśli coś, czemby go przybić mogła.

— Wie pan co? — rzuciła niedbale — czy nie dobrze byłoby pogodzić się z mężem?

Wytrzeszczył oczy zdumiony.

— Jakto? Z czym?

Swawolny, przeciągły śmiech przepoił ją całą.

— Przecież nie z mężem pańskiej żony! Z moim własnym! Z panem Bohuszem!...

Cieszył ją podwójny spadek jego humoru.

Przerwany proces, więc brak honorarium, dalej ten mąż, wkraczający nagle w podbójcze zamiary...

— Przecież pani się z nim rozwodzi! — wybełkotał.

— Ach, panie! Jakże pan mało zna kobiety! Dziś się rozwodzimy, nienawidzimy, gotowe jesteśmy wynająć zbira, któryby zakłął takiego pana na rogu ulicy... Na drugi dzień, co mówię — czasem w kwadrans, w pięć minut, konamy z pragnienia, aby połączyć się z nim na nowo.

— Daruje pani, ale to chyba czynią kobiety, których nie można brać na serio!

Porwała się nagle i zaczęła ze swawolą dziecka rozrzucać dokoła siebie kwiaty i poduszki. Radość jej wzmagala się. Teraz przez wszystko przebiła się myśl, jaką niespodziankę urządziłaby Halskiemu, gdyby tak nagle ujrzał ją w najlepszej zgodzie opartą na ramieniu męża.

— Wściekłyby się ze złości! — myślała błyskawicznie — tem bardziej, że taki Bohusz jest tak bardzo dekoracyjny... o wiele piękniejszy od Halskiego i bardziej mężczyzna. — Byłaby to znakomita zemsta... tak... tak...

Zapomniała zupełnie o „adwokacinie”. On zaś ze swej strony patrzył na te nagle jej wysoki temperamentowe, jak na coś niepojętego. Miał w życiu do czynienia z doskonale unormowanymi kobietami burżuazji. Raz jeden tylko zawiązał romansik z młodą cyrkówką, która, ile razy się upiła, robiła tego rodzaju wysoki, jak Rena. Czyżby ta jego klientka była także pijana od samego rana?...

I nagle zapytanie Reny — zrobione bezwiednie — prawie bez jej woli, utwierdziło go w tem przekonaniu.

— Może się pan ze mną napije koniaku?

Popatrzył na nią z większym jeszcze zdziwieniem, a potem powstał, zbrojąc się nagle w honorowy obowiązek.

Nie powinien był korzystać z chwili podniecenia tej damy. Zdawało mu się bowiem, że z wielką łatwością przyszłoby mu stać się panem sytuacji. Lecz on miał inne pojęcie o podobnej sytuacji. Zupełnie zimno, *correkt*, wziął swoją panamę i powstał z miejsca.

— Pani daruje... ale muszę spieszyc do pracy.

— Szkoda!

— Ja także bardzo żałuję. Ale mam termin.

Nie ruszyła się z miejsca. Już wesołość jej powoli ginęła. Wyciągnęła ku niemu rękę.

— Do widzenia zatem.

— Żegnam panią. A proszę nie zapomnieć stawić się na wezwanie w konsystorzu.

— Ah! *Mon Dieu!*... *Quil!*...

Wyszedł.

A na Renę opadł nagle jakiś wampir rozpaczliwego smutku. Wgryzł się w jej mózg, w serce. Zdawało się jej, że nagle postarzała się, że tak, jak rano przy przebudzeniu, znajduje się odgraniczona od całego zewnętrznego, wydzielonego jej świata przezrzystą, ale nieprzebytą zasłoną.

I myśl owa pogodzenia się z mężem zdawała się jej wymyśloną chyba katorgą, aby ją jeszcze więcej zamęczyć i pogrążyć w udrękę.

— Nawet aby się na nim zemścić, nie mogłabym! — myślała.

I nagle przeraziła się.

Halski wyrastał w jej myśli do godności owego *niego*, którym kobieta chrzci dominującą postać męską w swej egzestencji uczuciowej. Gdy mężczyzna traci w myślach kobiety nazwisko, imię, a staje się *Nim*, jest to niezbity dowód, iż wstąpił na tron, który jej pasja, namiętność czy sentyment wznosić zaczęła.

— Cóż to znowu? Cóż to znowu?... — warczała formalnie w kierunku lustra, które odbijało jej postać, spowitą w fałdy szlafroka — oszalałaś? Mało cię sponiewierał, odtrącił, obraził? Ty... ty... bez ambicji...

I nagle, prawie głośno, wyrwało się jej pijane gniewem słowo:

— Małpo jedna!...

Obejrzała się trwożnie. Nie było nikogo, kto by podsłuchać mógł tę szkaradną brutalność, z jaką przywoływała sama siebie do porządku.

Zrozumiała jednak, że będzie teraz musiała być bezwzględnie okrutną względem siebie, że jeśli kiedyś, to właśnie obecnie zaczyna się okres jakiejś walki z wrogiem olbrzymim, silnym, potężnym, nieznanym jej jeszcze, a wyłaniającym się ku niej z obsłonek mrocznej tajemnicy.

I samo spojrzenie na zgniecione poduszki sofy, które zachowały jeszcze odcisk jej ciała, przypomniało jej chwile, w których rzeczywiście omdlewała w uścisku i oddechu Halskiego.

Dreszcz przebiegł ją od stóp do głowy. Dreszcz gorący, pełen echa rozkoszy.

— Nie! Nie! — krzyknęła, rzucając się gwałtownie ku drzwiom sypialni — wszystko, tylko nie tak...

Ogarnął ją bowiem lęk, że ten wróg, idący z nią do walki, to będą jej zmysły, trzymane jak pantera czarna i tragiczna na uwięzi, w głębi mrocznej i okratowanej prętami klatki.

To był tej kobiety najwyższy lęk.

VIII

W parę dni później Rena poszła do Weychertowej. Nie wiedziała, dlaczego tam idzie. Ale nie mogła wytrwać dłużej w samotności i opuszczeniu. Nawet Ali wyjechał na kilka dni do swej siostry, baronowej Von Dorf, na wieś. Wszyscy gotowali się do letniego wyjazdu. Rena to czuła przez skórę i zdenerwowanie swoje składała na to, iż ona jedna razem z niewolnikami bruku „tkwić” musi w mieście. Wiedziała jednak, że z jej paczki jest jeszcze Maryla i Weychertowa. Miały one dzieci, a te musiały czekać, aż wakacje pozrywają ich pęta.

W gorące, upalne, pełne burz popołudnie poszła Rena do Weychertowej.

Bez starania ubrała się. Nie miała do tego „smaku”. — Włożyła jakąś suknię, jakiś kapelusz. Widziała się jednak w lustrze interesującą, bladą, z wyrazem jakiegoś zawodu na twarzy.

— Gdybym była mężczyzną — myślała — szalałabym za taką kobietą. Tymczasem ja...

Idąc pełnym słońcem, jakby wyzywając całe piekło i chłonąc je wszelkimi porami ciała, szydziła:

— No i cóż?... Czyż nie szaleją za tobą? Szaleją! Tylko co? Żenić się nie chcą!

I w jednej chwili miała ochotę stanąć tak na ulicy i zacząć wołać:

— Łaski! Nie zniżaj się nademną!

Jakaś urosła w niej ta druga, która zaczęła smagać ją biczem brutalnej krytyki.

Włokąc się tak ulicą, potknęła się o jakiegoś mężczyznę.

Był to Ottowicz.

Stał przy jakiejś wystawie sklepowej damskich kapeluszy, w postawie wyczekującej. Był piękny jak zawsze i melancholijny. Nie miał pozoru uwodziciela, lecz raczej uwodzonego. To się odrazu wyczuć dawało.

Zobaczywszy Renę, powitał ją uprzejmie.

— Gdzież tak? Gdzież tak spiesznie? — żartował.

— To mniejsza, gdzie ja dążę... ale co pan tu robi przed *naszą* wystawą?

— Czekam!

— To pana rola...

Zaczął się śmiać.

— Ma pani rację. Jestem z tych ludzi, którzy zawsze czekają. Gdy budzę się rano, czekam, że mnie coś we dnie spotka, czekam w południe, czekam wieczorem, czekam całe życie.

— Obecnie czeka pan na kogoś, który jest w sklepie z kapeluszami. A więc... kobieta.

— Naturalnie.

— A!... Ona tam jest?

Troszkę się zafrasował.

— Nie, nie... — wyrzekł szybko — tam jej niema. Tam jest moja żona!

— A!...

— Wybiera kapelusz na drogę, jedzie jutro.

— A pan ją odwozi?

— Tak... do Bad Hall — potem wracam.

— I odwozi pan Jankę?

Zaczęli śmiać się oboje. Pozycja, jaką sobie Ottowicz wytworzył, lawirując pomiędzy kochanką i żoną, była wcale niepowszednia. Proces rozwodowy Ottowiczów prowadził się gorliwie, mimo to małżeństwo nie przestawało mieszkać pod jednym dachem. Rozwiązano tylko tę sytuację w ten sposób, że pani Ottowiczowa, która była trochę estetyzująca i artystyzująca, urządziła sobie na wyższym piętrze kamienicy, zamieszkiwanej przez nich oboje, małe mieszkanie i tam przesiadywała parę godzin dziennie.

Mówiło się wtedy, że pani jest „u siebie”.

To „u siebie” nie przeszkadzało schodzić pani Ottowiczowej co chwila na dół, siadać do wspólnego stołu i zajmować swojej sypialni. Wszystko to stanowiło przedmiot uciechy służby i domowników, a dla gości było źródłem ciągłego podziwu i najkomiczniejszych pomyłek.

Właściwie jednak usprawiedliwieniem tej afery były tu dwie małe dziewczynki, drobniuchne i mądre, które oboje rodzice kochali do szaleństwa. Wyrok separacyjny przyznał Ottowiczowej obie córki. Ottowicz przecież nie mógł się rozstać z niemi. Dzieci także ubóstwiały ojca.

I tak — pod pozorami komedji, a nawet farsy dla ludzi, którzy są po prostu w sprawach bardziej skomplikowanych krótkowzroczni, rozgrywała się bolesna tragedia ludzi uczuciowych, którzy wpadłszy w zasadzkę, poradzić sobie w niej nie mogli.

Dla służby, dla trywialnych natur było to wszystko niezrozumiale komiczne, w gruncie rzeczy była to szalona walka wyższych, doskonalszych, bardzo uduchowionych instynktów.

„Świat” tego nie rozumiał i naśmiewał się z tej małżeńskiej pary, napelniającej wrzawą swego rozwodu całe miasto, a spacerującej razem obok dzieci, lub czuwających w nocy nad łóżeczkiem gorączkującej dziewczynki. To przechodziło zakreślone linje szematu. Małżeństwo rozchodzące się powinno wyszczerzać na siebie kły i odkrywać tajemnice pożycia. Wtedy będą nieśmieszni i łatwo zrozumiali.

Rena przez wielkie szyby wystawy widziała smukłą, pańską postać Ottowiczowej i jasne główki dzieci. Ktoś im przymierzał bretońskie czapeczki z miękkiego fularu. Barwa purpury migąła w rękach kobiet, jak świeżo zerwane pęki maków.

W oczach Ottowicza, patrzących także w głąb sklepu, Rena dostrzegła przeogromną głębię uczucia. Tam były jego dzieci i matka tych dzieci...

Rola uświadomionej Janki wydawała się w tej chwili bardzo drugoplanową i bardzo niewyraźną.

— Byłem u pani Weychertowej — podjął nagle Ottowicz.

— Właśnie tam idę.

— Zastanie pani jeszcze pannę Janinę. Halski, który tam był także, wyszedł razem ze mną.

— A! Pan Halski był także.

Ottowicz roześmiał się.

— Ha! Co pani chce!... *On revient toujours à ses premiers amours...*

— Och!...

— Tak! Tak! Pani o tem nie wie? To tajemnica poliszynela. Jeszcze przed kilku laty...

Rena wyprostowała się.

— Nie było mnie tu przed kilkoma laty!

— Prawda, prawda. Pani dopiero spłynęła do nas lat temu trzy, czy cztery. Wówczas już ta aferka była skończona...

Wszystko w Renie dyszało przyspieszonym tempem. Zmarszczyła brwi, zagryzła usta. Czuła potrzebę wyrzucenia ze siebie dławiącego ją gniewu, żalu, bólu, czegoś straszego, czego określić nie mogła.

— Z dziwną lekkomyślnością wyraża się pan o Weychertowej — panie Ottowicz — wyrzekła wyniośle.

— Ach! Mój Boże! — odparł z uśmiechem człowieka, który, sam grzesząc, potrzebuje pobożania — to są małe grzeszki, które dodają tylko wdzięku kobiecie.

— Nie, panie! — tylko wielkie zbrodnie podnoszą występki do rozmiarów cnoty. Te drobne grzeszki, to robactwo, które szpeci...

— Och! Och! Zbyt pani surowa. Dla mnie Weychertowa, nadto *prude*, nie miałyby cechy kobiecej.

— Mimo to żona pańska, która jest bez zarzutu, ma wielkie cechy kobiety.

Rzuciła mu to w twarz, prawie wyzywająco. Oczy jej płonęły, usta drżały.

On popatrzył chwilę w głąb sklepu i odrzekł trochę zmienionym głosem:

— Tak... zapewne... Ale, widzi pani, są rozmaite rodzaje owej kobiecości. Żona moja należy do tego rodzaju, który się szanuje...

— Ale który się porzuca i zdradza! — dokończyła — Żegnam Pana!...

Pozostawiła go zdumionego, nie podając mu ręki. Wzburzona pędziła w stronę domu Weychertowej.

— Więc to tak? — myślała — to tak? Dawny jej kochanek! Podli! Oszukali mnie, niegodziwi!...

Zdawało się jej w tem zapamiętaniu, że Halski i Weychertowa, kochając się przed kilkoma laty, dopuścili się względem niej najpotworniejszej zdrady...

— Ja ich nauczę!... Ja powiem wszystko redaktorowi, ja z niej zedrę maskę!... Ja jemu wykażę, kim są te kobiety, które on stawia mi przed oczy, jako wzór do naśladowania. Ostatni raz będę u niej, ale pójdę! Pójdę! Pójdę!

Wpadła do bramy. — Upudrowała się jednak na pierwszym załamie schodów. Żałowała, że nie ubrała się staranniej. Gdyby wyszła pół godziny wcześniej z domu, zastałaby tu Halskiego.

— Lepiej jednak, że go niema!

Dzwoniąc już do drzwi, chciała się cofnąć. Kto wie, czy nie wrócił później, wyszedłszy dla niepoznaki z Ottowiczem. Lecz już drzwi otworzyła bosa piastunka, której fartucha, wątpliwej czystości, trzymało się dwoje przestraszonych dzieci. Od progu uderzył Renę wieczysty, inkrustowany w portjery przedpokoju zapach smażenin wszelkiego rodzaju. Badawczo przebiegła oczyma wszystkie kąty. Krytycyzm jej wyostrzał nagle. Dojrzała furę starych palt, płaszczów i kapeluszy Weycherta, jakiś smoking, wyranżerowany, zwalony na kufer i niesprzątnięty.

Dawniej nie raziło jej to wszystko, lecz dziś wzmogło tylko jej nienawiść.

— Śliczna, podniosła atmosfera! — sztychła w duszy.

Piastunka pytała ją ordynarnie:

— Czego?

Prawie popchnęła ją i nie odpowiadając, weszła do salonu. Weychertowie mieszkali w jednej z tych starych kamienic, które się przechowuje z ekstazą, jakoby konserwując bezcenne pamiątki. Pokoje były w wieczystej kłótni z umeblowaniem, piece nie funkcjonowały, okna zdawały się wylatywać z futryn. Weychertowa brakiem smaku nie potrafiła przyczynić się do wydostania jakiej takiej harmonji. Subtelniejsze natury musiały się tu potykać ciągle o jakieś kontrasty, szarpiące nerwy.

Weychertowa siedziała właśnie na niskim pufie z obdartą frendzlą i żarliwie wykladała jakieś kombinacje mody kłęzącej Jance. Obfity biust, wylewający się po prostu na brzuch, nie powstrzymywany gorsetem, był jakby głównym atutem tej kobiety. Ubrana

była w biały, muślinowy szlafrok, dość świeży. Pod lekką tkaniną widać było błękitne wstążeczki, któremi nawleczona była koszula.

— Jak młode dziewczę! — szydziła w duszy Rena.

Witała się z obiema kobietami na pozór serdecznie. Rzuciła się na fotel, z którego poprzednio zdjęć musiała jakiś kawał papieru, zasmarowany zieloną i czerwoną farbą, przedstawiający próby malarstwa młodych Weychertów.

— Ach te dzieci! Nie można nawet porządku w domu utrzymać!...

Rena patrzyła na nią badawczo.

— Zapewne. Jeżeli się chce mieć czyste i estetyczne *interieur*, należy nie mieć dzieci.

Weychertowa roześmiała się na całe gardło.

— Więc co zrobić? Podusić? Potopić?...

— Nie! Lecz skoro się ma dzieci, należy zrezygnować z roztaczania jakiegoś uroku, właściwego kobietom!

Uświadomiona panna podjęła natychmiast!

— Tak! Tak! Racja! Dlatego ja zapowiedziałam Ottowiczowi, że nie będziemy mieli dzieci!

Rena uśmiechnęła się ironicznie.

— Ottowicz lubi bardzo dzieci...

— Nie sądzę!

— Ale ja jestem przekonana. Przed chwilą widziałam go przed sklepem Au Gainsborough. Stał jak zahypnotyzowany. W głębi widać było jego dziewczynki, którym przymierzano podróżne kapelusiki.

Lecz uświadomiona panna zdawała się nie brać do serca ironji Reny.

— Phi! — zawołała — to są jego ostatnie familijne podrygi!

Słowa te wprawiły Weychertową w szaloną wesołość. Śmiała się, a spazm śmiechu podrzucał masy jej różowego ciała.

Rena patrzyła na nią z coraz więcej wzrastającą odrazą. Nie mogła sobie na razie przypomnieć Halskiego, z jego wykwintnym erotyzmem, związanego stosunkiem z tą tłustą, bardzo pospolitą kobietą.

Zwłaszcza ten śmiech, przelewający się po prostu w głębi jej gardła, wydętego i podanego naprzód, był nad wszelki wyraz ordynarny i niemiły.

— Jak on to mógł znieść! Jak on to mógł znieść! — myślała — i nie tylko znosił, ale nawet pożywał!...

Janka odwróciła się ku Renie z figlarnym błyskiem w oczach.

— Chwalisz się zawsze instynktem! — zaczęła — a teraz instynkt zawiódł. Przed chwilą był tu Halski!

Rena była przygotowana, iż lada chwila to nazwisko padnie. Niemniej kosztowało ją dużo wysiłku, aby odparować.

— I cóż z tego?

— Sądziłam, że ci będzie przyjemnie spotkać się z nim. Mówiliśmy o tobie i...

Weychertowa rozłożyła się ciężko na przysuniętym fotelu.

— Janko! — wyrzekła — nie rób plotek!

— Jakich plotek? — oburzyła się uświadomiona panna — Halski nic tak dalece złego o Renie nie mówił...

Na Renę uderzyły płomienie.

— Janko tak dalece złego? — zapytała.

Weychertowa pragnęła interweniować.

— Ależ Janko... proszę cię...

Rena się porwała.

— A nie! A nie! Proszę o bliższe wytłumaczenie. Chcę wiedzieć — co *taki* pan ośmiela się o mnie mówić.

— Och mój Boże! Powiedział, że... że nie masz temperamentu!

— ?...

— No tak. To nie jest nic złego. Ale w ustach Halskiego urasta to do rozmiarów wielkiej złośliwości. Według niego kobiety, obdarzone temperamentem, jedynie są godne uwagi i liczą się na świecie.

Rena wyduła usta wzgardliwie.
 — Dla takiego pana rzeczywiście jedynie ladacznicę przedstawiają się zajmująco!
 Jakiś błysk zapłonął nagle w oczach siwych Weychertowej. Nie poruszając się z miejsc, odparła:
 — Och! Gdybym ci wyliczyła nazwiska dam, które uległy Halskiemu...
 Rena przebiła ironicznie:
 — Założmy się, że nie wyliczyłabyś. Przynajmniej ominęłabyś niektóre!...
 Leniwie, powolnie Weychertowa podniosła się na łokciu i spojrzała w oczy Renie.
 Bez słów — porozumiały się. Weychertowa odczuła, że Rena wie... i że ją nienawidzi.
 — Zresztą — ciągnęła Rena — z tym panem nie zgodzę się nigdy, gdyż dla mnie jedyne prawo do miana kobiety ma taka istota, która przeszła przez życie bez zarzutu.
 — O! — zaczęła się bronić Weychertowa — mówisz to dlatego, że Halski nie ferlakurował ci z bliska, tylko na żarty zdaleka. Gdybyś jednak odczuła, co jest zbliżenie się takiego człowieka, gdyby on uwziął się na ciebie...
 Rena przerwała jej nagle:
 — A skąd wiesz, że tak nie było?
 Weychertowa obrzuciła ją pewnym siebie wzrokiem.
 — Przypuszczam. Halski nie gustuje w takim właśnie rodzaju kobiet. Jemu trzeba zupełnie innej piękności.
 Panna uświadomiona zaczęła śmiać się cichutko a złośliwie.
 — Ha-re-mo-wej! — zaśpiewała na nutę orjentalną.
 Rena popadła jakby w rodzaj wściekłości, starannie ukrytej.
 — Mylnie sądzicie! Halski czynił wszystko co mógł, abym mu uległa...
 Może byłaby tu zatrzymała swe zwierzenia, gdyby w oczach obu kobiet nie było powstało zaakcentowanie sceptycznego niedowiarstwa.
 — O! o!... — zamruczała Janka, czołgając się na kolanach aż do Reny.
 Weychertowa milczała, ale oczy błyszczały jej, jak u kota.
 Rena triumfalnie powiodła po nich wzrokiem.
 — A ja mu się oparłam! — wyrzekła dobitnie, prostując się w hieratycznej pozie.
 Weychertowa pokręciła głową.
 — I odszedł z niczem?
 — Z niczem!
 Tyle było siły w głosie Reny, że pierwsza uległa jej uświadomiona panna.
 Rzuciła się cała ku Renie.
 — Gdzie to było? Jak? Kiedy? Moja złota! Opowiadaj!
 — Trzy dni temu — po waszem wyjściu odemnie...
 — W nocy?
 — Tak!
 Weychertowa próbowała opozycji.
 — Wszak wyszedł i to bardzo niegrzecznie — wtedy właśnie, gdy pokazywałaś swoje podwiązki.
 Rena odczuła ukłucie.
 — Tak! Ale powrócił! — odparła hardo.
 Teraz już i Weychertowa powstała i przysunęła ku niej swój puf.
 — I jak? I jak?
 Rena wyzyskała sytuację.
 — Och! Jak zwykle w takich razach. — Rzucił się jak zwierz, szalał, błagał, prosił. Płakał nawet, włożył mi się u nóg...
 Za ręce gorączkowo porwała ją panna.
 — A czy całował?
 Rena milczała.
 Panna dalej nacierała:
 — A jak? — Czy umie całować? Czy ma dobrą szkołę?
 I znów milczenie.
 Obie kobiety przeżywały w tej chwili całą serję dziwnych, wstrząsających dreszczów. Na ciele ich ożywały stygmata pocałunków Halskiego. Pierwsza otrząsnęła się Rena. — Na szept lubieżny Janki pytającej:

— A czy całuje w ucho? Podobno to najprzyjemniejsze w ucho!
 Odparła ostro:
 — O tem nie wiem! Wogóle za co mnie bierzecie? — Czy przypuszczacie, że ja pozwoliłabym się całować?
 Urwała chwilę, wreszcie dodała:
 — Odrząciłam go natychmiast!
 Panna uświadomiona zaczęła zanosić się od śmiechu.
 — Musiał mieć głupią minę.
 — O, bardzo głupią! — odrzekła Rena.
 Weychertowa powróciła na dawne miejsce. Opadła znów na kombinację pufu i poduszek. Zamyślona wyrzekła jakby do siebie:
 — Nadzwyczajnie!
 Rena rzuciła niedbale:
 — Według mnie, bardzo zwyczajnie! Uwodzicielowi gęsi i pokojówek zachciało się sięgnąć po prawdziwą kobietę. Dostał po palcach i będzie miał naukę.
 — Tak! Tak! — dodała jakby sennie Weychertowa — to może i lepiej. Nauczyłaś go rozumu za nas wszystkie...
 — Jakto za was wszystkie? Czy i ty?
 Weychertowa broniła się miękko.
 — Ja? Cóż znowu! Mówię wogóle o kobietach. Zresztą... ten pan i do mnie czuł zapaly...
 Jak na sprężynach, panna uświadomiona zwróciła się ku niej.
 — I cóż? Oparłaś mu się? Rzucił się na ciebie także?
 — Nie! — odparła Weychertowa, kłamiąc z całą bezczelnością. — *Na mnie się rzucić nie śmiał!*
 Płomienie oblały Renę. — To kłamstwo, odziane w dodatku w bezczelne szyderstwo, zraniło ją. Chciała odpowiedzieć coś brutalnego, ale przerwał jej żalony głos Janki, tarzającej się po dywanie.
 — Na mnie się nikt nie rzucał.
 — Przyjdzie i to! — uspakajała ją Weychertowa.
 — Kiedy? Przecież idę za męża!
 Rena odzyskała panowanie nad sobą.
 — Właśnie — kiedy pójdziesz za męża.
 Przyczyniło się do opamiętania Reny wsunięcie się do pokoju najmłodszego dziecka Weychertów. Było brzydkie, miało krzywe nogi i źle było ubrane. Nie usprawiedliwiała swej obecności w salonie, nawet takim, jak ten, w którym trochę rezedy i bławatków gniło w jakimś lanym wazoniku szklanym, a meble w rodzaju mebli, strojących poczekalnie dentystów, zdawały się wstydzić swej szpetoty, pokrywając się szarym welonem dawno nie ścieranego kurzu.
 Dziecko przypełzało do matki i zaczęło ocierać swe zamorusane ręce o biały batyst szlafroka.
 — Daj mi spokój! — ofuknęła je Weychertowa.
 Dziecko zaczęło się mazać, jak to czynią dzieci „niższej klasy”, bez łez, jedynie dla potrzeby zajmowania sobą uwagi.
 — Wynoś się stąd! — krzyknęła słodko dama.
 Dziecko uderzyło w jeszcze większy płacz.
 — Niańka! — wrzasnęła Weychertowa.
 Z głębi mieszkania doleciał tupot bosych nóg.
 Na Renę te tajniki macierzyńsko-domowe działały w sposób wysoce niemiły. Jednak z jakąś pasją nurzała się teraz w tej atmosferze.
 — Oto — myślała — co wystarcza takiemu Halskiemu. Nie twoje rododendrony, Ropsy i plecy Imperji. Patrz się, ażebyś wiedziała, z kim miałaś do czynienia. Szeroki biust Weychertowej kryje szpetotę otoczenia.
 Dziecko wrzeszczało coraz głośniejsze.
 Panna uświadomiona porwała się, zatykając uszy.
 — A! A! Nie mogę tego znieść!

— Rzeczywiście! Ta mała jest nieznośna! — odezwała się Weychertowa. — Ale to wina niańki. Czemu ją wpuszcza? Ale to jest niepodobieństwo dostać porządną służkę. To już trzecia w tym miesiącu...

Rena powstała.

Dyskusja dalsza groziła objęciem terenu służbowego. To już było nad jej siły. Dziecko wrzeszczące wydało jej się nagle podobne do Halskiego. Wstręt jej wzmógł się. Taki bękart, podrzucony w cudze gniazdo, napawał ją pogardą i gniewem.

— To komplet! — pomyślała z największą goryczą.

Odrzuciła jakiś marny zeszycik widoczków z Wenecji, płaczący się samotnie na stole.

— Odchodzę!...

— Ja z tobą! — zawołała uświadomiona panna, wciągając pośpiesznie śliczny płaszcz z mieniącego się jedwabiu.

Weychertowa pożegnała je, leżąc ciągle na swej kombinacji meblowej.

— Może będziecie wieczorem w kawiarni na Zamku? Gra muzyka. Przyjdę.

— Czy z redaktorem?

— O nie! Dałam mu urlop — pojechał do Zakopanego.

Rena zaczęła śmiać się szyderczo.

— Jakżeś łaskawa.

— ?...

— Że mu pozwoliłaś odwiedzić żonę.

Weychertowa przybrała pobożną minę.

— Spełniam mój obowiązek względem tej biednej kobiety. Czuwam, ażeby jej nie stała się żadna krzywda. — Zawiózł jej kapelusz i lekarstwo, które mi bardzo pomogło na kaszel.

— Jesteś aniołem!

— Ach nie! Nie mogłabym tylko znieść, aby z mego powodu cierpiała kobieta.

Uświadomiona panna, przypinająca w tej chwili do rozwianych włosów coś nakształt tureckiego feza, ozdobionego dwoma rogami, przytakiwała gorąco.

— Tak być powinno! Tak być powinno! Ja także czuwam, ażeby Ottowicz dał swojej żonie alimenta. — Naturalnie w odpowiednich rozmiarach. Nie pozwolę go obdzierać. Coś przecież musi i dla nas pozostać!

— Zostanie! Zostanie! I wcale nie mało — uspakajała, śmiejąc się, Weychertowa.

— Spodziewam się! — zawołała wesoło Janka, podając jej rękę. — Coś, za coś! Mam opinię zupełnie zepsutą. Niechże wiem dlaczego!...

Rena w milczeniu dotknęła dłoni Weychertowej, wiecznie miękkiej i gorącej, i wyszła szybko na wschody. — Dusila się w obecności tych dwóch kobiet, które wydały jej się w tej chwili do gruntu zepsute i bezczelne. — Czuła się doskonałą i nieskazitelną w porównaniu z niemi.

— I duchowo i fizycznie!... — powtarzała w myśli, jakby suggestjonując sobie radość z powodu swej doskonałości.

W bramie dopędziła ją Janka. Czem prędzej wsunęła jej rękę pod ramię.

— Doprawdy... — wyrzekła — ta Weychertowa jest bezczelna...

— ?...

— Widziałam kapelusz, jaki wybrała dla żony redaktora. — Ubrany wstążką z pękiem akacji. Powiadam ci, horrendum. Chyba umyślnie, ażeby uwidocznic jej szpetotę...

— Och!

— No tak! A potem z tem lekarstwem. Ja na miejscu redaktorowej nie brałabym tego lekarstwa.

— Dlaczego?

— Bałabym się!

Rena aż drgnęła. — Była to potworna insynuacja uczyniona z dziką lekkomyślnością. Lecz uświadomiona panna już cieszyła się innem wrażeniem.

— Widzisz! Widzisz! Oglądają się za nami!

— Jesteś bardzo pięknie ubrana.

— O! Nie!... Ale to dlatego, że o mnie coraz gorzej mówią!

— I cieszy cię to?

— Szalenie! To dowodzi, że jestem coś warta. — Biada kobiecie, o której już nikt nie mówi.

— Zapewne. Niech mówią, ale coś dobrego!

— Och, moja droga! Co za komiczne przesady, lepiej niech nad taką kobietą śpiewają *requiescat in pace!*...

Śmiała się, kręciła głową — fez jej przekrzywił się na bok. — Dostrzegła to w szybie — zatrzymała się, aby go poprawić. Rena zauważyła, iż rzeczywiście ludzie oglądają się za nią. — Podrażniona chciała ją pożegnać, lecz Janka chwyciła ją za rękę.

— O! Nic z tego!... Weźmy dorożkę — pojedziemy do „Splendidu”, tam na terasie będzie na mnie czekał Ottowicz. Pojedziemy na raki. Może i dla ciebie się kto znajdzie!

Rena chciała zaprotestować. Wymawiała się swoją niedbałą tualetą.

— Przeciwnie, w tej białej sukni i w tej panamie z welonem bardzo ładnie wyglądasz...

Śmiała się wesoło.

— Prawie jak panna... żeby tylko nie te ażurki w bluzce... Jesteś chytra, wiesz jak się ubierać, aby działać... Cóż dziwnego, że się na ciebie rzucają?

Westchnęła.

— Ale ty masz ciało! — Ja nie mam.

Wsiadły do dorożki. Renę ogarnęło jedno pragnienie. Chciała dowiedzieć się jak najwięcej szczegółów o dawnym stosunku Halskiego i Weychertowej. Wreszcie przemogła nieśmiałość, która ją napadła.

— Po co Halski był u Weychertowej?

Uświadomiona panna wzruszyła ramionami.

— Ha... redaktor wyjechał... — rzuciła przez zęby.

— Jakto?

— Bardzo prosto!

— O!

Zajechały przed kawiarnię „Splendid”. W ostatnich blaskach dnia, na terasie zaczynało mrowić się od ludzi. Purpurowe, rozpięte parasole nad białymi stolikami rzucały krwawe refleksy.

Uświadomiona panna stanęła demonstracyjnie w dorożce i gestami przyzywała Ottowicza, który siedział przy jednym ze stolików w towarzystwie kilku mężczyzn. — Pośpieszył zaraz. Za nim szedł jeszcze ktoś z naciśniętym na oczy panamą.

— Ależ to Halski! — zawołała Janka.

Mężczyźni obaj doszli do dorożki. Witali się wesoło.

— Biercie drugą dorożkę i wieście nas gdzie za miasto! — rozkazywała Janka.

— Cudowna myśl!

Zawołali przejeżdżające „gumy”. — Za chwilę dwie dorożki mknęły po kawalersku, wyścigując jedna drugą.

A Rena, która kombinowała od kilku dni, jakie to będzie jej spotkanie z Halskim — dziwiła się, jak rzecz ta stała się prosto i szybko.

I była prawie szczęśliwa.

IX

Siedzieli teraz przy stole okrągłym, na którym stały bardzo prymitywne przybory do jedzenia.

Gdzieniegdzie — na innych stołach paliły się już świece w kloszach. Oni korzystali z resztek dziennego światła, które sączyło się przez wachlarzowe liście ogromnych, wspinających kasztanów.

— Szabasowe oświetlenie!... — zawyrokował Ottowicz.

Restauracja była bez charakteru. Nawet poprawna. I przez to dziwnie niemiła. — Aż prosiło się o trochę niepoprawności na tem podnózu góry i w niedalekiej odległości bardzo przejrzystych i jasnych stawów.

Po hotelowemu podano jedzenie; fraki kelnerów przypominały zaduch i ciasnotę miasta.

Rena jednak czuła prawie radosne jakieś podrażnienie. — Siedziała naprzeciwko Halskiego, który do tej chwili nie zwrócił się jeszcze wprost do niej słownie. Lecz patrzył na

nią ciągle i badawczo. Ona drętwiała pod tym jego wzrokiem, zapominając o Weycher-
towej, o swej urazie, o wszystkim. — Nagle Janka, której ręce spletały się bezustannie
z rękami Ottowicza, zapytała:

— Dlaczego Pan tak dziwnie patrzy na panią Bohuszową?

Ocknął się jakby ze snu.

Rena uznała za stosowne odeprzeć atak.

— Zapewne Pan zapomniał, jak wyglądam, nie był Pan u mnie tak dawno...

Janka w tej chwili poczęła szydzić.

— Napoleon, gdy przegrał jaką bitwę, nie lubił oglądać pobojuwiska!...

Halski zwrócił się ku niej gwałtownie.

— Jak to Pani rozumie?

— To już rzecz moja! Na każdego przychodzi kolej... ale to źle... to zły znak... skoro
zaczyna się rewja...

— Nie mogę pojąć!...

— No! No! Niech się pan nie sili! W każdym razie sędzę, iż Rena hołduje zasadzie:
Gloria victis!... przeto...

— Przeto?

— Może Pan śmiało bywać u niej w dalszym ciągu.

Przyniesiono raki. — Wszyscy udawali, że są tem zachwyceni. — Właściwie jednak
nikt nie lubił tej brzydkiej, niebezpiecznej i cuchnącej potrawy. — Rena wręcz odmówiła,
zadawalniając się szklanką herbaty.

— Pani Rena dziś zdenerwowana! — zawyrokował Ottowicz.

— Bo powiedzcie coś, coby ją zajęło! — radziła panna.

— Nie, wystarczy, niech powiedzą to, co ich zajmuje.

— O! — przerwał Halski — to Pani nie zajmie. Naprzykład co do mnie. Erotyzm
Pani nie zajmie, a to jest podstawa mego charakteru.

Rena ściągnęła brwi.

— Przepraszam — pan się myli. Bezwstydu nie można brać za charakter.

Panna uświadomiona chciała dać dowód pewnego sentymentu.

— Miłość... bezwstyd?

Rena zwróciła się ku niej prawie gwałtownie.

— Nie mówi się tu o miłości. Tu mówi się o erotyzmie i te dwa ornamenta życiowe
nie mają ze sobą nic wspólnego.

Ottowicz, który zajmował się bardzo jedzeniem przyzwoitem raków, wybełkotał:

— Nie rozumiem.

— Tak — odparta Rena — naprzykład pan Halski, gdyby kochał, nie kochałby na-
prawdę, on byłby chory erotycznie, nic więcej.

Halski odsunął się od stołu i patrzył przez chwilę na Renę z pod runda swego kape-
lusza.

— Mam Pani dać jedną radę! — zaczął.

— Proszę!

— Niech Pani nie wychodzi poza ramy dla pani nakreślone...

— To jest...

— Pewnej melancholijnej prudencji. Zgadza się ona z pani rysami i linią postaci. Naj-
lepiej zatrzymać całokształt.

Rena uczuła się dotkniętą.

— Dziękuję, że się pan troszczy o mój całokształt! — odparła. — Co do mnie
mogę się Panu odwdziżyć podobną uwagą, gdyż jest mi to obojętne, w jakich się Pan
przedstawia zarysach.

On roześmiał się swobodnie.

— Doskonale to pojmuję! — odparł. — Dla mnie również całokształt mężczyzn
wiele ma interesu. — Widzi pani — w świecie erotycznym mężczyźni nabierają tylko
wartości od kobiety, przy której się znajdują. Tak! Tak! Mężczyźni bowiem zaczynają się
liczyć od takiego... Buonarottiego, Bayarda, Lorenzaccia, Aretina, Króla Słońca, Casa-
nowy i t. d. — Tacy pokrywają blaskiem postacie swych kochanek. — Ale reszta!...
Niech mi pani wierzy, ma tylko ten blask, jaki bije na nich od kobiety, którą kochają.

Rena rzuciła mu ironicznie:

— Stąd Pan szuka zdobywania kobiet o coraz wyższej wartości.

Halski uklonił jej się.

— Tak, pani!

Lecz Rena zamiast czuć się rozbrojoną tym hołdem, jaki on jej właściwie składał — zapamiętała się jeszcze więcej w swem uniesieniu.

Przed jej oczyma stanęła nagle z całą dokładnością szpetota otoczenia Weychertowej, to dziecko zamorusane, ta kobieta o olbrzymim, obwisłym biuście, zdolnym rozplomienić wygłodniałego żołnierza — biuście, który pokrywał pustkę duszy i umysłu tej kobiety.

— Jednym słowem... baby! — zaopiniowała ze wstrętem.

I gruntując się na tym terenie, z całą, na jaką ją było stać, pogardą rzuciła:

— Nie zawsze Pan hołdował tym zasadom.

Odparł energicznie:

— Zawsze!

— Znam osobę, której zdobycie nie przysporzyło Panu z pewnością blasku.

Zdawał się szukać w pamięci, wreszcie wyrzekł żywo:

— Są rozmaite blaski. Czasem wystarcza żywiołowe piękno bujnego ciała. To ma w sobie także królewską potęgę.

Rena chciała coś odpowiedzieć — lecz Ottowicz przez stół błagał uświadomioną pannę, która uznała za stosowne czegoś się najeżyć.

— Czy można w łokietek pociumać?

Lecz ona odburknęła groźnie:

— Nie! Łokietek jest dziś w złym humorze. Proszę iść i kazać mi przynieść truskawki!

Ottowicz zerwał się i poszedł posłusznie w stronę restauracji.

Halski solidarnie napominał Jankę.

— Pani maltretuje tego biednego człowieka!

Lecz uświadomiona panna uśmiechnęła się z ogromną zarożumiałością.

— Och! Wiem doskonale, co robię!

Rena ją podparła:

— Ottowicz jest teraz w terminie miłosnym u Janki! — wyrzekła powoli. — Pana ukochany Buonarotti powiedział: „miłości, wróć mi moje trwogi!” — Kiedyś Ottowicz będzie tak mówił. — Wedle mnie, Janka obdarza go po królewsku. Daje mu to, za czym będzie kiedyś tęsknił.

Halski wsłuchiwał się w ton mowy Reny. Mimowoli dźwięk ten szlachetniał i piękniał w przestrzeni. Chwila przedwieczorna sprzyjała mu. — Był prawie pieszczotą.

Odrzekł jednak:

— Mężczyznę upokarza zbyt długie zdobywanie.

— Jeżeli tak, widocznie mu na tej kobiecie nie zależy.

Uświadomiona panna porwała się i pobiegła w stronę restauracji. Po chwili ujrzeć było można, jak pod rękę z Ottowiczem odchodziła w cienie drzew. Teraz — w oddali, w sąsiedniej restauracji, jakaś przygodna orkiestra grała nieuniknione, powolne walce. Kelner przyniósł owoce, herbatę i zniknął. Ta część ogrodu była samotna, ze względu, iż „mało było widać”. Żydowska plutokracja, która przeważnie zapełniała wieczorem ten zakład, lubiła widzieć i być widzianą.

Halski i Rena pozostali sami. Ona patrzyła ciągle uparcie w cienie i gąszcz drzew. Lękała się dojrzeć plamy jego twarzy. Teraz z całą mocą powróciły na nią wrażenia przeżytej owej pamiętnej nocy. Ogarnął ją jakiś wstyd kobiecy przed tym człowiekiem, z którym omal nie zapomniła się wśród nocnej ciszy. Czuli, iż on także uosabiał sobie drastyczne szczegóły tych chwil i na tę myśl drętwiała.

Nagle on wyrzekł jakby do siebie:

— Biedna!

— Kto?

— Pani! Tyle sił zużywa Pani w walce z wiatrakami, które już tyle kobiecych egzystencji zmeły na proch!

Rena uczyła jakby podcięcie szpicrutą.

— Proszę się nademną nie litować! — odparła hardo. — Jestem szczęśliwa w owej walce, stokroć szczęśliwsza, niż te, które tym wiatrakom ulegają. Przedewszystkiem mam szacunek...

Przerwał jej żywo:

— To ułuda. Czy Pani sądzi, że my pogardzamy kobietami, które się nam oddają? Pani się myli. My, przeciwnie, pogardzamy tylko fałszywą pruderją i brakiem siły, który każe trwać w więzach...

— Wygodna teoria, ale bezczelnie obłudna.

Zaczął śmiać się i odparł spokojnie:

— Nie mam potrzeby być przed Panią obłudnym. Przedłożyłem Pani moje ultimatum — pani swoje. Porozumieliśmy się. Dziś patrzę na Panią z całym spokojem. Pani już nie ma dla mnie ani płci, ani urody, ani tego, co się nazywa wieczystą kobiecością. Pani jest dla mnie tem, czem dziewica. Pani nie istnieje.

Jakby dla poparcia tych słów odsunął od siebie jakąś natrętną kwieciarkę, która z koszykiem róż wyłoniła się z ciemności i narzucała swe wiązanki.

Rena w tej właśnie chwili uczuła się nie kobietą... Nie dano jej kwiatka.

Próbowała żartować.

— Pan się myli; choć krótko, ale byłam mężatką...

— Pani mnie nie rozumie! — odparł żywo. — Pani jest dla mnie dziewicą w sferze występku — nie dziewicą w sferze rozkoszy. Jedno i drugie nie mają dla mnie znaczenia.

Jakieś znużenie czuć było w jego głosie. Obejrzał się dokoła.

— Gdzież są ci państwo? Już późno... należałoby powracać.

Ją zadławiło coś w gardle.

— Pan się śpieszy?... — zapytała cicho.

— Tak! Mam się z kimś spotkać dziś wieczorem.

Chciała brutalnie rzucić mu w oczy, iż to pewnie z Weychertową ma się spotkać gdziekolwiek, lecz powstrzymała się.

Dyszcząc jednak ciężko, rzuciła jakby do siebie:

— Nie rozumiem, jak można się kochać w matce trojga dzieci!

Zdziwiony odparł:

— Zaręczam Pani, że można. Zwłaszcza, jeżeli taka kobieta ma tyle sprytu, aby tych dzieci nie demonstrować. Złudzenie trwa.

— Trudno dzieci nie demonstrować. Krzyczą, pchają się wszędzie...

— O! Tu chodzi tylko o chwilę porozumienia się na punkcie miłosnym. Wtedy dzieci zostawia się w domu.

— Lecz gdy się widzi taką damę w otoczeniu rozwrzeszczanych dzieci, brudnej niani...

— O to jest bez konsekwencji. To może wpływać tylko na rozromansowane wyobraźnie — zdrowe wszakże natury potrafią zawsze wyeliminować to, co na nie dodatnio działa...

— Pan to nazywa dodatnio!

— Byle w granicach naturalnych — dodatnio!...

Uczuła, że jest u kresu swej djalektyki. — Spotykała się z przeciwnikiem uzbrojonym silniej, niż ona. — Nieznany płomień ją trawił i przeszkadzał argumentowaniu. — Z nich dwojga on, mimo swego kultu zmysłów, był w tej chwili prawdziwie spokojny i zrównoważony. — Ona zdawała się miotać w pętach, których właściwego gatunku określić nie była w stanie. On zaś, którego mianowała niewolnikiem instynktu, miał pełną władzę i świadomość swych czynów i zasad.

Uczepiła się jednak szablonu.

— Ale dzieci! — zawołała — dzieci?

— Cóż dzieci?

— Gdy dorosną...

— Ba! Gdy dorosną — matka ich odzyska najzupełniej „opinję” w oczach świata. — Owe występki (według Pani) pomniejszą się na odległość. Staną się, ot... *péchés mignons*. Niczem więcej.

Rena podniosła się z miejsca.

— To wstrętne!

— Ach nie!... To proste. Wy, moralści, macie pasję komplikować życie. Z pomyłek stwarzacie przykazania i wiedząc doskonale, że to są tylko pomyłki — padacie przed niemi na kolana. — Żal mi was!

— Mnie pana żal!... — rzuciła bez przekonania.

Ottowicz i Janka — nadchodzili od strony najciemniejszego gąszczy. — Rena usiłowała odsunąć zbyt ciężkie krzesło, Halski pośpieszył jej z pomocą. — Chwilę ręce ich na poręczu krzesła się spotkały. Uczuła szalony, bolesny dreszcz, przesywający ją całą. — On usunął natychmiast rękę.

— *Pardon!* — wyrzekł spokojnie.

Janka rzuciła się pomiędzy nich.

— *Moi drodzy!* — wyrzekła konfidencjonalnie — jeżeli chcecie, możecie tu zostać, my wracamy do miasta!

Mówiła to *my* specjalnym, jakby rozpieszczonym tonem.

— Ja także powracam! — przebiła Rena. — Pan Halski śpieszy się także na jakieś *randez vous!*...

— *Ha! ha! ha!* — zadźwięczał śmiech uświadomionej panny.

I Rena doznała wrażenia, jakby ją ten śmiech znieważał, jakby ten człowiek, śpiesząc do innej kobiety, popełniał przeciw niej straszny zbrodnię zdrady.

*

Dwoma dorożkami powracano do miasta. Rena jechała z Halskim, gdyż Ottowicz z Janką wskoczyli do swojej z takim pośpiechem, iż Halski ze swej strony roześmiał się serdecznie.

Powozy jechały w dość ciasnej alei, obrośniętej po obu stronach olbrzymimi wiązami. Gałęzie z szumem rozstępowały się, oblewane światłem latarni. Konie parskały cicho. — Z ziemi biła woń czarująca letniej, parnej nocy.

Rena zasunęła się w sam róg powozu. Uczuła, że te lata, które trawiła w służbie piękności, przeszły bez rezultatu. Bo oto człowiek, który rzucał swą kulturą, jak olśniewającymi fajerwerkami, w dziedzinie odnośnie do kobiet zadawał się brakiem najzupełniejszego wykształcenia w kierunku estetyki. Rozlane ciało Weychertowej — jej otoczenie, w którym mógł nie tylko czuć się dobrze, ale pielęgnować swe uczucie, wystarczało mu. — Nie mogła go zrozumieć. — Pogańskie „trzymanie się na wodzy”, dążenie do stania się pięknym, przebywając właśnie w chwili miłosnej ekstazy jedynie w *milieu* wysubtelnionym, zdawało się wynikać z jego negowania wszelkiej obłudy, a hołdowania odruchom naturalnym, które jedne mogą zdobyć się na gest wielkiej miary. — Tutaj przecież wykazywało się w nim wzgardliwe poniewieranie, dbałość o ciało, nieusprawiedliwiają nawet już zupełnym „powrotem do natury” — lecz zadawałnając się zatechłą i molami zjedzoną podkulturą kołtuńskich gniazd.

*

Gałęzie drzew kilkakrotnie uderzyły Renę po twarzy. — Jedna nawet dość dotkliwie. Dostrzegł to Halski. Wyciągnął rękę i zaczął odgarniać troskliwie mogące ranić ją pręty. — Lecz ona nie uczuła wdzięczności za ten gest. Przeciwnie. Ogarnęła ją jeszcze większa gorycz.

— Oszczędza mi chwilowej przykrości! — myślała — a nie wahał się zakłócić mi spokój w tak brutalny i podły sposób!

I nagle popadła w straszne wzburzenie. Właściwie — powinna była odmówić podania mu nawet ręki, powinna była raz na zawsze odwrócić się od tego człowieka za to, że postąpił z nią, jak z pierwszą lepszą, sądząc ją zdolną do oddania mu się na jego żądanie.

Powinna była...

Lecz ona natomiast spędziła cały wieczór z nim razem, pozwalając się znieważać w dalszym ciągu. Obecnie jedzie spokojnie u jego boku i przyjmuje zdawkowe objawy grzeczności męskich. Z wielką niecierpliwością w głosie, zawołała prawie gniewnie:

— Niech się Pan nie trudzi!

— Gałęzie mogą zranić Panią!

— To mniejsza.

— Wcale nie. Oszpecą Panią. Szkoda Pani piękności.

Poruszyła się gwałtownie.

— Przed chwilą powiedział Pan, że nie jestem dla Pana piękną.

— Tak! Teraz Pani dla mnie nie jest piękną. — Oszczędzam jednak piękności pani dla drugih.

Nie patrząc nań, zapytała:

— Był więc czas, kiedy byłam dla Pana piękna?

Odparł jej prosto:

— Była taka chwila.

— Kiedy?

Ściszył trochę głos.

— Tej pamiętnej nocy, kiedy trzymałem Panią na wpółnagą w mych objęciach. — Byłaś rzeczywiście piękną — byłaś kobietą pełną, doskonałą, stojącą na progu zrozumienia wreszcie, co jest rozkosz...

Szarpnęła się wzburzona.

— Kłamstwo!

On odparł z mocą:

— Nie! Nie kłamstwo! Patrzyłem na ciebie w półświecie. Gdybyś się widziała, jak bladłaś, jak ci się rozchyłały usta... jak mi piękniałaś w rękach...

Zamieszanie jej doszło do szczytu.

— To... nieprawda! Ja... odrzuciłam Pana.

— Tak! Ale chwila była taka.

Zasłoniła twarz rękami.

— Kłamstwo! — powtórzyła znacznie słabiej.

I nastąpiło pomiędzy nimi milczenie.

Powóz unosił ich szybko w stronę miasta.

Wjechali teraz w cuchnące przedmieście. Po obu stronach szerokiej ulicy przypadły do ziemi niskie domostwa, ciemne i tajemnicze.

Gdzieś błysnęło światło. Jakieś cienie czasem przesuwały się szybko, ginęły.

Gdzieś w oddali psy ujadają zaciekle. Rena, ciągle owiana uczuciem głębokiego żalu, siedziała nieruchoma. — Oprócz wstydu ze wspomnienia tak dokładnego i brutalnego owej nocy pamiętnej, które Halski przytoczył — dominował w niej z jakimś przerażeniem skonstatowany zimny ton, z jakim Halski mówił o tem wszystkim. Nie było ani śladu namiętności w jego głosie, była tylko siła przekonywująca. Przypisała to temu, iż pragnienie jego musiało zwrócić się w stronę Weychertowej i że teraz ku niej ciąży całą mocą. — Myśl ta stała się jej tak wstrętą, iż wyprostowała się nagle i przepojona złością — odezwała się:

— Pan robi ciągle nowoczesnego Don Żuana.

Roześmiał się.

— O Pani! Don Żuan był komiwojażerem w miłości.

— ?...

— Tak jest! Don Żuan robi na mnie wrażenie komiwojażera, który na gwałt umieszcza próbki swego towaru, gdzie może i jak może, byle jak najwięcej.

— Więc dla Pana tego rodzaju ludzie są wstrętni?

— Bezwarunkowo!

— To dziwne... Jakże się to dzieje, że Pan nie czuje wstrętu do tego rodzaju... kobiet?

— Ach! — zawołał — bo co jest pogardy godne w mężczyźnie — dowodzi w kobiecie sprytu i bujności siły życiowej.

— Jaktóż?

— Bardzo prosto! — odparł łagodnie. — Często rzecz wstrętna w mężczyźnie — jest zachwycająca w kobiecie. Będę jaśniejszym. Swoboda rozporządzania sobą jest zakazana kobiecie, dozwolona mężczyźnie. Jeżeli on to czyni, nie dokonywa odważnego dzieła — natomiast kobieta daje dowód siły i wspaniałości natury!

Z szumem przeleciała mimo nich dorożka, w której siedzieli Janka i Ottowicz. Rena ze zgrozą dostrzegła, iż buda dorożki była podniesiona. Nie wiedziała dlaczego, lecz przelekła się, aby Halski nie zrobił do tego aluzji. Lecz milczał dyskretnie.

Wyczerpana, jakaś zwalczona — lecz nieustępująca, zapytała cicho, jakby po wahaniu:

— Pan... dokąd?...

I zaraz szybko dodała:

— Przepraszam — za niedyskrecję.
— Bynajmniej! — odparł niedbale i wymienił nazwę kawiarni, którą nazwała przed kilku godzinami Weychertowa.

Nie mogła oprzeć się pokusie.

— Pan tam znajdzie towarzystwo?

— Tak, kogoś...

— Panią Weychertową...

— Prawdopodobnie...

Uczepiła się jakiegoś środka, który nie przynosił zaszczytu jej dyplomacji.

— I redaktora...

Sądziła, że to powstrzyma go od pójścia na spotkanie tej kobiety.

Lecz on zaczął śmiać się spokojnie.

— *Madame Weychert est doublement veuve aujourd'hui* — odparł, niewiedomo dlaczego, po francusku.

— ?...

— Redaktor w Zakopanem, mąż w Kissingen.

— A!...

Wjechali już w miasto. Właśnie mijali ową restaurant-café. Na werandzie pełno było i gwaro. Światła kolorowe migotały. Liście kasztanów kładły na to wszystko palczaste, mistyczne, olbrzymie dłonie.

Rena z jakąś pasją trąciła dorożkarza parasolką w plecy.

Ten zatrzymał konie.

— Dlaczego pani zatrzymuje powóz?

— Dlatego, iżby pan wysiadł.

— Chcę odwiedzić panią do domu.

— Zbyteczne! Proszę, niech pan wysiada. Tam czekają na pana!...

Zawahał się. Zrobił gest, jakby chciał koniecznie zajrzeć w jej oczy, które trzymała uparcie od niego odwrócone. Wreszcie powstał i wysiadł z powozu.

— Skoro pani tak każe...

Teraz ogarnęła ją prawdziwa, szalona pasja. Czuła, że dzieją się dokoła niej i z nią samą rzeczy, które się dzieć nie powinny. — On tymczasem spokojnie załatwiał sprawę pieniężną z dorożkarzem.

To dopełniło miary. Ten brzęk pieniędzy, liczonych przy blasku latarni, który oświetlał jego przesłiczny profil, godny być profilem któregoś z Colonnów lub Orsinich Odrodzenia — przejął ją na wskrós zjadliwą, ohydną rozpacz. Musiała uciec od niego, od tych miejsc, gdzie w pobliżu znajdowało się ciało tej drugiej, czekające i gotowe do posłuszeństwa.

Podniosła się w dorożce.

— Jedź! — krzyknęła do dorożkarza tak niesamowitym głosem, że aż przeraziła się sama tego dźwięku.

Wyrwała mu bat, zacięła konie.

Te pomknęły, szarpiąc się z furją zwierząt, nagle niesprawiedliwie sieczonych.

Dorożkarz zaklął, ściągając lejce.

Ten i ów przechodzień przystanął, przeczuwając jakąś „scenę”.

Ona opadła na poduszki, cała spocona i drżąca.

— Niegodziwi! Niegodziwi!... — szeptała, dysząc ciężko... Czuła się rzeczą żadną, drobną, osamotnioną, bezcelową. Pędziła wśród wszechświata, przesadzając przeszkody, lecąc do jakiejś mety, którą już czuć i uosabiać sobie przestała.

— Niegodziwi!

A w głębi jej jakiś skowyt lękliwy.

— Żeby mu tylko koła dorożki nóg nie przejechały!...

X

Noc jej była głucha, dzika, pusta. Przechodziła ją całą po pokoju, bosa, anielsko piękna w swej długiej, białej koszuli.

Wstawał w niej świat pasji. Witaa go trwożna, lecz nie czyniła nic, aby stłumić to w sobie. Przeciwnie, bezwiednie wyciągała ku niemu ramiona.

W ciszy nocnej dolatywały ją przezyste, metaliczne dźwięki zegara „po Stanisławie Augustie”. Była chwila, w której jakiś sentyment przesunąć się jej zapragnął przez głowę.

Ilu tak bezsennym kobietom wydzwaniał on już godziny? Ile tak kobiet snuło się w przeźroczach swych nocnych batystów, modląc się o spokój?...

— Lub o zrozumienie stanu swego serca? — dodał jakiś głos z najtajniejszej jej głębi.

Lecz zaraz pod dreszczem, spadającym na nią jakby deszcz drobnych płomieni:

— Serca? Czy o serce tu chodzi?...

Przerażona zatrzymała się.

Zabrakło jej tchu.

Ona go nie kochała. Ona...

Dokończyć nie śmiała. Jakaś jasność przebijała się ku niej wśród mroków.

Chciała odeprzeć tę jasność, lękając się jej więcej, niż śmierci.

— Nie! Nie!... Tak nie jest...

Gdyby mogła, padłaby na kolana przed własnym sercem, przed *sentymementem*.

— Odezwij się! Ratuju mnie!...

Odwróciła się ku oknu, przez które znów świt leniwie zmęczony się wkradał.

— Ja ko-cham! ko-cham!... — szeptała zbielełymi ustami.

I tuląc swe ręce do piersi, gniotąc i kalecząc swe ciało, dodała:

— *Tylko Kocham! Tylko Kocham!* Nic więcej.

*

Robiła to ustępstwo. Przyspieszała wyznania, odrzucała formy przejściowe, aby coś stłumić w sobie, czego dopuścić na powierzchnię nie chciała. Wchodziła w układ z samą sobą. Decydowała się na ustępstwo.

— Będziesz kochać, kochać nieszczęśliwie, beznadziejnie. To ci wolno... to cię nie shańbi. Przeciwnie, to jest piękne, szlachetne, to należy do uczuć wyższych, na które zdobywać się mogą tylko doskonalsze gatunki kobiet.

Uspokoilo ją to trochę. Zdawało się jej, że walka jej skończona. Ogarnął ją teraz bezgraniczny smutek. Szło jej głównie o to, aby nadać mu ton specjalnie melancholijny.

Wydobywała na wierzch złożone do lamusa dziewczęce tkliwości. Delikatnie, z głową zwieszoną, posunęła się do łóżku, które zdało się jej być przytuliskiem marzeń.

— Myśleć o nim będę!... — postanowiła, układając się wdzięcznie na pościeli — tylko myśleć...

Chętnie byłaby się rozplakała, ale łzy nie przychodziły. Natomiast jakby gorące strugi spływały od karku wzdłuż krzyża i bioder. Pościel powoli stawała się jej wrogą i nieprzychylną. Nie wstawiała jednak, leżała uparcie, starając się pozostać nieruchomą i zapadać w trans.

Zdawało się jej chwilami, że zdaleka dolatuje ją jakiś szept dwojga ludzi, szept jakby gryzących się ust, warg, pijących pocałunki...

Halucynacja ta słuchowa płynęła jakby na fali gorąca poprzez cienie, cisze. Podkradała się do niej, wyciągając szeleszczące macki. Ona całą siłą wydzierała tylko z tego szepu część jego głosu, druzgocąc w niebycie współudział kobiety. Nadawała mu dźwięki szlachetne i wzniosłe. Dławiła to, co mogło być charczeniem będącej u zenitu rozkoszy. Tylko wyszczała zeń słodycz i harmonję melancholji i poila się niemi, oddychając ciężko.

— On jest sam! Sam! — szeptała mimowoli kłamstwa zbielełymi wargami, którym kazała się uśmiechać.

I z rezygnacją przybierała pozę ukrzyżowanej — oczekującej na mękę ducha, która już dla niej jako rozkosz przedstawiać się zaczynała. Nie tłumaczyła sobie tego stanu, który był przecież nadzwyczaj łatwy do zrozumienia.

Tak negocjowała i bała się rozkoszy cielesnej, iż oczekiwała z niecierpliwością na męczarnię duchową, chcąc bólem przygłuszyć siłę i moc pragnienia, które wielkim pożądaniem z głębin jej biły w więzienne bramy jej ciała, gotowe, zdrowia i odczucia pełne.

Jak pensjonarka ofiarowywała sobie bukiet sentymentów, czując, że już bezsilną jest i że tam na dnie bunt straszny gotów jest do zerwania tam, nałożonych tak sztucznie przez przygotowane i przyrządzone szablony umów społecznych. Więc jeszcze sięgała do

romantycznych katarynek i uniesień i nakręcała się na pozytywny ton czułości, sądząc, że zaspokoi to, co przypuszczała chwilową, chorobliwą chimera.

*

Prawie sennie zdołała ukłóysać w sobie te gniewliwe, instynktowne porywy. Tuląc się w myśli w morze uczucia, brała już je za rzecz realną i kładła je jako kres swej rozterce wewnętrznej.

— Kocham... kocham...

Falszywo, zgrzytliwie jednak było jej z tem. Półnaga, płonąca — i ona i rzeczy martwe, które ją otaczały, całe aż kładły się pod stopy zmysłowości, bezbronnie i stęsknione. Dziewczęce uroki nocnych tęsknot, białe i niewyraźne, dysharmonją tu były i prawie śmiesznością. I człowiek, do którego szarpało się to pragnienie idealnych uniesień, tak mało był im podatny i odpowiedni, że raczej zdawał się mściwie odpychać od siebie podobnie jęklive i anemiczne zachcianki. Dziewicom na nocne tęsknice nie był przedmiotem ten Halski o ustach płonących kwiatem purpury kaktusa, w jedwabiu brody. Myśl o tych ustach nagle szarpnęła ciałem Reny. Jedną sekundę wydało się jej, że są tuż nad nią, pochylone, uśmiechnięte, dyszące. Jedną sekundę czuła w dyszeniu tem woń świeżo skoszonego siana, w połączeniu z lekkim zapachem tytoniu. Było to wrażenie zupełnie realne, doskonałe, ludzkie — wnikało w nią przez jej otwarte usta i zatrzymało się wzdłuż krzyża pomiędzy łopatkami, jak pchnięcie noża. Zatałowało jej oddech. Porwało ją. Zniszczyło jej doskonałą pozę cierpiącej romantyczki.

Jak obłąkana usiadła na łóżku.

Poznała wrażenie owej nocy, wrażenie chwili, gdy giął ją w swych stalowych objęciach.

— Jezus Marja! — jęknęła — Jezus Marja!...

XI

— Pani Weychertowa!

— ?...

— Czy prosić?

Rena chce powiedzieć nie, lecz sama nie wie, dlaczego odpowiada pokojówce, odsłaniającej story:

— Tak... tak...

Ciągnie ją zwierzęco, instynktownie do tej kobiety.

Zapomina nawet o „przypudrowaniu się”. Przytuliła się do poduszek, na drzwi patrzy łakomie.

Wchodzi Weychertowa. Jest dziwnie świeża, odmłodzona. Coś bije z jej twarzy, z jej całej postaci. Wyszlachtniała. Promienieje w swym białym płóciennym kostjumie, obitym czarną wypustką. Głównie zmiana korzystna skoncentrowała się w jej oczach, które mają jakieś *plusy szczęścia*, jakieś resztki blasków niedomówionych, łaskotliwe i przymlające się prośby i triumfalną wieść zupełnego zadowolenia. Wszystko to Rena odczuwa w jednej chwili. Spodziewała się znaleźć Weychertową znędzniłą, pogrążoną w jakiejś szpetocie, wstrętną; natomiast ta wzmożona piękność, to wyszlachtnienie urody, ta kobiecość oszlifowana nagle najdoskonalej, uderzyła w nią triumfująco i przygniotła ją bez słowa, samą milczącą potęgą swoją.

Do piersi Weychertowa miała przypiętą przecudną, rozkwitłą różową różę. I twarz kobiety miała ten sam czarujący odcień, jakim płonęły delikatne listki kwiatu. Zdawać się mogło, że Weychertowa zdołała właśnie tej nocy zakwitnąć wszystkimi czarami swej tajemnej istoty. Dyszała jeszcze przeżyta rozkoszą i wyżywała jej ostatnie promienie. Biło od niej to, iż miłosna ekstaza była dla niej obecnie sprawą pierwszorzędną i wszystko w jej istocie na razie było tej sprawie podporządkowane. Prymitywną kobiecością przepojone powstało w niej to, co było słodyczą i wdziękiem danym jej od natury. Głos jej rozdzwieczał się jakąś młodą tkliwością i miał giętkość równą jej ruchom budzącej się z objęć fauna rozemdlonej nimfy. Nic z burżuazyjnego prostactwa zdawało się nie pozostawać w niej na razie, i to co władało nią, miało nie tylko pozór, lecz i ugruntowanie jasnej, wywołanej z mroków, Prawdy.

Z gęstwy rozrzuconych włosów śledzi ją Rena w milczeniu. Od razu poczuła się niższą i zwyciężoną. Chciała w swej czystości pogardliwie przygnieść tę drugą, ciepłą jeszcze od uścisków mężczyzny, a natomiast z tą całą swą czystością uczuła się jakoś fałszywą i nagle zepchnięta na ścieżkę poboczną, wijącą się wśród bezużytecznego chwastu i zielska. Lecz przyznać tego nie chciała. Wpiła palce w koronki poszewek i w duszy pluła jadem...

— Podła!... — myślała — podła!...

Weychertowa bystro, lśnięciami oczyma ogarnęła jej twarz.

— Co ci jest, Reno? — zapytała — czy jesteś chora?

— Ja?

— Tak! Bardzo źle wyglądasz!

Rena nie poruszyła się nawet. Wydymając usta, odparła:

— Wszystkie źle w lecie wyglądamy!

Weychertowa roześmiała się wesoło.

— O! Ja... nie!... — Spotkałam właśnie Halskiego. Szedł do biblioteki. Powiedział mi, że nigdy tak doskonale nie wyglądałam, jak dzisiaj...

Na Renę uderzyły płomienie. To imię, tak nagle rzucone pomiędzy one obie, stało się wyzwaniem brutalnym i koniecznym.

— Halski zawsze kłamie! — odparła w rozdrażnieniu. — Wczoraj mówił mi to samo!...

— Wczoraj wyglądałaś rzeczywiście trochę lepiej. Ale dziś musiałaś źle spać...

— Spałam doskonale.

— Ja za to nie spałam wcale, a wyglądam lepiej, niż ty...

Rena podniosła się ruchem pantery.

— Nie spałaś? — zapytała przeciągle i mimowoli. — Co robiłaś?

Weychertowa wybuchnęła świeżym, rozperlonym śmiechem...

— Co?... — podjęła. — Co?... Och!...

Urwała, oczy jej zaświeciły nagle, jak dogasające w alkwie światełka, które rozjaśniały mroki szalonej, miłosnej nocy. Równocześnie Rena uczuła dziwne wrażenie, iż na wpół otwartych ustach Weychertowej przesunął się ślad drugich ust, stłoczonych z jej wargami, ust, woniących świeżo skoszonem sianem. I teraz już nie wiedziała poprostu, kto odebrał to wrażenie. Ona sama, czy też ta kobieta, do której ciągnęła ją jakaś siła i odpychał ją gorzki, wstrętny niesmak.

Milczały tak obie, z oczyma wbitemi w siebie. Umysły ich błąkały się. Obie zdawały się winne i obie zdawały się być sędzią. Powoli powstawała pomiędzy nimi atmosfera żądzy w całej świeżości, strącająca ze siebie wszelkie spróchniałe naleciałości tego, co ludzkość gwoli swych egoistycznych potrzeb ukuła i zardzewiałym pancierzem na akt najwyższej doniosłości — wtłoczyła. Nawet mówić o swym czynie nie śmiała Weychertowa i ona, która kilka godzin przedtem czarująco szczerza i przez to doskonale piękna, potrafiła znaleźć słowa prawdziwego i istotnego znaczenia — w tej chwili zdławiona, rzuca się w bagno dwuznacznych wykrętów, zawieszęń głosu, nie mogąc jeszcze skłamać zupełnie bezczelnie, leci już ogarnięta zgnilizną manowców ludzkich, *nie przyznaje się*, słuchając tych tajemnych rozkazów, które przyjmowała gotowe z całą uległością przeznaczonego do noszenia jarzma bydlęcia.

Pierwsza Rena przerywa milczenie. Sucho, urywanym głosem zapytuje:

— Kiedy wyjeżdżasz?

Weychertowa odpowiada:

— Nie wiem... Nie wiem jeszcze.

— Jakto? Miałś jechać w tym tygodniu?

— Tak... ale złożyło się inaczej.

— I...

— Nie wiem, nie wiem jeszcze...

To, co Rena doznała, jest po prostu bólem, jakiego jeszcze nie rozumiała. Wie, że jeśli Weychertowa chce zostać, to już jedynie dla Halskiego i przez Halskiego. Zuchwale teraz dobiera się do dna rzeczy.

— Redaktor przecież ma wyjechać do Reichenhallu...

Przez usta Weychertowej przemknął się jakby cień niesmaku.

— Podobno.

— A ty?

— Ach! Niech jedzie. Należą mu się wakacje. — Zresztą być może, że wymuszę to na nim, że pojedzie do żony, do Zakopanego, na jakiś czas dłuższy.

Rena przybrała wyraz najwyższej ironji, na jaką ją stać było.

— Czy nie jesteś zanadto szlachetna...

— ?...

— No tak! Odstępując z taką wspaniałomyślnością swego... adoratora.

Chciała powiedzieć „kochanka”, lecz nie miała na tyle odwagi.

Weychertowa wyduła usta.

— Och! Redaktorowa jest chora, to wiadome. On właściwie jest jej bratem, przyjacielem... A to w każdym razie — *zona*... Należy się jej to.

— Nie kochasz go więc?

— Ja?

Ogromna szczerość objawiła się nagle w jej głosie. Czuć było, iż chwila jeszcze, a Weychertowa parsknie śmiechem.

To wesołe lawirowanie tej kobiety w tem bagienku miłosnem doprowadziło Renę do nieokreślonego gniewu.

Upadła znów na poduszki, kurcząc się w pozie bezsilnej w niewoli pantery.

— Nie pojmuję! — wyrzekła zdławionym głosem — jak możesz, nie kochając, kompromitować się tak, jak to czynisz z redaktorem. Ja nie uczyniłabym tego nigdy... choćby ze względu...

Urwała, Weychertowa bowiem kołysała się teraz na krześle bardziej roześmiana, niż poprzednio.

— Choćby ze względu na męża... chciałaś powiedzieć? — podjęła. — Właśnie, właśnie, moja droga! Mój mąż należy do tych mężczyzn, dla których kobieta ma tyle wagi, o ile jest pożądaną przez innych mężczyzn. Stąd to, co czynię, jest raczej dowodem wielkiej mej dbałości o trwałość naszego domowego szczęścia.

— Znaczy się, że twój mąż powinien ci być wdzięczny...

— Naturalnie.

— Za redaktora? I za... innych...

Po twarzy Weychertowej przesunął się płomień. Była w tem prawie luna zażenowania dziewczęcego. Ta tłusta, lubiąca zmysłowe rozkosze burżuazka, miała widocznie jakiś ołtarzyk prawie błękitnego kwiatka, jak zresztą każda kobieta.

Pochwyciła to Rena.

— A!... widzisz, że mam rację.

— W czym?

— W tych „innych”.

— Dlaczego tak nalegasz?

— Bo lubię znać ludzi do głębi.

— Ty jednak nigdy kobiety w ten sposób nie poznasz.

— Dlaczego?

— Bo to są dla ciebie tereny nieznanne.

Rena zmarszczyła brwi.

— *Et pour cause?* — spytała.

— Nie masz temperamentu. Nie możesz pojąć i sądzić kobiety z temperamentem.

— Znów!!!

Cała Rena zaiskrzyła się.

— Kto to powiedział? Pewnie twój Halski.

Weychertowa nie drgnęła.

— Mówił i Halski — odparła spokojnie.

— Jak śmiał?

— Bardzo łatwo. Miał przecież do tego powód...

— Jaki?

— No... sama przecież mówiłaś! Nie chciałaś go...

Rena wzburzona usiadła na łóżku.

— Co? On śmiał mówić z tobą... o... tem?

— Moja droga! Przecież sama to rozgadujesz przy Jance... u mnie!

Z powiedzenia Weychertowej głównie utkwiło Renie trywialne słowo „rozgadzać”.
Kumoszkowatość jakaś, zastosowana do tego, co chciała postawić na ołtarzu romantycznej tkliwości.

— Zrobiłam wzmiankę, dyskretnie... — zaczęła — nie rozgaduję jak kwoka plotek. Zostawiam to takim panom i ich wyuzdanym kochankom. Mają o czym mówić ze sobą w chwilach swych... połączeń. Bo tak podobno się to zwierzęce szkaradztwo pomiędzy nimi nazywa...

Dyszała cała, zarumieniona nagle. Patrzyła Weychertowej prosto w oczy. Nienawidziła ją. Odczuwała instynktownie, jak tam oni oboje, nasyчени, musieli wzgardliwie rozbierać jej chłód, jej brak temperamentu, szydząc z tego, według nich, „kalectwa”.

Lecz Weychertowa była ciągle spokojna, jednakowo zadowolona, uśmiechnięta.

— Dlaczego się tak mienisz? — zapytała. — Ponieważ nie robiłaś z zajścia pomiędzy Halskim i sobą tajemnicy, mówiono o tem wczoraj wieczorem, w kawiarni — przy stoliku... — ot... jak się mówi o czym innym.

— To, że jest kobieta szanująca się i nie chcąca być ladacnicą, nie jest przedmiotem kawiarnianych rozmów!

Weychertowa przygryzła usta.

— Ależ... możesz być przekonana, iż oddawano ci należne pochwały. Nawet sam Halski.

Renę ogarnęło nerwowe drżenie.

— Pochwały? Jak grzecznej dziewczynce? — zawołała zmiennym głosem. — Ten błazen śmie mi oddawać pochwały za to, że nie chciałam należeć do steku gęsi, które lecą mu w objęcia, a którymi on potem poniewiera.

Weychertowa zaczęła się trochę czuć dotkniętą.

— Pozwól...

Lecz Rena przerwała jej, podniecając się coraz silniej:

— Pozwól ty powiedzieć sobie, że więcej niż dziwne jest z twej strony, iż pozwoliłaś temu panu w swojej obecności znieważać moją dobrą sławę i szarpać moje nieskazitelne imię.

— On ciebie nie znieważał.

— Wystarczy, iż mówił o mnie w takim miejscu i w takim towarzystwie.

— ?...

— Naturalnie. W knajpie czy w szynku i w towarzystwie osób nie dwuznacznego prowadzenia się.

Weychertowa powstała, wzruszając ramionami.

— Moja droga! Sto razy byliśmy razem z tobą w tej samej kawiarni i w tem samem otoczeniu. Nagle dziś — stało się to wszystko dla ciebie czemś skandalicznym. — Widzę, że jesteś zdenerwowana... Weź trochę bromu.

Rena zamiast uspokajać się tonem Weychertowej, czuła coraz szaleńsze podniecenie. — Miała ochotę wyskoczyć, rzucić się ku Weychertowej, zedrzeć z niej suknię i to ciało, przepojone i nasycone świeżymi wybrykami zmysłowości, orać do krwi paznogiemi, które w wyobraźni jej rozrastały się do zgłodniałych krwi — pazurów dzikiego zwierzęcia. — Lecz to była jej tajemna żądza, której źródła na razie wyczuć nie była w stanie. Natomiast na plan pierwszy wysuwać zaczęła jakoby gniew za to, że Weychertowa, nasuwając jej banalne pojęcia, pogrążyła ją w cały świat banalności — niweczając słuszną tkliwość, którą na obronę swą budować całą noc usiłowała.

— Nie mnie brom potrzebny! — poczęła niskim, charczącym głosem — ale kobietom, których wyuzdanie zaćmiewa poczucie godności i każe im rzucać się w objęcia nawet takich Halskich.

Weychertowa milcząc podeszła do gotowalni. — Z torebki wyjęła puszek i puder i zaczęła troskliwie pudrować swój okrągły podbródek. — Przy ostatnich słowach Reny podbródek ten jakby zdrżał trochę — lecz wprędce powrócił do równowagi. — Weychertowa poprawiła kapelusz i różę przy piersiach, przegięła się z lubością, śledząc w lustrze linię bioder i uprzejmie zwróciła się do Reny.

— Odchodzę! — Idę do ogrodnika — muszę kupić trochę kwiatów do salonu.

Rena zaczęła śmiać się impertynencko.

— Skądże nagle uczułaś potrzebę upiększania swego *interieur'u*?

— Halski mi zwrócił uwagę, że mieszkanie kobiety, nie przystrojone kwiatami, jest smutne. — Zresztą ja dawniej miałam zwyczaj mieć wiele kwitnących roślin we wszystkich pokojach... Powoli wyzbyłam się tego przyzwyczajenia...

— Obecnie do niego powracasz?

— Tak — trochę...

Rozejrzała się dokoła. — Tu i ówdzie stały w wazonach dziwnej piękności azalje. Szczególniej jedna, gorąco żółta, ciekawa, oryginalna. — Weychertowa uśmiechnęła się do niej, jak do żywej istoty.

— Cudowny kwiat! — szepnęła.

Mimowoli Rena wysunęła się z łóżka, oczy obu kobiet zatrzymały się na delikatnych, gorąco pięknych bukietach.

Tutaj był teren, na którym każda kobieta spotka drugą z uśmiechem i przyjaźnią — teren kwiatów...

— Chciałabym znaleźć także takie azalje.

Lecz w sercu Reny zamiast gniewu powstał teraz smutek. Nie chciała, aby ta kobieta i kwiaty jej wydarła i cieszyła się ich rzadką pięknnością.

— Nie znajdziesz! — odparła sucho. — Azalje te sprowadził dla mnie mały Kaswin z daleka...

— A!...

— Tak! — Ja należę do tych kobiet, którym ofiarowują kwiaty.

— Ciekawe! Mówisz, że dbasz tak o opinię.

— Właśnie. Czy nie zmiarkowałaś, że kobiety, któremi się właściwie w głębi duszy poniewiera, nie obdarza mężczyzna kwiatami, choćby nawet była jego kochanką. — Pozwala najbezcenzuralniej, aby sama je kupowała. Tylko dla tej, dla której coś czuje z uwielbieniem dalekich, przysłała kwiaty. *Voilà!*...

Zerwała kiść azalji i delikatnie posuwała ją po swych policzkach. — W długiej, cieniuchnej, batystowej koszuli, która zakrywała jej drobne stopki, z tym kwiatem w ręku — z całą falą włosów, spadających pękami po obu stronach policzków, była bardzo wdzięczna, rasowa i estetyczna. — Weychertowa w swym pancerzu, wygorsetowana — z talerzem olbrzymiego kapelusza na głowie — malą, robiła się jakaś bardziej trywialna, pospolita — z cechą wzbogaconych mieszczanek. Postacie ich odbiły się w lustrze — przedzielone białym stoliczkiem, na którym stał wazon z azalją. — Rena, tak stojąc, odzyskała swą wyższość fizyczną i poczuła się trochę pewniejszą w terenie.

— Bądź zdrowa! — wyrzekła Weychertowa nagle jakby zmieszana. — Może przyjdiesz dziś po obiedzie do cukierni, na planty?

Lecz Rena skrzywiła się pogardliwie.

— Och! Nie!...

— Podobno będzie grała dziś muzyka wojskowa.

— Winszuję hołocie zachwyków...

— Bądź zdrowa!

— Żegnam cię!

I gdy Weychertowa wyszła — pięście Reny zacisnęły się konwulsyjnie. Obrzydliwy wyraz trywialnej pasji pojawił się na jej twarzy.

— Ach! Ty!... Ty!...

Nieledwie plunąć chciała uliczną obelgą. — Lecz zwróciła się do lustra i tam dojrzała siebie z żyłami nabiegłymi krwią — brzydką — zczerniałą.

— To przez nich! To przez nich! — szeptała, siadając na szeszlągu. — Ale zaraz... zaraz... co robić, powoli — powoli — uspokój się!... Namyśł!

I wpatrzona tępo w kwiaty dywanu, myśleć z całej siły zaczęła.

XII

I oto, co wymyśliła.

Naturalnie — bardzo po kobiecemu.

Przedewszystkiem... list do Halskiego. Tak wygląda ten list:

— „Panie! Darowałam panu wiele — i uczyniłam źle. Po brutalnej napaści Pana należało przypomnieć Panu, jaka przepaść dzieli kobiety, które czują się szczęśliwe, stając

się Pana kochankami — od takiej kobiety, jaką ja jestem. Źle piszę „przypomnieć” — lepiej byłoby użyć tego słowa „pouczyć” — gdyż jesteś Pan jednym z tych nieszczęsnych wydziedziczonych, którzy będą żyć zawsze niższym gatunkiem życia i ponad tę niższość wznieść się nie będą w stanie”...

Pisała ten list bosa i w koszuli, siedząc — z kałamarzem ustawionym na krzeselku, z teczką na kolanach. W swej długiej, białej szacie, skurczona na brzegu purpurowego szezłagu, z promieniem słońca, ścielącym się po dywanie, miała pozór grzecznej dziewczynki z angielskiego *keepsaka*. Niktby przypuszczać nie mógł, ile w tej wizji porannej o kształtach wiotkich i ślicznie szarmonizowanych, mieściło się burzy szkodliwej i prawie pospolitej.

— „Czy Pan!”...

Zaczęła i urwała. — Wszystko, co cisnęło się jej pod pióro, było za mało śmiałe, paradoksalne i jakieś niezależne. Za kilka wyrazów nie nadto zużytych, mogących mieć w sobie moc piorunu, druzgocącego zupełnie zadowolenie i nasyt, w jakich obecnie Halski musiał być pogrążony — oddałaby dużą część życia. — Lecz — nic nie zjawilo się w jej myśli, coby odpowiadało piekącemu bólowi, targającemu jej nerwy. — Przeciwnie, same proste, bijące swą szczerością słowa, rwały się ku niej bez godności, bez wyższości dystygnowanej. — Widoczne było, iż rodzaj jej cierpienia był w podstawach swych zupełnie naturalnym — że spełniono tu jakiś występki przeciw jej naturze i że wysłowienie tego bólu, był to poprostu krzyk prymitywny dławionej i nękaney samicy. — Natomiast całe jej pokręcone układanie się w istotę, odczuwającą tylko uczucia szlachetne (*senti-ments généraux*), kazało jej gwałtownie wyłączyć na szczydła dostojeństwa i tam szukać odpowiedników dla wyrażenia swej pasji.

I nie znajdowała ich. — Winiła tu więc nie siebie, nie schodziła do istoty rzeczy, lecz czepiała się już wytworów sprawy i pasję całą kierowała ku tamtym dwojgu, którzy utonęli według niej w niemoralności postępów. Nie umiała jednak już rozmotać niemoralności tej, która zaczynała zasnuwać się mgłą nierozpoznawalną w jej umyśle. Tylko upór teraz wydobył się na plan pierwszy. Upór jakiś oślepy i najpodlejszego gatunku. Nim zaczęła pokrywać i zastępować swe uczucia najcenniejsze i z niego czyniła sobie źródło swej siły. Mętne jednak było i prawie chorobliwe. Nie mogła przed nim uklęknąć i pić zeń dla orzeźwienia. — Siadała opodal i uparcie przyzywała je, nadając mu twarde imiona wielkich Szlachetności.

A wszystko to było fałszywe i już zaczynało prześwitać ku niej błyskiem doskonałej Prawdy. — Nie było w tem przewagi zaprzeczenia i dławienia instyktów życia. — Coś już świtało, przetierało przez skłębione chmury wyidealizowanej moralności.

Więc list pisać Renie było trudno. Wzięła się do niego z rozpędem i stanęła w połowie bezsilna. Jakież pęty nakładały się jej na duszę.

Coś lkało, coś wyło, ot, po zwierzęcemu...

I szybko, błyskawicznie nakreśliła.

— Czy Pan przypuszcza, że mężczyzna, mający poczucie honoru i subtelności wobec kobiety uczciwej, postąpi tak, jak Pan postąpił? Ośmieli się to, co zaszło pomiędzy nimi dwojgiem i co mogło być pięknem nieuchwytnem — szargać opowiadaniem po knajpach w towarzystwie swych metres i to nietylko „swoich”, lecz raczej całego świata.

A przecież Pan tak postąpił.

Oto dowiaduję się, że dzisiejszej nocy nazwisko moje w plugawy sposób zostało wymawiane i osoba moja służyła po prostu za żer przy orgji, zresztą zupełnie zrozumiałej i koniecznej na terenie, na którym się Pan obraca. — *Bref* — zakazuję Panu”...

Do pokoju weszła pokojowa. W rękach, ostrożnie, niosła ładne cacko. Była to mleczno biała grupa z holenderskiej porcelany, dwoje przegiętych tancerzy — owianych falą spódniczek kobiety — i osypanych mnóstwem drobnych bukietów fioletów, poprzyczepianych na złotych, cieniuchnych sznureczkach. Tancerz trzymał w maluchnej rączce bilet wizytowy. Na nim — było:

— Kaswin!

— A!

Rena z jakąś radością spojrzała na białe figurki. — Zapomniała o przestępstwach rozpustnych „małego”. — Wydał jej się nagle tkliwy, na wzór jakiegoś Salwięttiego z początku dziewiętnastego wieku.

— Czy jest posłaniec?

— Tak jest.

Rena na tej samej teczce nakreśliła na czystej ćwiartce papieru:

— „Kochany mały! Przyjdź dziś do mnie na obiad — R”.

I oddała pokojówce.

— Każ to wręczyć p. Kaswinowi!

Pokojówka znikła. — Rena wróciła do listu, pisanego do Halskiego. Nagle wydało się jej, że nie jest sama w tym świecie idealnym, że nie jest śmieszna — że obok niej są inni, którzy potrafią obdarzać kobietę kwiatami uczucia i wyznawać muzykę miłości.

Rozzuchwialiło ją to.

Przeczytała list od początku i znalazła go bardzo dobrze. — Zaczęła znów pisać szybko i prawie z jakąś okrutną radością.

— „Bref, zakazuję Panu wymawiania mego nazwiska w podobnym towarzystwie. A ponieważ towarzystwem Pana — zwłaszcza obecnie — są osoby więcej niż dwuznacznej opinii, sądzę, że Pan uczynisz mi tę łaskę i o mnie nigdy mówić nie będziesz”.

Nie wiedziała jak zakończyć — wreszcie z wielkim impetem podpisała swoje imię i nazwisko. — Włożyła w kopertę i zakleiła. Lecz szybko rozerwała i, prawie nie patrząc, dopisała: — „Oczekuję wytłumaczenia”. — Chciała dodać „osobistego”. — Ale tu już szarpnęła się w niej duma.

— Przecież przyjdzie! Naturalnie... przyjdzie!... — pomyślała.

Wyprawiła pokojówkę z listem, nakazując jej odnalezienie p. Halskiego i przyniesienie odpowiedzi. — Potem zaczęła gorączkowo czesać się i ubierać. Nagle rozplotła włosy i rozrzuciła je na ramiona.

— Przyjmę go z rozplecionymi włosami, powiem, że mnie głowa boli...

Wiedziała, iż w ten sposób ma pozór Madonny. — Kochała się wtedy w sobie — przypatrywała się we wszystkich lustrach.

Drżącymi rękami czyniła sama porządek w salonie, sypialni. — Ustawiała efektownie wazon z kwiatami. Na pierwszym planie umieściła grupę owych białych, fjołkami osypanych, tancerzy. — Na ziemi rzuciła trochę azalii. Na fotelu, w salonie, biały krepowy szal przewiesiła przez poręcz i położyła tom Musseta, założywszy kwiatem stronicę słynnego sonetu, noszącego tragicznie smutny tytuł: *Jamais!*

Gdy wszystko to ukończyła i pospuszczała do połowy stopy, manewrując światłem jak fotograf — nagle przyszło jej na myśl, iż czyni to wszystko na próżno. — Wszak Halski, mimo zaniedbania, jaki zachował dom Weychertów, tam właśnie szukał sobie kochanki. Lecz zaraz przebiła tę myśl.

— Siłą kontrastu! Siłą kontrastu! — powtórzyła, tupiąc nogą o dywan.

Wyszła na balkon i cała w bieli i w koronkach czyniła wrażenie jakiegoś zjawiska, wyrastającego z pasów purpurowych kwiatów, bramujących kraty balkonu. — Gorączkowo wypatrywała pojawienia się pokojówki z odpowiedzią Halskiego. — Natomiast dostrzegła powracającą z miasta kucharkę, obładowaną zielenią szpinaku, sałaty i kilkomma pękami bławatków. — Przypomnił się jej Kaswin i dzisiejszy obiad. — Kto wie — może Halski przyjdzie tak, iż zostanie na obiedzie...

Podniosło ją. Wbiegła do mieszkania, aby wyjąć srebro stylowe i adamaszkowy garnitur stołowy. — Niech myśli, że u mnie tak codziennie! Siłą kontrastu, siłą kontrastu!...

Zadzwoniono. — Wszystka krew zbiegła jej do serca. — Lecz było to tylko wezwanie z konsystorza, aby stawiała się za dwa dni o dziesiątej z rana, dla dodatkowych przesłuchań w sprawie rozwodowej. — Rzuciła z wściekłością wezwanie na stół.

— Komedja! Komedja!... — syknęła.

I znów przemknęło jej przez głowę — pogodzić się z mężem. — I zaprosić wtedy Halskiego i Weychertową! — Bohusz doskonale się prezentuje — mężczyzna w całym tego słowa znaczeniu. Zaimponowałby *zwierzęco* obojgu. — Kto wie, czy nie byłaby to najlepsza zemsta pod ręką...

Ktoś jej mówił, że Bohusz pije i to prawie nałogowo — że widziano go w jakimś handlu śniadaniowym, jak zupełnie nieprzytomny, siny, zapalał zapalki w kieszeni od marynarki — ku wielkiej uciesze kelnerów i piccolów.

To ją ostudziło. — Wydało się jej to *malpropre*. Innego wyrazu na to blaznowanie pijackie po knajpach nie znajdowała.

— Nie — myślała — nie zaimponowałabym Halskiemu, a sama pogryźłabym się w bardzo ciężkie ponownie życie. —

W tej chwili powróciła pokojowa. Oznajmiła, iż z trudem znalazła pana profesora. — Oddała mu list. Przeczytał i powiedział, że — odpowie.

— Trzeba było nalegać.

— Mówiłam, iż jasnie pani kazała koniecznie, ale pan profesor się skrzywił i powiedział — dobrze! Odpiszę!...

Rena oblała się krwią. — To „skrzywienie się” — pana profesora wobec sługi uznała za nową obelgę. — Wydeła usta i weszła do sypialni. Usiadła na fotelu i nie traciła jednak nadziei, że lada chwila usłyszy dzwonek. — Cicho jednak było — pokojowa tylko sprzątała w salonie. Rena czuła, iż ta dziewczyna burzy cały układ azalij, szala, Musseta — ale zaprotestować czegoś nie śmiała. Jakiś lęk ogarniał ją — lęk przed zrobieniem fałszywego kroku, któryby ją ośmieszył, bodaj przed nią samą.

O porze obiadowej zjawił się Kaswin, uszczęśliwiony, w rusztowaniu kołnierzyka, zakrawającym na średniowieczne tortury. — Przypadł jej do rąk i pił z nich biel i delikatne, miłe ciepło. Skarzyła mu się dziecinnym głosem na fikcyjny ból głowy. Żałował ją i usiadł zaraz u jej nóżek. Gdyby nie ciemno-czerwony krawat, który ją drażnił, byłaby nawet z pewną przyjemnością tolerowała go wzrokowo. — Zapomniała podziękować mu za holenderską grupę i fijołki. On, który zapewne wydał na ten prezent połowę swej pensji, pobieranej za koncepopraktykanturę, starał się po gentelmeńsku nie przypominać i nie domagać się podziękowań. Rena co chwila zapadała w milczenie i owijała się wtedy siecią rozpuszczonych włosów. Zjedli obiad w delikatnym milczeniu — ona w ciągłym oczekiwaniu, on żalując ją i przesadzając temi żalami siłę jej „migreny”. Na czarną kawę przeszli do pokoju Remy i ona natychmiast utonęła w poduszkach szezłaga — podnosząc się tylko od czasu do czasu, aby spojrzeć na godzinę, którą znaczył zegar „po Stanisławie Augustie”.

Kaswin — usiadł naprzeciw niej, na małym taburecie, w grzecznej pozie dobrego chłopca. W gruncie rzeczy był dziś silniej, niż kiedykolwiek zdenerwowany. Był to neurastenik pierwszej wody i szczylił się chwilami tą neurastenją, jakby czemś nadzwyczajnym. Rozpusta drobna i pełzająca dopomagała mu do stania się niedługo najdoskonalszym niewolnikiem swych pasji — ogromna doza sentymentalizmu kazała mu znów roztkliwiać się nad sobą i w danych chwilach ten sentymentalizm podnosić do godności sentymentu. W życie swe płciowe wtrącał komiczne idealizmy i bezpodstawowe smutki, które tłoczyły się nań chorobliwie i wydawały mu się konieczne, musowo do przeżycia. Z tego amalgamatu powstawały jakieś nocne wycia, rozpaczne, po hotelach pół żydowskich, w towarzystwie zalanych łzami i usmarowanych likierami, rosyjskich najczęściej „śpiewaczek”, które wyplakiwały swe „dole” na żydowskich pościelach, lub o deszczowych, spóźnionych zimnem dniach jesiennych, tworzenie sonetów, pełnych łez i uwielbień w stronę takich Ren, której siłą nawyknięcia było poczucie „skromności” nawet w chwili największego napięcia namiętności. Były to jego tak zwane przez Beylego „osobiste szczegóły” — pomieszanie temperamentu melancholijnego, a namiętnością zmysłową, potrzebującą koniecznie wyładowania. Ponieważ Kaswin nie umiał i nie chciał nałożyć cugli w jednym kierunku, powstały z tego u niego dziwolaży życiowe, chybiające ciągle prawdziwej drogi do szczęścia. Kaswin był nieszczęśliwy, rzucał się w odmęt erotyczny, nie znając prawideł miłosnych. I przez to był często śmieszny, drgając ciągle pragnieniami, znoszącymi się nawzajem. Nadał jednak nieszczęściu swemu piętno sentymentu świeżości młodzieńczej i wabił tem ku sobie zmęczone chwilową jakąś pasją spopieliałe dusze.

Mówiono o nim — „taki młody!” — a on przybierał minki pazia, któremu za wachlarzem pozwala się całować półobnażone piersi...

Rena milczała, pozwalając Kaswinowi mówić cicho i skromnie. Gdy przestał mówić, szeptała.

— Powiedz co jeszcze!... — wstrzymując się całą siłą, aby nie mówić nazwiska Halskiego.

Lecz pomiędzy nimi niema innego tematu, jak kobieta — miłość.

Z dziwnym uporem maniaków powracają doń ciągle. — Rzeczy można, iż świat cały wymarł na innych punktach, tylko drga i pulsuje na jednym punkcie erotycznych objawów. Weszli na tę ścieżkę i po innej jakby chodzić nie mogli. Napróżno Kaswin dobywa

ze siebie swej filozoficznej lub estetycznej kulturki. Są to jakieś strzępy, jakieś echa, coś nieudolnego, nie wyrażającego właściwie nic, jakaś naleciałość komiczna, pełna zaprzeczeń lub potwierżeń, a bijąca po prostu w pustkę wielkiej, śmiesznej nieużyteczności.

I znów powrót do „miłości” jakby do podstawy i konieczności bytu, dominanty świata zewnętrznego i wewnętrznego; jedynie rozumiała rzecz jako stan właściwy i motywy wszelkich postępów. Ten jedynie ton potrafi wywołać w nas natychmiastowe uczucie nienawiści, zemsty lub wdzięczności, zdołając przynieść ze sobą natychmiastowe i najżywsze echa przeżytych drgnięć.

I — będąc szczerymi, wyznać musimy, że właśnie ból miłosny sprawia nam *na odległość* sto razy więcej rozkoszy, niż szczęście, odczute w erotycznych naszych przeszłościach. To jest bezbarwne i mdłe, jedynie ból wryty w nas samych — przyczajony, jak zwierzę dzikie w kątce klatki naszych serc — zasypany popiołem nowych, drobiazgowych, choćby napozór najwznioślejszych wrażeń — nagle porywa się ze skowytem i wyciąga ku nam djamentowe pazury, na których czerni się jeszcze zapiekła nasza krew.

I tu właśnie szukać winniśmy przyczyny, dlaczego zawsze i wszędzie główną troską wspólnych zwierzeń naszych jest miłość. Bo nic nam nie przyniosło takiego intensywnego, osobistego bólu, jak ona właśnie. A jedynie chętnie i z zamilowaniem rozraniemy blizny cierpieniem wywołane. I stąd każdy według swej indywidualności mówi o miłości. Rozpoczęta rozmowa o najwyższych abstrakcjach i cnotliwych idealnościach krętemi ścieżkami usunie się niepostrzeżenie do ogrodu, w którym płoną bądź kwiaty miłosnych nadziei, czy w księżycowych blaskach melancholij z pod płyt nagrobków szczerzą się szkielety spruchniałych namiętności. Miłość jest tą jedyną potęgą, która oparła się i opiera wrogiemu wynaturzaniu jej z całości człowieka przez wiedźmę o długich rękach i wyschłej piersi, ochrzczonej mianem moralności.

Nic — żadne przykazania, żadne klątwy, żadne prawa, żadne sądy i kryminały nie zdołają powstrzymać takich dwoje — gdy pędem cudownym ku sobie bieżą z rozwarciem ramion. Po łzach, po trupach, po obalonych ołtarzach i zgaszonych światłach, ku szafotom szubienicznym lub katorgom — niepowstrzymanie zdobywają przecież miano kochanków i chwilę zadowolenia rozplomienionej pasji. Podczas gdy inne motywy — tak zwane „wzniośle”, wymagają całej edukacji w danym kierunku i pędów gromadnych, owczych — a tylko wyjątkowo bez dłubania i djalektyki, padającej jak podniecająca chłosta — objawiają się w człowieku, istniejącym bez podstawy komedjanctwa — miłość, mimo wszystko ciągle jest tą „wolną w wyborze swojej drogi”. Z wyciem buntu wali się w stronę raz obraną a raczej pchnię człowieka w śmiertelne zniszczenie, niż pozwoli zniszczyć się sama. — Te miłości, które zostały „zwalczone” za pomocą nawoływań pobożnych, prawnych, społecznych — nie były istotną esencją miłosną. I dobrze się stało, że zginęły w zarodku, bo były to trupy noworodków, zgniłe w łonie matki — śmiecie cuchnące swą anemią — strachy na ptactwo w lachmanach, strojące się w formy uznane. Triumfować będzie jedynie tylko potężna, doskonała, typowa Miłość, symptomat siły życiowej, słodka i jasny wykwit instynktów zdrowych — w chwili najwyższego uniesienia zdzierający ze siebie strojny lachman, złożony z deseni tkanych na krosnach despotyzmów, obłudników i kłamców, podających się za zbawców ludzkości.

*

— Mów coś jeszcze, lecz nie mów o miłości!

Oto są słowa Reny do Kaswina.

Zapadła w tęczę barwną poduszek, leży nieruchomo. Kaswin zamilkł, bo oto przewrano mu dySSERTację, jakoby Chrystjanizm był konglomeratem naleciałości przeróżnych z odrobiną judaizmu. I z tej wyniosłości wtajemniczonej znów c. k. koncepopraktkant spadł ku płaszczyznom, na których widma miłosnych korowodów uwodzicielsko ogarniały bezbrzeżne życiowe horyzonty.

I nagle przerwane słowa uwięzły mu w gardle. Nie potrafił już wydostać się jednym skokiem na suche tresury rozumowania. Ze smutkiem patrzył na leżącą przed nim kobietę. Czuł, że całą siłą mógłby chcieć złączyć się z nią instynktem, lecz jakaś przemożna jej wola odepchnie go zawsze. W tej chwili był prawie dojrzały. Pragnął upojenia,

którego przyczynę chciał zaczerpnąć właśnie w piękności znajdującej się przed nim kobiety, rozumiał równocześnie, iż to pragnienie pozostanie dla niego nieziszczalnością. Mógł wznosić swą siłę do ostatniej potęgi, a przecież zawsze sprawa ta nie przejdzie granic ochoty. I nagle posmutniał i przestał w mechanizmie swego umysłu czerpać komedjanckie efekta, które mógłby zająć i zahaczyć jej mechanizm umysłowy. Odczuwał, że ona biegnie po innych ścieżkach i że właśnie te ścieżki są erotyczną dróżką, obsadzoną płomiennymi kwiatami miłosnych pożądań. Pomimo to, a właśnie *dlatego* zakazywała mu mówić o miłości. Bo właśnie przepełniona była swoją koncepcją miłości i to, co on mówił w tej mierze, drażniło ją i było nieharmoniją w jej myślach obecnych. Choćby najartystyczniej w tej chwili wypowiadał się i najpłomienniejszemu stroił swe fantazje w rozkoszne, a młodzieńcze barwy i kształty — byłby zawsze odrębnym i dalekim. Bo weszły tu już jakieś osobiste sprawy i chęci, zazdrośnie zwykle przez kobiety wobec obojętnych im mężczyzn strzeżone. Porozumienie chętnie na ogólnym terenie miłosnym, łatwe było i jedyne. Skoro jednak wchodziły tu indywidualne odczucia — kobiety zamykały się jak kwiaty o nadejściu pory nocnej.

I dlatego w miarę zapadania wieczoru Rena mówiła:

— Nie mów o miłości!...

Nagle otwarły się drzwi i weszła pokojowa z listem.

— Od pana profesora!

Ręka Reny drżeć zaczęła. Zwróciła się do Kaswina:

— Pozwolisz?

Uklonił się, powstał i odszedł do okna, gdzie zaczął palić papierosa.

Po kilku minutach odwrócił się.

Rena leżała z głową ukrytą w poduszkach. W ręku trzymała zmięty list. Podeszedł ku niej niespokojny.

— Renusiu! Co tobie?

Podniosła głowę z wysiłkiem. Była bardzo piękną i bladą. Kaswin nigdy nie widział tyle uroku, nagromadzonego na twarzy kobiety. Uśmiechnęła się z wysiłkiem.

— Nic! Nic!... Nagle... zawrót głowy...

— Może lekarza?

To jedno słowo przywróciło jej równowagę. Było bardzo ziemskie, bardzo troskliwe, bardzo zwyczajne.

— Co znowu?... Przeciwnie! Pragnę przejechać, rozerwać się.

Milczał. Było to w połowie miesiąca. Grupę holenderską wziął na kredyt. Nie miał pieniędzy na zapłacenie powozu.

— Pójdź po dorożkę...

Uciekł się do kłamstwa.

— Mam bardzo ważny interes dziś wieczór, jutro...

Nagle porwał ją szalony gniew.

Nagle spojrzała na niego brzydkiemi oczyma.

— Co robi tu ten wypomadowany smarkacz, który nie jest w stanie nawet rozerwać ją w takiej podłej, fatalnej chwili? Czego ją nudzi od tyłu godzin, opowiadając o Krishnach, Dewakich — i żydowskich bibljach po to, aby zjechać do doskonałości i perfekcji, z jaką *podobno* umięją oddawać się przygodne kawiarniane kochanki?

I z niewysłowioną pogardą pożegnała swego gościa, podając mu niedbale lewą rękę, nie wiedząc, iż dotknięciem tem, lekkim i wzgardliwym, przelewała w dłoń mężczyzny cały prąd gorąca, który zaczynał miotać i ciskać dookoła niego chimeryczne zjawiska pożądań.

— Bądź zdrów! — wyrzekła oschle. — Chcę zostać samą!

Odszedł.

I została sama wśród różowego zachodu słońca, złota azalij — z listem Halskiego w ręku.

XIII

Co było w liście Halskiego?

— Pani! — Jeżeli kto z nas obojga mógłby czynić drugiemu wyrzuty, to z pewnością ja — pani.

Wszak to pani z wielkim triumfem i lekkomyślnością ośmieszyła mnie w oczach swych... przyjaciółek. Pisze pani, iż rzecz ta winna była pozostać pomiędzy nami dwógiem, jako wspomnienie, pełne uroku, a przecież pani sama urok ten zdarła pierwsza i ja to ze zdumieniem najwyższym musiałem przyjmować do wiadomości, najprzód dwuznaczne aluzje, a później jawne szyderstwa z nieudanej wyprawy.

Przyznałem, iż „wyprawa” rzeczywiście mi się nie udała i że pani triumfuje w całej pełni. Gdybym zaprzeczył, postawiłbym panią w niesmacznej roli kobiety, chwalać się z sukcesów, które nie miały miejsca, a wiem, że okryłoby to panią śmiesznością, co jest najprzykrzejszą trucizną dla tak drażliwej natury, jak natura pani.

Niesłuszne więc są pani zarzuty, a ton, jaki pani względem mnie przybrała, jest fatalny, lecz nie dla mnie samego. Chcąc okryć kogoś śmiesznością, często działa się zbyt silnie i ten nadmiar śmieszności spada na osobę działającą. Brak subtelnej, moralnej dystynkcji czyni kobietę śmieszna. Daje to miarę, iż w istocie rzeczy kobieta, nie szanująca ambicji drugich, nie posiada jej także.

Nie chcę sądzić, aby to odnosiło się do pani. Wiem, że pani posiada nietylko ambicję, ale pychę i że ta pycha doprowadza Panią właśnie do takich kolizyj, jakie zachodzą między mną i Panią obecnie. Ponieważ jednak nie mam najmniejszej ochoty narażać się w dalszym ciągu na podobne zawikłania (które, przynajmniej, są dla mnie nowością) — muszę omijać zdaleka dom pani i nigdy — na to daję Pani słowo — nie zjawię się u niej. — Sądzę, iż tem postanowieniem zmażę mą względem Pani przewinę, a utonąwszy w zapomnieniu, zdołam stać się dla niej — *nikim!*

Ponieważ ideałem pani jest Beaumarchais i jego zdanie: „*une femme peut être belle, mais elle doit être respectée*” — składam u stóp Pani wszystkie wyrazy szacunku, na jakie mnie odnośnie do kobiet — stać...

Halski.

Z listu tego Rena zatrzymała głównie pod swoją czaszką te okrutne, straszne słowa:
— Nigdy nie zjawię się na jej progu!

I potem:

— Daję słowo honoru.

Rena miała w tym względzie naiwność prawie dziecięcą. Wierzyła mężczyznom na słowo honoru, że żaden kłamstwa, dawszy słowo honoru, popełnić nie może. I nagle dookoła niej zrobiła się straszna pustka. Zdawało się jej, że wywleczono ją z ciepłej, zacisznej komnaty, w której kwitły przedziwnie pachnące kwiaty i gorzały wonne świece — na lodowe pole, puste, bezludne, bezdrzewne, okrutne. Czuli, że ma masę myśli, postanowień, chęci, które nie jasne, nie sformułowane, ale wzbierać w niej poczynają — i że na tej lodowej, białej, strasznej płaszczyźnie nie ma z niemi co robić — bo one odmówią przebywania w tej wrogiej, stworzonej przez nią atmosferze. Lecz oto, co było najstraszniejsze, to przeświadczenie, że wszystkie te zbudzone „stany”, które raczej wyczuwała, niż czuła w sobie, nie zgodzą się teraz na powstrzymanie w swym pochodzie, że pójdą, wołając wielkim głosem o prawo bytu i rozwalą zatarasowane wrota jej istoty. W zamian ona nie jest w stanie ofiarować im płomiennej atmosfery, której żądać będą. Kto wie — czy wtedy nie zwrócą się do niej i nie padnie ona zdławiona ich żądzami, spopielała od ognia, które są ich szatą, ich oddechem, ich głosem?

I samą się teraz czuje, a nigdzie bronii nie widzi. Marne nagle i żadne wydało się jej to, co dookoła siebie stworzyła. Uczepiła się jeszcze sentymentu.

— No, więc cóż? — wyrzekła — cóż mi przeszkodzi kochać go, mimo wszystko? Nawet kochać go będę lepiej, szlachetniej, nie widując go wcale... Wytworzę sobie świat odrębny, świat marzeń. Gdy dostanę rozwód, pójdę za mąż za innego człowieka, lecz marzyć będę tylko o Halskim i kochać go zawsze. Tak przecież robią wszystkie panny, idące za mąż. Kochają kogo innego... później wnosząc w swe małżeństwo nieziszczone marzenia. Tak będzie i ze mną!

Zapadał zmrok. Rena leżała wciąż między poduszkami. List Halskiego wypadł jej z ręki. Podniosła go, wyprostowała i złożyła z jakimś nabożeństwem. Wsunęła go pomiędzy koronki stanika. Mimowoli przybierała ruchy jakiejś Monime'y Racinowskiej, granej przez zmanierowaną sentymentalnie aktorkę z lat trzydziestych. I powróciła znów

do swej nieruchomej pozy, z wpeł otwartemi usty i oczyma utkwionemi w coraz silniej występujące cienie deseni okiennych firanek. Linie koronek przybierały fantastyczne desenie, łącząc się z jasnym tłem dywanu i wijących się po nim arabesk.

W tej ciszy i jakiejś słodczy, wytwarzającej się pod koniec dnia nawet i w mieście, Rena starała się wzbudzić w sobie wszelkie chrześcijańskie zachwyty i uczucia. Kierowała je jednak nie ku istocie owej religii, lecz raczej ku owej czystości, którą usiłowała i postanawiała doprowadzić w tej chwili do gigantycznej potęgi, przed którą jedynie korzyć się zamierzała.

— Tu obowiązek mój i miejsce! — postanawiała — Jeżeli chcę kochać, winnam się pozbyć wszystkiego, co zdołałoby brudem skalać kryształowe piękno Miłości... Nawet myślą...

Lecz oto z tajnych głębin wypada myśl:

— Tak!... ale jakże będzie, gdy mąż twój przyszy pochwyti cię w objęcia? Czy wtedy Halski, jego obraz, jego odczucie opuści cię? Zdoła cię opuścić?

Z całą brutalnością wali się na Renę przebieg aktu małżeńskiej miłosnej sceny. I ze wszystkich por jej ciała, ze wszystkich żył, nerwów porywają się szatany płomienne o rozpalonych pazurach i łaskocz ją wspomnieniem dreszczów, które wyczuła w objęciach Halskiego...

Rena porywa się z szeszłagu i rozrzuca dookoła siebie poduszki. Depcze je nogami. Jest jakby w ogniowym kręgu, który lada chwila zamknie się dokoła jej bioder. Nie jest bezświadomą dziewczyną — małżeństwo jej odkryło przed nią tajemnice oddania się kobiety. — Więc nie jak dziewczyna, rozkochana w drugim, wejdzie na próg alkowy przyszłego swego — małżeństwa. I to, co pozostawiła jej chwila, gdy zmysły jej uwisły przy cieple Halskiego i spiły z niego podniecenie oszałamiającego napoju — jasno i wyraziście jednoczy się z tamtem, pierwotnym pojmowaniem istoty miłości. Czuje, że napróżno szukać będzie słodkich, przymaconych wrażeń odnośnie do Halskiego. I oto ogarnia ją rozpacz nieklamana głęboka. Radaby paść na kolana i wzywać jakiejś mistycznej pomocy, wyc i modlić się na wzór mniszek, kaleczących białe kolana na północnej Adoracji poza czarnymi kratami chóru. Lecz ta potęga jest poza wszelkimi ołtarzami. Ma ona świątynię bezkresną, z kopułą natkaną djamentami gwiazd, konających lub rodzących się w tchnieniu bajkowych łączeń się energii. Sama essencją energii będąc, zwalczyć się nie da żadnym schematem, żadnym *ruchem* wierzeń oczyszczających, które pod pozorem udoskonalenia ludzkości paczą, przekręcają, katują po prostu najwspanialsze, najsilniejsze, najbardziej podstawowe instynkta organizmu ludzkiego. Dlatego — oto i ta kobieta, tak zdrowa, tak silna, tak pełna soków życiowych, tak gotowa do aktów rozrodczych — szaleje wśród tej nocy letniej z nadmiaru energii, dusząc się w chęci przebywania w jednym ze „stanów chwalonych”. Ten stan, który dla niej wyznaczono, nazywa się wstydlivością, skromnością, czystością. Zanim władze świeckie i duchowne przejdą przez jej wybór, łóżnica jej musi stać zamkniętą, a ona żyć ma jak istota bezpłciowa — pasożytniczo względem siebie i drugih...

*

Czuje to Rena, rozumie i dlatego nie pada już na kolana, nie składa rąk gotycką, strzelistą linią modlitwy. Nie potrafi się zorganizować, bo nagle wszystko się w niej zdezorganizowało i nastąpiła w niej anarchja zupełna. Głodną po prostu myślą ściga teraz wspomnienie Halskiego. Gdzie on? Gdzie on?...

Machinalnie kieruje się ku sypialni, narzuca ciemny płaszcz, kapelusz upina pospiesznie. Jak cień, szybki i gnany wichrem namiętności, zbiega ze schodów i biegnie do stacji dorożek. Wskakuje do tej samej dorożki o siwych koniach, która wiozła kiedyś Kaswina w objęcia prostytutek. I w chwili, gdy dorożka rusza z miejsca, Rena wyobraża sobie ten moment z przedziwną jasnością.

Ze zdumieniem konstatuje, że to wspomnienie przesuwają się po niej z wielką obojętnością. Nie zahacza w niej żadnej struny oburzenia, jak dawniej.

Co więcej, nawet — niesmaku.

Jakiś żal, jakieś współczucie... coś niejasnego, lecz nie to, co poprzednio.

Stanowczo.

Kazała dorożkarzowi gnać w stronę ulicy, na której mieszkał Halski.

Chciała przelecieć pod jego oknami. Wiedziała, gdzie mieszka, lecz nigdy nie była w tej dzielnicy, jakkolwiek mieszkanie jej położone było niedaleko. Gdy wjechała w czyste ulice, zabudowane białymi domami o pretensjonalnych kształtach, śmiesznych, tandetnych, zdawało się jej, że jest nagle w obcym mieście, na obcym kontynencie. Domy te nie miały sklepów, czyste były i przyzwoite, zrobione na urząd. Rzędy oświetlonych okien połyskiwały różnobarwnym światłem abażurów.

Trotuary nawet zdawały się bielsze, asfalt ulicy jaśniejszy. Z wielu okien otwartych ujawniały się wnętrza szablonowo przystrojone — i wypływały siekające tony fortepianów. Zdawało się, iż jest to dzielnica zorganizowanych istnień, według ścisłego schematu, obliczonego dokładnie na podstawie logicznych doświadczeń i przeżyć. I w świecie tym pasja, namiętność, wichura instynktów nie miała możliwości rozprzestrzenia się, choćby przelotnie. Tak tu wszystko było ściśle, zwarte, dopasowane i okrążone linią demarkacyjną między sobą, a pędami, nie noszącymi pieczętki szablonu, obowiązującego dla wszystkich.

Tęgo uczucia doznała Rena, jadąc wzdłuż tej długiej, porządnej, ściśle burżuazyjnej ulicy — głównej — w której bocznej odnodze znajdowało się mieszkanie Halskiego. I te boczne odnogi były równie białe, jasne, czyste i dobrze zabudowane. Jakiś dziwny wstyd, strach ogarnął Renę. Co ona robiła tu, jadąc tak w swym czarnym, fantastycznym płaszczu i ogromnym kapeluszu, z rozwianem olbrzymim piórem. Turkot jej dorożki zdawał się świętokradzko burzyć ciszę i zakłócać siekaninę fortepianów. Tu i ówdzie wyjrzał ktoś oknem. Ona jechała w świetle latarni, wydobywając się na jaw, to znów zapadając w ciemność — wtulona w poduszki powozu. Nie patrzyła na chodniki. Lękała się dostrzedz gdziekolwiek Halskiego, miała na ustach jakby uczucie piołunu, a w głowie chaos i zamęt fatalny. Nieznane wrażenia ogarniały ją z bezczelną gwałtownością. Oto kryła się i drżała przed spotkaniem mężczyzny — ona, tak wyniosła i zuchwała wobec ich zbliżenia.

Dorożka skręciła gwałtownie i wpadła w pustą, krótką uliczkę.

— Numer trzynasty — powtórzyła machinalnie Rena i uniosła się trochę na poduszkach powozu. Uliczka była jaskrawo oświetlona trzema latarniami. Na chodnikach panowała pustka zupełna. Rena z trudem zaczęła liczyć numera domów. Wreszcie powóz przemknął się przed kamienicą, oznaczoną numerem trzynastym. Wiedziała, iż Halski mieszkał na parterze. Mówił kiedyś, śmiejąc się, iż z trudem zdobył idealną garsonierę na parterze i z trzema wejściami. Kamienica była tak samo banalna, jak każda inna — może tylko większa i ozdobami przeciążona. Wszystkie okna parterowe były ciemne — jedno tylko przeblyskiwało, zasłonięte złoto-żółtą, jedwabną zasłoną. Ten blask bogaty i złocisty — wśród ciemni innych okien, miał w sobie gorącą tajemniczość, niespokojną i bogatą w jakieś uroki nieznużone.

Rena mimowoli drgnęła cała, wyprostowała się i pchnęła całą swą postać ku temu świetlanemu oknu. Zacerwieniła się i usta jej nabrzmiały. Pewna była, że tam, a nie gdzieindziej jest pomieszkanie Halskiego. Tylko on w tej powodzi stór koronkowych o szablonowych deseniach mógł przysłaniać swe okno złocistym jedwabiem. Poznała go po rozmiłowaniu w gorących, niepokojących barwach. Wielokrotnie mówił, że barwa jego życia jest złocista i gdyby dane mu było urodzić się w czasach Orsinich, Colennów, Savellich, stroiłby się jedynie w złoty brokat i hafty z najbardziej połyskliwych, złocistych nici.

Na moment jakiś jakoby czułość przepęłniła serce Reny, lecz trwało to krótką chwilę. Była tam zapewne doza jakiegoś sentymentu na widok gniazda, *home*, w którym przebywał interesujący ją człowiek, lecz za mało było w tem podkładu spokojnej i czystej tkliwości, aby ten stan mógł się przedłużyć. Przytem było to właśnie owo *nakręcanie* się na rozrzewnienie, cechujące nieszczerze, romantyczne uniesienia. Bez prawa bytu i podstawy — motyle miało istnienie.

We białej w poduszki Renie teraz inna szalala myśl.

Za tą żółtą zasłoną, o barwie roztopionego złota — jest-że on sam?

Bogata w ciało leciwej blondynki Weychertowa nie jest-że tam — z nim razem?

Jak sprężyna wyrzucona podnosi się i podaje dorożkarzowi adres Weychertowej. Chwilę owionął ją jakiś realistyczny więcej ton życiowy. To cuchnąca odzież woźnicy, do której zbliżyła się i dotknęła przez chwilę. Jakąś niepojętą ironią zdjęta, pomyślała:

— I to przecież mężczyzna!

I coś w niej zastanawiać się zaczęło, bez jej uczestnictwa. Czy nie gra tu roli w pędzie jej ku Halskiemu jego zewnętrzność? Czy ten elegancki sposób utrzymywania się, odziewania i pielęgnowania ciała, graniczący już prawie z kultem Narcyza, zwieszającego się wśród nadbrzeżnych kwiatów nad własnym odbiciem w falach leśnych strumieni.

— Nie wiem... nie wiem nic! — wyszeptała.

Dojeżdżali do kamienicy, zajmowanej przez Weychertów. Brudne domostwo, stare, opatrzone bramą. Zupełnie odpowiednie dla pomieszczenia niedbającej o gniazdo kołtunerji. Dorożka zatrzymała się nagle. Rena spojrzała w górę. Okna drugiego piętra, zajmowanego w całości przez Weychertów, były zupełnie ciemne.

— Niema jej w domu! Poleciała...

Lecz zaraz przypomniała sobie, że mieszkanie to posiada dwa pokoje, wychodzące na podwórze.

Może tam, może „ideal” Halskiego dzieci do snu kładzie i walczy z niemi o zmienienie koszuli.

I tu, jak w dzielnicy, zamieszkałej przez Halskiego, było pusto na ulicy. Jakiś zapóźniony przechodzień szedł w stronę rynku. Z pobliskiej grajzlerni wypadła jakaś służa i zniknęła w pobliskiej sieni.

Rena powoli, cicho, zesunęła się z dorożki.

— Poczekajcie! — rzuciła woźnicy.

Unosząc sukni, weszła do bramy. Przesunęła się jak cień pod baldachimem swego Gainsborougha. Brama była cudownie sklepią, bogata w styl, odwodzący od rzeczywistości.

Lecz na Renę działały tylko wewnętrzne pożądanja. Wyszła na dziedziniec wielki z zatoczonym kołem wjazdowym. W głębi wznosił się pawilon, prawie opuszczony i zaniedbany. Był mimo to jeszcze wdzięczny i tajemniczy ze swemi schodami kamiennymi i balustradą, która, mimo lat ubiegłych, zachowała w całości swe słupki. Osiemnasty wiek, trochę zmanierowany, zamiast dawać schronienie jakiej parze, zbiegłej z *Embarquement pour Cythère* — był obecnie mieszkaniem pijaka szewca i wiecznie ciężarnej praczki.

Rena przeszła mimo, nie słysząc głosu murów, oznajmiających z rozpaczłą melanchoją swą niedolę. Szukała wzrokiem okien gniazda Weychertów.

Znalazła je.

Świeciło się tylko w kuchni i w dziecinym pokoju zaledwie dostrzegalną była smuga nocnej lampeczki. Na ganku, obiegającym piętro, wisiały jakieś białe płachty. Rena z ironją przyglądała się tej odwrotnej stronie medalu.

— Zaiste — pociągające!... — pomyślała.

Nagle ze schodów kuchennych, przez czeluść cuchnącej sieni nadleciała na dziedziniec nianka Weychertów. Poznała stojącą na środku dziedzińca Renę i zatrzymała się.

— Całuję rączki wielmożnej pani! A naszej pani niema w domu.

— A!

— Wyszła pani, jak się ściemniło.

— Może... do kawiarni.

— Nie! Pani się nie ubrała. Poszła pani bez gorsetu i w matince pod płaszczem. Tak gdzie...

Rena uśmiechnęła się z przymusem.

— Tak gdzie... zapewne.

Czuła, że powinna coś dodać.

— A... dzieci zdrowe?

— Zdrowe, tylko najmłodsze coś kaprysi. Ja idę do sklepiku po mydło.

— A... pan redaktor? Czy wrócił?

— Nie! Właśnie pani nam mówiła, że gdyby pan redaktor prosto z kolei przyszedł, to niech poczeka w salonie, bo pani przed szperą wróci.

— A... tak.

— Tak! Całuję rączki!

Poleciała. I Renie drugorzędnie przyszło na myśl forsowne porównanie wielkiego podobieństwa tej rozmamranej dziewczki z Weychertową.

To samo bogactwo przelewającego się ciała z różowym odblaskiem i rzadkie, trochę kręcone włosy płowe, o barwie włosów chłopskich dzieci. Przytem wybałuszanie oczwów i nie wyraźny, przeciągliwy głos, szarpiący ukryte zmęczenie nerwów...

Powoli powróciła do dorożki i wsiadła do powozu. Teraz była pewna, że Weychertowa jest u Halskiego.

— Poszła bez gorsetu w matince... — bezwstydnal!

Mimowoli rzuciła dorożkarzowi słowa:

— Jedź, gdzie chcesz...

— Na spacer?

— Tak!

Dorożka potoczyła się wolno w zamiejskie strony. Rena zbierała dokoła siebie fałdy płaszczka, otulała się jakby lękając się, że ktoś z przechodzących dojrzy, iż ona jest także bez gorsetu i w matince. Nie chciała mieć nic wspólnego z tą tłustą kobietą o rzadkich włosach, która wybiegła z cuchnącego kuchnią i dziećmi domu, aby spieszyc poza gorąco złotą zasłonę i tam oddawać się upojeniom leniwej namiętności. Zbierała tak swą wyniosłość i dawną pruderyję, jak te fałdy jedwabiu i otulała się niemi. Lecz — niestety! Były to próżne wysiłki. To, co dawniej przylegało do niej ściśle, jak ulubiona przez dogaresę szata domowa z purpurowego, dostojnego, miękkiego brokatu, nadająca postaci wyniosłość pyszną i dumę niedostępnej istoty, przebywającej na ołtarzu wyciosanym z krwawego, płonącego rubinu — zdawało się być podartemi strzępami, rozwianemi na deszcz i mgły. Do ołtarza tego, który był tak niedostępny, iż wzniesiono go, nie rzuciwszy doń złotych schodów, po których wdrzećby się można z wyciągniętymi i drżącymi od żądy rękami — jakaś świętokradzka dłoń dostawiła ordynarną drabinę. I teraz mógł każdy, byle pierwszy lepszy przechodzień, dojść i zedrzeć kawałek szaty Skromności z ciała Reny, a ona bronić się nie umiała, bo straciła moc udawania i fałszu, które były tak potężne, bo latami całemi w nią wrosłe, iż stanowiły pancerz, o który rozbijały się do tej pory wszystkie wrogie zabiegi zmysłowych zakusów, przychodzących z zewnątrz.

Lecz oto nadeszła chwila, w której od wnętrza Reny szły pędy, mające w sobie te same tony pożądań, jakie były ku niej z zewnątrz. Napróżno welony idealności, liryczne podniecania przywołała Rena do pomocy. Pieśń zmysłów, płodna i boska wielkim hymnem niestłumionym płynęła, głaszac marne, ludzkie, egoistyczne, drobiazgowo skrzekoty. Od wnętrza budzącej się namiętności Reny odpowiadało już echo, mające ten sam ton triumfalny, głaszający wszystko, nawet tragiczne, cmentarne podzwonne.

I choć na ustach Reny, pędzącej tak w powozie poprzez usypiające przedmieście, wśród konających powoli okiennych światel — sardoniczny uśmiech wykrzywił zbielałe wargi i dominującą myślą były pogardliwe, ironiczne zestawienia subtelnego doboru zasłon, a prawdopodobnie całego *interieur* Halskiego, z tłustą, rozlaną cielesnością jego trywialnej kochanki — to w głębi, w jej sercu działy się walki ohydne — jakieś narodziny i równocześnie śmierci rzeczy nieznanych, tragicznych.

I co najgorsze — niezwalczonych.

XIV

Na drugi dzień czas był od wschodu słońca jeszcze więcej słoneczny, jeżeli to było możliwe w tem sercu lata, uśmiechniętem i szczerem.

Pokojowa zapomniiała zapuścić story okien sypialni Reny i promienie słoneczne całować zaczęły znużone, zamknięte powieki młodej kobiety.

Rena obudziła się pod tym pocałunkiem, nagle, prawie rzeźwa i odrodzona. Leżała przez chwilę nieruchoma, poruszając szybko powiekami, a rzęsy jej były delikatnie o jej twarz, łaskoczac ją, ledwo wyczuwalnie. W tej subtelnej pieśczoć było tyle czystego i miłego wdzięku, że Rena uśmiechnęła się mimowoli do samej siebie z lubością. Wrażenia wczorajsze kłębiły się gdzieś w oddali. Nie chciała się zwracać ku nim. Miała uczucie, jakiego doznawać zwykła, gdy wróciwszy z jesiennej przechadzki, zrzuciła ze siebie zbłoczone, amerykańskie buciki i naciągała wyłożone delikatną irchą domowe pantofelki.

Wrażenie jakiejś świeżości spotęgowało się, gdy opuściła pościel i szybko zaczęła kąpać się i ubierać. Miała dziś właśnie stawać w konsystorzu i przypominała sobie swoją pierwszą tam „wizytę”. Ubierała się wtedy czarno — sądząc, iż tak należy.

Lecz dziś — odepchnęła od siebie te posępne kiry. Wyciągnęła rękę ku spokojnym, pastelowym tonom płóciennej sukni letniej. W barwach szukała uspokojenia. Czula, że ten ton przedziwny, lawendowy, jakby splukany i niepewny, powinien ją otoczyć wykwintnym odcieniem swoim. I gdy to czyniła, przyszło jej na myśl, że Halski tak wielką cenę przywiązuje właśnie do barw i że z gorącego, roztopionego złota uczynił ukochanie swoje.

Lecz jak zimę natrętną, odepchnęła od siebie myśl owej złocistej zasłony, która zaczęła wypełniać natrętnie jej powieki nocną wizją, widzianą w przelocie.

— Co mi do tego! Co mi do tego!...

I heroicznie użyła wielkiego środka, który zaczynał się jej udawać.

— Bałwan! — rzuciła półgłosem.

Trywialnością — chciała zabić jakąś tajemniczą piękność zjawy...

Gdy ubrana kierowała się ku wyjściu, szła energicznie — stawiając silnie, a zgrabnie nogi — jakby czuła się w prawie — ona właśnie — zajmować przestrzeń głównego, życiowego gościńca.

Była tak ładna w tych błękitach i podnieceniu, że przechodnie oglądali się za nią. Widziała to i podawała to dumie swojej, jako mającą ją nasilić strawę. Nie chciała bowiem przypisać owego zainteresowania urokowi wdzięków kobiecych, który ją otaczał. Lecz — przeciwnie — sądzić chciała, że to ta nieprzystępność, ta wyniosłość ołtarzowa, poraża niejako i zdumieniem kornym przejmując patrzących na nią...

— Te zwierzęta czują we mnie, kim jestem, w porównaniu z nimi. Zszargane brudem stado dziwi się, że istnieją jeszcze kobiety, mogące żyć w innej, niż oni atmosferze. — Bydło!...

Przeżegnała się demonstracyjnie, przechodząc mimo kościoła. Doleciał ją głos organów, który nagle sprawił jej dziwne, fizyczne nudności. Na wejście do kościoła zdobyć się jednak nie mogła. Szukała przed sobą wymówki w spóźnionej porze. Szybko wpadła do kamienicy, w której mieścili się biura konsystorza. Na kurytarzu zatrzymała się i chciała się zapudrować. Cóż stąd, że miała do czynienia z księżami? Zawsze — byli to mężczyźni. — Lecz wyniosłość cnotliwa, w którą się dziś od rana przyoblekła — zakazywała jej popadania w te drobnostki.

Stała na szerokim kurytarzu, oddychając wonią świeżo wymytej podłogi. — Wreszcie — siła nałogu zwyciężyła.

Upudrowała się.

Z miną skromną, lecz wyniosłą, weszła do pokoju. Spodziewała się zastać zgromadzonych, jak poprzednio księży. Lecz czekał na nią tylko jeden, jakiś młody, mizerny księżyna — który nie patrząc na nią — boczkiem wybiegł z sali, rzuciwszy cichym, jakby zdławionym głosem:

— Zechce Pani poczekać!

Usiadła na ceratowej kanapie i nagle, dziwnie — bez żadnej przyczyny porwał ją straszny, beznadziejny smutek, graniczący z rozpaczą. Wszystko rozpadało się w gruzy i waliło się. Jakiś cmentarz opuszczony i ona na nim zabłąkana.

W ogrodzie, za oknem, szczebiotało ptactwo i zielen przysłaniała powietrze. Cisza ta, przecinana tylko drobnym ćwierkaniem, niosła ze sobą właśnie tę beznadziejność, bo przywodziła mimowoli na myśl kruchość drobiazgów, pustych i żadnych, z jakich w chaosie i krzyku lepiono sobie tam, na bruku, życie i użycie tego istnienia.

Tak sobie starała się Rena wytłumaczyć ten stan rozpaczny, w jaki tak nagle popadła. I ta jasna, prosta izba — bezpretensjonalna i czysta, wydała się jej jakąś przepaścią, jakąś jamą, bezsłoneczną, w którą wtrąconą została.

— Ach! Byle stąd, byle jak najprędzej...

Powstała z kanapy i podeszła ku ścianom, wzdłuż których stały porządnie utrzymane szafy, pełne aktów i papierów. Patrzyła na nie z żalem jakimś, jak na nagrobki, bramujące aleje cmentarne. Myślała, że oto — za temi szybami ludzkość, cząsteczka jej — posegregowana porządnie i ponalepiana etykietami.

Pod numerami — urzędowo połączone i zarejestrowane przysięgi wierności i miłości — a ze strony kobiet, przyrzeczenie otwarcia alkowy w chwili, gdy mężczyźni chcą jego zażądać tego każe. I pomyślała — że idąc za owego pana Bohusza — z którym ją teraz z tyłoma szykanami rozwodzą — była potwornie głupia, nie mając najmniejszego pojęcia

o tem, czym jest właściwie życie płciowe. Z pochwytanych słów złożyła sobie jakieś marne pojęcie i sądziła, że z wielką łatwością przyjdzie jej się z tego „wykręcić”. Składała przysięgę „posłuszeństwa małżeńskiego” — nie mając pojęcia, jaka zasadzka w tym słowie się kryje.

On zaś składał przysięgę wierności małżeńskiej, i to była zasadzka, bo jakże mógł, z natury rzeczy zmienny i predestynowany na zapładnianie kilku samic — ten *male* — przysięgać, iż złamie naturalny bieg rzeczy i dla konieczności społecznych układów, aby on, a nie inna forma, wychowywała spłodzone przez niego dzieci — jakże mógł on pozwolić obwarowywać, niszczyć swój pęd wrodzony, nadany mu cudownie przez siłę twórczą — przysięgami, formułkami, warunkami, pętami — zerwanie których groziło całą awanturą, puszczającą w ruch całe armje, poszukujących fałszywych drózek, władz, celem „unieważnienia” — tego, co odrazu z fałszywego założenia wyszło, nieważne od pierwszej chwili było.

*

Nieruchoma, jak skamieniała stała Rena, wobec tych szaf, które nie były w istocie rzeczy niczem więcej, tylko trochę desek i masą zapisanego papieru...

A przecież te formy bezduszne i przeznaczone przez czas na butwienie, niszczenie i zagładę — były groźną cytadelą, najeżoną pociskami śmiertelnymi, które niweczyły ludzkie istnienia. Pierwsza lepsza obrotniejsza mysz mogła nadgryźć akt ślubny — lub rozwodowy danych dwojga — lecz nie było potęgi, która mogłaby czasem taki akt obalić lub taki rozwód unicestwić. Materialne dowody tej siły, kładącej straszną, niewalczoną dłoń na serca, dusze, ciała ludzkie, na odruchy naturalne, często w założeniu o wysokiej szlachetności, a zawsze proste, logiczne i szczerze — były tu, namacalne — milczące — z pieczęcią jakiejś tajemnicy — w drobnouchne formy ujętej.

Tam — gdzieś — w oddali, tysiące, krocie istot pławiło się we łzach furji, nienawiści — uczyło się kłamstw i zdrady, szarpało się na strzępy, żując w bezsilnej wściekłości własne życia. Były te krwawe, tragiczne nieporozumienia alków małżeńskich zupełnie naturalnem następstwem pastwienia się nad instynktami życia i gloryfikowania tegoż pastwienia się. To znęcanie się było poprostu zniewagą owego Boga, w imię którego pętano najszlachetniejsze i najmocniejsze strony natury człowieczej. Samo przyjście na świat już było fałszywie rozpoczęte i stawało się pierwszym tonem w obłudnym akordzie, którym nadal życie całe rozśpiewać się miało.

Znieprawiano wynik upojenia, podciągając go pod nazwę *obowiązku*, stolerowanego i usankcjonowanego jedynie musiem przedłużania rasy. Obowiązkowo płodzone dzieci wносиły ze sobą nudę przeklętą — nudę chwili, która je poczęła. Nuda ta, podszyta fałszem i kłamstwem, tworzyła podścielisko, na którym miała się doskonalić *dusza* rasy.

Wieczny i zawsze spłowiwały sztandar pożytku społeczeństwa — wydarty ze ślubnych szat półślepych oblubienic, powiewał na świątyni Życia — której okna, te od słonecznego południa, zatkane były szczelnie wiechciami ze słomy i kłakami z waty. Wszystko, co chciało modlić się na jasnej przestrzeni łąk, zasianych rozkochanemi w sobie kwiatami, zapładniającemi się wśród kryształów powietrznych pszczołami, śpiewających dla siebie nieślubnymi parami ptaków — wszystko to zostawało zniwelowane, zdruzgotane i krwią ociekłe, padało pod gradem kamieni, ciskanych opuchłymi dłońmi skryto grzeszników.

*

I wszystko to nagle wytrysło przed oczy Reny z przerażającą siłą, jak nagle mgłę górską przerzyna złoto jaskrawe cichych, bezgromowych błyskawic.

— Oszukano mnie! — wołało wszystko w niej — oszukano! Wpadłam w zasadzkę. Jak idjotce, kazano powtarzać rotę przysięgi, którą słyszałam po raz pierwszy — i powtarzałam ją. Obecnie, kosztem szykan i grymasów, unicestwiać mają to wszystko i wracać mi tak zwaną „wolność”. Jakaż jest ona jednak, ta moja wolność? Pozostaję sama, nie dziewica, nie kobieta zamężna — coś wybrakowanego ze społeczeństwa — wieczysta komediantka — grająca rolę zadowolonej z losu, a w gruncie szalejącą ciągle w dalszym ciągu obłudnej i fałszywej tragedji, w jaką zastawione sidła mnie wtrąciły. Nikt — żaden wyrok, unieważniający moje małżeństwo, nie zdoła powrócić mi bogactwa pragnień

nieznanych, które były jedynym, prawdziwym i najczystszy skarbem moim. Zdarło ze mnie możność kochania się w Miłości i natomiast rzucono mnie na pastwę rzeczy bezcelowych i głupich, wydano w pazury szarej, okrutnej Nudy na resztę życia.

Bo — gdziekolwiek pójdę, gdzie się zwrócę po świeżość wrażeń, będą to zawsze tylko bezpłodne wysiłki — nic więcej. Będę bowiem zawsze tą, która nie miała punktu wyjścia, wzruszającego swą pięknnością, która nigdy nie krzyknęła radośnie — witając spazmem rozkoszy własne pole istnienia, lecz odrazu, od tej tkliwej młodości (*tendre jeunesse*), jak mówią francuzi, stała się jednym ze składników owego świata, który, w cnocie się pławiąc, jest esencją grzechu, pełnego ruiny i klęski! Bo od pierwszej chwili — tego momentu inicjowania mnie w tajnie płciowego życia — zawisła cała dola fizyczna i duchowa moja!

Kobieta zaczyna istnieć od tej chwili dopiero — wtedy poznaje Prawdę — i w tej jednej minucie rozpoznaje drogę, którą iść winna. Albo zachowa w sobie czarującą pięknność prawości szczerzej, która nieść ją będzie na anielskich skrzydłach wyższości miłosnej — albo pozostanie zszarganą, poszarpaną, wieczyście zranioną grzesznicą — obłudną i zropaczoną, zjednoczoną w podłości z przepisami świata.

A ja... właśnie tarzam się, już okryta temi ranami — z przeszłością małżeńskiej zniewagi, którą ciśnięto na mnie w ohydzie poślubnej nocy... Nikt nie zdołałby odczuć, co za świat tragicznej rozpaczki mieścił się w tym jednym krzyku, zdławionym słowami konwenansu.

— Cicho!... Bądź cicho!...

Kazano mi być cicho... milczeć i od razu ciśnięto mnie na ścieżkę tej, która nie miała młodej miłości. Zgasło we mnie światło me własne a rozświetlono natomiast wkoło mnie miliony sztucznych, starczych, fałszywych światełek. Miałam w tem żyć, kłamiąc, zabijając w sobie codziennie resztki mej woli i indywidualnych pragnień. Wydarło mi modlitwę moją i narzucono nawet w rozmowie z Bogiem szablon, oznaczone etykietami. Kazano mi korzyć się i dziękować wtedy, gdy torturą znaczył się dzień każdy — gdy noc każda była stosem ofiarnym, na którym płonęłam w zaprzeczaniu samej sobie!...

Na twarz Reny wystąpił jakiś nieznany rumieniec. Oczy jej straciły słodki, banalny wyraz i nabrały blasku, który mają oczy tych, którzy żyją w świetle dnia.

Coraz uparciej wpatrywała się w szyby szaf, poza którymi piętrzyły się akta i czoło jej okrywało się potem.

Ogarniał ją bunt, dawniej jej nieznany — bunt, który przez to samo, że zwracał się ku przemożnym i wszechwładnym potęgom, nabierał jakiegoś ogromu i sam stawał się potężnym.

Bładła, to ciemniała jej twarz, oczy płonęły. Ćwierkotanie ptactwa z poza okna i lekki poszum zieleni ginął i drobniał w poświście krwi, bijącej w jej tętnach.

— Skrzywdzono mnie! Oszukano mnie!... — biło od jej wnętrza głosem więzionych, bezprawnym wyrokiem, skazańców.

I nagle z gestem zuchwałym, ściśniętą pięścią, uderzyła z całej siły w szybę — jednej szafy.

— Przekłęci!... Przekłęci!...

Kto? Nie umiała sformułować.

Tylko pierś jej wzbierała rozpaczłą chęcią walki i zdawało się jej, że czuje się do tej walki zdolna. Całe lawiny skarg, zarzutów, cisnęły się jej pod czaszkę. To stłuczenie szyby, poza którą widniały szare stosy dowodów, w jakie karby ujęto ludzkość — ta krew, która nagle połała się z jej ręki, nie oprzytomniła jej ani na chwilę. Przeciwnie — ból — posoka krwi podnieciły ją.

— Oszukano mnie!...

Postanowiła rzucić ten krzyk, ten bunt, w oczy areopagowi, przed którym stanie za chwilę. Badać ją będą — według szablonu — punkta przedkładać, „na mocy których unieważnia się małżeństwa”. Lecz ona im przedłoży punkt, który uderzy w nich, jak grom — powie im, że wyzyskano ją, oszukano i obecnie włączają ją po cierniowych drogach wykrętów i kłamstw, aby pokryć swoje własne uwodzicielstwo...

Powie im...

*

Drzwi wejściowe otworzyły się cicho. Zaledwie skrzypnęły. Rena podniosła oczy. Przed nią stał wysoki, smukły, niemłody mężczyzna w sutannie. Twarz miał żółtą dziwnie, tą żółtością, jakby z innego świata, a równocześnie nadającą chorobliwie dystygnowane piętno jego rysom. A rysy te były bez zarzutu, tak prostolinijne, tak doskonałe, że aż ta doskonałość przerażała. Brwi, nakreślone silnie, miał ściągnięte tak, iż prawie schodziły się ze sobą. To nadawało szczególny wyraz natężonej uwagi jego oczom — przenikliwym i głęboko w czaszkę wsuniętym. Usta zacięte miały wygląd ust, poza którymi niema miejsca ani na słodycz, ani na jakiegokolwiek rozdrażnienie, wynikające z uczuć, bądź radości, bądź osobistego, wewnętrznego smutku.

Cały ten człowiek zdawał się stać wyniosłe na straży czegoś, co zapewniało mu silną podstawę i wyróżniało z pośród innych. Lodowy chłód otaczał go i zdawał się bić od niego.

Czuć było, że w chwili, gdyby ktoś cierpieniem znużony, padł mu na ręce, ten człowiek byłby zapytał:

— O co chodzi? Nie pojmuję...

Oczyrna zwarli się przez chwilę z Reną. Ona pod wrażeniem jego źrenic przesywających, chłodziła i drętwiała. Ujarzmił ją. Rękę skaleczoną schowała za siebie, posunęła się, aby nie widział okruchów rozbitej szyby. Wobec jego wyniosłości, to co uczyniła, wydało się jej dziecinny, śmiesznym czynem...

Suchym gestem wskazał jej drzwi, prowadzące do dolnych izb.

— Proszę...

Przeszła, owijając rękę w spieszenie dobytą z woreczka chustkę.

Na stole stał krucyfiks pomiędzy dwoma świecami.

Izba była prosta i naga, jak pierwsza — zalana tylko potokami słońca.

Ksiądz powoli, systematycznie zapalił obie świece. Błade światelka zamigotały ubogo na tle słonecznej jasności.

— Proszę pani!...

Rena zbliżyła się.

— Proszę uklęknąć!

Uklęknęła powolna i jakby nagle podcięta na siłach.

— Proszę powtarzać za mną!...

Powtórzyła bezdźwięcznym głosem przysięgę. Ksiądz stał nieruchomy, bez uczucia, jak z bryły wykuty.

Podniosła się.

Chciała coś mówić — głosu jednak dobyć nie mogła.

— Zechce Pani podpisać?...

— ?...

— Swoje nazwisko!

Ujęła pióro — podpisała. Nie wiedziała co. Znów uczyniła to samo, co przed laty. Ciemna, oslepiła, podpisywała jakiś akt — jakieś zeznanie.

— Dziękuję pani!

Wyniosłe skinął jej głową.

I stał się fakt dziwny, niezrozumiany dla niej, niepojęty.

Pokornie ujęła żółtą, ciemną, bezkrwistą rękę.

I... pocałowała ją.

Poczem powoli — wyszła na ulicę.

XV

Koło redakcji — Rena zwolniła kroku. — Mimowoli przyszedł jej na myśl redaktor „od Weychertowej” — jak popularnie nazywano wielbiciela Maryli.

— Czy powrócił? Kiedy? — Czy może co się dzieje z jego kochanką...

Na dole były biura administracji.

Wstąpiła.

— Czy pan redaktor naczelny wrócił z Zakopanego?

— Jeszcze wczoraj...

— A... tak!...

— Czy pani życzy sobie widzieć się z nim?
 — Tak!...

Nie życzyła sobie wcale — lecz mimowoli odpowiedziała „tak”.
 Świdrujące oczy administratorki przeszły ją do głębi.
 — Wyszedł... ale oto papier, pióro, może pani napisze...
 Podsuwała narzędzia tortury, na brudną, zniszczoną pułczkę. Lecz czyniła to z ironją
 — przeczuwając w Renie raczej erotomankę, niż grafomankę.
 Rena machinalnie pod tym wzrokiem napisała:
 — Czekam na Pana dziś, nad wieczorem.
 I dodała.
 — Pilna sprawa.
 Włożyła kartkę w kopertę. — Ręka administratorki pochwyciła list.
 — Oddam do własnych rąk.
 Porozumiewawczo spojrzwały na siebie.
 Wielka konfraternia kobieca zamieniała masonskie znaki.
 Rena wyszła.
 Siadła do tramwaju.
 Obojętnie zasunęła się w kącik. Nie spojrziała nawet w lustro.
 Konduktor przesunął się koło niej, nie widziany, odbierając monetę.
 Minęły te czasy, gdy zaśmiewała się, denerwując go dotknięciami palców na dłoni.
 Wstręt wzbudzały nawet w niej wspomnienia tych „zabawek” erotycznych.
 — Czy to możliwe, żebym się dopuszczała czegoś podobnego? Jakże niską, nędzną,
 małą byłam wówczas w pragnieniach mych i technice mych czynów...
 Przeszyła ją trwoźna myśl, aby Halski nie dowiedział się nigdy, do jakiej podłoty doszła
 jej erotyczna faza...
 — Zwłaszcza on...
 Z całą godnością odebrała monetę, nie dając nic nawet konduktorowi na piwo.
 Zdawało się jej, że w ten sposób zmazuje swe poprzednie postęпки.
 — Jemu (Halskiemu) wolno być zwierzęciem! Ale ja...
 Nadęła się — wyprostowała. Jakiś nieszczęsny pasażer — Bogu ducha winien —
 przesunął się koło niej, dotykając jej kolan.
 — Przepraszam pana! — wyrzekła sucho, zbierając dokoła siebie suknię.
 Wystraszony tym wyniosłym tonem, pomknął w kąt wozu.
 Sterroryzowała go jeszcze spojrzeniem, którego by się nie powstydziała żadna matrona
 lub kandydatka do onej.
 I siedziała już tak, godna, surowa, a we wnętrzu jej zaczynało swą podziemną robotę
 piekielko, budzące się na najłżejsze o Halskim wspomnienie.
 W domu opadł ją znów rój myśli piekących a nieuchwytnych.
 Pierwszą jej chęcią było odczytanie listu Halskiego, lecz powściągnęła się. Sądziła, iż
 w ten sposób łatwiej zapomni. Rozpoczęła przegląd piór, jakie zalegały pudełka.
 Pograżała ręce w delikatny puch i wyciągała je, przepojone tym zapachem, który długo
 leżące w zamknięciu pióra wydzielają.
 Lecz wprędce znużyła ją ta zabawa.
 Jak nagle zepsuta w sprężynach lalka, padła na szezłag i tak przetrwała całe popołudnie.
 Jakaś gorączka chwyciła ją oburącz. Trawiła ją w stronę Halskiego, a scena w kancelarii
 konsystorza — ten bunt, rwący się pędem ku obłudzie, splatał się w jakieś straszne,
 dręczące majaki.
 — Coś mi kazali podpisać... ale co?... Co?...
 Mignęło jej zawiadomienie adwokata, lecz z jakimś okrucieństwem historycznym
 zapragnęła pograżyć się w coraz gorszym odmęcie.
 — Niech będzie tak!... Niech będzie tak!...
 Zastał ją w tem usposobieniu redaktor.
 Przyszedł wyświeżony — w nowym letnim garniturze, ogolony — dumny z ładnej
 cery, którą się odznaczał.
 — Jestem na rozkazy!
 Spojrzała nań zdziwiona.

Zapomniała na razie, iż go wezwała.
 Przypatrując mu się, poczuła nagle, iż budzi się w niej jakaś małpia złośliwość. Taki był piękny, pretensjonalny, pachnący, a jednak obrzydliwie oszukiwany.
 Mignęła jej przed oczyma żółta, gorąca zasłona.
 — A więc? — pytał piękny jegomość.
 Uśmiechnięta, leniwo podniosła się z sofy.
 — Powraca pan z Zakopanego?
 — Wczoraj.
 — Chciałam się zapytać pana, jaki sezon. Może tam pojedę... na korespondencje waszych dzienników spuszczać się nie można. Wiadomo — fabrykujecie je na miejscu, przy biurku...
 — O!... Tak źle nie jest. Co do Zakopanego, sezon nędzny. Ale jeśli pani przyjedzie... sezon będzie udany. A więc?
 — Więc... nie wiem sama...
 Przysiadł się do niej demonstracyjnie.
 — Och! Niech się pani zdecyduje.
 — Cóż panu po tem?
 — Ja także jadę do Zakopanego.
 — Więc i Weychertowa? — Nie mówiła mi nic.
 — Pani Weychertowa zostaje jeszcze jakiś czas w mieście.
 — A...
 Zaczęło w niej drgać wszystko z całą namiętnością.
 — Dlaczego? Dlaczego? Cóż to? Poróżniliście się?
 — My? — *jamais de la vie!* Ale obowiązki...
 — Pana?
 — Naturalnie.
 — A! Prawda!... Zapomniałam, że pan jest żonaty. Ale czy żona pana pragnie tak bardzo obecności pana w Zakopanem?
 Spowaźniał nagle i odparł:
 — Sądzę, że tak.
 Zaczęła śmiać się brzydko i ironicznie.
 — Któż to panu wyperswadował — czy Weychertowa?...
 Starał się przybrać minę subtelną.
 — Może!
 — A ja jestem tego pewna... Niezglębiona jest przebiegłość kobiet.
 Wyprostował się, jakby nagle kazano mu przysięgać na ewangelię.
 — To nie przebiegłość kieruje panią Weychertową, ale jej wielka szlachetność duchowa...
 — Ah! Ah! Ah!...
 Śmiech Reny przechodził prawie w spazm. Patrzyła na niego z pod przymkniętych rzęs, w pół leżąc na szeszlągu. Domowa jej lekka suknia rozwarła się — batyst i koronki jej *dessous* pieniały się, przeświecając różowy atlas jej ciała.
 Wydał się jej głupi nieskończenie i godzien losu oszukiwanego sromotnie kochanka.
 — Swoją drogą! — zaczęła — Weychertowa na tej szlachetności nieszczególnie wychodzi.
 — ?...
 — Naturalnie. — Masz pan wielką ochotę ją zdradzić.
 Przybrał minę kuszącą.
 — Och!
 — Naturalnie. Inaczej nie byłbyś zjawił się tak skwapliwie i w tak doskonałym rynsztunku...
 Przymilająco spojrział na nią lekkim zyzem.
 — Pokusa zbyt silna! — wyszeptał.
 Patrzyła nań drwiąco.
 — Pan w nic nie wąpił!
 — Jakto?
 — Przyzna pan, że trójka w zaprzęgu ciężka do prowadzenia.

— Jakto? Trójka?

— No — żona...

— Och! Bez konsekwencji.

— Weychertowa!

Usiłował spoważnieć.

— Bez konsekwencji.

— Taaak?... Chciałabym, żeby to Weychertowa posłyszała. Mogłaby się panu odpląć.

Uśmiechnął się z całą zarozumiałością mężczyzny.

— Nie boję się!

— Taki pan pewny siebie?

— Troszkę.

— Nie boi się pan?

Porwała się nagle. — Usiadła z nogami na sofie. Przybrała postać huryski z jakiejś reklamy lub afisza.

— Nie boi się pan? — powtórzyła — ej, da?... Nawet naprzykład... Halskiego?

Rzuciła to nazwisko z pasją i natychmiast przeraziła się. Lecz on zupełnie spokojnie przyjął to wyzwanie.

— Ach! Tem bardziej Halskiego.

— Dlaczego — tem bardziej?

— Bo Halski nie może podobać się kobiecie subtelnej, niezwyklej, nadzwyczajnej...

Rena znów zaniósła się od śmiechu.

— Więc przypuszcza pan, że Weychertowa jest dla Halskiego nie do zdobycia?

— Jestem pewien.

Jakaś małpia złośliwość zadrgała w Renie. Chciała pomścić i Halskiego i siebie samą. Przed sobą bowiem czuła się upokorzoną słowami redaktora.

— Panie kochany! — wyrzekła powoli, opierając się na rękach, podczas, gdy tors tej wydłużał się jak u pantery. — Panie kochany!... *on revient toujours à ses premiers amours.*

Oczekiwała awantury. Tymczasem redaktor uśmiechnął się dobrodusznie.

— Och! To są dawne czasy! — wyrzekł powolnym głosem. — A od tej chwili edukacja miłosna pani Weychertowej uczyniła nadzwyczajne postępy. Człowiek, który jak Halski nie przebiera, byle tylko ilość... Nie robi już na niej wrażenia... Halski może wzbudzać tylko pęd owczy... Weychertowa już wzniosła się ponad to. Potrafi wybrać coś pewnego, stałego, bezpiecznego... człowieka żonatego... a więc dys-kret-nego!...

Po Renie przebiegły dreszcze. Nagle, jakby już było po fakcie, jakby już była metresa Halskiego, ujrzała się powleczoną na pęgierz opinii publicznej, oplwaną, wyszydzoną, odartą ze swej nieskazitelnosci.

Skurczyła się, zamigotały jej oczy.

— Pan sądzi... — wyrzekła jakimś dziwnym, obumarłym głosem — że Halski nie jest dyskretny?...

Redaktor rzucił się gwałtownie.

— Halski? Co mnie Halski obchodzi? Nie wiem nic o jego dyskrecji. To wiem jedno, że ja jestem dyskretny i że powierzyć mi się może nawet... taka... lilia biała jak pani!...

Rena zerwała się na równe nogi. Stała się bowiem rzecz nadzwyczajna. To, co dawniej sprawiało jej rozkosz, co uważała jako rzecz konieczną i nieodłączną od siebie, ten hold, oddawany jej cnocie i nieskazitelnosci, zabrzmiał w jej uchu nagle, jak ironia, jak szyderstwo...

Uczuła się śmieszna.

— Pan sądzi mnie pozbawioną kobiecości? — zapytała gniewnie.

Wykrzywił się z całym wdziękiem.

— Broń Boże! Kobiecość pani nie umarła — ale śpi...

— Zaręczam panu, że nawet nie śpi!...

Odwrócił się ku niej promieniejący.

— Tem lepiej! Tem lepiej!

— Dla kogo?

— Dla nas!

Wydał jej się niesmacznym. Z żółtych półbutów widać mu było źle wyciągnięte, brązowe, nieszczególne skarpetki. Oczy miał pokryte mgłą zdechłej melancholji.

Zbudziła się w niej duma.

— Dla jakich nas? — spytała.

Odparł skromnie:

— Mężczyzn!

Wzruszyła ramionami.

— Pan jest bez konsekwencji — i to podwójnie. Żonaty...

— Tak mało — żona chora w Zakopanem...

Powstał i przysunął się ku niej.

Miał gest i wyciągnięcie rąk, które ona знаła aż nadto dobrze. Drżały niecierpliwą pożądlivością, która zdawała się wypływać fluidem żądz z końców palców. Usunęła się znów na szeszląg. Zmrok ogarniał sprzęty. Padła w tył. Te wyciągnięte ręce dosięgły ją i posunęły się ku jej piersiom. Wypelzło ku niej z furją wspomnienie dotknięć Halskiego. Zapra gnęła odczuć raz jeszcze tę dziwną półrozkosz. Nie usunęła się niedyskretnym rękoma, lecz wyszeptwała:

— Niech pan mówi cicho, bez żadnych intonacyj: Reno, cudna jesteś od stóp twych drobnych...

Powtórzył:

— Reno! Cudna jesteś od stóp twych drobnych...

Nie uczuła nic — zapra gnęła dołączyć do słów wrażenie dotyku.

— Weź mnie pan wpół! — wyrzekła — przyciśnij i mów: „aż do wyniosłej twej głowy i kaskady twych płomiennych, rozsypanych włosów”...

Objął ją niezręcznie, drżąc... pospolicie.

— I kaskady twych płomiennych, rozsypanych włosów...

Śmiał się wstrętne, pewien już zwycięstwa.

Lecz szarpnęła mu się nagle — wściekła, pełna niesmaku.

— To nie to samo! — Nie to samo! — krzyknęła, odtrącając go od siebie.

Z oczyma, już bielmem zasnutemi, niepewny, głupi, wybelkotał:

— Co nie to samo?

Jakby do siebie, z rozpaczą, wyszeptwała:

— Głucho! Głucho!...

Obraził się.

— Pani robiła jakieś porównania?

— Może!

— I... wypadło na moją niekorzyść?

— Najzupełniej!

Byli teraz naprzeciw siebie, z całą wrogością, na jaką zdobyć się mogą kobieta i mężczyzna, którzy, stanąwszy na progu zmysłowej chuci, uczuli nagle, iż nie tylko sobie nie odpowiadają — ale nawet „skóra ich” działa na siebie odtrącająco.

Spojrzał przelotnie w lustro i znalazł się — pięknym.

— Może to nie moja wina... może to w pani głucho.

Pełna jeszcze żądz, wzbudzonej przez wspomnienie, zawołała z uniesieniem:

— O nie!... Ja wiem, że nie!...

Patrzył na nią z ironją.

— Więc są tacy szczęśliwi, którzy potrafią wzbudzić w pani odpowiedni oddźwięk?

— Są! — krzyknęła z pasją.

— Kto? Może... pan Halski?...

Padło to nazwisko znowu, jak uderzenie bicia. — Chwila była jakiejś grozy, jakiegoś milczenia. Coś się ważyło w powietrzu. W niej burzą zawrzała chęć rzucenia mu w twarz, iż kochanka jego właśnie oddaje się temu... Halskiemu, którego samo nazwisko wzbudza w nim taką pogardę. I nie wiedziała, dlaczego to musi uczynić. Czy żeby zemścić się na tamtych dwojgu z poza żółtej zasłony — czy żeby dać zatriumfować Halskiemu i pomścić jego poniewierkę erotyczną i lekceważenie, którego się redaktor dopuszczał.

W skłębieniu tych powodów nie rozróżniała nic, tylko parla ją chęć wyrzucenia ze siebie jednego nazwiska...

I uczyniła to.

— Dlaczego Halski? — krzyknęła gwałtownie. — Cóż to? Czy ja jestem taka Weychertowa?...

Trochę zmienił się na twarzy — jakby pobladł, lecz z całą złośliwością odparł:

— Niestety! Nie jest pani do niej podobna...

— I dumna jestem z tego.

— Raczej pani powinna żałować. Pani Weychertowa jest doskonałym typem kobiety pełnej — nie okaleczaj.

— ?...

— Tak... tak... Żyje pełnią życia i pozwala żyć dookoła siebie. A życie jest dane na to, aby go używać, a nie kaleczyć.

Wziął kapelusz i zimno i obojętnie skłoniwszy się, kierował się ku drzwiom. Uczuła, iż przegrywa stawkę, że i tu traci grunt pod nogami.

Jak wąż, zwinęła się nagle i posunęła ku niemu, prawie unurzana w ciemności.

— O tak! — wyrzekła, dysząc ciężko — tak, Weychertowa używa życia pełną piersią — dopomaga jej w tem właśnie Halski... Zapytaj się pan jej, gdzie była wczoraj wieczorem?

Wybuch śmiechu był tu odpowiedzią.

— Zazdrość jest szpetną rzeczą i wyszła z mody... — odpowiedział. — Pani Weychertowa jest panią swych czynów i jedynie mąż jej miałby prawo śledzić jej postęпки.

Wyszedł — zamykając cicho drzwi za sobą.

Renę porwała szalona pasja. Uczuła, że spełniła rzecz niską i nędzną i w dodatku nie osiągnęła celu. Widoczne było, iż redaktor należał do rzędu mężczyzn, którym bynajmniej pomoc innych mężczyzn w erotycznych aferach nie przeszkadza. Zapewne miało to źródło w tem, iż Weychertowa była mężatką, a kochanek mężatki musi pobłażliwie zapatrywać się na konieczność zmysłowego podziału. Czy jeden mąż, czy jeszcze ktoś oprócz męża, to już obojętne...

W lot pojęła to Rena, lecz już za późno. Całą swą furję zwróciła teraz ku sobie samej.

Zanurzyła paznogie w swe ramiona, biodra, uda, raniąc się boleśnie. Krew ciepła zabarwiła jej palce. Ten ból sprawił jej szaloną radość. Zdawało się jej, że to obcą, drugą, nienawistną, podłą istotę rani i rozdziera na strzępy. Istotę, która ją trywialnym, brudnym gestem ściągnęła z tronu i cisnęła w jakąś kałużę, nagą i obdartą z ostatniej osłony.

— Ty podła!... Ty wstrętna!... — syczała na siebie w ciemności.

XVI

Jak zwierzę w kryjówce, tak czekała Rena, zwinęta w kłębek — na list, jaki pchnęła od rana do Halskiego. W słowach prawie nakazujących żądała od niego widzenia się. Usprawiedliwiała się przed sobą z tego kroku, w którym zaczynała ginąć sromotnie jej ambicja — chęcią wytworzenia pomiędzy nimi obojętnym jakimś *modus vivendi* — skoro mieli żyć obecnie w jednym świecie, a zupełnie dla siebie obcy.

— „Chcę dojść do jakiegoś porozumienia” — pisała w swoim liście.

Teraz czekała na odpowiedź, zgorączkowana, rozczochrana, z oczyma wlepionymi we drzwi, które spodziewała się wejścia pokojowej.

Wreszcie odpowiedź nadeszła:

— „Dałem słowo, iż u Pani nie będę — muszę tego słowa dotrzymać”.

Pochłonęła tę odmowę i bez namysłu wyskoczyła z łóżka i gorączkowo odziewać się zaczęła.

Doszła do tego punktu namiętności, bezwiednej i nieprzyznanej, w którym przed sobą samą kobieta nie szuka usprawiedliwień. Porównanie dreszczów, doznanych w objęciach Halskiego z zetknięciem się bliższym z objęciami redaktora było dla niej rozświetleniem sytuacji.

Halski nie istniał dla niej jako jeden z mężczyzn i jako taki nie był potrzebą, koniecznością, lecz istniał jako on sam, jedyny, wyjątkowy, dający sensację wstrząsającą, niezastąpioną i przez to obdarzony wyjątkowym przywilejem uspokojenia. Wzburzona i zmieszana tem odkryciem, zaczynała tracić już zupełnie panowanie nad sobą i zdolność rozróżniania faktów.

Wskutek braku zupełnego orjentowania się w prostocie akcji erotycznej — nie trenowana przedwstępny okres „wzruszeń intelektualnych”, które ze względu na jej wrażliwość powinny trwać dłużej, niż u innych kobiet — traciła w składzie uczuć, z których tworzyła się jej miłość — cechę łagodności powolnej, a przeto bardziej pewnej i zdecydowanej.

Mimo wszystko, mocą sugestji, pragnie jeszcze od czasu do czasu wysunąć na front swe serce i kazać mu wziąć czynną rolę w dramacie, który ją osacza, lecz oto już blado i niewyraźnie zaznacza się tu czynnik sentymentu. Natomiast zaczynają występować z rozmaitych zakątków nieznanie strony jej natury, zdolnej nawet do podłoty i zbrodni. Cały świat pogrąża się w nicość, a wyobraźnia, wzmożona do roli dominującej, każe ciągle i bezustannie przeżywać *możliwe* uniesienia nerwowe — najniebezpieczniejsze, gdy zostały tylko w dziedzinie abstrakcji.

Stają się bowiem tem, co pospolicie w sferze miłosnej zowie się żądzą, a co jest rozpaczliwą, nieubłaganą zaciętością i przekleństwem kobiety. Przedewszystkiem żądza niewczy to, co stanowi podstawę istnienia pewnej wzniosłości i piękna czynów kobiecych — to jest dumę. Zeżre ją, zje — nie pozostawi nawet cienia. Im bardziej dumną i wyniosłą była dusza kobiety, tem srodzej unurza się w zupełnem spodleniu i zniszczeniu wszelkiej ambicji — gdy żądza obejmie ją w swe posiadanie. Rzeczy można, iż nawet wtedy następuje dziwny objaw chęci sponiewierania siebie, jakby mszcząc się na tej dumie, która była katem jej wolnej egzystencji.

Rozpaczliwe tortury jałowych nocy — przebudzeń się smutnych, chłodnych, w których wielkoduszność nie była w stanie zastąpić nie wyczuty, a drżących pod spragnioną pocałunków skórą, rozkoszy — wszystkie te ascezy, potworne i bezużyteczne, bijące w pustkę, zostawały pomszczone przez furję żądzy, której nic zwalczyć nie zdołało. Tem jeszcze większa była zawziętość i siła takiej tłumionej i niewyznawalnej żądzy w Renie, która chciała z dumy zrobić jedyną namiętność swego życia.

Nawałnica, z jaką zwałała się na nią żądza cielesna, czyniła wrażenie jakiejś nadprzyrodzonej, żywiołowej mocy. Nie była to ciekawa nowość, którą kobiety przyjmują z dreszczykiem zadowolenia, lecz było to tajemnicze, potężne odczucie, groźne i szarpające przepowiednią upadających faktów. I sama pewność, że stać się to musi, sprowadza prawie obłąkany nastrój i nawodzi jakby mgłą nieświadomości, w której poruszają się czyny, gesta, dążenia danej kobiety.

Pierwszym czynem takim Reny było właśnie to wysłanie listu do Halskiego i sposób, w jaki przyjęła jego odpowiedź. Jedno tylko wirowało w jej umyśle:

Mus zobaczenia go.

Odziała się w swoją białą sukienkę płócienną i nałożyła na głowę panamę.

Zaniechała zwykłych kokieteryj — włosy upięła nisko i gładko. Zaledwie podfryzowała je żelazkiem. — Bez śniadania wyszła na puste jeszcze ulice.

Chłód ten i pustka oprzytomniły ją. Stała pod jedną z kamienic i tępo wpatrzyła się przed siebie. Usiłowała nadać jakąś dyrektywę swym krokom. Przypomniała sobie, iż Halski pracował czasem rano w bibliotece publicznej.

Przypuszczała, iż jest tam już, a jeśli go niema, może nadejdzie. Bokiem chodnika, pod kamienicami iść zaczęła, jakby skradając się na czyn jakiś karygodny i zbrodniczy.

Oślepiający blask upalnego ranka rzucał jej skrzące płaty prosto w źrenice. Nie wzięła parasolki w zmieszaniu, z jakim dom opuściła. Przechodnie ją potrącali, ona szła, zwalniając kroku w miarę zbliżania się do biblioteki.

I nagle stanęła.

Rozpoznała nagle szare cielsko bibliotecznego gmachu i las prętów żelaznego otoczenia. Ponad nią zwisały się jasne, młode, wesołe, olbrzymie bukiety płaczących akacyj.

Trochę cienia i chłodu orzeźwiły ją. Wiatr poruszał delikatnie cienkimi gałązkami, niosąc ze sobą jakieś subtelniejsze, miłe wrażenie.

Rena usiadła na murku, z którego wystrzelał las owych prętów, zakończonych złoceniemi ostrzami dzid. Ręce jej opadły wzdłuż ciała. Zamknęła oczy. Chwilę była zupełnie zmożona i podatna do wszelkiej ofiarności...

Zdaleka zaturkotały koła dorożki i znów ucichły; potem rozległy się kroki mężczyzny i te zbudziły Renę, przypominając jej brutalnie rzeczywistość. Podniosła się ciężko i zajrzała przez ogrodzenie. U wejścia o monumentalnych, ciężkich kształtach, dostrzegła

nieruchomą postać portjera. Podeszła ku niemu, zmuszając się do tego czynu, biorąc się niejako za kark.

— I to zrobisz... i to!...

Zapytała głosem drżącym:

— Pan profesor Halski?

Brzydki — trywialny mężczyzna odparł ze słodyczą:

— Właśnie wszedł przed chwilą do gmachu!

Zdziwiła się, że go nie ujrzała.

— Tak?...

Drżącymi rękami wydobyła trochę pieniędzy.

— Proszę... proszę go tu poprosić, powiedzieć, że ktoś, jakaś pani...

Wziął pieniądze i szybko znikł w długiej gardzieli ciemnej sieni.

Za parę chwil, bijąc butami o kamienną posadzkę, powrócił.

— Pan profesor zaraz przyjdzie.

Rena odwróciła się i podeszła trochę ku krzewom, które zarastały dziko dziedziniec. Instynktownie ukryła się za jednym z nich.

Zdawało się jej, że jest kilkunastoletnią dziewczynką, która popełnić ma jakiś karygodny występki. W tej chwili z gmachu wyszedł Halski i stanął na środku alei, rozglądając się dokoła. Zdziwiła się, iż wydał się jej tak w oddaleniu mały, drobny, szczupły — nie imponujący. Zdawało się jej, że odzyskała odwagę, że mieć będzie sił dosyć do zmagania się z nim.

Z pewną efronterją wysunęła się z poza krzaków.

— To ja! — wyrzekła, wyciągając rękę.

On cofnął się i przypatrywał się jej chwilę z pod zmrużonych powiek.

— To... pani? — zapytał.

— Czy spodziewał się pan kogo innego? — rzuciła mu jakby wyzywająco.

Na twarzy jego zarysowało się prawie uradowanie — coś, z czym witamy jakieś miłe, radosne zjawisko.

— Może... w każdym razie na panią nie czekałem!

Zbliżył się — i w miarę tego zbliżenia twarz jego stygła, przybierała wyraz obojętny, a Rena zaczynała czuć, iż pewność ją opuszcza, natomiast furja jakaś, połączenie nienawiści z chorobliwą tkliwością nerwową, występuje i zatapia ją w odmiecie swoim.

Całe snopy fluidu były w nią taranem. Potarła ręką twarz, zacięła usta.

Stała nieruchoma i czekała.

— Czem mogę pani służyć? — zabrzmiało z ust jego obojętnie.

Zdobyła się na całą moc woli. Dobyła ją z głębin duszy. Cofnęła się trochę, bo żar jakiś owiewać ją począł.

— Chcę z panem chwilę porozmawiać.

— Służę pani!

Stanął przy jej boku, jakby gotując się do wspólnej przechadzki po ścieżkach ogrodu. Ruchy miał niedbale i zauważyła mimowoli, iż przypominał jej jednego z aktorów, który grywał często role salonowe. Ta poboczna myśl nie ochłodziła jej. Przeciwnie, raczej podnieciła, gdyż podniecający jest urok komedjantów wraz z całym ich aparatem na wrażliwość kobiecą.

— Nie tu! — wyrzekła — nie tu...

Zastanowił się chwileczkę, wreszcie zdecydował:

— Chodźmy do gmachu!

Skierował ją swym chodem we wnętrze ciemnej sieni. Wionęła w nią białą swą skromnej sukienki i welonem, zwisającym aż do bioder. Usunął się i szedł cokolwiek za nią, patrząc, jak lekko i zręcznie posuwała się pod ciemnymi arkadami sklepień. Jakby wyraz lubości, z którą patrzą wyżyci mężczyźni na grację dziewczęcą — okolił mu usta. Zapomniał sam o niemiłym kołysaniu biodrami, które przybierał, chcąc zaznaczyć swą obojętną elegancję. Smukła prostota jej ciała pochłaniała go. Mimowoli pod cieką i wiotką osłoną płótna odgadywał jej nagość i wczuwał się w nią. Widział, że była bez gorsetu i tą wykwintną estetyką podbijała go.

Sień urywała się i przechodziła w dość szeroki korytarz, oświetlony w interwałach wysokimi, gotyckimi oknami, pociętymi na drobne szybki. Przez okna te lały się ukośno

ogromne płyty słońca. Rena szła tak, ginąc co chwila w chłodnym cieniu, to wydobywając się odważnie na jasność zupełną. Biała jej sukienka muskała delikatnie brzegiem swym złotą tafłę słoneczną.

Kroków jej słychać nawet nie było. I powoli Halski zapragnął, aby ten czysty kształt kobiecy szedł przed nim tak ciągle, wiodąc go wśród jakiegoś labiryntu, jakby mauzoleów życiowych.

Uczucie rozkoszy wzrokowej mieszać się zaczęło z przepojeniem jakiegoś spokoju, jakiejś pewności, której doznają mężczyźni w pobliżu chroniącej się przed bezcelową zmysłowością kobiety. Było mu to nieznanne, a przecież *było* widocznie w podstawach jego istoty niezwalczone i nie wydarte — tylko na razie przytłumione nawałem błota, dozwolonego i suggestywnie przez układy społeczne przeznaczonego na karmę erotyczną mężczyźnie.

Po kurytarzach, chłodnych i tajemniczych, mających w sobie senność starych klasztorów z XI. stulecia, za białym cieniem milczącej kobiety szła ta moc męska, gloryfikowana przez objawy najniższego gatunku, jakimi stara się sprowadzić stosunek fizyczny obu płci do aktu brzydkiej, szpetnej konwulsji, nie mającej z miłością nic wspólnego. Lecz oto — coś jakby *nowego*, coś, czego Halski — w czternastym roku życia objaśniony o tajemnicach płciowych rozkoszy, w objęciu prostytutki — nie zaznał jeszcze wcale, zaczynała migotać płomyczkiem jakby egzaltacji, śladami dziewiczych kształtów Reny. Gdy wchodziła w smugę świetlaną, robiła wrażenie istoty, wystarczającej obecnością swoją, aby dać upojenie. Jakiś przesubtelny dreszcz przenikał go. Powoli zatracił poczucie jej nagości kobiecej, zdolnej do wzbudzenia podniecenia płciowego. Zdawała mu się zwolna doskonalec i stawać prawie erotyczną — a dotknięcie jej oddaloną niemożliwością. Gdy wreszcie stanęła i wdzięcznym ruchem zwróciwszy się ku niemu, zapytała:

— Gdzie iść?

Uczuł do niej żal, iż czar prysł — że ten przezysty kształt dziewczęcy zmienił się w tę kobietę wabną, lecz pospolitą, poniżoną brzydką plotką i szyderstwem, któremi obrzucała go w oczach swych salonowych kumoszek.

— Wejźdźmy tu! — wyrzekł, otwierając przed nią ciężkie odrzwia, prowadzące do jednej z bibliotecznych izb.

Weszła — i odrazu uczuła się przygnieciona powagą miejsca, w którym się znalazła. Długie, wąskie okna, wgłębione w mury bajecznej grubości, przepuszczały skąpe światło, jakby przyćmione. Mroczna zieleń poza oknami jeszcze więcej światła chłoneła. W powietrzu unosiła się woń, właściwa zakrystjom i oficynom, należącym do pałaców z czasów, w których gotyk z barokiem wytwarzały kombinacje niezbyt czyste, lecz zawsze wyniosłe i charakteru pełne.

W oddali szemrała fontanna. Ściany pokrywały półki, zaciągnięte ciemno-zielone, sukienkami zasłonami. Ponad jedną z nich wisiał cudny gobelin, przedstawiający fragment Hesperyjskich ogrodów. Jakieś półnagie nimfy kroczyły lekko i wabnie wśród gęstej, ciemnej zieleni liści. Zdawały się być wstrzymane i zakłete w swym swobodnym pochodzie...

Wzrok Reny padł odrazu na tę beczenną rzecz, łączącą w sobie wykwintną poezję pracowitości zeszyłych wieków. Ten szmat gobelinu wniósł swą obecnością pewien uroczysty, pałacowy nastrój i rzucił ją w jakieś zmieszanie, odrębne od tego, które ogarnęło ją na dziedzińcu bibliotecznym.

W tej wysokiej izbie, której sufit ciężył dębowymi kasetonami — jakie było miejsce na rozbieranie drobnych namiętnostek, pasji i żądź, które ją tutaj przywiodły? Całe różańce lat minionych wypełniały pustkę pozorną tej izby. Jakieś szepty całych myśli, przeżyć, rytmów zwycięskich lub niewolniczych — refleksami całymi przepoiły drugą stronę jej wrażliwości.

Odwróciła się od niego — bo jego tak wabna i kusząca ją piękność — wydała się jej za „żadną”, wobec tej wzniosłości wiekowych przestrzeni i powagi pomnikowej otoczenia. Lękała się znaleźć go właśnie takim „żadnym” — bez apoteozy, bez prawdziwej piękności, której zapragnęła. Był to rzeczywisty, chwilowy powrót do wzniosłości w uczuciu. Oboje mieli w tym momencie zupełnie identyczne pragnienie — pozostania jak najdłużej w głębokim złudzeniu życia, z płomieniem najczystszej namiętności.

I gdyby padli sobie teraz w objęcia, złączyli usta i posiadli się wzajemnie w tym nastroju i w tej chwili, stanęliby oboje wobec prawdy i istoty rzeczywistej stosunku kobiety do mężczyzny. Zrozumieliby, ile jasności przedziwnej, cudownej, mieści się w tej minucie zespołu i uzupełnienia się aż do utraty tchu, wzniesienia się ponad poziom życiowej szarzyzny i groteskowości nieczystych bydląt.

Rozwarła szeroko źrenice — wpatrzone w siebie — gest ramion zamkniętych szczerze nie w ujęciu bolesnym, dziwne wypięknienie twarzy (szczególniej kobiecej) uduchowienie poprostu rysów i czaru tych rysów — to oderwanie się myślowe od wszelkiej troski, bezładnych zamętów życiowych i zdanie się na łaskę potęgi tragicznej, płynącej od samego dna cielesnej głębi — dostatecznie objaśniłoby ich, na co mogli przysięgać i co było właściwie tchem miłości...

Lecz nie uczynili tego. Zanadto oboje byli przepojeni dążnością do tego, co jest *średnie*, ażeby mogli uchwycić chwilę, która mogła zmienić zupełnie ich stan i pojęcie rozdrabniania życia.

Zamiast królować, trwali uparcie w roli karnych, wybatożonych sług. Brali przepisy kuchenne i z nich tworzyli sobie ewangelię...

*

— Oto krzesło! Może Pani spocznie.

Odmówiła lekkim gestem. Czuła, iż musi zacząć mówić, a coś ją dławilo w głębi gardła.

Wreszcie opamiętała się. Dostrzegła jakiś błysk, jakby ironji, w jego oczach, coś na kształt litości.

To zdecydowało.

— Nie lubię! — wyrzekła tępo — nieporozumień. Pomiędzy nami jest właśnie teraz nieporozumienie... Chcę je wyrównać, właściwie wytłumaczyć Panu... to jest, raczej zażądać wyjaśnienia...

— Och, Boże! — przerwał prawie niegrzecznie — co tu wyjaśniać? Takie to wszystko jasne i — *doublement* proste...

— Tak... raczej prostackie. Te plotki głupich kobiet, powtarzających Panu niestworzone rzeczy...

Uniosła się. W jednej chwili widmo Weychertowej stanęło pomiędzy nimi.

— Głupich! — ciągnęła — głupich, ordynarnych, chcących się Panu przypodobać...

Nie odpowiadał nic. Stał spokojnie. Patrzył na nią tak, jakby go to wszystko serdecznie bawiło.

Zapędzała się coraz więcej.

— Może Pan zaprzeczy, iż to nie kobieta poinformowała Pana o moich rzekomych drwinach na conto...

Szukała słowa. Ulitował się nad nią i dopomógł jej.

— A conto mej porażki!

Chciała powtórzyć ten wyraz i nagle nie mogła. Wydał się jej nieodpowiedni — śmieszny — bez znaczenia. — Jakąż bowiem „porażkę” — odniósł właściwie ten człowiek? — Kto tu był panem sytuacji? Kto był zwycięzcą? Kto przyszedł w poszukiwaniu gorączkowym i teraz plątał się w gmatwaniu fatalnej i bez wyjścia?

— No... tak... — bełkotała — zaprzecz Pan!

Wzruszył lekko ramionami.

— Nie myślę zaprzeczać! Nie byłem proszony o tajemnicę.

— Ja także o tajemnicę nie prosiłam — ale przecież tylko gruboskórna istota mogła dopuścić się podobnej niedyskrecji.

Zaczął się śmiać serdecznie.

— Ręczę Pani, że skóra mej damy jest wyjątkowo cieniuchna i delikatna...

Wydęła szkaradnie usta.

— Dziwić się temu należy! — rzuciła wzdorliwie — służy jej blisko pół wieku — i do tak rozlicznych praktyk...

Ściągnął usta z niesmakiem.

— Złość panią zaślepia i czyni niesprawiedliwą.

— Właśnie przeciwnie. Oceniam tylko stan zasługi ubóstwianych przez pana istot, z całą sumiennością. Że pan ma bielmo na oczach — nie dziwię się wcale. Ja zaś nie mam najmniejszej przyczyny i powodów do wdzięczności dla takiej pani... przeciwnie nawet...

Zdziwiony patrzył na nią.

— Doprawdy — słuchając Panią, możnaby sądzić, że stała się pani jakaś krzywda tą całą aferą.

Uparcie potwierdziła.

— Tak jest! Stała mi się krzywda!

— W czym?

Zamilkła. Czuła, że jeszcze chwila, a zdradzi się bezpowrotnie. Dysząc ciężko, spojrzała mu prosto w oczy. Wydał się jej znów piękny i pociągający.

— Niech pan... niech pan przyjdzie do mnie dziś wieczorem. Będzie kilka osób... — kłamała — liczę na Pana.

Skłonił się wytwornie.

— *Je regrette!* — wyrzekł — dziś wieczór jestem zajęty!...

Ogarnął ją szal.

— Och! Redaktor powrócił! — zawołała. — Wątpię, czy dziś...

Urwała. Miał chmurny, niemiły wyraz.

— Doprawdy! — wyrzekł powoli — Stendhal ma słuszność, twierdząc, iż w przekorze miłości własnej nie chodzi o cel, ale o zwycięstwo.

— ?...

— Tak! To wszystko, co pani czyni, każdy krok pani obecny względem mnie, każde słowo powstaje u pani na tle choroby honoru — czyli, *d'amour propre piqué*. Wiedziałem, że pani jest gwałtowna, ale do tego stopnia, nie przypuszczałem nigdy...

— Pan się myli.

— Nie, Pani. Jestem zanadto doświadczony w tych sprawach, abym nie umiał rozróżnić wszelkich odcieni, kierujących postępami kobiet.

Uczepiła się drobnostki, pretekstu.

— Pan ciągle mnie miesza z innymi kobietami, a pan nie zdaje sobie sprawy, jaka ja jestem inna...

Patrzył na nią długo i coś głębszego zarysowało się w jego oczach.

— Jesteś pani inna — na pewnych punktach — może... lecz są niektóre wspólne wam cechy — bez których istnieć kobiecie nie podobna...

Zarumieniła się gwałtownie.

— Nie chcę! Nie chcę! Nie chcę! — zawołała z kapryśną intonacją w głosie. — Nie chcę mieć nic wspólnego z innymi kobietami. Brzydzą się nimi!

Zaczął śmiać się z jej uniesienia. Patrzył na nią z lubością.

— Ładnie pani z tym gniewem, mającym wszelkie pozory namiętności!

Prześliczny, miękki uśmiech rozjaśnił jego twarz. Przez nią błyskawicą przebiegło pragnienie posiadania tego człowieka, na wyłączną, swoją własność. Jakiś tuman, obłęd, naleciał na nią. Skłonna była w najtajniejszej głębi do ustępstw i prawie prosiła się o to, aby odgadł jej pragnienie.

— Przyjdzie pan? — zapytała, a oczy jej prosiły.

Zaprzeczył stanowczo.

— Nie, pani!

Usta jej drżały, układały się w podkówkę. Zdawało się jej, że przeżyła już podobną chwilę. Lecz nie ona ją przeżyła osobiście — to przeżył ją mężczyzna — u ołtarza jej kobiecości niedostępnej.

— Taki Ali, taki Halski...

Z doskonałą dokładnością przemignęły przed nią szczegóły owej pamiętnej nocy, gdy Halski trzymał ją naprzóżno w objęciach. I tu przyszło jej na myśl, czy Halski nie lękał się, aby wciągnęła go w zasadzkę małżeństwa.

— Może pan... może pan lęka się, że ja zechcę widzieć w panu możliwego mego męża... — zaczęła prawie ze śmiechem — myli się pan. Nie mam zamiaru już wychodzić za mąż.

— O! Odkąd to i dlaczego?

— Dużo myślałam w ostatnich czasach, przysłam do przekonania, że małżeństwo jest *une institution malpropre et inutile*.

Nagle spowaźniał.

— To źle! Niech pani nie sugeruje sobie podobnych idei.

— Wszak są one przekonaniem pana.

— Tak, mojem... Ale nie odnoszą się do takich, jak pani kobiet...

— ?...

— Widzi pani — madonna, choćby najgenialniejszego malarza, na ścianach muzeum przestaje być madonną. Bohomaz Marji, odpowiednio umieszczony, na ołtarzu, w obramowaniu majowych bzów, robi wrażenie podniosłej boskości. Natomiast Böcklinowskie nimfy przetrwają zwycięsko szpetotę monachijskich pinakotek i na ścianach mało artystycznych halli są zupełnie swobodne.

Umilkł na chwilę — poczem, osnuwając ją jakimś łagodnym spojrzeniem, dodał:

— Pani musi zostać na ołtarzu!

Zdobyła się na siłę woli.

— Choćby z krzywdą...

— Choćby z krzywdą własną, lecz dla dobra drugich...

— Jakich drugich?

Zaczął śmiać się, prawie rozkosznie.

— Choćby mnie!

Rzuciła się.

— To kłamstwo! Pana dobro leży w użyciu...

— Pani się myli. Nie jestem tylko libertynem. Ale nie mam w sobie poddania się dusz, dążących do jednostajności niezmiennej i jednokształtnej. Nie mówię tu o zmianach sensacji zmysłowych, wywołanych różnością obiektu — lecz o niepokojach, stanowiących tło tego, co się w nas ciągle wypala, a nie gaśnie. Pani patrzy na mnie dziwnymi oczami. Sądzi pani, iż ogarnia mnie melancholja? Nie wiem. To wiem jedno, że dla takich kobiet, jak pani, wytworzyła się forma pożycia obu płci — nazwana małżeństwem! To jest pani ołtarz, i na nim zostaniesz madonną!

Ogarnęła ją słodycz wielka i niezmierzona. Tak właśnie pragnęła tych słów, gdyż upadała pod ciężarem i nawalem zmysłowych wrażeń.

Wyciągnęła ku niemu rękę.

— A więc?

— Pozostań Pani na ołtarzu, a ja będę się modlił do ciebie — *z daleka!*

Doznała jakby uderzenia. To „z daleka” wydało się jej ironją. Słodkie wrażenie znikło. Wypłynęła mętna, brudna fala — tem brudniejsza, im czystszy był strumień, który zaszemrał w oddali. I wyrodziło się w niej już jedno jedynie pragnienie. Uciec od tego człowieka — uciec, bo obecność jego zbyt bliska zanadto była ciężka jej do zniesienia.

— To... żegnaj Pana! — wyrzekła cicho i bezdźwięcznie.

Skierowała się ku drzwiom. Nogi odmawiały jej posłuszeństwa. Zdawało się jej, że idzie po jakichś miękkich obszarach śniegowo chłodnych. Czula, iż on patrzy na nią i że w nim powstaje chęć — zatrzymania jej.

— Nie! Nie! Odejdę!... — powtarzała do siebie i aby nabrać siły, zaczęła machinalnie w myśli mówić: Zdrowaś Marja...

Lecz on nie powstrzymał jej. Napozór obojętnie skłonił się i oparty o stół, śledził jej wolno oddalającą się postać. Gdy z wysiłkiem próbowała drzwi otworzyć, poruszył się wreszcie, pragnąc jej przyjść z pomocą. Lecz ona pomyliła się co do intencji jego kroku. Gwałtownie, jakby strwożona, rzuciła się i szarpnęła ciężkie odrzwia.

— Ja sama! Ja sama!... — wyszeptwała.

Twarz jej była zmieniona — rysy dziwnie ściągnięte. Widoczne było, iż cierpi naprawdę. Wprawilo go to w zdumienie i równocześnie napiło słodką rozkoszą. I w jego twarzy odbiło się coś doskonalszego, coś bardziej uduchowionego, jakby refleks łagodnego bólu, ściągającego smutnie jej drobną twarzyczkę. Chciał coś powiedzieć, porzucić szablon, podziękować jej za tę minutę żywego odczucia, szlachetnego wzburzenia — lecz ona znikła, jak umieją znikać wytwornie i dyskretnie kobiety, dotknięte do głębi całej swej istoty.

Jest to specjalny sposób odejścia, to jakies jakby zgarnięcie dookoła siebie delikatnego, nie ujętego welonu, poznaczonego światełkami, welonu mglistego, smutku śmiertelnej rezygnacji. Jedynie tylko bardzo wykwintne i niepospolite kobiety potrafią tak „odejść” — bez słowa pożegnania, a żegnając się tem milczeniem stokroć wymowniej, niż całym potokiem słów.

Poza nimi pozostaje jakby smuga, jakby mgła, jakby dech.

Taka kobieta, choćby nawet przed chwilą tarzała się naga na podścielisku swych rozpuszczonych włosów z całą rozpustą i rozpasaniem nimf Aldobrandiniego, z galerji włoskich — jeśli tylko zraniona później duchowo przez kochanka, umiała odejść w piękności — *tak* odejść, jak odeszła Rena — jest ocalona. Zatarła bowiem wrażenie niekorzystne techniki zmysłowej miłości, zwykle nader dla kobiety niebezpieczne, a natomiast pozostała w jego pamięci, jakby owinięta delikatną idealnością...

XVII

Jakkolwiek Rena nie oddała się Halskiemu — lecz już odsłoniła przed nim gorzej niż swe poddanie się.

Odsłoniła niepokój żądy — niezaspokojonej i proszącej — więc tem samem pozabawionej uroku niedostępnej królewskości.

Zbyt wytrawnym był w sprawach miłosnych, ażeby nie zrozumiał, co ją przywiodło i nie wyczuł istoty jej pomieszanja, z jakim przed nim stanęła.

I coś w nim drgnęło i przeraziło się. Nasycony obecnie leniwą powolnością Weychertowej, która wyznawała zasadę *ne demander jamais — et ne refuser jamais* — pał zupełnie dowolnie i jedynie według własnego upodobania żądę swego ciała. Nie pragnął więc posiąść Remy i ta strona ich stosunku pozostawiała go zimnym i obojętnym.

— Natomiast — wykwitało w nim to coś, czego nie zaznał od swych lat najmłodszych — jakies pragnienie tęsknicy — jakies dążenie do przejścia choćby koło wierności czystej, cichej, nie narzucającej się. Zaczynał zwracać się myślą w stronę kobiet wyniosłych, strojnych w ogromną piękność wewnętrzną, oślniewającą nieokreślonym blaskiem ich zewnętrzne wdzięki. Gdy Weychertowa, biała i różowa, obfita w ciało jak kobiety Rubensa, garnęła go ku sobie — po doznaniu dreszczu finalnej rozkoszy — miał ochotę cisnąć ją o ziemię, jak bezużyteczną już, z opalu wyrobioną czarą, z której przed chwilą pił pospolite wino, o trochę cierpkim, trywialnym smaku, przygodnie, jedynie dla ugaszenia pragnienia podanego mu trunku. I gdy odchodziła brzydko, ciężko, żegnając się z nim niewykwintnym gestem jakiejś dziewczki Defreggera — zostawał chmurny, ociężały, stęskniony — w nieporządku i nieładzie swej wytwornej sypialni — która tchnęła prostym wykwinem, a którą godzinne przyjście Weychertowej zdołało przemienić w burżuazyjny śmietnik — mieszczańskich alkow.

I z najwyższym niesmakiem składał, ustawiał, wietrzył, odsłaniał swe złote story, zmieniał kwiatom wodę, cudnym, kwitnącym, żółtym azaljom, na które ona nawet uwagi nie zwróciła.

I kładł się na niską sofę, pokrytą prześlizną, staroperską makatą, o doskonałych tonach rdzawych, połyskujących złotem, rzadkich deseni — i marzył o jakimś smukłym zjawisku kobiecym, które w lekkiej, prostej szacie snułoby się cicho, wśród wytwornych sprzętów i prostemi, a przecież dziwnie wykwinem gestami, dopełniałoby wytworności, przepelniającej nietylko te pokoje, ale i wewnętrzne pragnienie jego usposobienia.

Nigdy, niestety, nie spotkał takiej kobiety, która potrafiłaby połączyć w sobie zalety sprawnej i doskonałej metresy z pięknnością delikatną — zjawiska.

Tak niewiele kobiet, nie tylko wśród naszego społeczeństwa, ale w ogóle na świecie, potrafi przejść przez życie miłosne z całym powabem i urokiem — i podać kochankowi cud swego ciała, jak bukiet kwiatów, coraz piękniejszych, w każdym oświetleniu innych i przez to ciągle pożądanych. Urok, jakim takie kobiety potrafią otoczyć najdrobniejszy i najbardziej błahy szczegół, odnoszący się do miłości — pozostawia właśnie w sercu mężczyzny to wieczyste, niezatarte pragnienie i jakąś nić, wiążącą go nierozdzielnie z tą właśnie kochanką.

Stąd powstają owe dziwne fakty, sprowadzające pod okna opuszczonej kochanki — człowieka, który sam, dobrowolnie, rozdarłszy wiernie oddane sobie serce, odszedł napo-

zór znudzony i przesycony cichem, wytwornym pięknem, którym go otoczono. I pomimo szeregu innych metres — nagle jakby zapomniana nuta, jakby zapach zakwitających łąk — powstaje w głębi duszy wspomnienie cichych kroków — pocałunku nieśmiałego spadającego na zamurzone czoło — uścisku ręki przy powitaniu, w którym jest wyśpiewana cała moc przeżytych tęsknot, kwiat, spadający z okna pod stopy odchodzącego późną nocą kochanka...

I oto — pragnienie — tęsknica — i oto drży nitka miłosna, którą kobieta, odchodząc delikatnie i lekko, nie zerwała, lecz zadzierzgnęła silniej jeszcze. I z ruin miłości powstają wonne, cudne kwiaty i czynią na chwilę złudzenie, że poza kratą cmentarza jeszcze pulsuje życie i drży czarującą władzą. Następuje przeżywanie chwil już przeżytych, a że obecnie są już tylko nie prawdą samą, lecz jej złudzeniem — tem są droższe i piękniejszym oświetlone blaskiem.

Pastelowy wdzięk owej miłości nabiera w tym blasku mocniejszych, doskonalszych barw — cichy szepot przemienia się w pewniejszy, bardziej brzmiały ton — a gest kornego oddania się w półomdlenie, przyzywające do złożenia tych niezłożonych pocałunków, pod którymi lękają mimowolnym spazmem fibry całego ciała.

I oto — o ranku wiosennym, lub cichej, srebrnej nocy idzie ten, który uchodzi za przeżytego, jak strojny w brokat poeta z zamierzchłej Wenecji, pod któreś *sottoportico* — i wsłuchuje się w echo ściszone własnych kroków — pod okna zamknięte, z których kwiat już nie pada.

Patrzy jednak — i w wyobraźni swej przeżywa — przeżyć musi delikatną piękność minionej chwili — bo taka jest moc kobiet, które potrafiły, obnażając się, w chwili uniesienia, zatrzymać na sobie choćby strzępek gazy — jakby nie chcąc nigdy abdykować zupełnie z królewskiej szaty Westalki.

*

Halski pół swego życia erotycznego spędził na tęsknocie i poszukiwaniu takiej własności miłości. Szalona kultura estetyczna wykształciła jego smak w tym kierunku. Lecz szybko odczuł, że wszystkie jego wysiłki w tym względzie są próżne. Brał sobie kochanki z rozmaitych warstw i klas — z rozmaitych ras i pochodzeń. Właśnie mocą kontrastu waliły mu się w objęcia istoty w rzeczywistości gruboskórne i grubo zmysłowe. Każda z nich prawie w pierwszej chwili zbliżenia zaznaczała się szpetnie i niedbale. Żadna nie czyniła z kwestji przypodobania się zasadniczego tonu swego do niego stosunku. Żadna nie potrafiła przyjść na schadzki, milcząc, z ustami spragnionymi a mimo to omdlewającymi w uśmiechu smutnej melancholji. Żadna nie potrafiła pozwolić mu zdjąć swe szaty powoli, jakby z żalem i z ciąglem, nieustającym uczuciem dziewczęcego zawstydzenia. Żadna nie potrafiła paść na łoże powabnie, miękko i z gracją — zachowując doskonałość linii. Żadna nie umiała konać mu w objęciach, patrząc w jego źrenice i podwajając w ten sposób siłę wrażenia.

Żadna nie potrafiła być zarazem wampirem i ofiarą, składającą swe życie na ołtarzu miłości. Żadna nie potrafiła w danej chwili zbyt lubieżnych pieszczot ukryć twarz swoją w gęstwę rozrzuconych włosów, aby kochanek nie dojrzał na te same twarze zaniku boskiej słodyczy, którą tak uwielbiał.

I żadna zwłaszcza nie potrafiła wypięknąć to „potem” — najniebezpieczniejsze, ten powrót z chwil oderwania się od ziemi — do zupełnie realnego, często wstrętnego istnienia. — Żadna nie potrafiła pozostać tak długo milczącą, nie istniejącą — dokąd sam nie przywołał jej do wspólnego wzięcia udziału w rzeczywistości życiowej. — A później — żadna nie potrafiła odejść, czy pozwolić mu odejść z odrobiną nowej żądzy, rozbudzonej zalotną, jakby bezwiedną, tkliwą obojętnością. — Zimne podanie ręki, a potem kwiaty padające z okna pod stopy — lub jeśli u niego, powrót z ciemni przedpokoju, z ustami nabrzmiałymi jednym gorącym słowem lub pocałunkiem.

Marzył o kobiecie, która potrafiłaby przynieść w zanadrzu swej koronkowej koszuli ciepłe, pachnące nią fiołki — i fiołki te rozrzucić na pościeli — a co więcej zostawić je tak już potem na resztę nocy. Marzył o tej, któraby umiała kochać jego piękne i cenne szychy, które stanowiły poprostu chlębę jego życia. — Marzył o takiej pół nagiej, białej tą odrębną białością delikatnych kobiet — kochance — pochylonej nad ogromem

tek, w których chował swe najpiękniejsze okazy, jedynie tylko dla niego zrozumiałe. — Lampa, osłonięta żółtawym abażurem, oblewała drobną główkę — głowę rasowych kobiet z Andaluzji, mającej jako cechę przecudne pochylenie karku i doskonałą okrągłość czaszki. — Jako okrycie w zimie wyobrażał sobie puch czarny selskinów, miłośnie otulających bosc, długie, paziowskie nogi — z całą dezynwolturą zwisające z poręczy fotelu — w lecie mgłą batystowej koszuli z rozerwanem ramiączkiem wstążki, o ciemnej, amarantowej, gorącej barwie.

Lub kochanka ta, na wpół ubrana, w swych jedwabnych, cieniuchnych pończosz-
kach, silnie wyciągniętych, w lakierowanych pantofelkach, o szpiczastych, wysokich ob-
casikach — zajmowała się wdzięcznie, cicho, nalewaniem w cenne, stare kieliszki —
wina, o bursztynowej barwie i upajającym zapachu. — Śliczne, kochające ręce podawa-
ły mu aromatyczne owoce, starannie przygotowane i wybrane przez niego. — Czyniąc
to, miała wdzięczne ruchy, cechujące specjalną pieczołowitość, z jaką zajmują się kobiety
— kochankiem. — Te drobne usługi nabierały właśnie przez ten wdzięk ogromnej ceny
i wagi — a z rzeczy niezmiernie prozaicznych stawały się prawie pięknymi...

Nie spotkał nigdy takiej kobiety, któraby umiała w miłość i całą jej sferę przelać
rasowość swego ciała i duszy.

Czasem, złudzony jakimś patrycjuszowskim wyglądem, wprowadzał w swe życie ero-
tyczne stworzenie wyniosłe, od którego spodziewał się także wyniosłości wrażeń. Lecz
oto przybycie na schadzkę w sportowych, amerykańskich bucikach, zajęcie miejsca na
sofie, okrytej czarującą, perską makatą, w tych właśnie butach, o szerokich, aroganckich,
nie kobiecych formach — wystarczało, aby zetrzeć iluzję chwil miłosnych.

Inna, mająca profil Katarzyny Sforzy, według portretu Piotra Cosimy — tę delikatną
pobożność rysów, oprawnych w złoty puch trefionych włosów — czarowała go jakimś
renesansowym urokiem. — Gdy przybyła wreszcie do jego mieszkanie, odziana w czar-
ny aksamit, posadził ją na fotelu, obitym resztkami wspaniałego ornatu, może z czasów
Juliusza II. — Lecz w uszach tego sobowtóra, córki Sforzów — widniały ogromne, ban-
kierskie kolczyki — bardzo kosztowne, bardzo nowoczesne i bardzo „żadne”. — Szafiry
okolone brylantami. — Kolczyki metres, aktorek lub żon tych, którzy do pieniędzy doszli.
— Ukląkł przed nią nabożnie i na dłoni podał jej przecudne zausznicze z filigranu
weneckiego, stare, wiekowe — osypane bielą perel i drobniuchnym deszczem zielonych,
cudownie emaliowanych listeczków.

Wzięła ten wykwint arcyzmu i przyglądała się mu w milczeniu.

— Włóż je... — prosił.

Lecz Sforza wydeła usta wzgardliwie.

— Dziękuję ci — moje się lepiej świecą!

Zerwał z nią dnia następnego.

Lecz wiecznie głodny — rozpoczął nowe poszukiwania. I zapadał coraz gorzej.

W sypialni jego, jak w kalejdoskopie, zjawiały się szeregi kobiet, a on z jakąś rozpacz-
liwą furją wyrzucał je bez względu na ich fizyczne i duchowe dane. — Jedne rozpraszały
się bezustannie, inne znowu przybierały maskę tajemnicy, a pod tą tajemnicą kryła się
najczęściej pustka i głupota. On przecież instynktownie wyczuwał to odrazu i szedł dalej,
schodząc coraz niżej. — Wreszcie spadł do owego pożądania tylko żywiołowego i uczynił
sobie z niego przykazanie życia. Zaczynały mu wystarczać cielska Weychertowej i nie robił
jej już scen, których ukrytą przyczyną było rozrzucenie na środku sypialni zdeformowa-
nego gorsetu z wypoconego batystu. — Rezygnował z marzeń o doskonałej kochance,
lecz nie rezygnował z erotyzmu.

Nie chciał kochać, lecz chciał używać zmysłowych dreszczów — lękając się, aby brak
zadowolenia tychże nie odbił się na jego intelektualnych dorobkach, nadając im oschłość,
właściwą duchom, żartym ascezą.

*

Jedynie Rena uczyniła na nim wrażenie kobiety, umiejącej szczęśliwie wybrnąć z trud-
nej roli kochanki — mózgowca i estety. Stąd owo rzucenie się ku niej — bezowocne,
wskutek jej oporu. — I potem marna, brzydka plotka, która nie tyle zraniła jego miłość

własną męczyzny, ile uczyniła mu jakby zawód, jakby taki porzucony, wypocony gorset na pastelowym tonie kobierca jego sypialni.

Teraz znów jeszcze jeden lęk ogarniał go. — Dojrzał w Renie przebłyśki tych pragnień, które nawet w takiej, jak Rena, kobiecie, zdołają zniweczyć wrodzoną jej dumę i wyniosłość.

Dawniej byłby skwapliwie skorzystał z tego odkrycia i czynił wszystko, co można, aby osiąść Renę, co zdawało mu się poniekąd ułatwione.

Lecz teraz — stało się inaczej.

Przeraził się tego — i cofnął. — Zdawało mu się niewyraźnie, jakby miał ściągnąć z ołtarza pęk kwiecica i przystroić niem swe łożo rozpusty.

Dopiero teraz dostrzegł, jaką właściwie rolę grała Rena w galerji jego „typów” — kobiecych.

Niedoścignioną...

Uśmiechnął się mimowoli — lecz w uśmiechu tym nie było dawnego szyderstwa i ironji.

Jakiś przymus!

*

Lecz równocześnie, mocą dawnego nałogu, powstały w jego podświadomości wahania się i słowa...

— Nie należy długo się modlić przed Beatrycą — bo zmieni się w Messalinę...

Zwłaszcza przekonał się, że w Renie tkwiła wrodzona, mała Messalinka...

„Więc niech — modli się kto inny i tę metamorfozę sprawi” — myślał, pelen jeszcze dziwnego wrażenia.

Lecz mimowoli do ołtarzyka Beatryczy — wracał całą swą istotą, spragnioną zestrojonej harmonji miłosnej ekstazy.

— Niech kto inny!... — powtarzał uparcie...

XVIII

Przez cały tydzień Rena nie wychodziła poza próg swego mieszkania, popadłszy nagle w jakąś chorobliwą apatię. Kilkakrotnie odwiedzał ją Kaswin. Znosiła jego obecność dość laskawie — nie pozwalając mu wszakże na dawne poufaleści. W ogóle zmieniła się zupełnie. Zaniedbała się nawet w stroju i w geście. Robiła wrażenie kogoś — kto się już niczego nie spodziewa.

Kazała Kaswinowi opowiadać sobie jego dawne afery miłosne, słuchając pilnie, jakby robiła jakieś studia... On, uszczęśliwiony, dosiadał swego konika z zapalem, który ożywia zwykle młokosów, opowiadających o swoich erotycznych próbach i początkach. Podawał je w formie powiększonej, robiąc z prostych, zwyczajnych, młodzieńczych przygód, jakieś dramaty lub farsy o pewnem uczuciu. Przerzywała mu często niecierpliwie.

— Nie błaguj! — mówiła, umiając już orjentować się w sferze miłosnych prawdopodobieństw.

Czasem znów pytała z jakąś namiętną ciekawością:

— Czy wszyscy mężczyźni tak?...

Odpowiadał jej, przybierając minę subtelną:

— O!... Nie! Ja w tych wypadkach jestem zupełnie indywidualny. Tak mi mówiły te, które mnie kochały.

Patrzyła na niego z nieokreślonym wyrazem twarzy. Było to pomieszanie jakby wstrętu i zarazem smutku.

Mimo to pozostawiała w jego dłoniach swe ręce, które rozpały się mimowoli od dotknięcia jego niewprawnych, młodzieńczych palców. Czyniła to, jakby w potakiwaniu przyjaznego zespołu, przekonania siebie samej, że jest ktoś, na kim w danej chwili przyjaźnie oprzeć się będzie mogła. I wszystkimi środkami starała się właśnie nadać swemu stosunkowi do Kaswina cechę czystej przyjaźni. Leżąc na otomance, z oczyma przymkniętymi, wysłuchiwała cierpliwie, po raz dziesiąty jego opowieści o miłości jego z szansonetką rosyjską, która w Bristolu cały miesiąc wyła niemożliwym a podejrzanym głosem, rozdzierające, melancholijne pieśni.

— Była to bogata, niepospolita. Powiadam, Renuziu, bujna i żywiołowa. Trochę piła... ale to, aby nie pamiętać o swoich nieszczęściach. Była bardzo nieszczęśliwa... Córka generała... Co? Nie wierzysz? Jak Boga kocham! Sama mi to powiedziała, a przytem tak się skłęła, po swojemu, że aż mi włosy stanęły... Życie jej dwa razy uratowałem.

— ?...

— Tak! Odebrałem jej dwa razy ogromny pistolet, z którym wszędzie na występy jeździła. Mówiła, że to po ojcu, generale. Przemocą wydzierałem jej tę broń z ręki.

— Zapewne działo się to wtedy, gdy owa interesująca dama się upiła!

Kaswin aż podniósł ręce w górę.

— Renuziu! Jesteś niesprawiedliwa! Jako kobieta powinnaś odczuć nieszczęście drugiej kobiety.

Rena aż zarumieniła się z gniewu.

— Takie coś, z Bristolu — nie jest dla mnie kobietą! — krzyknęła po dawnemu.

Lecz Kaswin upierał się przy swoim.

— Jest kobietą — i to jaką!...

Aż mu się oczy zaświeciły na wspomnienie tej „jakości”.

— Tylko takie kobiety umieją kochać.

— Winszuję. Miłość za pieniądze.

— Ona mnie kochała.

— Za ile?

— Dla mnie samego.

— Ślicznie! A więc *amant de coeur* — szanse z Bristolu!

Kaswin się naszczurzył.

— No... zawsze wydałem podczas pięciu tygodni — czterysta koron.

Rena aż się tarzała ze śmiechu po szezłagu.

— Bój się Boga! Co za suma!

Zmieszał się.

— No... dla mnie bardzo dużo... Papa mój daje mi bardzo mało, a pensja w namiestnictwie, cóż to znaczy? Zresztą, ona tych pieniędzy nie brała dla siebie.

— O! Dla... Alfonsa.

— Wcale nie. Dla ślepej matki. Matka jej mieszka w Samarkandzie.

Nagle Rena śmiać się przestała.

— Jakiś ty głupi! — wyrzekła z pewnym uwielbieniem. — Byle dziewczka...

— O! Ona była wdowa i baronowa. Nazywała się na afiszu Smirnoff, a właściwie Van Depp. Mąż jej strzelił sobie w łeb na trzeci dzień po ślubie. Miała przy sobie rewolwer, którym się zastrzelił.

— Ależ to był arsenał wędrujący ta dama!

— Darowała mi ten rewolwer — zawsze go mam przy sobie...

Wyjął z kieszeni mały, brzydki rewolwerek.

Rena rzuciła się nerwowo.

— Schowaj to szkaradztwo!

— Ależ... nie bój się, Renuziu!

Zadziwił się. Była nagle blada. Dyszała ciężko.

— Czego się boisz? Ja umiem z bronią się obchodzić.

— Nie ciebie się boję...

— ?...

— Siebie!

Upadła na sofę i leżała nieruchomo, patrząc w sufit martwymi oczyma.

Schowal rewolwer do kieszeni.

— Ona do tinglu z rozpachy za mężem wstąpiła... — zaczął znou.

Lecz przerwała mu gniewnie:

— Cicho!

Po chwilowem milczeniu padł jej głos, ale jakby innej, drugiej, nieznannej kobiety.

— Ty — powiedz! Ile ja jestem na pieniądze warta?

— ?...

— No tak! Gdybym chciała sobą frymarzyć, jak taka Van Depp — ile mogłabym żądać za jedną noc?

Aż osunął się na klęczki przed nią.

— Renuciu — co ty!...

— Odpowiadaj! Otaksuj!

Podniosła się na szelągu, podała naprzód piersi, wyprężyła ciało. Była gibka, smukła, ciekawa. Głowa jej, anielsko piękna, wabiła wyrazem cichej, skrytej rozpusty. Przez firankę rzęs błyszczały dawne blaski oczu.

Złożył ręce jak do modlitwy.

— Renuciu! Ty jesteś bez ceny!...

— Tak! To wiadomo! Ale... przecież ocen! Po swojemu, po męsku...

— Ja nie wiem... ja...

Skrzywiła usta.

— Tak! Prawda! Kochasz się we mnie, więc jesteś zaślepiony! Ale ktoś inny, obcy... na przykład taki... ot... Halski...

Śmiała się boleśnie, nerwowo.

Kaswin szarpnął się.

— Taki Halski jest zgniły na punkcie kobiet. Onby cię nawet nie potrafił ocenić, Renuciu... On potrzebuje innego rodzaju kobiety.

Opadła znów na poduszki.

— Tak? — wyrzekła przeciągle. — Tak? Więc — gdyby Halski mnie nie chciał, to jedynie dlatego, że nie jestem jego typem?

— Jedyń!

Zaiskrzyła się nagłym gniewem.

— Osiół jesteś! — krzyknęła z pasją. — Jeżeli Halski nie stara się wszelkimi siłami mnie pozyskać, to jedynie dlatego, że chce mnie mieć na ołtarzu...

— Na czym?

— Na ołtarzu, jako kobietę niedościgłą, a więc doskonałą, inną, niż wszystkie.

Lecz Kaswin uparcie potrząsał głową.

— On miesiąc temu twierdził, że kobiety cnotliwsze są najczęściej źle zbudowane.

— Teraz tego nie mówi.

— Owszem. Wczoraj widziałem go z Weychertową w cukierni. Mówił, że takie kobiety są po prostu kaleki.

— Kobiety cnotliwe?

— Tak!

— Wczoraj to mówił?

— Wczoraj.

Wyprostowała się jak struna na miękkim podłożu sofy. Zarzuciła ręce na tył głowy. Nagle pociemniała jej cera, usta zacisnęły się, nozdrza zamknęły.

Leżała tak długą chwilę. Wreszcie odetchnęła ciężko, jakby wychodząc ze snu przykrego. Półgłosem wyrzekła:

— Mówmy o czym innym!

XIX

Po odejściu Kaswina pozostała nieruchoma i wśród zmroku. Ubiegłą godzinę spędzili sztucznie nastrojeni, starając się interesować objawami życia pozaerotycznego. Lecz działa się to trudno. Nietylko dlatego, że oboje byli przedrażnieni i jakby napojeni żądzą, lecz dlatego, że i te objawy życia ogólnego splatały się, potraçały, powstawały, konały, rozwijały, marły w sferze, z której potęgi rozrodczej wytrącić nie było sposobu.

Co chwila — miłość pełna, doskonała, z całą pięknnością płomiennej żądz, dysząca namiętnością — zjawiała się — pomimo, iż sprzysięgła się na nią cała potęga tych, którzy, mieniąc się obrońcami duszy ludzkiej, sprowadzili ją właśnie tą obroną swoją do rozmiarów motoru, poruszającego jedynie zwierzę stadne, trwożliwe i senne, bijące się w piersi przed kodeksem i dogmatem, broniące pazurami swych interesów — pod podłemi pozorami bronięcia interesów ogółu.

Wykreśliwszy poza nawias życie płciowe — zwłaszcza dla kobiety, utrudniwszy jej z całą głupotą i ciemnotą spełnienie najgłówniejszej i najważniejszej funkcji życiowej, wparłszy w nią abstynencję cielesną pod grozą kłątwy i tragicznego wyrzucenia za nawias społeczny — tem samem stworzono z niej istotę kaleką moralnie i fizycznie — nauczono kłamstwa, obłudy, szarpania się w siatce, zaciskającej ją płomieniem przesądów, wytworzonych z powietrza i żrącej jej ciało szaty Dejaniry.

Najczystsza jest najgorszą rozpustnicą w pożądaniach swych tajnych i dławionych — i właśnie, im czystsza ciałem, tem brudniejsza myślą.

Noc parna, duszna, noc srebrna pełni księżyca, noc długa zimowych tęsknic, noc jesienna, pełna szmeru spadających liści, każe ofierze czystości kąsać własne ramiona w bezużytecznych spazmach, rozrzucających na wicher obłędnych uniesień. I nigdy kobieta nie może być i nie będzie sobą i szczerością samą, bo od gruntu, od podstaw zadano jej błotny fałsz kaleki, mogącej wydzierać tylko skrycie sobie zadowolenia i zaspakajania.

Pomyślcie — czy może być mowa o prostolinijności takich kobiet, gdy od młodości najczulszej postawiono ją w szeregu tych z kłami idących w szale pragnienia, pełzających podstępnie, aby choć pozór, cień rozkoszy wykroić sobie — zamiast słusznie należnego im zaspokojenia.

Pomyślcie — co pragnąć wam wolno od tych, które pędem wiosennym czarująco rozwijają się, wołając wielkim głosem: „Otóż my pełne, dojrzałe, doskonałe, drży w nas wszystko od oczekiwania — dajcie nam żyć”...

W łeb, w piersi, w łono wali taran świata, wytworzonego przez bandę zaskrońców — świata, mieniącego się być *prawdą*, a będącego błotną, kloaczną esencją kłamliwości. Za ciało chwyta, za cud płciowej tajemnicy i piętnuje swą oślizgłą dłonią spuchłego egoisty jako hańbę, z którą kryć się trzeba. Wszystko ginie, przeinacza się. Żłuda tworzy podstawę, na której ma wyrósć i rozwinąć się przeczysty kwiat cnoty. Czystą „schludność” kobiety pierwotnej zakaża zaraza fałszu. Rozpoczyna się walka, rzucanie kamieni, tarzanie przeklętych głów po skalistych wydmach potępienia. Natura walczy z całą siłą o swe prawa, nie chcąc zadowolić się wartościami doskonałości, które są w istocie rzeczy kłamstwem zgniłym tylko. Walczenie o zachowanie siebie idzie tu o lepsze z całą masą uprząży, obwieszającej istotę kobiety, pod pozorem nadania jej szlachetnych kierunków...

W łańcuchach poznanie najważniejszego instynktu nastąpiło — i wiosnę — wreszcie całą życiową gamę kazano spędzać na samem przewyciężaniu się. W imię czego? — Jako ideał podano poniżenie w składaniu ciągłych ofiar nieznanemu Bogu. Wyrzebiono gaje wielkich namiętności i założono munsztuki w rasowe szczęki. Sprzeniewierzenie się swoim własnym instyktom ugloryfikowano i ustawiono na ołtarzach. Zgroza, strach, dreszcz śmiertelny całunem okrywa duszę na myśl rachunku, jaki czynić muszą ze sobą kobiety w chwili zgonu.

Dwie alternatywy.

Albo — życie czyste — w walce, w skąsaniu własnego ciała i nieużyta siła, domagająca się zadowolenia, a ciągle dławiona dziką, szaloną potęgą obłędnych ascez.

Albo — dezorganizujące, upadające broczenia w kłamstwie, w gnijącym, tajemnym, wychwytywanem po kątach zmysłowem ukojeniu. Po co tu całe budzenie wytwornych ideałów, tworzenie jakiejś doskonałej etycznej atmosfery dookoła takiej kalekiej istoty?

Należy się weźreć w jej tajemię, obalić nagle na wezglowie i kazać tak wyszeptać spowiedź lub milczeniem jeszcze tragiczniejszą wyznać prawdę. Wtedy dopiero postrzępią się psychologiczne kłamliwości i okaże się rzeczywista wartość anielskich nocy bezsennych i stylowych kobiet, które przeszły „bez skazy”. Skazitelnosc ich pragnień rozlałaby się płonącą lawą z huczącego krateru ich warg pokąsanych i serc przegniłych, pierwwej, nim zdołają zabić prawdziwem, pełnem tętnem.

I oto — nieprzeparta już tragedia, niewidoczne zapadnięcie się królestwa obłudy i fałszywego ideału moralnego — zanadto bowiem dobrze podparte są ściany tej świątyni, a podparte przez gady laskocące i najniższe i rzeczywiście grube popędy ludzkości — wytworzone dopiero przez ludzi, a więc mające w sobie egoizm eunuchów i skopców! Z ustami, pełnemi obłędnych uśmiezków i Boga — bluźnią najstraszniej, negując owej Sile twórczej doskonałość logiczności w tworzeniu i poprawiają swą brudną głupotą doskonałość samą. Wyciem, buntem, protestem, jadem kłamstwa, fałszu, znikczemienia odpowiada wijąca się w męczarniach kohorta kobiet — i powoli z buntu przechodzi

w gnuśność, obłądną podległość, lizanie rąk, które wyryły żrącą solą ich lez przykazanie, strącające w przepaść cudowny kwiat płciowego misterjum — jako rzecz karygodną, posępną, niechlujną — lub co gorsza, przyczepiając doń etykietę z dewocją spełnianego obowiązku.

*

W pustej przestrzeni, po której tylko wyją wichry (chóry potępionych) i samotne wierzby łamią swe ramiona obłądnym, bezcelowym gestem — wsłuchiwać się należy, odgryzając się od przeżytych i ułożonych już w sobie warstwami drobnostek.

Trzeba zacząć „od początku”. Zrzucić czarny całun nieprzenikniony i pozostać tak, jak mówią, „od początku”. A rozelka się w nas i zawyje tak straszny ból, tak trwożny krzyk, że wyciągną się nasze pięści rozpacznie, a zdejmie nas obłądna trwoga nad tem, w czym żyć musimy. Raz jeszcze powtarzam, olśni nas prawda — że nie żądać od tej, którą od pierwszej chwili okaleczono i zażądano, by nie tylko przyjęła swe kalectwo, lecz padła przed niem w ekstazie — nie żądać od niej ukochania Prawdy i zrozumienia jej. Oplwany jest ten sztandar codziennem jej kłamstwem, targany powoli na strzępy i rozrzucany na nicość. Zeszyto na nim dwa słowa:

Erotyzm i Etyka...

I oto, sięgając i wydzierając ku sobie jedno, kobieta szarpie i niweczy drugie. Bo te dwie potęgi mają dość sił żywotnych, aby istnieć same i wykarmić ludzką egzystencję. Połączone razem, zagryzą się i będą mimo wszystko zagarniały pod swe szpony daną indywidualność. I tak wlec się będzie ciągną, wieczysta tragedia — bez wyjścia, bez ratunku, dopóki nie runie przekleństwo fałszu i jego bezecne, beczelne Królestwo!

XX

Któregoś ranka zjawił się w mieszkaniu Reny adwokacina.

— Pan powie? — zapytała, nie patrząc nawet na niego.

— Chciałem donieść pani pierwszy o ważnej nowinie...

— Cóż się stało?

— Mąż pani zachorował w handelku śniadankowym. Przywieziono go do Sanatorium.

— A!...

— Wobec tego może wstrzymać dalsze popieranie rozwodu?

Rena miała ochotę, a przynajmniej czuła, że należy zapytać, czy rzeczywiście tak źle z Bohuszem — lecz zasunęła się w jakąś pogardliwą obojętność.

— Niech pan robi, jak zechce! — odparła znudzonym tonem.

Zaczął jej opowiadać, jak pan Bohusz w ostatnich czasach zapijał się elegancko — jak codziennie szampany, koniaki i inne trucizny gładko przesuwały się do jego organizmu — jako on sam widział pana Bohusza w handelku dobrze podciętego i produkującego się przed bandą roztańczonych przed bufetem gości — sztuką zapalania papierosów w kieszeniach marynarki — jako dawno lekarze przepowiadali...

Monotonnym głosem obwieszczał wszystko, a Rena, zaszyta w fotel, myślała — jak wstrętnym kochankiem byłby ten mały, czupurny człowieczek, tak metodyczny i ścisły we wszelkich objawach swoich. — I nagle porwała się ku wyjściu. Nie mogła po prostu znieść tej myśli w jego obecności.

— Pani jest zajęta? — zapytał.

— Tak... bardzo.

Pożegnał ją i wyszedł zderutowany, ciągle mając w mózgu wspomnienie pamiętnej sceny w jego gabinecie.

— Silna jest! — myślał. — Ukryła znów wszystko w sobie. Nawet przedemną się nie zdradzi... bajeczna!...

Gdy Rena została sama, próbowała wzbudzić w sobie jakieś wrażenie posłyszanej wieści. Lecz było to napróżno. Halski znów przysłonił wszystko. Przechodząc mimo lustra, dojrzała swą twarz i nagle, jakby kto otwarł przed nią księgę.

Nie miała innego na nią słowa, jak „spalona”. — Zatarły się w niej rysy i gdyby ktoś chciał wyrzeźbić teraz jej profil, doznałby próżnej męki. Było w niej oczekiwanie, nic więcej, tylko oczekiwanie i bolesność jakaś, a poza tem jeszcze pierwiastek wielkiej czystości, który przez chmury ohydnych naleciałości z całą potęgą wrodzonych, nieskażonych namiętności wybijał się na pierwsze miejsce.

— Fedrą jestem! — myślała — Fedrą, przez furje żartą!...

Innego porównania nie miała. Biedna! Mało dostojna, spaczona w tym samosądzie, pohańbiona przez fałsz, będący jej dominantą.

— Fedrą jestem...

Dnia tego była na wskroś przepalona, z oczyma prawie błędnymi.

Noc bezsenna ją zżarła i zakreśliła dokoła oczu niewidzialną prawie, ale istniejącą siateczkę. Dłonie miała suche i załaskotane, rozpaczliwe i niepewne. Nie przewidywała zakończenia dnia. Wyszła na balkon i nagle zdawało się jej, iż zdaleka dostrzega Halskiego. Jak szalona cofnęła się. Ból fizyczny targnął nią całą.

Nie miała — ciałem sił.

Nad wieczorem zaczął padać deszcz gorący, wstrętny. Zdawało się, iż niesie jakieś przekleństwo. W oddali przeciągnął grzmot. Rena chodziła wzdłuż pokoju i całą burzę, która gdzieś bardzo daleko szalała, odczuwała w sobie. Z całą szczerością w tej chwili przyznała się, iż kocha Halskiego bez pamięci.

— Nawet... gdyby chciał...

Zatrzymała się przed szezłgiem, na którym pamiętnej nocy tarzali się oboje w niepotrzebnej namiętności. Falą gorącą biło to wspomnienie na nią.

— Gdyby chciał...

Obrachowała się z szybkością błyskawicy. — Czy, dla swego własnego zaspokojenia wydostało się na jaw z niej to zdanie? Jeszcze była za trwożna wobec nawału sił jej nieznanym.

— Dla niego bym to uczyniła — myślała — dla niego i aby go przywiązać... Taki człowiek nie potrafi inaczej. A zresztą, czembym go przekonała?

I w obłędzie, w uniesieniu bez granic uprzytomniła sobie chwilę oddania się. Dawno wżarte w nią zasady szarpnęły ją.

— Zbrodnia!... Zbrodnia!...

Jakaś słodycz serce jej mimo wszystko przejęła.

— Nie! Nie zbrodnia!... Rozkosz jego... Moja!...

Osunęła się na szezłg — ciemność ją ogarnęła.

— Rozkosz jego... moja...

I z tej półświadomości wypełzało ku niej wspomnienie inne, myśl naturalna — myśl o Weychertowej.

— Jest tam, u niego, z nim!... Zajmuje moje miejsce.

Wydało się jej, że ta tłusta, rozlana kobieta zajęła własne jej stanowisko.

— Jest tam! Z pewnością jest tam... — Jakiem prawem? Tam — ja!...

Porwała się. Nawet coś trywialnego przemknęło się przez nią.

— Wyrzucę... wyrzucę.

Była niepoczytalna. Wdziąła płaszcz, jakiś tok — bez parasola wypadła na ulicę. Deszcz przestał padać. Pusto było — tylko w zmytych na ciemno chodnikach drżały światelka latarni. Rena pomknęła w stronę mieszkania Halskiego.

— Po co ona tam? Jeśli ja nie!...

Czuła do siebie wstręt — chciała być od siebie jak najdalej. Zdawało się jej, że to jakaś druga, wysoce jej niesympatyczna, wlecze ją w jakiś nudny, ohydny czas w oddal bezcelową.

Gdy wydostała się na ulicę, zamieszkałą przez Halskiego, nie biegła już, lecz wlokła się. Z daleka dostrzegła żółtawą smugę jego okna. Ścisnęło się w niej serce i załopotowało całe życie. Gdyby przechodził ktokolwiek, uczepliłaby się mu u rąk, aby nie pozostać tu tak sama, jak w pośrodku zmaconej rzeki w potrząskanym czółnie, bez kawałka wiosła w ręku. Lecz było przerażająco pusto i tylko tłukły się jej kroki, mimo że usiłowała przekradać się raczej, a nie iść.

Szła po drugiej stronie ulicy i gdy przeciągnęła ponuro przed kamienicą, zamieszkaną przez Halskiego, stanęła. Równno, spokojnie oświetlone okna jego mieszkania dawały hasło równo urządzonego wewnętrznego życia. — Nie było tam miejsca na poszarpane namiętności. — Człowiek, który poza temi złotemi storami istniał, nie miał gwałtu niezaspokojonych pragnień i potrafił zastąpić coś jednego drugim. Pozatem szedł znów dalej niewzruszony prawdopodobnie i gotów na przyjęcie innych wrażeń. Imponujące są tego rodzaju natury, unormowane i wobec szalejących od pragnień i natężeń innych istot Cezarowe zajmujący stanowiska. — Zwłaszcza, gdy spalone, dzikie przemykają obok nich żądze, gdy wichur szarpie światłami, tłukąc je o równe szyby ich wnętrza.

Światło takie szarpane pędzi właśnie wraz z Reną pod oknami Halskiego.

Zawiść, zazdrość, żądza, tęsknota, uczucie krwawe i dyszące ostatkiem sił — wszystko, na co się zdobyć jest w stanie kobieta, zapatrzona w jeden punkt, zakłębiło się już w niej, gdy szarpnięta, jakby za włosy w tył ulicy, zawróciła znów i szła przed oknami mieszkania mężczyzny.

— Jest w domu! Och!...

Wybiegło z niej ku niemu takim pragnieniem, iż łez w niej nie było.

I równocześnie taranem w nią uderzyło:

— Bydlę jestem... bydlę!

Ręka drżąca wyciągnęła się ku oknom.

— On... tam...

I znów:

— Bydlę jestem! Ach! Gdyby się wychylił, gdyby mnie zobaczył! Gdyby mi wybuchnął śmiechem w oczy...

Wpiła sobie paznogie w twarz.

— Nie szydził ze mnie w bibliotece — nie szydził — przeciwnie — było to coś więcej... przypomnij sobie...

Powstał w jej głowie wir, nie umiała sobie nic przypomnieć, jak właściwie brzmiała myśl Halskiego. Wiedziała tylko, że odeszła z uczuciem, iż jakaś silna ręka wyrzuca ją z pewną względnością na lodową, pustą przestrzeń. — Poza tą przestrzenią przecież zostawiła jakiś nieznaną jej kraj, po którym wylę się płomienie, wystrzelające z rozpalonych do karmazynowych blasków podstaw.

I tam zdało się jej, że była właściwie jej ojczyzna, rodzimy jej grunt, a ona rwała się w ten żar i gnano ją precz — wołając wielkim głosem:

— Hańba! Hańba!...

Za frankami złotemi zaczęły migać jakieś cienie.

Rena szarpnęła się, jak szalona — i potem nagle wrosła słupem w ziemię.

— Są tam, są oboje!...

Gamą rozpaczy i szału przeciągnęło po niej. Brakło jej tchu. Nie walczyła oń. — Zdawało się jej, że łatwiej skona.

— I ona...

Czerń, chłód, noc — hańba zeszarpanej miłości własnej i dzikość biorącej górę czystości pierwotnych pojęć, które mścić się zdawały rozpasaniem, stalowem zatapianiem kłów, na schylonym i wytarzanym w prochu ołtarzowej karności — karku.

— Oboje!...

Rzecz nieprzewidziana, nieobmyślona. Oto Rena silnym skrótem przecina ulicę i już jest w bramie domu.

— Tak! Będzie tak!

Biel stiuków w sieni zalanej elektrycznością, czerwony wąż dywanów, pnący się gdzieś z boku — uderzenie czarno podlepionej listy lokatorów i ręka jej przypada, chwytą w posiadanie guzik dzwonka. — Przywarła się, oderwać się nie może, nie chce. — Jakby życie złączyło ją z tym tętniącym punktem. Słyszy, jak wibruje ostro, nieuleczalnie. Na apel, na pomoc, na gwałt, od jej palców woła, krzyczy, błaga. Słyszy kroki. Nie rzucą ją w ucieczkę. Przeciwnie, ciskają požądaniem, aby te drzwi rozwarły się czempredzej. Chce najgorszego, chce nawet razów, spadających na nią i uprawniających ją do padnięcia u progu...

Oto drzwi, lśniące od blasku swej świeżej powierzchni, otwierają się. — Halski stoi przed nią.

Patrzy — jakby mrużył oczy — on, nie on. Rena zwierza się z nim oczami. Oboje przez chwilę nie rozumieją co ich przygnało przed siebie. I milczą — bo po upływie tego mgnienia oka zaczyna coś szemrać, coś się dobywać, coś z najgłębszych tajni. Lecz przemówić — to nie!

Byle nie to!

I Halski jednym gestem wskazuje jej głąb mieszkania.

Ona powoli, bez tchu — bez estetyki, bez linii — wchodzi, zdając się nosić na sobie ciężary — rzeczy niepojętych, strasznych — do których była nieprzygotowana zupełnie i nieświadoma, jak ślepiec, któremu przepadł wzrok wtedy, gdy przeczuwał miłośnie cud słońca.

Jedno tylko dostrzegła, że mieszkanie było puste i że nikogo w niem, oprócz nich dwojga, w tej chwili nie było.

XXI

Ręce mimowoli załamały się jej strwożonym gestem i potem rozplotły, jakby zawstyżone. Szalało w niej ciało i dusza z niemocy i braku zupełnego siły. Milczenie, które przed progiem było dla niej konieczne, tu zaczęło ją zmagać bezlitością. Bezradna, ociążała, czuła się jakby na pręgierz, na jaśni dywana w jasno kasztanowe liście i wśród rzadkich postaci mebli o rudem, lśniącym odrzewieniu. Gdzieś migotała złotawa łyżka, jakiś gwóźdź. Bolały ją te blaski, szczyły z niej zadomowieniem się swoim. Jak zbite zwierzę, odwróciła konające oczy ku niemu. Stał nieruchomy, pilnie w nią wpatrzony. Zdawał się rozbierać coś w niej, w jej postąpieniu, robić jakiś obrachunek. Nie było tylko w jego twarzy zdziwienia ani śladu. Widniały stąd dwie możliwości. Albo przypuszczał, iż tak się stanie napewno, albo sądził, iż rzecz cała zajdzie prędzej lub później. Zdawała się, według niego, przychodzić za prędko.

To jedno tylko drgało mu w niecierpliwem trochę podniesieniu kącika wargi. Zresztą kurtuazja wyczekująca przejść zdolna śmiertelnym dreszczem rozpaloną istotę kobiety.

I jakieś spojrzenie, powleczone mgłą, jakby gotowe i zastygłe w wiecznym uwodzeniu i przywleczeniu sobie do nóg.

On był nasycony i przesycony. Wolno mu bowiem było sięgać i wyciągać rękę.

Ona — konała z głodu...

Więc łatwą tu była rola wyższości i zrozumiałe przyczyny.

*

I tak to trwało, a wlokło się jakimiś wiecznościami — aż ona pierwsza, drżącym, zmienionym, brzydkim głosem spytała:

— Pan mnie nie pyta... dlaczego ja...

Zrobił wytworny gest. — Dyskretny był, szanował przyczyny.

I ta dyskrecja nie opamiętała jej.

— Bo... bo...

Przetarła ręką skroń.

— Myślałam, że pan nie jest sam.

— ?...

— I... tak... umyślnie...

Już nic więcej nie umiała ze siebie wydobyć — tylko to głupie i płaskie „umyślnie”...

On jeszcze milczał.

I teraz ją to wzięło, ale tak, iż podcięło jej nogi zupełnie i fizycznie zważyło ją. — Nie patrząc, osunęła się na jakiś fotel, obrzucony złotawą, perską materją. Ciemny szafir mieniący jej płaszczą, połączył się szczęśliwą kombinacją bogatych barw. Głowa jej zaciężyła znużonym, prawie bezprzytomnym wyrazem na drobnej piersi. Była wyniosłe nędzna i w pohańbieniu swem majestatyczna. W skrócie osunięcia się na fotel odzyskała rodzaj pewności siebie. Drzenie obłądne ciała na chwilę przycichło. Złożyła ręce na kolanach i poddała się zupełnie wrażeniu, które na nią kłębami bezlitosnemi waliło się od tego człowieka.

Mógł być tak milczeć ciągle, to było już jej obojętne. — Czują, iż inaczej być nie mogło.

Wreszcie i on oderwał się od miejsca. Coś nakształt żalu przemknęło mu po twarzy. Co to był za żal i za czym? Tego sformułować nie było podobna. Może żal mu było, iż ta wyniosła kobieta, taka wśród złota i szafiru, jest biedna i starta w sobie. Lecz żal ten był w takim razie czysto egoistycznej natury. Nie żałował jej bólu i tego, że ona cierpi, walana tak w bezsilności zupełnej, lecz żałował, iż łamie mu się coś i maleje, że oddalenie zmniejsza się i zaczynają już karleć rzeczy niedościgłe i niezdojbyte. Było w tem coś z otwarcia wrót świątyniowych, przed którymi człowiek jęczy w tęsknocie życie całe...

Oto słyszy kroki odźwiernego, rozlega się brzęk odkładanych łańcuchów i tu zamiera oczekująca dusza.

— Więc już? Więc tak?

Z uczuciem litosnej troski, właściwej mężczyźnie, gdy chce upiększyć jakoś swoje zwycięstwo, oderwał się Halski od miejsca i zatroszczył się o Renę.

Sciemnił jaskrawe światło, o które były się jej oczy, przymknął okno, zięjące wilgotnym chłodem na jej oczy, podsunął jej pod nogi poduszkę. Patrzyła na niego z początku martwymi oczami, i ta milcząca troska o jej dobro chwilowe zdziwiła ją.

— Pani przemokła... pani zimno!...

Oto były pierwsze słowa. Łagodne, miękkie, głos zciszony, ręce kojące. W jednej chwili zwyczajną asocjacją skojarzyły się wszystkie przebyte przez nią bole rwania się i cierpienia. Uczyniła go winnym za nie i jak błysk, szarpnęły nią całą. Cóż była ta drobniawa troskliwość, z jaką otaczał jej przemokłe lakierki, płaszcz, ręce zmoczone? Czy nie ironią to tchnęło na nią i zmagало ją korowodem nocy o piekielnych mękach, porankach rozpacznych, szarych godzinach, wyjących tragicznie, potwornie, beznadziejnie.

I nic, nic nie znalazło się w Renie więcej odpowiedzią...

Jak — naturalnie, po kobiecemu — płacz.

*

Lecz był to ten „płacz” kobiecy, na którym się już poznać należy. Zresztą w ogóle, na płaczu kobiecym wyznać się należy i zrozumieć go. Kobieta nie płacze prawie nigdy o rzecz obecną, teraźniejszą, tę, która jest. Na to kobieta ma masę odpornej siły. Ona daną chwilę wchłania w siebie z całym okrucieństwem i łakomstwem, wysysając to, z czego później odtworzy sobie łożysko bólu. Lecz kobieta płacze nad tem, co przecierpiała, płacze, bo nie zapomina, bo przeżywa ciągle, nieskończoną ilość razy to, co mężczyźni z całą pychą strącają w otchłań rzeczy minionych.

I stąd powstają dziwactwa płaczu u kobiet, które „już nie mają powodu do płaczu”. Kobieta każda jest cmentarzyskiem, a groby na tym cmentarzu otwierają się na każdy, choćby najczulszy dźwięk, odnośny do jej odczuć życiowych. I stąd, nawet w chwili upojenia radosnego kobieta lka rozpacznie.

Z grobów, z trumien rozwartych, od gnijących nieszczęść, od fosforyzującego próchna, szaleje pomruk rzeczy, nigdy nie wygasłych i — nigdy nieprzebolanych.

Lecz — oto niestety — mało kto o tem wie, mało kto rozumie przyczynę „płaczu kobiety”.

I każdy zapyta — czego płacze?

*

I Halski pyta.

— Czego Pani płacze?

Rzeczywiście. Ogląda się dokoła. Musi mu dać pretekst tego płaczu, wytłumaczyć i sobie dać pretekst.

Więc chwyta się drobiazgu, zazdrości.

— Myślałam, że Pan nie sam... że...

Halski, pochylony nad nią, wyprostował się jakby z niesmakiem.

— A! Więc Pani o to chodziło! Nieskończona jest miłość własna u kobiet...

To zarejestrowanie ją w całą kohortę kobiet targnęło nią gwałtownie.

— Więc Pan sądzi, że to tylko... z miłości własnej... obrażonej...
Halski już był jakiś niedbały.
— A z czego innego? — zapytał. — Pani ma olbrzymią dozę tej ambicji dla siebie, ale nie szanuje jej pani u drugich.
— Nie rozumiem Pana!
Halski skrzywił się banalnie.
— O! Nie mam do pani żalu. Niech pani jednak nie sądzi, że to tak wielki triumf, to cnotliwe zwycięstwo, ta cnota...
Porwała się z oczyma roziskrzonymi pomimo łez.
— Milcz Pan! Ja tej cnoty nienawidzę...
Cofnął się, jakby zdumiony.
— Och! Odkąd że to?
Wybuchnęła bez okielzania.
— Od dawna! — zawołała. — Może od zawsze! Niewiem! Niewiem! Lecz to wiem jedno, że duszę się w tej masce, że poznałam, że zrozumiałam, iż dłużej mi w tej masce nie chodzić, bo skonom — skonom. Pan mi powie, „niech się pani uspokoi”. Ja to czuję na ustach pana, ale niech pan teraz żadnych komunałów nie mówi. Dostyc mam ich. Dostyc!...
Zbliżył się do niej. Osunął się na taburet, stojący naprzeciw niej. Przybrał postawę kogoś zaciekawionego. Patrzył na nią z natężeniem.
Była bardzo piękną i ta spowiedź zaczynała czynić z niej istotę wolną od wszelkiej pospolitości.
— Żyłam niemi — powtórzyła. — Stworzyłam sobie z tych komunałów religję, ucze-piłam się ich ołtarzy. Wyście przyszli! Wy, ludzie swobody i nieskrępowanych instynktów i rzuciliście się na mnie z całym pędem waszych pożądań, pasji, pragnień i namiętności!...
Urwała — odetchnęła ciężko i bezbronną rozwarła rękę.
— I otom jest wasza! Wasza! Wasza!...
Teraz już nie pospolitość odlatywała tylko od niej, lecz z głębi samych dobywać się zaczęły przedoskonałe przecucia piękności.
Halski doznał jakby olśnienia. Zesunął się w siebie, patrzył — na twarz mu szła po-wolna fala, jakby szacunku bezwolnego, nakazującego ciszę.
Ona mówiła dalej — rozmodlona w swej ekstazie, płomienna, iskrząca ustami — falą krwi — gorącym słów, ciała, drżenia rąk...
— Pan wiódł ten korowód rozkoszy ku mnie. Pan to w owej nocy, gdy w swawolnym geście chwycił mnie w ramiona — nie wiedział, że trzymasz w tej chwili przepelnioną do brzegu czarę swych zmysłów. Gdyby była tam, na dnie ciebie, *miłość* ku mnie, nie byłabym ci się wydarła z rąk — bo każdy puls bił ku tobie tętnem płomiennym i rozszalałem — ale była w tobie tylko swawola — chwilowe pożądanie.
Przyzwał na pomoc gwałtowność i odparł:
— To jedno — w takich chwilach niema miłości — jest tylko powód rozkosznych pragnień i uniesień!
Przerwała mu z nieopisanym smutkiem.
— Dla ciebie, dla was, którzy życie całe szliście w tym kierunku — ale ja jeszcze rozróżniałam, jeszcze się broniłam...
Załkała nagle bez łez — tem ciężej, tem boleśniej.
— Dziś — jestem bezbronna — nie walczę, poddaję się rozkoszy... poddaję się tobie.
Pochyliła się kornie — czarującą, kwiat rozkoszny oddający swój kielich — w tem półcieniu, jakby raczej wizja osunięta z mrocznych mgieł.
Halski porwał się z miejsca. Był to ruch bezwiedny — pęd płciowy — szarpnięcie się mimowolne.
I tak mało było szlachetności w tem czemś banalnym i przewidywanym, że wobec nieruchomej piękności gestu kobiety zamarło, jakby strącone anielskim ruchem skrzydeł.
Przeszedł mimo niej — nagle zwarty w sobie — przysunął się do okna i oparł czoło o szybę. Poza nim szmerzał głos korny Reny.
— Nie wiem nic ze świata waszego... nie znam nic... Jestem ślepa.
Pociągnęły go te słowa, kazały mu się odwrócić — podejść ku niej cichym krokiem nieufnego kota.

Spotkała się z jego wzrokiem, lecz była tak zbląkana, że nie rozumiała, o co mu będzie chodziło.

Instynktownie osunęła się znów na krzesło. Zakryła oczy.

Uczuła go ponad sobą. Pochylał się. Woń jego włosów, jego odzieży przepoiła ją.

— Więc istotnie — zapytał prawie szeptem — istotnie nie miałaś nigdy kochanka?

— Nigdy!

— Oprócz męża nie znałaś innego mężczyzny?

— Nie! Nie!

Triumfalnie, radośnie zabrzmiał jej głos. Sądziła, że tą czystością swoją podbija go i wiąże.

I gdy pochylony już tak, że spijał z jej ust oddech i chłonał w siebie iskrzenie się jej oczu — zapytał:

— Przysięgasz?

Odparła mu bez wahania, szeptem mniszeczki, ujawniającej czystość swego ciała w adoracji północnej.

— Przysięgam!

Oczekiwała ramion, ust, zwarcia się ciał...

Oderwał się od niej, jakby z żalem, z trudem.

Sądziła, iż jej nie wierzy. Szybko mówić zaczęła.

— Jestem szczerą, uwierz! — Czuję się jak dziecko i widzialnie zarysowuje się we mnie całe usposobienie moje obecne. Będziesz... pierwszym, który wprowadzi mnie w wasz świat, w świat upojen i szałów. Powiesz — przeszłam czar poślubnych chwil? — Nie! Stokroć razy — nie! Tamten człowiek — tamten strzep człowieka był tylko mrocznym złudzeniem, on to był przyczyną główną, bezsprzeczną, iż z obelgą na sercu cisnęłam się w walkę życia przeciw temu, co wy, wielcy, w miłości cudem zowiecie.

Łkanie jej odczuwało się znowu.

Łkanie bez łez, a raczej z podłożem śmiechu, w którym dźwięczały tony rozkosznych spazmów zamierających w ekstazie kobiet. Intuicją wiedziony rozegrał się jej organizm pieśnią o najmocniejszych i najwspanialszych dźwiękach. Pieśniarką była w tej chwili, genialną twórczynią hymnu, który zapiera się doczesności i wstępuje nagle w górne, prześwielne regiony.

— Ja czułam, wiedziałam, że to jest Cud, klękałam przed tą Cudownością — mówiła wśród łkań — w mej bieli dziewiczej — ale przed tą prawdą, bez dreszczów i bez celu — cofnęłam się w półtrupem. A przecież ja waszą formę miłości uznawałam za jedyną formę...

Umilkła, wyczerpana — prawie padająca. Cichym szeptem dodała:

— Oto jest spowiedź moja! Jestem gotowa iść za tobą... nie będę się więcej broniła...

I znów czekała napróżno. Halski milczał. Teraz on zasłonił oczy i oddychał ciężko.

Wyciągnęła ku niemu ręce, a potem ściągnęła je ku sobie, na swe piersi, jak dwa ptaki, które zbyt wcześnie wysłane zostały, jakoby dwa posły. Natrafiły miast pożądanego lasu purpurowego kwiecia, bijącego żarem — na lodową mgłę, zwartą i nieprzeniknioną.

Cofnęła się w drobiazgowość i z bolem zaczęła się doszukiwać w niej przyczyn.

— Milczysz! — zaczęła nieśmiało. — Czy jeszcze w głębi pana tkwi obraza za moje dziecinne, marne przechwałki...

Szybkim ruchem przeciął jej słowa.

— Nie krzywdź mnie posądzeniem, iż jeszcze we mnie gra jakaś drobiazgowość. To jest marne, żadne wobec tego, co się rozegrywa między nami w tej chwili.

Głos jego był zmieniony. Brzmiał surowo, z wielką przymieszką smutku.

Z radością wsłuchiwała się w jego słowa.

— Tak! tak! — zawołała w uniesieniu. — To wszystko nie istnieje, tylko moja miłość ku tobie, nic więcej. Ona trwała od tak dawna! Od tak dawna! Ja miałam inne myśli, ja się teraz przyznaję. Ja myślałam, że zdołam rozerwać moje małżeństwo — że... Ale dziś ja się na wszystko godzę — ja będę pana... kochanką! Ja będę! Będę pomiędzy temi pana kobietami, mnie wszystko już jedno! Wszystko jedno!

I z temi słowami osunęła się prawie na ziemię, w najwyższym, uczuciowym nieładzie i rozterce. Było to oddanie się tak zupełne, tak zdanie się na łaskę i niełaskę — takie za-

parcie się dobrowolne, ekstatyczne, sięgające największych głębin — iż więcej od kobiety nikt żądać nie mógł i nie śmiał.

Przed jakimś tronem, wszechwładztwem, jakąś siłą i przemocą padała w proch jej władza i rozścielała się całunem.

Czekała.

Lecz było to na próżno.

Halski błady, z twarzą zacienioną — prawie stary — podniósł się z miejsca i odsunął w cień.

— Powstań pani! — wyrzekł, nie patrząc na nią. — Powstań! Proszę! To są królewskie dary! Ja nie jestem ich godny.

Zaczęła szukać kontaktu jego oczu, nie znalazła — zmartwiała spytała zbielełymi ustami.

— Jakto? Dlaczego?

Opancerzył się surowością głosu. Wygnał z niego nawet naloty smutne.

— Pani mi przynosi zbyt wiele! — wyrzekł twardo. — Nieskazitelnosc swych uczuć, swych zmysłów. Jesteś tak piękną, jak tylko może być piękną kobieta w uniesieniu miłosnym. Co ja pani dam w zamian? Rutynę miłosnej ekstazy — wydoskonalenie w szkole miłosnej zmysłowości. Gdy przejdzie pani uniesienie i rozpętany głód wrażeń erotycznych, będzie pani miała do mnie żal straszny, że to tylko *przezemnie* zesłała pani ze swego tronu, na którym, bądź co bądź, z taką wyniosłością doskonałą trzymała się pani dotąd. I będzie mnie pani nienawidziła!

Porwała się z ziemi, wybiegła ku niemu.

— Nigdy!

Cofnął się jeszcze więcej, jakby w obronie.

— Będzie mnie pani nienawidziła — powtórzył z całą siłą. — Ja to wiem, ja to czuję, a ja tego nie chcę!

Przerwał mu krzyk Reny, nie krzyk, ale skowyt raczej, od głębin jej tak tajemnych, że aż groźnych.

— Pan mnie nie kocha!...

Zwinęła się cała, jakby skazana, zatraciła kształt, linję. Była jak kolumna na opuszczonej mogile.

On odegnał jej słowa, jak chmurę opadających go nagle motyli.

— Ja nie wiem! Nie wiem! Nie mogę zrozumieć jeszcze tego. To jedno już tylko wiem, że nie mogę znieść myśli, iż pani nienawidzi mnie kiedyś możesz...

Głucho mówił dalej:

— Niech kto inny podejmie się roli inicjatora. Ja nie mogę. Honor mi na to nie pozwala. Tak samo, jak honor nie pozwala mi uwodzić dziewczyny, tak samo nie pozwala mi uwieść kobietę, która ma nieskalaną opinię.

Z oczyma zamkniętymi — z wyrazem nieokreślonego cierpienia wyjękła:

— Och, przeklęte to wszystko... przeklęte.

Wyciągnął ku niej drżącą rękę.

— Błagam panią! Niech pani nie utrudnia mi sytuacji. Muszę być prawie w tej chwili bohaterem... Jesteś pani cudowna... powab idzie od ciebie, garnie mnie, a ja muszę być od ciebie zdaleka. Wierz mi, na to potrzeba wielkiej siły woli...

Podniosła powieki i spojrzała na niego. Błady był, wyczerpany — a oczy miał wielkie, świetliste — żyjące. I przejął ją nawskróś rozpalony ból pragnienia, aby za cenę bodaj życia należeć do tego właśnie człowieka, gdyż sądziła, iż on jeden — jeden tylko potrafi wydobyć u niej ukojenie zupełne.

I razem z tem pragnieniem powstało w niej postanowienie dojścia do tego posiadania jakkolwiek drogą.

Zamajaczyły, zakłębiły się jakieś myśli.

Otarła oczy.

— Chwilę jeszcze... — wyrzekła twardym już, chropawym głosem. — Gdybym nie była bez skazy, lecz taką, jak... te inne — te pana kochanki, te... wyszkolone, które przeszły przez ręce nie jedne — słowem, gdybym miała już innych kochanków — nie wahałbyś się pan?

Rzucił się ku niej jakimś konwulsyjnym drgnieniem, choć pozostał na miejscu.

— Ani na chwilę!

— I nie miałbyś do mnie obrzydzenia!

— Nigdy!

Zawirowało, zakłębiło się od pasji, od nerwowej namiętności, możliwej pomiędzy tymi dwojgiem ludzi. Z poza zaciśniętych zębów — skurczonych rąk, szalały pragnienia i wymieniały się — tem silniejsze, gorętsze, że z oddali, że wstrzymywane na uwięzi. Bez słów, cali w oczach — w oddechach, tonęli w sobie i mdleli w niedokończonych spazmach, które ich od szczęk, wzdłuż pleców przesywały.

Była to minuta straszego wtajemniczenia się w siebie samych, porozumienia się i położenia z oddali piętna posiadania. Cała pasja miłości i nienawiści dwóch płci ujawniła się w tej minucie, szczególnie w zwarciu się uczuciwem żrenic i we wrogim skurczu szczęk, pragnących ssac ciało, krew — jednoczyć się tą krwią i triumfować bolem, wyrrywającym krzyk z piersi przeciwnika.

Pierwsza ocknęła się Rena. Z ciężkiem westchnieniem wydarła się z płomieni, którymi dyszała. Wyprostowała się — odetchnęła — otarła pot z czoła. — Twarz jej zmieniła się. Z rozplamionej pasją stała się jakby nagle przetworzona w uosobienie kamiennej woli.

Zmiana ta była tak widoczna, iż Halski mimowoli zapytał:

— Co pani postanowiłaś?

Odparła, zabierając się do odejścia:

— Nic! Potrzebuję tylko być samą, uspokoić się...

Postąpił za nią ku drzwiom.

Odwróciła się i ogarnęła szybko przestrzeń całego mieszkania.

— Tak! Miałaś pan rację! — wyrzekła. — To zbyt królewski dar... Żegnaj pana, a raczej do widzenia!...

Gdy ujrzał ją naprawdę odchodzącą, porwał go żal za utratą tak wielkiej, pięknej rozkoszy. Wyciągnął ku niej ręce — lecz ona cofnęła się dawnym swoim, królewskim gestem.

— Nie tak! Nie tak! — rzuciła.

Przez myśl mu przemknęło, iż ma w projekcie znów jedynie małżeństwo.

I pierwszy raz — nie zraziła go tem, nie odepchnęła — przeciwnie, był jej wdzięczny za to wstąpienie znów na stopnie ołtarza nieskazitelności.

Spojrzał uważnie w jej oczy. Nie było w nich chuci — był natomiast jakiś z determinacją połączony smutek. — Owiał go także. — I nagle jakaś cisza, dobro, ukojenie przemknęło się pomiędzy niemi.

— Do widzenia! — padło z jej strony, jakby ciche i niewyraźne.

I gdy już niknęła w fałdach portjery, wyłoniła się jeszcze ze złocistych opon.

— Uściskaj mnie pan możesz! — doleciało doń, jakby obcym wymówione głosem.

Czuł, że jeśli zezwała mu na ten uścisk, to instynktem przedziwnym zrozumiała, iż odnalazł w sobie dość spokoju, aby na ten uścisk pozwolić. Zagarnął ją w ramiona, przytulną i swoją. Lecz szybko linja giętka jej pleców zaczęła mu ożywać pod rękami i dawać znać o istnieniu ciała. Za chwilę przywarli do siebie ustami, całym ciałem i zamienili się w strugi prądów, wymieniających się wzajemnie.

— Ty! Ty! — padło z jego ust zaciśniętych.

Ukąsiła go nagle do krwi w dolną wargę i przy tem zwinęła ruchem żmiji. — Wysunęła mu się z rąk, jakby podcięta szpicrutą — zawahała się u progu — i znikła, rzuciwszy w świecie charczącego oddechu:

— Do widzenia!

XXII

Do domu biegła silnym, pewnym krokiem.

— Tak! — myślała. — Zrobię tak! W ten sposób jedynie mogę go osiąść!

Wzdrygnęła się gdzieś w dali.

— Posiąść? — Ja, mężczyznę?

I natychmiast usprawiedliwiała się.

— Tak... mężczyznę, ale nie jego! Nie takiego jego!

Usprawiedliwiała najzupełniej teraz już te kobiety, które żyły z nim poprzednio.

— Tak, nie mogły uczynić inaczej... musiały. Bezkarnie nie można być w jego objęciach. Cóż dziwnego, że one padały! Nieszczęsne! Skoro ja...
 Histerycznie była teraz podrażniona.
 — Skoro ja... — dodała — na wszystko jestem gotowa.
 Jakiś smukły cień zamajaczył na trotuarze w pobliżu jej domu.
 Był to Kaswin.
 — Szedłem właśnie do pani! — pozdrowił ją szykownie.
 Zatrzymała się i ogarnęła ją obłądne drżenie. Patrzyła na to młode chłopię i myślała:
 — Może... może...
 Nagle zdecydował ją łagodny ton mowy „małego”.
 — Nie mogę już żyć bez pani!
 Czowała błąd — wykrzywienie się linii jej postępków — czuła, że powinna zatrzymać się, namyśleć — ochłonać.
 Lecz „pasja” kładła jej bielmo na oczy, szumem wypełniała uszy, nie dozwalała na nic, coby granicyło z jakąkolwiek logiką.
 Z poza zaciśniętych zębów rzuciła:
 — Mały! Weź mnie dziś na kolację!
 Rozpromienił się nagle — rozjaśnił.
 — Co?... Renuziu? Ty chciałabyś spędzić ten wieczór ze mną?
 Wstrząsnęła się, po tonie jego poznała, iż nie zrozumiał.
 — Chcę... ale spędzić inaczej! — zawołała. — Inaczej...
 — ?...
 — Po waszemu!
 — Jak?... Gdzie?
 Zaczęła podniecać się coraz więcej gorączkowo.
 — A to już twoja rzecz, panie mężczyzno, i to mężczyzno zakochany we mnie. Prowadź mnie, gdzie jest wolno wejść ludźmi obcymi, a wyjść kochankami!
 Aż cisnął się, jak małe zwierzątko, radośnie usposobione.
 — Reno? Ty mnie kochasz! — wykrzyknął z pewnym rodzajem dziecięcego patosu, który przecież był szczerą prawdą.
 Ona roześmiała się.
 W półcieniu ulicznym śmiech ten miał fatalny wyraz.
 — Ja?... — krzyknęła.
 I zaraz dorzuciła, jakby plując słowa:
 — Czekaj... coś ci powiem, coś z waszej szkoły — co posłyszałam sama przed chwilą...
 Urwała.
 — Albo nic! Nic! Chodźmy!
 Kaswin nagle ją zatrzymał.
 — A! To niemożliwe! — wyszeptał zasmucony.
 — Dlaczego? — zawołała. — Idźmy naprzód, tam gdzie gra fałszywa muzyka i drapie nerwy, gdzie kelner z lepkiemi rękami przynosi szampana — gdzie wy czerpicie odwagę, aby się następnie tarzać w błocie. No, dalej... jedźmy tam!
 — To niemożliwe.
 — Dlaczego?
 Usta mu się złożyły w podkówkę.
 — Bo... bo... to przed pierwszym, a ja nie mam pieniędzy.
 Ogarnęła ją rozpaczliwa wesołość.
 — Co? Tak?... Cudownie!
 Z woreczka dobyte portmonetkę.
 — Oto masz... moje, twoje, wszystko jedno.
 Tak drżał z radosnej żądzy i posiadania wreszcie tej kobiety.
 — Tak! Tak! Ja ci oddam!
 Schował portmonetkę. Byłaby go uściskała za tę szpetność. Nic jej nie wytrącało ze szpetoty, w którą sama brnęła. Gdyby w Kaswinie zrodził się lepszy odruch, byłby ją może opamiętał.
 — Chodźmy!

Podbiegli do stacji dorożek. Nagle przed kamienicę, w której mieszkała Rena, zjechała cicho dorożka. Wysiadł z niej mężczyzna wysoki, ciemno odziany, dziwny. Jakoś szedł inaczej, niż wszyscy. Bardziej miękko, cicho, niezawisłe. Sunął cieniem, bez cienia wszakże, jakby lękał się, że w ten sposób zbyt wiele miejsca na ziemi zabierze. I miał postać tego, który coś ściga, coś goni — coś niewidzialnego dla wszystkich, dla niego jednego dostępnego.

Wywiała go oślizgła czern nocna — zjawił się — przemknął czarną strugą i zniknął, jakby włócząc ciemnymi, złamanymi skrzydłami po ziemi.

XXIII

Na węzłowie tradycyjnego szezłagu opadła głowa Reny. Usta jej rozwarły się — biel zębów błyska. Nieporządek ubrania, bezwład ciała świadczy, iż stało się to nieuniknione — stało się w najfatalniejszy i zgubny dla niej sposób. Charakterystyczny upadek całej postaci, jakby zupełnie pozbawionej siły życiowej, jakby starganej i unicestwionej u samego źródła, czyni ją podobną do tragicznej lalki, którą swawola dziecka podarłszy na strzępy, pozbawiła trocin, stanowiących naśladownictwo mięśni, kości i nerwów. W poprzek, na jej martwo wyciągniętych, nieruchomych trupio nogach, nasycony, znużony Kaswin. Dziecięco radośnie uśmiechnięte usta — bezmyślne oczy — ręce, drgające jeszcze konwulsyjnie.

Jaskrawe, fatalne oświetlenie elektryczne... resztki pozornej kolacji, trochę wina w kieliszku. Reny kieliszek nietknięty. Pijana była sobą samą i tem, co się w niej działo. Po stanowieniem swoim.

Niczem więcej.

Z oddali jakaś muzyka, jakieś *Czornyja oczy* — trochę gwaru, ale tępego, niewyraźnego. Nic, coby wryło się w pamięć stalowemi, rozpalonemi zgłoskami.

Tylko twarz Reny tak zmieniona, iż każdegoby przejęła rozpaczliwym zdumieniem. W jednej chwili maska starości zmysłowej przywarła się, zwłaszcza do jej ust i oczu. To się nie da określić takiej zmiany, która przetwarza w jednej chwili istotę rzeczywistej piękności kobiety. Na to trzeba bardzo wzgardliwego czynu, graniczącego z rozpustą, aby po akcie miłosnym, zamiast anielskiego wypięknienia bezpośrednio z głębin najtajniejszych wydobywały się jakieś szpetoty i szły bezlitośnie, niszcząc to, co mogło porywać urokiem i powabem.

Wzrok taki, opadnięcie ust, skalane i dziwne, dostrzedz można na twarzy ludzi, powracających po zbrodni w domowe schronisko. Ukosem, czernią, patrzą poza siebie, wlokąc się jakby z przegniłym powrozem u szyi. Czegoś czekają, na coś patrzą, sami nie wiedzą, co popełnili.

Tylko to jedno wiedzą, iż nie wracają ci sami — że już nigdy nie będą tymi, którzy nie byli im nigdy wstręt — a zawsze święci!

I teraz poznali największą torturę, na jaką się zdobyć mogli — poznali wstręt do samego siebie.

*

Tej nocy Rena poznała wstręt do samej siebie. Ten wstręt istotny i już niepokonany. Czuli, widzieli, że to pozostanie w niej niewyrwane niczem, że musi pozostać i wiecznie będzie.

I w myśli tej skostniała, jak trup żywy, a mimo to umarły.

*

Porwał się nagle Kaswin i radośnie przypadł do niej.

— Dzięki! Dzięki!

Patrzyła na niego obojętnie. On nie miał dla niej znaczenia. Nie istniał.

Tylko był czyn — ten niewypleniony Czyn!...

Powlokła się z szezlonga.

— Zapłać! Chodźmy!...

Patrzyła w lustrze, jak ciskał napiwki kelnerowi, i ogarnęło ją straszne przerażenie. Zupełnie inaczej przypuszczała, że będzie odczuwała nastrój swój w chwilę po oddaniu się Kaswinowi. Ponieważ uczyniła to dlatego, aby mózgi powiedzieć Halskiemu: „nie jesteś tym, którego będę nienawidzić, bo jest ten inny”... sądziła, iż cała jej istota rwać się teraz będzie ku tej miłości, dla której nie wahała się skazać szpetnie.

Lecz — oto działa się rzecz nieprzewidziana.

Gdyby teraz stanął przed nią Halski i ujrzał ją na tem miejscu i w towarzystwie Kaswina, oszalałby z jakiejś grozy i trwogi. Cel, do którego dążyła, zdawał się jej jakąś mściwością przepojony i nieubłagany.

Bez słowa wyszła pierwsza z restauracji. Za sobą słyszała dreptanie lakierków Kaswina. Gdy uchylał przed nią ciężkie odrzwia, mignęła jego biała ręka, na której z pod mankietu złocił się wążuchny łańcuszek bransoletki. Ten śmieszny szczegółik drażnił ją dawniej do szaleństwa. W tej chwili spotkał się z jej obojętnością. Było to drobne, a przecież zastanowiło ją.

— Jakby mnie ujął! — pomyślała.

I łagodnie, bez nienawiści usunęła go od dorożki, do której chciał wsiąść z nią razem.

— Pozwól pan! Pojadę sama.

W świetle latarni twarzyczka młodzieńca okazała szczere zmartwienie.

— Renusiu! Dlaczego?

— Chcę być sama!

Nadała pewną stanowczość swemu głosowi. Pokornie posłuchał.

— Dobrze!

Wsunął jej w rękę portmonetkę, którą mu dała poprzednio.

I ten szczegół, zamiast ją przejąć odmiennem uczuciem — ujął ją.

— Dobranoc!

Wpiął się na stopień powozu.

— Dobranoc!

Szukał jej ust. Nie odmówiła mu.

Podawała je — choć martwe.

— Dobranoc!

Rozjechali się. Za kilka minut Rena weszła do kamienicy, w której mieszkała. Miała ciągle pustkę pod czaszką.

— Nie wiem nic! Nic! — myślała. — Ach, o niczem myśleć nie chcę... nie mogę!...

*

Zadzwonila i zdziwila się, że natychmiast jej otworzono. Przedpokój był otworzony. Pokojowa ubrana.

— Nie śpicie? — zapytała, dziwiąc się dźwiękowi swego głosu.

— Tu jest ktoś, kto czeka na panią — odparła służąca, zdejmując z niej płaszcz.

Cisnęła się cała strwożona. Jedna myśl ją przejęła: To Halski! — I równocześnie pragnienie ucieczki — ucieczki za jakąś cenę.

Służąca złożyła ręce.

— Proszę Jaśnie pani się nie martwić, to już tak Pan Bóg chciał.

Zatrzymała się, nie rozumiejąc.

— A ten mówił, że mu Jaśnie Pani kazała czekać!...

— Ja?

— Tak — jest w salonie już ze dwie godziny.

Otwiera drzwi i Rena zdaleka widzi jakąś nieznaną postać, siedzącą na tle draperji, zasłaniających drzwi sypialni.

— Nie Halski!

Wchodzi do pokoju. Służąca cofnęła się i zamknęła drzwi. Boczna lampka elektryczna, matowa, rzuca ukośne światło na siedzącego nieruchomo człowieka, który, z głową opuszczoną, na piersiach, spał.

Skurczony był i zebrany w sobie. Tylko ręce długie, białe, ułożył na kolanach formą, jaką układają ręce spensjonowani urzędnicy, skromni księża — lub nawykli do poczekalni lekarskich chorzy. Głowa, silnie spuszczone, dawała mało dostrzegać trójkątnej,

widmowej twarzy. Była ona Hoffmanowska, coś z poza silnie zamurowanej ściany — twarz o lotnych spojrzeniach upiora, lub opuszczeniu powiek cmentarnego anioła.

Nie był tu człowiek już zupełnie z tego świata. Był on jakby częścią, jakby przedblaskiem czegoś, co ma być wyjaśnieniem naszym, a mimo to staje się zapadaniem w jeszcze większą grozę i czerni.

Powiało odeń trupem i śmiercią.

Na tle białych draperyj przypadł jak zwinięty, skulony nietoperz.

Rena wpatrzała się weń uparcie.

Chłonęła go po prostu. Wydarł ją z apatji, istniał niezaprzeczonej, mimo widmowego piętna. Istnieniem tem i ją do istnienia zmuszał.

Wyczuł jej wzrok. Otworzył oczy. Chwilę patrzył w nią zuchwale jakoś, wyzywająco. Miał wielkie, szare źrenice. Jakby ją ogarniał i jakby widział jeszcze coś poza nią.

Lecz przygasił w sobie ten wzrok i podniósł się uniżonym gestem.

— Łaskawa pani raczy wybaczyć, że ośmieliłem się...

Mówił cicho — dziwnie cicho — specjalnym sciszeniem.

— Kto pan?

— Przedsiębiorstwo pogrzebowe przysłało mnie. Lękałem się, że mnie uprzedzą konkurenci, więc użyłem fortelu.

— Przedsiębiorstwo pogrzebowe?...

Na twarz Reny wystąpiła gwałtowna bladeść. Zapomniała, iż może być związana jakkolwiek z ludźmi, którzy umierają, których kładą do trumien, którym się kupuje groby...

— Pan? Dlaczego do mnie?...

— Ach! Łaskawa pani nie wie?

— O czym?

— W sanatorjum mówiono mi, iż zawiadomiono nad wieczorem łaskawą panią o śmierci jej małżonka!

— Umarł?

— Po obiedzie. Były to jakieś wrzody mózgowe... przyczyniły się rozmaite inne powody...

Zapadła długa cisza.

Nie modlił się w tej ciszy nikt — nie lkał nikt — nie prosił zmiłowania, ani spoczynku.

Coś było więcej, niż żalobnego, coś więcej, niż biło w dzwony cmentarne.

Była wielka lodowa pustka. Była nicość...

Groteskowa figura agenta przedsiębiorstwa pogrzebowego traciła swe charakterystyczne cechy.

Był sługą Nicości — był odźwiernym nieogrodzonej lodowej pustki, cmentarzyska, z którego mur rozsypał się w gruzy.

— Pan niech odejdzie!... — wyrzekła wreszcie Rena.

— Odchodzę! I polecam się, „Concordia” — stara, dawna firma...

Zgiął się.

— Proszę mi nie brać za złe... obowiązek...

I już go nie było.

Rena odetchnęła ciężko...

Otwarto drzwi jej kraty. Skończyło się jej małżeństwo.

I po co były te przysięgi krzywe, te wstrząsania nią w jej wierzeniach, te obalania jej ołtarzy?

Tak cicho, łatwo zakończyło się to wszystko.

Umarł!

Niemniej była jego własnością. Tulił ją do siebie, należała ciałem do tej już poczynającej się zgnilizny.

Tak łatwo przecież rozwiązało się to wszystko.

Tak cicho, tak grzecznie...

To samo mogło nastąpić teraz z Kaswinem, z Halskim...

Całe upędzenie się zbyteczne, niepotrzebne, teatr prowincjonalny, który buduje świątynie z polatanych prześcieradeł.

W poprzek jej sypialni jakby czarna smuga — nieruchoma.

I tonące w nią stopami widmo z opuszczoną na piersi głową, tak, że widać tylko biel czoła i szczotki brwi, ściągniętych w jedną, upartą linię.

Rena usiadła na fotelu.

Nie miała odwagi wejść do sypialni. Nie chciała pozostać w niej sama ze swoim ciałem, które zdało się jej w tej chwili szalenie powleczone szatą, wykrojoną z trupiego całunu.

Oddawanie się jej zmarłemu, a teraz Kaswinowi, zaczynało identyfikować się w jej umyśle i nerwach.

— Już nie wiem, który, nie wiem nic... nic...

Chciała wydobyć jakiś pierwiastek czystości, coś, coby ją obroniło przeciw bezmiernej nienawiści, która w niej wzrosła, do niej samej.

— Kochasz przecie... kochasz! — powtarzać sobie zaczęła rozpaczliwie.

Lecz takie drobne, takie żadne stało się jej to słowo. Nie niosło nic w żadnym kierunku.

Walczyć już nie mogła — ogarnęła ją lodowa próżnia.

Zwaliała się głową na bezwładnie opartą o poręcz rękę...

I — twardo, zwierzęco — zasnęła.

XXIV

Bardzo wcześnie obudził ją zapach kwiatów. Służąca przносиła przez salon śliczny, ogromny kosz różowego kwiecia. Słońce poprzez niespuszczone story oświecało dziewczynę złotym blaskiem.

Było to ładne i bardzo żyjące.

Widząc budzącą się Renę — dziewczyna zatrzymała się.

— Jaśnie pani śpi tak niewygodnie. Ale wolałam, żeby się Jaśnie pani nie budziła. W zmartwieniu najlepszy sen.

Chwilę Rena poświęciła na opamiętanie się. Wiedziała, że jest wdową i to wiedziała najdokładniej. Pozatem zwała się na nią brutalnie myśl o Halskim i Kaswinie. Był tu jednak dziwny postęp.

Myślała — „ci obaj”.

Teraz już nie rozróżniała ich.

Byli po prostu i tylko „ci obaj”.

Leniwym gestem objęła Rena w posiadanie swą sypialnię. Lecz przywitała ją z pewną ulgą i zadowoleniem.

— Całe szczęście, że nie tu! — wyrzekła w duchu, obrzucając wzrokiem wnętrze cichego i składnego pokoju.

Wsunęła się pokojowa.

— Kwiaty zostawiłam w salonie! — zaanonsowała. — A kąpiel gotowa.

— Dzięki Bogu!

Szybko pomknęła Rena do łazienki. Gdy zanurzyła się w wodę, pachnącą benzoeseem, radośnie zaśmiała się. Dawno, a może nigdy w życiu nie czuła takiej ulgi, jakiejś takiej ciszy w sobie, takiego uspokojenia. To znużenie, które czuła w całym ciele, nie męczyło jej. Przeciwnie, miało w sobie coś ze słodkich upojeń. Życie zaczęło ją wabić, ciało jej zdawało się jej dziwnie piękne. Pokochała je. Wstręt, który miała do siebie w pierwszej chwili, zniknął. Przeciwnie, nastąpiła jakaś wdzięczność. Wysunęła z wody zaróżowione ramię i ucałowała je z rozkoszą.

— Droga! Kochana! — wyszeptała do siebie pieszczonym głosem.

Weszła pokojowa z pantofelkami.

— Jaśnie pani dziś ślicznie wygląda!

Sięgnęła na ścianę po ręczne lustro.

— Proszę spojrzeć!

Rena ujrzała przede wszystkim blask dziwny swych oczu — innych — jakby przetworzonych. Nie paliły się chorobliwie gorączką, lecz płonęły równo, wyraźnie — jakby zapalone od głębi normalnym światłem.

Przetworzenie, a raczej wypięknienie jej twarzy od oczu obejmowało całość rysów zdrobniałych, delikatnych tem, co Francuzi nazywają *affinés*. Koło ust przeważnie wystąpił jakiś cień rozkoszy — jakiś półuśmiech warg — jakby nagle dojrzałych i nabrzmiąłych...

Rena wpatrzyła się w swoje odbicie w lustrze z uwagą. Ten wyraz ust, to światło oczu, tę lunę spokoju widziała już, jakkolwiek nie na swojej twarzy.

I z pomroków niepamięci wyrwało się ku niej jedno nazwisko:
— Weychertowa!

Tak jest. Niedawno kochanka Halskiego, po nocy miłosnej, przyniosła do niej jak różę świeżo rozkwitłą taką twarz wypięknioną. Rena przypomniała sobie, jak z chciwością szukała wtedy na twarzy tej kobiety upodlających dowodów rozpusty i jakie zdziwienie ogarnęło ją na dowód jawny i otwarty, że jest zupełnie przeciwnie.

Lecz jeszcze coś więcej przejęło ją zdziwieniem.

Oto na myśl o Weychertowej i stosunku jej do Halskiego nie odczuła zupełnie dawnej furji, która szarpała jej serce na strzępy. Przeciwnie — wyciągnęła się w wannie i uśmiechnęła się.

Bardzo leciuchno, ale się uśmiechnęła.

*

Zadzwoniono u drzwi.

Rena porwała się z wanny — usłyszała głos Halskiego.

To było nieprzewidziane. Czuli, iż coś „z tem wszystkim musi zrobić”, ale nie chciała ani tak prędko, ani tak nagle. Odwołała pokojową.

— Słuchaj! — wyrzekła. — Powiedz panu profesorowi, iż go przyjąć nie mogę... bo... pan — mąż mój — umarł i...

— Dobrze!

— Powiedz, że później...

— Jutro?

— Może!...

Wróciła do wanny i znów z rozkoszą wyciągnęła się. Ziewnęła przy tem.

— Niech sobie!... — powtórzyła bezmyślnie.

Gdy w kwadrans później, okryta peniuarem, usiadła do śniadania, przeraziła się nadzwyczajnym apetytem, z jakim pochłaniać zaczęła grzanki, masło, herbatę. Upomniała się o trochę szynki i jakie dobre ciastko. Przeczytała poranne dzienniki, donoszące o jakimś samobójstwie z miłości.

— To niema sensu! — zaopinjowała. — To niema zupełnie sensu.

Najadłszy się, zaczęła troszczyć się kwestją żaloby. Nie wiedziała, czy ma ją nosić, czy nie.

— Będzie to zależeć od tego, czy mi będzie w niej do twarzy... Sądzę jednak, że — tak!

Zadzwiećwał znów dzwonek.

— Pan Kaswin!

Przymknęła oczy. Na chwilę nie doznała niesmaku, lecz równocześnie i pragnienia ponowienia się wrażeń.

Niedoświadczona — sądziła, że jest to dowód, iż „już”.

Nie wiedziała, że jest to zwykle „jeszcze”...

— Nie! — wyrzekła. — Nie chcę... powiedz... albo... zresztą powiedz, co chcesz — bylebym miała spokój!

— Czy mam powiedzieć o śmierci pana?

— Nie! Temu nie!

Wysłuchała się w zamykające się drzwi za Kaswinem. Ułożyła się wygodnie na szelągu — okryła pledem.

Dzień był rozkoszny, lecz trochę chłodny. Dreszcze przebiegły jej ciało. Miłe jej były dziwnie i przytulne.

— Dobrze mi!...

Myśl o żalobie przywiodła jej przypomnienie zmarłego. Lecz znów nastąpiła rzecz dziwna.

Obok trupa zjawiły się sylwetki Halskiego i Kaswina.
Jakaś ścisłość, solidarność zaczynała łączyć te trzy postacie.
— Nic dziwnego! — wytłumaczyła sobie spokojnie — do dwóch tych ludzi należam, do trzeciego należeć pragnę.
I nagle gestem, prawie dziecinnym, wyciągnęła ręce.
— Jeszcze? Po co?...

*

Zaczynała bowiem odczuwać, że są dwa rodzaje mężczyzn. Oto ci, którzy kobiecie dają rozkosz, lub ci, którzy tę rozkosz biorą, nic w zamian nie dając.

Czem Halski mógł się okazać w chwili erotycznego dreszczu? Czy tem samym obojętnym — czem był dla niej Bohusz? Wprawdzie inne kobiety szalały. Lecz i za Bohuszem inne kobiety szalały.

— To były inne!... — myślała uważnie. — Widocznie, że absolutnie zależy to od cech indywidualnych.

Mignęły jej przez myśl przedsmaki upojeń, doznanych w zbliżeniach się do Halskiego.

— Tak! — myślała — lecz przypomnij sobie także, iż straciłaś świadomość dreszczów erotycznych, gdy cię twój mąż pierwszy raz jako narzeczony pocałował. Takie próbne historie niczego nie dowodzą...

Zaszyła się w pled i zaczęła pilnie, skrzętnie badać samą siebie.

— Ani na chwilę nie wprowadzałam Halskiego pod jeden dach ze mną — myślała — nic a nic nie ciągnęło mnie do słodkiego pożycia dwojga ludzi, które rzeczywiście „pożyciem” nazwać można. Wszystko się we mnie szarpało, płonęło. Nigdy nie było pragnienia cichych, dobrych, łagodnych chwil. Może tam coś... dawniej, gdy chciałam... wydać się za niego, ale i to miało raczej chęci powierzchownego, światowego, usankcjonowanego połączenia — ale to, co tam nazywają na świecie zżyciem się duchowem? Ha, ha!...

Zaczęła się śmiać nagle i to nawet szczerze.

— Z nim, przy nim — i myśląc o nim, o jednej tylko sprawie myśleć można było, o zadowoleniu cielesnym. Tak on jakoś wszystko sprowadzał do tego jednego mianownika. Doprawdy!

Przypomniały się jej czasy narzeczeństwa. Chłodno, zimno — przyznała, że Bohusz dawał jej masę złudzeń na przyszłość, właśnie w kierunku domowego i duchowego połączenia.

— Że nie dotrzymał, to wina losu, może jego — może... moja.

Usiadła — objęła rękami kolana, w pozie zasmuconej wdowy.

— Zły nie był znów tak bardzo — myślała łaskawie — trzeba mu będzie dać jakie kwiaty, naturalnie bez napisu.

Opanowała ją nieposkromiona wesołość.

— A gdyby tak wiecheć jak snop i szarfy — z napisem — nieutulona w żalu żona...

Tableau!

Wracała jej swoboda myśli i ciała, pierwotna, dziecięca. Była jakby splukana ciepłym, wiosennym deszczem. Jakieś przyszłości barwne tęczowo, motyło wirowały w oddali. Lecz nic w tej przyszłości nie było z barw teraźniejszych, znanych.

Witała ten fakt z wielką radością. Ciekawość ją garnęła ku sobie.

— Co będzie teraz? Co będzie?...

*

Zajączkał dzwonek — rozkokotał się głupio, bez sensu.

— Masz... kogoś niesie — pomyślała trywialnie.

Wpadła pokojowa.

— Pan Halski — i bardzo prosi, aby pani przyjęła na chwilę.

Skrzywiła się i uśmiechnęła.

— Proś do salonu!

Przeszła mimo lustra i nie poprawiła włosów, nie upudrowała się.

— Ho! ho!... — pomyślała, konstatując ten fakt z pewnego rodzaju respektem dla samej siebie.

W salonie zastała Halskiego. Stał na środku, trzymając w ręku panamę.

Odrzucała, że był wyjątkowo źle ubrany. Miał garnitur z surowego jedwabiu, widocznie źle wyprany w chemicznej pralni. Spodnie były za krótkie i piły się ku górze, to samo i rękawy. Kamizelka marszczyła się — kołnierz tworzył chomonto. W dodatku Halski miał wygląd człowieka, który jest jakiś niepewny siebie i strawiony gorączką. To wszystko nie trzymało się razem i osłabiało wrażenie.

Odrzucała zdanie:

— Pani jest wdową?

Skinęła głową.

— Od kiedy?

— Od wczoraj wieczora.

— A gdy pani była u mnie, czy wiedziała już pani o tem?

Wyprostowała się dumnie.

— Co za pytanie? Gdybym wiedziała, czyż byłabym u pana?

Spojrzał na nią trochę zdumiony, trochę zderutowany.

Nastąpiła chwila milczenia.

Nie prosiła go siedzieć. Stała w oddaleniu i jakby obca.

On podjął nareszcie:

— Życie pani teraz zapewne ulegnie zmianie. Jest pani wolną, przyszłość przed panią.

Zrobiła niewyraźny gest ręką. Trochę ją to gniewało, iż on mówi o tej przyszłości.

— Życie jest wielkim względem pani dłużnikiem — ciągnął dalej. — Winno jest pani wielkie odszkodowanie. Całą moc radości dozwolonej, cichej i spokojnej, do której ma właśnie prawo.

Rena skrzywiła usta.

— Tego mi przecież małżeństwo nie da.

Zaprzeczył żywo.

— Tylko małżeństwo! Tylko małżeństwo!

— Nie! — krzyknęła z ironją — tak, jak pan mówił dawniej — tylko miłość bujna, swobodna bez pęt — bez ograniczeń...

Wpatrzył się w nią smutno.

— Do tej nie masz pani dość tchu — wyrzekł powoli — a za dużo masz kultury serca i ducha. A przytem pani przeszłaś taki czyściec na erotycznym szlaku, że możesz sięgnąć po najwyższe wartości życiowe w tym kierunku — *po miłość jednego człowieka*.

Zaczęła podśmiewać się cicho.

— Czy to dla pana jest najwyższą wartością miłosną?

— Tak! — zawołał. — Tak!

— Mówiłeś inaczej.

— Lecz w głębi duszy miałem zawsze tę tęsknotę do życia się z jedną tylko kobietą. Lecz nie łatwo mi było spotkać taką kobietę. Musiałem brać, co było pod ręką — istoty pełne dreszczów, wywołanych przez innych mężczyzn, o których, kto wie, myślały może, będąc w moich objęciach. I odrzucałem je po jakimś czasie, bo marzeniem mojem było stopić ciało mej kochanki i przesączyć w moją krew — ale jako element czysty, doskonały i bez skazy — rozumiesz, Reno! — bez skazy!

Chmurna jakaś i gniewna osunęła się na obok stojące krzesło.

— Rozumiem! — odrzekła — mnie pierwszy mężczyzna, który mnie inicjował w świat zmysłów, nauczył pogardzać zmysłami. Pana pańskie kochanki nauczyły pogardzać miłością.

— I dały mi już teraz przesyt tej pogardy... Ach! Czuję zbliżającą się ku mnie melancholję tych, którzy żyli dla zmysłów...

Rena wbiła w niego niechętnie oczy. Wydawał się jej śmieszny, taki melancholijny w swym źle wypranym garniturze. Szarpało ją niepokojem. Zrozumieć się, pojąć nie mogła. Czy ona to kilkanaście godzin temu wisiła u jego ust, drżąca i gotowa na wszystko dla jego uścisku?

Czy ona?

Zbliżył się do niej jakiś uroczysty, zmieniony. Dostrzegła znów, że miał na włosach trochę łupieżu. To go dobiło. Usiadł naprzeciw niej — patrzył w nią melancholijnie. Spodnie podniosły się jeszcze wyżej. Szczęściem skarpetki miał ładne, ale te już go uratować nie mogły.

On mówił tymczasem:

— Przez tę noc dzisiejszą, przez tę chwilę, którą obecnie przeżywamy, przemyślałem tyle, odrzuciłem tyle z mych negacji, obaliłem swoje dawne ołtarze — zbliżyłem się do twoich wierzeń, do twej czystej, prymitywnej piękności dziecięcej, że po prostu roztopił się we mnie lód, który mnie otaczał.

Pochylił się prawie do stóp Reny.

— Reno! Bądź moją kochanką!

Zamknęła czempredziej oczy, aby go nie widzieć, aby tylko odczuć wewnętrzne wrażenia, jakie te słowa na nią czyniły.

Zawrzało w niej wszystko. Jakaś groza, ból.

— Pragnęłam tego! — wyszeptwała w przestrzeń — nie było szaleństwa, którego byłabym nie popełniła, aby ten cel osiągnąć.

Już był przy niej — u jej kolan — tulił głowę do niej.

— Poświęć mi całą przyszłość! — wyszeptał — *bądź żoną moją!*

Z długim, bolesnym krzykiem skoczyła, odtrącając go od siebie.

— Nie! Nigdy!...

— Dlaczego?

Zamilkła. I przed sobą samą usprawiedliwiać się zaczęła w myśli. Nie chciała być jego żoną, bo oddawszy się Kaswinowi, nie była już tą bez skazy, za jaką on być ją mienił.

Lecz tam, w głębi jej organizmu, tkwiła inna przyczyna.

W zbliżeniu Halski stracił nad nią władzę. Obecnie było w niej głucho. Nie reagowała. Nie wibrowało w niej już nic...

Szeroko rozwartymi oczyma wpisa się teraz w niego.

Zrozumiała — nie był dla niej niebezpieczny. To, co gnało ją w objęcia jego, była nie miłość dla niego, lecz pragnienie zaspokojenia wzburzonego ciała za jaką bądź cenę.

Ciało znalazło gdzieś indziej źródło uspokojenia — odwracało się obojętne.

Uśmiechał się do niej niewyraźnie i zamglono. Niósł siebie w tej ofercie i pewny był przyjęcia. Twardy, zimny wyraz twarzy kobiety jednak zaniepokoił go. Ustał w pół drogi.

Pytając patrzył.

— Co jest teraz wspólnego między mną a tym człowiekiem? Rwało ją na strzępy ironiczne pytanie, którego zgłuszyć nie mogła. Zamilkł we mnie ten jeden ton — inne rozbudzone nie były — więc...

Instykt omylił Halskiego. Zawiódł go sromotnie. Gdyby nie dał się Renie opamiętać, cisnął się na nią z furją dawnej żądz — kto wie, jakby się stało. Lecz on spokorniał, zniżył się — ukląkł i rozpoczął litanję. Zapomniał, że jedna noc, jedna godzina wystarczy, aby z Beatryczy zrobić Messalinę. W tej chwili już na ołtarzyku nie było Beatryczy, a raczej Messalina. I do niej wybrał się Halski z litanją. Spotkał się z chłodem.

Zbyt długo czekała.

Lecz oto, co wzrastać zaczęło w duszy Reny.

Żal, żal straszny, bezbrzeżny do tego człowieka za to wszystko, co się stało.

Tyle męczarni z jej strony, tyle łez, takiego asystowania powolnego, degradacji jej wielkiej wyniosłości, ta poniewierka w walce z żądzą, to uleganie tej żądzy, poniżanie się — wreszcie finalny obłęd, w czasie którego bez logiki, bez linii oddała się Kaswinowi — wszystko to było niezaprzeczenie dziełem klęczącego przed nią człowieka.

I do czego doprowadziło to wszystko? Do czego ta walka, w czasie której krwawo, tak bardzo cierpiała i oddała swe ciało w poniewierkę?

Do śmiesznego, nędznego rezultatu.

Do propozycji... małżeństwa!

Szalone, druzgocące burzą namiętności uniesienia, zakończone dziecinną szopką grzesznych i pobożnych malców!

Zaiste — warte były tego zakończenia noce bezsenne, białe noce, w czasie których wiła się jak gad nadeptany, jak szalejąca z pragnienia pantera, obramowana bezlitosnymi prętami klatki.

Zaiste...

Wyprostowała się i dozwoliła całej mściwości, całej pysze, całej ambicji swojej przedrzczyć tamy, które drżącą z namiętności wolą wznosiła w swoim charakterze.

I wspaniałym, nie do naśladowania ruchem, właściwym tylko kobiecie, „która ma dosyć”, strząsnęła ze siebie garnącego się ku niej, w grzecznej ekstazie rozślimaczonego mężczyznę.

— Proszę! Przestań Pan! — wyrzekła prawie surowo.

XXV

Spojrzał na nią coraz bardziej zamglonemi oczyma.

— Reno! Reno!... Wszak jesteś moja — moja!

— Ja?

Nic nie zdoła oddać tonu, tego krótkiego, urywanego słowa.

— Ja jestem *niczyja!*

Rzuciła te słowa jak fanfarę triumfalną.

Lecz on nastawał sentymentalnie:

— Właśnie dlatego, że jesteś niczyja, musisz być... moja. Właśnie dlatego, żeś tak biała i czysta...

Zacząła się jak zwierzę, który czuje, iż myśliwy nie ma broni, zgubił ją i stoi przed nim, schlebując mu teraz, fantazując o jego szlachetności — wielkiej, która jest po prostu ideałem...

— Więc ta moja biel i ta czystość jest dla pana także główną wartością moją?

Miał pozór rzeczywiście wzruszonego.

— Tak, Reno! Tak! — wyrzekł sciszonym głosem. — Tyś mi wróciła wiarę w czystość istoty kochanej i wykazała, że tylko taką kochać można. W zamian chcę ci przynieść miano żony — to miano, które wydawało mi się do tej chwili tak święte, że aż niedostępne dla żadnej kobiety na świecie. Pod stopy ci je składam...

Uczył gest wytworny hidalga, składającego swą szpadę u stóp tronu. Nie widział, jak coraz więcej karłał w jej oczach. Pysnił się wspaniałą ofiarą, jaką jej składał.

Patrzyła na niego z pod przymrużonych powiek, zimna i obojętna zmysłowo, podrażniona do bezgranicza moralnie.

— Więc... — wyrzekła powoli i z uśmiechem — obecnie podnieca pana i zniewala ku mnie myśl, iż nikt oprócz pana nie wzbudzi we mnie uczucia rozkoszy?

— Tak, Reno!

Złożył ręce jak przed świętością.

— Dwanaście godzin temu stawiałeś mi pan warunek, abym miała właśnie kochanka — tego pierwszego, tego... tego inicjatora, tego, który mnie wciągnie w bagno i nauczy żyć waszym życiem.

— Obecnie to zbyt cenne, skoro masz zostać moją żoną.

— A!... Więc ci będzie obojętne, jeśli cię znienawidzę jako tego, który pierwszy nauczył mnie nad wszystko stawiać rozkosze niższego rzędu?

Zachnął się.

— Ależ powtarzam, rzecz jest różna, skoro zostajesz moją żoną.

Wybuchnęła prawie bolesnym śmiechem.

— Panie łaskawy! Zapominasz, do kogo mówisz — do tej, która przeszła już całą komedię małżeństwa, która mu urąga i która, jeśli jeszcze wczoraj do czego dążyła, to jedynie w odwrotnym od małżeństwa kierunku.

Porwał się z niesmakiem.

— Nie mów tak, proszę!...

Lecz ona nagle wybuchnęła podniecona:

— Dlaczego? Dlaczego nie mam tak mówić? — Owszem! wsłuchaj się pan w swoje dzieło. Wyście ze mnie zrobili tę istotę połowiczną, grzeczną i bezbronną, tę, która nie wie, co jest dozwolone, a co zakazane, a rwie się i szarpie w rozbudzeniu zmysłów! Jako najwyższą cnotę ukazywałeś mi pan zadośćuczynienie mym popędom — dziś cnotą dla pana jest to, iż byłam ową kaleką i pożądasz mnie dla tego kalectwa mego.

— Ja cię kocham! — próbował wtrącić.

Lecz ona tupnęła nogą, iskrzącymi oczyma patrząc mu prosto w twarz.

— Kłamstwo! To nie miłość! — zawołała. — Pan mnie pożądasz po prostu — a podniętą w tem jest prosta radość z myśli, iż nikt, nikt, prócz pana!... Ani pan mnie, ani ja pana nie kochamy. Ja chciałam, byłam do tego zdolna — chciałam pana kochać i w tem kochaniu znaleźć miejsce także i dla złączenia się naszych ciał, ale pan nie byłeś ani na chwilę dla mnie „człowiekiem”. Zapomniałeś o tej stronie. Wiecznie i zawsze tylko zmysły, tylko dreszcze, tylko zaspokojenie ślepe i bezmyślne... To samo i dziś — i dziś...

— Jednak!...

— Nie przecz pan — to samo! Nie pytasz nawet, nie zdajesz sobie sprawy, kto jako *człowiek* jest ta istota, którą chcesz wziąć za żonę. Wystarczy ci, że jest pod względem erotycznych spazmów nowicjuszką, dalej, że nikt, żaden inny mężczyzna nie powie sobie o niej tego, co ty masz prawo powiedzieć. Nikt — bo nawet i ten nieszczęsny mąż umarł. Lecz nie ciesz się przedwcześnie, od wczoraj nie jestem bez skazy, jestem tą, która szła siłą pary w świecie zmysłów, jestem równą wszystkim twoim kochankom!... Tobie samemu.

Zaczęła drzeć, pobladła. Nienawiść ją ogarnęła całą, przepoiła nawskróś.

Stała się nienawiścią samą.

— Tak! Tak! — podjęła okrutnym, zmatowanym głodem. — Wiedz, że dzisiejsza noc rzuciła mnie na ręce takiego inicjatora. Nie jestem sobą, nie jestem Reną — nie jestem bez skazy. Oddałam się... bez zastrzeżeń, na przepadłe.

Zbladł także i cofnął się od niej.

Chwilkę milczeli. Nawet oddechów ich słyhać nie było.

— To żarty! — wybełkotał wreszcie.

— Nie! Nie! Patrz, tam stoi kosz tuberoz. Tam jest list — nieotwierany przezemnie. To właśnie od mego... kochanka tej nocy. Otwórz go, przeczytaj! Przekonaj się, że mówię prawdę.

Wahał się, jakby przykuty do ziemi.

— Nie chcę...

Skoczyła do kwiatów, wyrwała kopertę z listem Kaswina, rozdarła ją — przerzuciła szybko list i gwałtownie podała Halskiemu.

— Przeczytaj... noc poślubna... uniesienia... zapach twego ciała... o, wszystko...

Rzuciła mu list na ręce i sama podeszła do okna. Triumfujące, upalne południe letnie biło się w pełnym blasku. Wszystko iskrzyło się od światła i żaru.

Mimowoli przeszło przez jej mózg pragnienie:

— Niechby już sobie poszedł! Niechby mi dał spokój!...

Słyszała jego kroki poza sobą. Widocznie chodził po pokoju. Myślała, że przecież pójdzie sobie natychmiast.

Czegoż chciał jeszcze?

Nagle zatrzymał się. Chrypiącym głosem odezwał się:

— Reno... pani!...

Odwróciła się z niechęcią. Nienawiść zaczęła przemieniać się w niej w rodzaj znudzenia i jakby pogardy.

Pytając patrzyła, unikając wszakże jego twarzy.

— Dlaczego to zrobiłaś?

Chciała mu odpowiedzieć, że dlatego, aby zdecydował się wreszcie przyjąć ofiarę jej ciała, lecz wzrok jej zeslizgnał się na jego twarz i ogarnął go całego.

Wydał się jej marny, nędzny, żaden...

Erotyczny urok spadł — żadnego innego nie było!

— Dlaczego to uczyniłam? — podjęła powoli — to już rzecz moja.

Starał się pochwycić ją za rękę.

— Posłuchaj! — wyrzekł gorączkowo — muszę wiedzieć rzecz jedną, skoro mi na nią szczerze odpowiesz, gotów ci jestem *przebaczyć*.

Jak szalona rzuciła się w swem wnętrzu, słysząc te słowa.

— Przebaczyć? On? Jej? To nadto! Skąd prawo? Ona zaś musiałaby mu wybaczyć wszystkie kochanki, wszystkie Weychertowe, wszystkie spazmy zwierzęce, targające nim od lat tyłu.

On, zaślepiony w pragnieniu tej kobiety, która mu się zaczynała objawiać temperamentowo z nieznannej strony, zbliżył się ku niej tak, że ustami prawie dotykał jej ust.

— Powiedz mi jedno, jedno tylko — szeptał — powiedz mi, czy brałaś udział w rozkoszy, którą wzniewałaś?...

Lawą rozpaloną — mgnieniem przebiegły jej nerwy i żyły.

— Tak! — padło z poza jej zaciśniętych zębów — tak! brałam udział, jak mówisz — pełny, zupełny!...

Odsunął się od niej — jeszcze więcej poblady, ale napozór drewniany, złodowaciały.

— Żegnam panią!

Skłonił się jej zdaleka. Wydał się jej śmiesznym. Doskonale się stało, że odchodził. Był nudny i doprawdy bezwiednie komiczny. Nie miał tu co robić. Nie odpowiedziała mu nawet na ukłon, tak bardzo zajęta pragnieniem, aby czemprowadziej zniknął.

Gdy się to wreszcie stało i pozostała sama — wielkie, bezbrzeżne uczucie ulgi wydarło się jej z piersi.

Wzniosła ręce w górę i roześmiała się.

— Niczyja! Niczyja! — powtórzyła kilkakrotnie — raczej swoja własna!

— Jak ja się teraz cenić i kochać potrafię! ho! ho!... Wiem teraz, ile moje ciało dla mnie samej warte, co mi za przepych wrażeń dać może!...

Kopnęła kwiaty Kaswina, podarła jego list na strzępy...

— Niczyja!... Niczyja!...

15. października 1912. — Skiz.

Wszystkie zasoby Wolnych Lektur możesz swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać pod warunkiem zachowania warunków licencji i zgodnie z Zasadami wykorzystania Wolnych Lektur.

Ten utwór jest w domenie publicznej.

Wszystkie materiały dodatkowe (przypisy, motywy literackie) są udostępnione na Licencji Wolnej Sztuki 1.3.

Fundacja Wolne Lektury zastrzega sobie prawa do wydania krytycznego zgodnie z art. Art.99(2) Ustawy o prawach autorskich i prawach pokrewnych. Wykorzystując zasoby z Wolnych Lektur, należy pamiętać o zapisach licencji oraz zasadach, które spisaliśmy w Zasadach wykorzystania Wolnych Lektur. Zapoznaj się z nimi, zanim udostępnisz dalej nasze książki.

E-book można pobrać ze strony: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/zapolska-kobieta-bez-skazy>

Tekst opracowany na podstawie: Gabriela Zapolska, *Kobieta bez skazy*, wyd. Lektor, Warszawa - Lwów - Kraków 1921.

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>).

Opracowanie redakcyjne i przypisy: Dorota Kowalska, Paulina Choromańska, Wojciech Kotwica.

Publikację wsparli i wsparły: Artur Dulęba, Dariusz Dzida, Maciej Rolewicz, Katarzyna, Karolina.

ISBN 978-83-288-1072-3

Wesprzyj Wolne Lektury!

Wolne Lektury to projekt fundacji Wolne Lektury – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

Jak możesz pomóc?

Przeznacz 1,5% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Wolne Lektury, KRS 0000070056.

Wspieraj Wolne Lektury i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przeznacz darowiznę na konto: [szczegóły na stronie Fundacji](#).